

składano sobie życzenia dzieląc się święconym jajkiem, po czym zasiadano do stołu, dla spożycia świątecznego śniadania.

Środek stołu zajmowała piramida porośnięta zieloną rzeczuchą, a na jej szczycie ustawiony był baranek cukrowy z czerwoną chorągiewką. Wokół na półmiskach zwoje kiełbas, różowa szynka dobrze uwędzona, salaterka pełna pisanek. Dzieci paluszkami pokazywały, które są przez nich malowane. Pokrojony chleb na tacy, masło w maselniczkach, przyprawy. Najokazalej prezentowała się na półmisku głowa prosięcia, w której rozwartym pysku umieszczono pisanekę. Wszystko przybrano gałązkami bukszpanu. Na końcu stołu, przy którym nikt nie siedział, Iza zgromadziła słodkie ciasto: sękecz, baby lukrowane, ma-kuce, serniki, piernik mocno doprawiony korzennymi przyprawami, cwibak i kruche ciasteczka. Z kuchni podawano gorącą kaszankę, białe mięso drobiowe i gorący barszcz. Na takie okazje miała Iza nakrycie z pięknej porcelany, sztucznie posrebrzane. Przy każdym nakryciu, prócz dziecięcych, stały dwa kieliszki z każdego szkła, w które Bronisław nalewał - do mięs wódkę, do słodkiego ciasta wino.

Po śniadaniu wszyscy przechodzili do salonu, a w jadalni zmieniano nakrycie stołowe tak, że do obiadu stół był już zastawiony.

Jeśli dopisywała pogoda, towarzystwo szło na spacer. Nie było w Hurczynach parku przy dworze. Gośpodarze uważali, że nie potrzebny im sztuczny park, gdy mają obok naturalny las na Mogilniku i aż hen po Walickowszczyznę. Można było drózkami leśnymi odbywać piękne spacerki, latem sycić się jagodami, zbierać grzyby, lub spocząć na miękkim mchu.

W drugi dzień świąt, po porannym śmigusiu, który rozpoczynał zwykle Bronisław, oczywiście w stopniu umiarkowanym, jechano do kościoła. Po nabożeństwie, razem z rodziną z Walickowszczyzny, udawano się na cmentarz, do rodzinnych grobów, a następnie wspólnie spożywano śnia-

kanie w huroczynach, po czym na obiad jechano do Kuzi.

We wtorek z rana, zakopywało się na zagonach resztki poświęteczne - skorupki jaj, kości, bukszpan użyty do przystrajania, okruchy chleba i ciasta. Miało to chronić plony od gradobicia.

I znów zaczynały się zwykłe, gospodarskie zajęcia.

Bronisławowie nie prenumerowali żadnych gazet, radia nie mieli, ale dziedzie dużo przebywał wśród ludzi, bywał w mieście powiatowym. Wiadomości zasłyszane czy to przy kartach, czy w urzędach lub Związku Ziemiaków, wystarczały dla ogólnej orientacji w sytuacji krajowej i światowej. Czasem przywoził do domu jakąś gazetę, wówczas czytali ją z łąką od deski do deski, nie z głodu informacji, lecz z ciekawości i dla rozrywki. Nadto Żydzi, z którymi na kresach obcowano na co dzień, byli źródłem wiadomości i jeśli miało się kontakty z którymś inteligentniejszym, zawsze można było liczyć na nowiny.

Polityką zresztą mało zajmowano się na kresach. Każdy gospodarz miał dość niezłatwych problemów gospodarskich. Od polityki był rząd i parlament. Jedynie w rezydencjach arystokratów, mających stałe kontakty ze stolicą i zagranicą, snuto rozważania i spekulacje polityczne.

W roku 1937 uruchomiono w Baranowiczach lokalną radiostację. Bronisław liczył, że dzięki temu, za pomocą swego detektora łatwiej uzyska połączenie ze światem. Zawiody jednak rachuby, zatem obiecał żonie, że po spłacie ostatniej raty pożyczki, zakupi prawdziwe radio.

A horyzont polityczny co raz bardziej się zaciemniał i zbierało się na burzę. Na dalekim wschodzie trwała

inwazja Japonii na terytorium Chin. W Europie rodził się faszyzm, głównie w Niemczech, zdominowanych przez kanclerza Hitlera, który przejął całą władzę w państwie, wprowadził beznazględny reżim policyjny i łamiąc postanowienia wersalskie, tworzył potężną, nowoczesną armię. We Włoszech, podobnie poczynił sobie Benito Mussolini. W oparciu o rodzimą partię faszystowską, wprowadził w kraju terror, a za cel swoich mocarstwowych, imperialistycznych ambicji, obrał biedną i słabą Abisynię, którą zajął.

W Hiszpanii zwyciężyła w wyborach lewica, wspierana przez komunistyczny ZSRR, a generał Franco, na czele wojsk rządowych wystąpił przeciw nim. Natychmiast Hiszpania przekształciła się w poligon wojskowy, dla faszystowskich Niemiec i Włoch, które poparły generała przeciw sowietom, wspierającym rodzimych komunistów i ślącym do Hiszpanii wojenny sprzęt i t. zw. "Ochotnicze Brygady Międzynarodowe". Anglia i Francja stosując taktykę nieingerencji, biernie obserwowały tok wydarzeń. Tymczasem wrzący kocioł groził eksplozją na skalę międzynarodową.

To było niesamowite. Późnym wieczorem nagle nieboskłon rozjarzył się dziwnym blaskiem. Światło stawało się co raz intensywniejsze i obejmowało co raz większy okrąg nieba. Sprawiało wrażenie rozchodzących się falami świetlistych pierścieni, to znów jakby z jądra wystrzelających promieni.

Iza, która pierwsza zerwała się, myśląc że to łuna jakiegoś pożaru, zbudziła męża. Oboje stali przed oknem zapatrzeni w zjawisko budzące zdziwienie i nieokreślony lęk. Po dość długim czasie światło zaczęło przysgasać, blednąć, aż znikło zupełnie i nastąpiła z powrotem ciemna, styczniowa noc, a na niebie pojawiły się gwiazdy.

Małżonkowie zanim położyli się, zaglądnęli jeszcze do

dzieci. Spały spokojnym snem. Halinka tylko coś mamrotała niezrozumiale przez sen.

Długo nie mogli usnąć pod silnym pozostając wrażeniem. W następnych dniach prasa donosiła o dziwnym zjawisku nocą 25 stycznia 1938 roku, widzianym w całej Europie. Tłumaczono je pojawieniem się zorzy polarnej, tożnów spadkiem meteorytu, który spłonął przed zetknięciem się z ziemią. Lud wiejski przejęty zgrozą mówił, że to znak zapowiedź jakiejś klęski i snuto na tym tle różne domysły. W kościele proboszcz w kazaniu nawiązał do dziwnego zdarzenia, oczywiście nie wyjaśniając jego istoty, ale wspominając, że już w Starym Testamencie Bóg przemawiał do ludzkości poprzez różne znaki. Być może i tym razem Pan daje ludzkości ostrzeżenie i napomnienie.

W tym roku na święta Wielkanocne zjechała do Bronisławów w odwiedziny wujenka Izy, żona wuja Antka, zarządcy majątku "Wichowo". Była jego drugą żoną. Urodziła się w Marsylii z ojca Polaka i matki Francuzki, stąd imię wujenki Charlotta. Była osóbką drobnej budowy, pogodnego usposobienia, bardzo towarzyską. W rodzinie zwano ją ciocią Lotką. Bywała w świecie, świetnie władała językiem francuskim i niemieckim, jako wieloletnia pracownica ambasady francuskiej w Berlinie. Mówiąc po polsku, wtrącała czasem słowa lub zwroty obcojęzyczne. Świąteczne wieczory przy kominku, bo wiosna była chłodna, były dla Bronisławowstwa prawdziwą atrakcją. Ciocia opowiadał wiele ciekawych zdarzeń i obserwacji z szerokiego świata. Znana była w rodzinie jako kabalarka, umiejająca wróżyć z kart. Gdziekolwiek się pojawiła, zawsze proszono ją o wróżby, na co nie zawsze się godziła. I teraz Iza prosiła ciocię o postawienie kabały. Wzbraniała się, ale usilnie namawiana, także za poparciem Bronisława, w końcu uległa. Kładła i przekładała karty w milczeniu. Iza i Bronisław, również w milczeniu obserwowali czekając na wynik. Bronisław trak-

tonał to jak ciekawą zabawę. Iza większą przywiązując wagę do wróżb, czekała na potwierdzenie w przyszłości ich obecnego szczęścia. Po dłuższej chwili, ciocia odłożyła karty, opuściła ręce i spojrzała po obecnych milcząco. Co wyszło ciociu, dopytywała ciekawie Iza. Ciocia unikała odpowiedzi, starała się skierować rozmowę na inny temat, w końcu naciskana powiedziała:

"Za półtora roku rozejdziecie się w prze-

ciwne strony i nigdy więcej się nie spotkacie"

Zapanowała cisza. Wszyscy troje siedzieli w milczeniu.

Iza czuła się nie tylko zawiedziona, ale przerażona.

Ciocia była strapioną, że zmąciła atmosferę tego szczęśliwego domu. Bronisława, choć lekko traktował kabałę, zmroziły tragiczne słowa.

Już się nie kleiła dalsza rozmowa, więc w końcu wstali, by w przykrym nastroju udać się na spoczynek.

Wstrząśnięci rodzice, pochyleni nad łóżeczkami dzieci, w milczeniu obserwowali ich spokojny sen.

A potem w sypialni na dobranoc serdecznie objęli się zapewniając wzajemnie, że nigdy jedno drugiego nie opuści.

Od 1 września 1938, Zdzisława zaczął uczęszczać do szkoły powszechnej w Porozowie. Nigdemin z nauki domowej wypadł pomyślnie, więc nie było trudności z przyjęciem go do klasy drugiej. Odległość sześciu kilometrów z domu do szkoły, pokonywał pieszo wraz z innymi dziećmi z folwarku. Jeśli okazji nie wysyiano konie do miasteczka, zabierano na wóz wszystkie dzieci. Czasem, przy wyjątkowo złej pogodzie, ulewnym deszczu, śnieżycy, kazał Bronisław odwozić je wszystkie, względnie przywozić ze szkoły. Korzystały wówczas także niektóre dzieci z prawosławnych wsi: Kusinów, Kowali, czy Bruszczan. Niektóre, bowiem nie wszystkim pozwalano w domu korzystać z "pańskich" usług. Rodzimi komunisti i sowieccy agenci wytrwale podjudzali prawosławnych przeciw Polakom i "obszarnikom". Gdy się wydało, że dzieciak jechał dworskimi koniami, groziły mu bity w domu, wolną więc iść pieszo.

Nie miał Zdzisław trudności adaptacyjnych w szkole, bowiem wielu kolegów znał przecież z zabaw wspólnych i z sąsiedztwa. Wśród dzieci wrogość klasowa nie była demonstrowana. One tego jeszcze nie rozumiały.

Porozów był miasteczkiem niewielkim, liczył około dwa tysiące mieszkańców, w ogromnej większości Polaków-katolików. Wyznawców prawosławia było zaledwie około pięćdziesięciu, Żydów około sześciuset. Miasteczko było siedzibą gminy, na południowym skraju powiatu wołkowyskiego. Był tu urząd gminy i poczta z telefonem, przy trakcie do Nowego Dworu, nieco za rynkiem. Był posterunek policji, sąd pokoju, ochotnicza straż ogniowa, apteka, szkoła powszechna siedmioklasowa, do której uczęszczało około 360 uczniów katolickich, prawosławnych i żydowskich. Był też młyn, dwa wiatraki i wytwórnia dachówek ceramicznej. Większość sklepów prowadzili Żydzi, ale był też wielobranżowy sklep spółdzielczy zwany kooperatywą. Rzemieślnicy mieli swoje warsztaty: szewc, stelmach, kowal i garncarze wyrabiający garnki

wypalane z miejscowej gliny.

Gmina żydowska t.zw. Kahał, sprowadziła z Łodzi lekarza internistę, Żyda Bibrowskiego, dla którego zbudowała drewniany domek, przy trakcie wołkowskim niedaleko rynku. Stanowił mieszkanie i lecznicę. Bibrowski był szanowanym człowiekiem. Leczył wszystkich bez względu na wyznanie i status społeczny.

W Porozowie był też Dom Ludowy i dwie biblioteki: dla dorosłych i dla dzieci. Z instytucji społecznych były: Spółdzielnia Spożywcza, Kasa Stefczyka, Kółko Rolnicze i drużyny harcerskie - żeńska i męska.

Centrum stanowił mały rynek na skrzyżowaniu dróg, do Wołkowska na północ, na południe do Nowego Dworu, na wschód do Łyskowa i na zachód do Świsłoczy.

Koło rynku stała cerkiew, nieco dalej kościół katolicki. Był także nieczynny już, mały drewniany kościółek niegdyś unicki, a przy trakcie wołkowskim synagoga. Od kościoła prowadziła dróżka na cmentarz katolicki i dalej do przysiółka Zapolicze. Zmarłych wyznania prawosławnego, chowano na cmentarzu w okolicy majątku Bogudzięki. Na stoku wzniesienia od zachodniej strony miasteczka, położony był cmentarz żydowski.

W roku 1919 ustawiono w rynku krzyż, na pamiątkę powrotu państwowości polskiej.

Wzdłuż dróg, po obu stronach, pobudowane były domki mieszkańców w liczbie około 400, przeważnie drewniane. Było kilka murowanych, postawionych po ostatnim pożarze miasta w roku 1899, kiedy to nocą prawie całe spłonęło. Wcześniej, w roku 1828 był również ogromny pożar, który wybuchł w nieistniejącym już browarze.

Mieszkańcy trudnią się niewydajnym na piaszczystej glebie rolnictwem, a dodatkowo rzemiosłem i wydobywaniem białej glinki w okolicy, którą wywożą na sprzedaż. Były próby wydobywania węgla, którego pokłady miały rzekomo zalegać w okolicy. Ziemiańskie Kozłowski i Szyrajew wykonali nawet próbny szyb, okazało się jednak, że to

węgiel brunatny i zaniechano wydobycia.

W każdą środę odbywały się w Porozowie targi, a 10-go każdego miesiąca jarmarki.

Miasteczko leży w kotlinie nieco podmokłej. Przepływa przez nie dopływ Rosi - Porozówka. Legenda głosi, że w dawnych wiekach, ktoś na królewskim polowaniu ugrzązł w bagnie i dla wyciągnięcia go wołano: powrozów! Stąd miała powstać nazwa osady. Inna wersja głosi, że to kolasa wioząca królową Bonę na inspekcję włości królewskich, ugrzązła na mokradłach. Być może działo się to na mokrych łąkach śródleśnych na południe od Porozowa, gdzie znajdują się źródła rzeki Roś.

Nie wiadomo jakie są historyczne początki Porozowa, stanowiącego królewskie włości, zwane Wójtostwem Porozowskim, które już w 1523 r. otrzymało prawa miejskie od króla Zygmunta Starego. Sporą sensacją lokalną było wykopanie w ogrodzie mieszkanki Hamanowiczowej, w roku 1926 pieczęci miasta z wizerunkiem Bogurodzicy i napisem: "Pieczęć Miasta Porozowa-Anno 1720".

Obecny kościół katolicki jest trzecim z kolei. Pierwszy był ponoć okazyły i spłonął w czasie pożaru miasta. Następny ufundował hrabia Tyszkiewicz i spalił się od pioruna w 1793 roku. Obecny, murowany, wzniesiono w 1825 r. staraniem parafian i okolicznych ziemian, pod wezwaniem Michała Archanioła. Jak wcześniej wspomniano, słynący cudami obraz św. Antoniego, w 1915 roku zabrał ze sobą ówczesny proboszcz ks. Werenik przepędzony do Rosji.

Wcześniej, w połowie XIX wieku, pop zazdroszcząc proboszczowi dochodów z odpustu, sprowadził do cerkwi obraz św. Antoniego i urządzał konkurencyjne obchody jego święta. Prawosławny metropolita litewski Siemaszko w 1858 r. złożył skargę do oberprokuratora grodzieńskiej guberni na duchowieństwo parafii porozowskiej, które urządzając uroczystości ku czci św. Antoniego, wpływa na unitów i prawosławnych by przechodzili na katolicyzm.

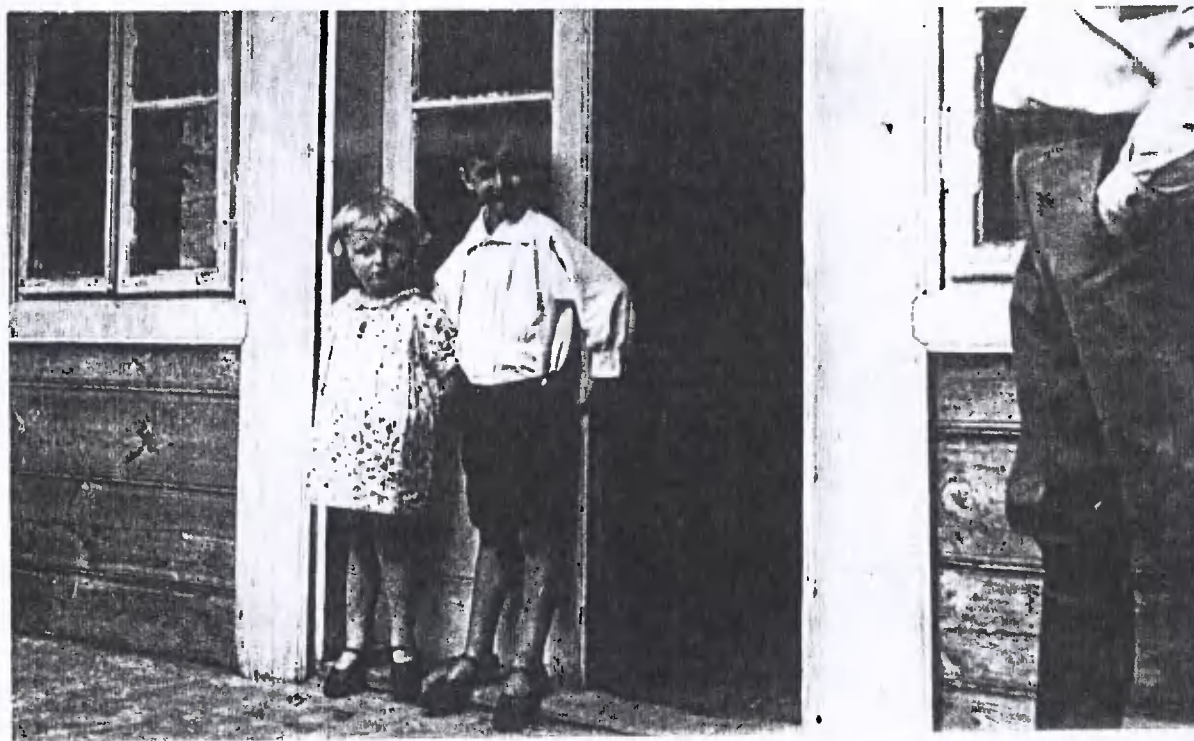
Podobnie jak obraz świętego, zginęły parafialne księgi

metrykalne, nie wiadomo czy też wywiezione przez proboszcza, czy uległy zniszczeniu w czasie wojny.

Od 1914 roku proboszczem w Porozowie jest ksiądz Józef Ławrynowicz, pochodzący z Janowa Podlaskiego.

Otóż to gminne i parafialne miasteczko, stało się ośrodkiem kształcenia małego Zdzisia. Uczył się dobrze, był lubianym i nie stwarzał problemów pedagogom. Wywiadówki okresowe w jego przypadku, były raczej zwykłą formalnością. Ojciec był dumnym z syna, z którym wiązał tak wielkie nadzieje.

Pewnego razu, a miało się już ku zimie i właśnie poproszył pierwszy śnieg, wracał chłopiec ze szkoły w grupie kolegów. Ponieważ były wśród nich dzieci z Motoszów, postanowili zamiast iść traktem, od żyłowskiego cmentarza przejść lasem ku wsi, a potem z górki Zdzisia zbiegnie na hurczyńskie pola i do domu. Kiedy dzieci zagłębiły się w las, raptem ujrzały na swej drodze stojące dwa wilki. W wielkim strachu zaczęły tak krzyczeć,



Halinka i Zdziś na ganku przed domem

że wilezyska spłoszone czmychnęły, a dzieci gdy ochłoneły z emocji, bezpiecznie doszły do swych domów. Zdych z przejęciem opowiadał przygodę. Mama była przerażona, a ojciec zabronił chodzić bocznymi drogami.

Kiedy Kazia Wysocka wybierała się wozem do Wołkowyska, jechała gorszą, ale nieco krótszą trasą, przez tak zwane "Górki". Lubiła tę drogę, biegnącą przez wzniesienia, zamykające od zachodu dolinę Rosi. Można ją było miejscami dostrzec wijącą się w dole, a w dni słoneczne, srebrzącą się na tle podmokłych zielonych łąk. Z lewej strony, a od Korewicz z prawej strony rzeki, biegł gościniec z Porozowa, raz bliżej jej koryta, to znów oddalając się od niego.

Od dworu w Walickowszczyźnie droga polna prowadziła u stóp lesistego wzniesienia, do Gieruciowa, a dalej lasem aż do Święcicy Wielkiej, przez Zadworzańce, Choćkowce i koło dworu Choćkowce przez most na Rosi, wyjeżdżało się na gościniec Porozów - Wołkowysk.

W Gieruciowie, w małym, niepozornym dworku, bardzo skromnie urządzone, mieszkała rodzina szlachecka, o litewsko-tatarsko brzmiącym nazwisku Kołkupajków herbu "Boża Wola". Należał do nich mały majątek, na słabych glebach piaszczystych. Ród był niegdyś liczny, majątny, którego ślady spotykane są w różnych dokumentach. Jego przedstawiciele pełnili funkcje publiczne na różnych stanowiskach, uczestniczyli w narodowych powstaniach i cierpieli represje za udział w nich, które przyczyniły się do zubożenia i upadku rodu. Niegdyś posiadali majątki na Grodzieńszczyźnie i w Słonimskiem, a w naszym powiecie należały do nich, w różnych okresach czasu: wspomniany Gieruciów, Święcice Wielka i Mała, Zadworzańce, Krasny Hrud, Andrusze i Rudziewicze, wymieniane już w wykazie podatkowym z 1690 roku. Nadto posiadali majątki na Litwie, w powiecie trockim i na

Łotwie, w okolicy Agłony. Adolfina, siostra Bronka zamężna na Łotwie, wspominała w rozmowach Jadwigę Kołłupajło, która bywała u nich w domu, w Jawdzie-
mach, a miała majątek koło Agłony właśnie i brata
we Francji.

Kołłupajłowie figurują w ewidencji uczniów gimna-
zjum świsłockiego. W powstaniu listopadowym uczestni-
czył Lucjan, w powstaniu styczniowym Czesław, który po
Strawińskim dowodził oddziałem wołkowyskim. Pod jego
komendą służył teść Kazi - Władysław Woyszkiewicz
Wysocki. Jan Kołłupajło dowodził oddziałem w Słonim-
skiem. Ferdynand z Krasnego Brudu był we władzach po-
wstańczych naszego powiatu. Jeden z Kołłupajłów słu-
żący w kawalerii rosyjskiej, przeszedł na stronę pow-
stańców, a wzięty do niewoli został rozstrzelany. Po
powstaniu styczniowym, niektórzy znaleźli się na emi-
gracji we Francji. Tam są groby ich i ich rodzin w Pa-
ryżu i Montmorency. Są także pochowani w Rosi, Hnieźnie,
Szydłowiczach, Wołkowysku, Repli.

W Gieruciovie gospodarzą Guy i Stefania Kołłupajłowie,
mający dwójkę dzieci: Jana i Iwonę. Widziała Kazia tę
parę małżeńską, bywając w Hornostajewiczach, dokąd przy-
chodzili oboje przez owe Górki, pieszo, jakieś 5 kilome-
trów. Nigdy nie widziała by czymkolwiek przyjechali,
zapewne z biedy poruszali się na piechotę. Nie spoty-
kano ich w miasteczku lub na jarmarku. Być może czuli
się skrępowani obecnym niedostatkiem. Guy był mężczyzną
średniego wzrostu, szczupłym, o śniadej cerze, czarnych
włosach i oczach. Nosi też czarny, krótko strzyżony wą-
sik. Jego cała figura i twarz są w ciągłym ruchu, zna-
mionującym południowca. Prawdopodobnie, na co wskazuje
także imię, pochodzi z Francji. Może jest potomkiem
któregoś z emigrantów. Świetnie włada językiem francu-
skim. Kazia słyszała kilkakrotnie jego konwersację ze
świętej pamięci Magdaleną Andrzejkiewicz. Małżonka Guya
to skromna kobieta, już siwawa o zatroskanym wyrazie

twarzy i rysach zdradzających niegdysiejszą urodę. Nie udzielali się towarzysko, a jedynie do Andrzejkowiczów przychodzili od czasu do czasu na rozmowę i po książki, które pożyczali, polskie i francuskie. Andrzejkowiczowie odtwarzając zrabowane i popalone zbiory biblioteczne, nabywali okazjnie książki francuskie i angielskie, a zapewne prenumerowali także czasopisma i żurnale. Poza nimi w najbliższej okolicy już chyba nikt nie interesował się obcojęzyczną literaturą. Kazia przypominała sobie francuskie dzieła pięknie oprawne, które zastała we dworze męża. Zapewne były to zbiory jego dziada Kaspra i oczywiście przepadły w czasie wojny.

Choćkowiec to majątek Jelskich. Średniej wielkości, około 600 ha. Pałac spalony w czasie wojny, do dziś są widoczne pozostałe zgliszcza. Za mieszkanie obecnym dziedziczkom, trzem paniom Jelskim, służy t. zw. Gołębnik, dawny lamus adaptowany na mieszkanie. Paniami i ich gospodarstwem opiekuje się wuj Przemysław Sieheń z Krassek, bardzo sympatyczny człowiek. Adam Jelski pod koniec XIX wieku, po śmierci żony, podzielił majątek pomiędzy trzy córki: Janinę, Cecylię i Wandę.

Kilkugodzinna jazda do Wołkowyska, była czasem sprzyjającym rozmyślaniom. W domu zawsze było mnóstwo zajęć pochłaniających uwagę i absorbujących czas. Natomiast samotna podróż stanowiła oderwanie od codzienności, dawała okazję do przemyśleń i wspomnień. Stan-gret znający zwyczaję pani, zachowywał całkowite milczenie. Kazia bardzo pracowita i dzielna, pozbawiona męskiej pomocy, miała swoje chwile słabości, których nikomu nie okazywała. Choć gospodarstwo nieźle prosperowało, dzieci były wykształcone i samodzielne, przecież trosk nie ubywało i czuła się już czasem zmęczona. Będąc wrażliwą i uczuciową, lubiła myślą powracać do lat dziewczęcych, spędzonych w Warszawie na

Krakowskim Przedmieściu, w domu troskliwych i kochających dziadków ze strony mamy - Popławskich. Niezapomniane niedzielne spacery powozem w Aleje Ujazdowskie, odwiedzanie wystaw i teatrów, tylko na wybrane przez dziadka, wartościowe sztuki, w których grali młodzi, dobrze zapowiadający się lub już sławni aktorzy, jak Leszczyński, Kotarbiński, Trapszo i wielu innych. To był zupełnie inny świat, pełen elegancji, szeroko otwarty na kontakty i wpływy z zagranicy, nieporównywalny poziom kultury z zaściankowością kresową. Nie znaczy to, by środowisko w którym żyła, było jej obce, by żywiła poczucie jakiejś krzywdy osobistej, czy pogardzała otoczeniem. Nie, to była także Polska, bardzo skrzywdzona, zniszczona i cierpiąca, zaniedbana Polska. Tym większej wymagająca uwagi, poświęcenia i twórczej, organicznej pracy. Ale rozumiała matkę, która z urodzenia i wychowania warszawianka, źle czuła się w warunkach wiejskiej egzystencji, na gospodarstwie zakupionym przez męża na Podlasiu, za posag żony. To też żywiła obawy o małżeństwo Bronka, gdy na jego prośbę wstawiła się u rodziców Izy o jej rękę. Przecież Iza też nie nawykła do życia wiejskiego, lecz czy mogła odmówić prośbie zacnego Bronia? Bogu dzięki obawy jej okazały się bezprzedmiotowe. Iza z całym oddaniem i dużym zaangażowaniem starała się uczestniczyć w pracach gospodarskich i uczyła się ich, a Broniek był szczęśliwy i zakochany po uszy. Ciekawe, jak radziła sobie z gospodarstwem babcia męża, w czasie gdy jej syn, a mój teść Władysław, prowadził lekkie życie i czerpał tylko z gospodarstwa nie dbając o nie. Przecież ona sama była już w podeszłym wieku. Miała co prawda, jak mówił Kasper, gospodynią znającą się na rzeczy i energiczną, ale i ona była sędziwa. Michał Federowski pisał o niej: "stuletnia gospodyni z Walickowszczyzny". Niełatwe to były czasy.

Swoją drogą, do jakiejż doszło demoralizacji społeczeństwa tamtej doby. Polska młodzież sfrustrowana upadkiem powstania i następującymi po nim represjami, w zabawach szukała zapomnienia, zamiast tym bardziej wziąć się do pracy, by ratować co polskie, co da się jeszcze uratować. Urzędnicy i funkcjonariusze carskiego aparatu władzy - zdemoralizowani do cna. Złodziejstwo, przekupstwo, łapownictwo. Za przykład może służyć choćby znaleziony na strychu naszego dworu, wśród starych szpargałów, testament: "Ostatnie wynurzenie samobójcy Józefa Kamińskiego z 26 VI 1848" Cóż doprowadziło tego biedaka do tak desperackiego kroku - złodziejstwo i kancierstwo kolegów. Kamiński, jako kierownik grupy mierniczych, wobec zapowiadzanej inspekcji, nie mając pieniędzy na dokończenie prac, ani nie mogąc rozliczyć pobranych sum, wobec groźby więzienia zdecydował się na samobójstwo. Skąd ten list znalazł się w Walickowszczyźnie, czy może Kamiński kwaterował w naszym dworze i tam doszło do tragedii? Jakim sposobem policja prowadząc niewątpliwie dochodzenie, nie zabrała listu, który przecież celowo został napisany dla podania motywu tragedii? Ileż dramatów i tajemnic kryły w sobie te stare kresowe dwory, zamieszkałe przez szereg pokoleń następujących po sobie... Życie płynęło tu nie zawsze spokojnym rytmem, za to w izolacji od szerokiego świata, co sprzyjało kultywowaniu tradycji. Tu rosły wspaniałe charaktery ludzi ofiarnych, bohaterskich, pełnych poświęcenia dla ojczyzny i warchołów, utracjuszy, dziwaków. Jeśli nie pojawiało się zagrożenie z zewnątrz, to spory graniczne, procesy o własność, czy nawet sąsiedzkie najazdy zbrojne urozmaicały życie społeczności, póki nie utraciła wolności na 100 lat zaborów. A późniejszy okres odbudowy po wojnie światowej? Jeszcze do lat trzydziestych było bardzo ciężko. Mimo zaciągniętych kredytów, trzeba było sprzedawać

co się dało, by wyżyó i kształció dzieci. Tak na licytacji w 1934 roku poszło pianino, dwie bryczki, dwie szafy jesionone i inne drobniejsze sprzęty, za ledwie w latach dwudziestych z trudem nabyte, dla łatania braków powojennych. A równocześnie, istniały jeszcze prócz potrzeb własnych, cele społeczne, które należało wspierać, co było kwestią honoru obywatelskiego. Tak było ze sprawą Domu Ludowego imienia Józefa Piłsudskiego w Wołkowysku, na budowę którego złożyła datkę pieniężną. Nie omieszkał donieść o tym Tygodnik Wołkowyski, zapewne słusznie - dla przykładu innym, ale co ja samą zgalewało. Podobnie wsparła, tym razem w naturze - drzewem z własnego lasu, budowę Domu Ludowego w Porozowie, zaproponowaną przez proboszcza. Nie łatwe to życie. Właściwie powinna już odpocząć, zdać całe gospodarstwo na syna, ale on, jakkolwiek formalnie jest właścicielem, faktycznie zarząd nadal pozostawia matce. Nie znaczy by się nie angażował, ale uznał, że ona robi to lepiej. I chyba tak było. Jurek kochał się w koniach, czynnym był w pułku, choć jako officer rezerwy nie był zobowiązany do niczego więcej, poza udziałem w uroczystościach i manewrach. Tymczasem utrzymywał stały kontakt z dowództwem i kolegami. Uczestniczył w licznych imprezach, jak pogon za lisem na św. Huberta, zawody konne, bywał często w kasynie oficerskim, odwiedzał kolegów pułkowych w ich dworach, w Cholewiczach, Werdomiczach, Brzostowicy czy Kropiwnicy. W ogóle lubił towarzystwo i pod tym względem zdaje się odziedziczył trochę naturę dziadka. Bywał na polowaniach połączonych zwykle z dłuższą nieobecnością, zapraszany Przez Zdzisława Janotę-Bzowskiego z Cholewicz, kolegę z pułku, do dalekiego Sporowa Krasieckich na Polesiu w powiecie koszyrskim, na ptactwo wodne. Bywał w Nowosadach u Dolka Bitnera, na polowaniach na zwierzynę płową i czarną lub jeszcze gdzie indziej. Wyjeżdżał często do sąsiadów na karty.

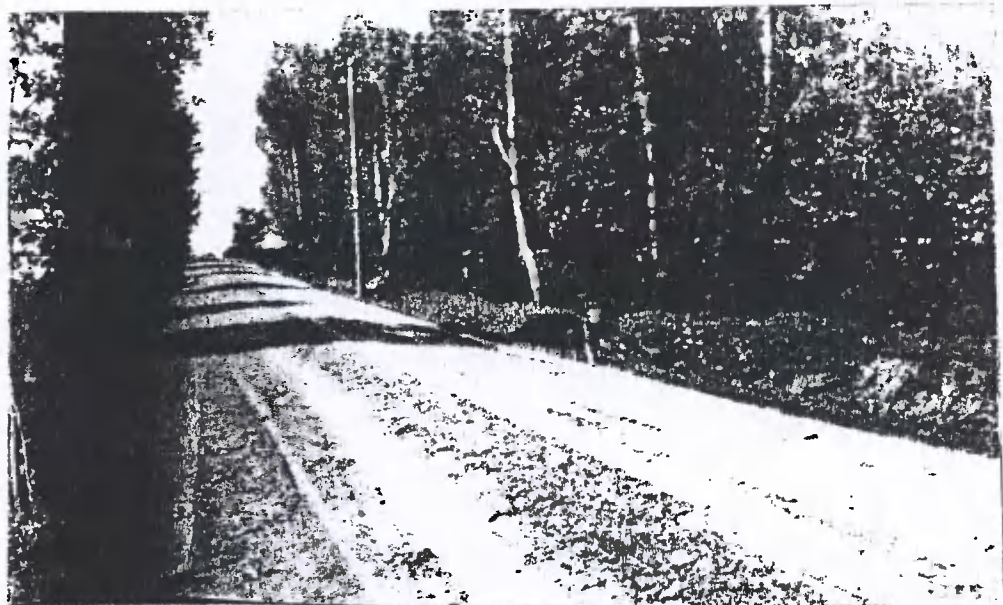
Była tym nieco zaniepokojona i dyskretnie obserwowała reakcje synowej-Basi, ale nie dostrzegając scysli między małżonkami, sama nie zabierała głosu w tej kwestii, lecz w milczeniu pracowała dalej. Owszem, Jerzy załatwiał różne sprawy majątkowe w urzędach, doglądał prace polowe, zwłaszcza w okresie żniw, ale, że był gwałtownego usposobienia, zrażał sobie służbę, z którą ona sama zawsze starała się pozostawać w dobrych stosunkach. Jerzy powodował czasem starcia z robotnikami, lub straty w gospodarstwie, jak choćby w wypadku z bykiem, który zerwał się z uwięzi i zaatakował konie zaprzężone do bryczki. Te spłoszone galopowały póki nie rozbiły pojazdu. Tymczasem byk rzucił się w stronę małego Jureczka, bawiącego się w piasku. Na szczęście, foksterier Urals poskoczył do byka odwracając jego uwagę od dziecka. Służba już nadbiegała by ująć rozjuszone zwierzę, ale szybszy był Jerzy, który strzałem położył byka na miejscu. Prawda, że ojciec stanął w obronie dziecka, ale była to duża strata, bowiem byk był rasowym reproduktorem. Służba liczenie nadbiegająca, mogła byka obezwładnić i uwiązać, a ojciec miał szansę dziecko po prostu chwycić na ręce i odnieść do domu. Za dwa tygodnie przyjedzie Wandzia z chłopcami na le-



Walickowszczyzna - Jaś i Tadzio Higersbergerowie

tnisko. Babcia stęskniła się już za nimi. Mały Jaś ma już pięć lat, jest spokojnym choć wesołym chłopaczkiem. Ma usposobienie matki. Młodszy Tadzio liczy dopiero dwa latka. Dzięki Bogu, Wandzia ma dobrego męża, a dzieci ojca. O nich matczyne serce może być spokojne. I Basia, synowa, jest kochana, wyręcza mnie i pomaga, rozwesela dom swoją energią i pogodą, z mężem dobrze żyją, ich Jureczek chowa się zdrowo. A zatem, czegoż mogę więcej pragnąć? Dziękować Bogu i pracować dalej, ciesząc się także sympatią i życzliwością sąsiadów i znajomych.

Ale oto już wołkowski gościniec biegnie skrajem lasu, a z lewej, poniżej wśród łąk wije się łoś. Po chwili



Trakt białoruski/M. Nańkowiec "Anoda-Katoda"/

trakt przecina tor kolei z Białegostoku do Wołkowyska, a w lewo, polna droga odchodzi do dworu Eniezna Pawła Tarasowicza, lekkoducha, budzącego zgorzelenie. Sumienna i gospodarna Kazia nie pojmowała, jak można życie spędzać na ciągłej zabawie, wyprzedając na to majątek. Stałe przyjęcia i bale we dworze, ekstrawagancje głośne były w okolicy. Ubierał na przykład chłopów w poszyte specjalnie stroje francuskie z epoki

Ludwików i kazał im w charakterze lokajów usługi - wać gościom. Majątek topniał wyprzedawany po kawałku i rozkradany przez służbę, która latami nie wypłacana, sama wybierała należne ordynaria.

Nieco dalej za Hniezą, Andrzejewicze - druga ruina gospodarcza. Nie miał szczęścia ten majątek należący niegdyś do Romerów. Gdy jeden z nich, Andrzej wesoło spędzał czas za granicą, czerpiąc oczywiście środki z majątku, doprowadził do jego zadłużenia.

Wówczas to Woyszkiewicz Wysoccy weszli w jego czasowe posiadanie tytułem zastawu. Później władali majątkiem Tułowscy i też nie zdołali go podźwignąć. Obecnie wdowa po Tułowskim duo voto Maciańska, która powtórnie wyszła za mąż za swego rządcę, równie niezaradnego jak dziedziczka, za radą rodziny zaangażowała nowego zarządcę, dla ratowania majątku.

Był polecany, a okazał się pijanicą walnie przyczyniającym się do dalszej ruiny majątku. Szkoda wielka. W Andrzejewiczach jest stary park i ogromny stary dwór, zupełnie zaniedbane. Kazię oburzał wszelki nieład i brak odpowiedzialności.

Mijali Pietraszowce dzierżawione przez Wacława Łackiego, zwanego Pipkiem i zaraz już Borki, przedmieście Wołkowyska. Jeszcze przed Pipkiem, pewien lekarz prowadził tu lecznicę dla dzieci-rekonwalescentów. Hodował stadko kóz, których mlekiem karmiono małych pacjentów. Z gościńca widać było białe główki kozie, ciekawie obserwująca przejeżdżających zza świerkowego żywopłotu.

Na takich rozmyślaniach, szybko mijała Kazi droga.

Wielkim zaskoczeniem dla okolicy była wiadomość, że Witold Buttowt-Andrzejkiewicz sprzedaje Bogudzięki. Cały, niewielki zresztą areał ziemi i dwór. Różnie komentowano ten fakt. Rzeczywiście, Witold zatrudniony na państwowych posadach, mieszkający w Białymstoku, a następnie w Warszawie, rzadko i krótko bywał w swoim majątku, a do jego utrzymania i funkcjonowania jako letniska dla licznych gości, zapewne nie mało do- kładał z urzędniczej pensji. Pocieszającym było, że majątek nie szedł w obce ręce, lecz nabywcą była gmi- na porozowska. Na spłatę należności, Rada Gminna uchwa- liła sprzedaż gminnego lasu w uroczysku Haławajaja. Ze znalezieniem nań kupca, nie było problemu. Żydzi cze- kali tylko na wszelkie tego rodzaju okazje. Pola u- prawne gmina podzieliła na działki i oddała w dzier- żawę, we dworze postanowiono założyć szpital, po odpo- wiednich adaptacjach. Przyznać trzeba, była to rozsąd- na i pożyteczna koncepcja.

W jakiś czas po dokonanej transakcji, pojawiła się matka Witolda, która przyjechała pożegnać raz jeszcze rodzinne gniazdo. Widziano ją na dziedzińcu płaczącą.

Nad łąkami przed zmierzchem, pojawiały się zwiewne opary, leciutkim powiewem z nad rzeki wzbijane ku gó- rze. Cisza i mgławki smętek spowijały okolicę. Łagodne wzniesienia zamykały horyzont, a dołem Roś czerwienia- ła blaskiem chylącego się ku zachodowi słońca. Gład- ki, leniwy nurt wody, od czasu do czasu mącił plusk ryby i delikatne pierścienie rozchodzących się fal. Pod Hurczynami rzeka nie była głęboka, można ją było przejść wplaw, ale już przed Hornostajewiczami, szeroko rozlana, głęboka była, do piersi stojącemu. Tam mło- dzież wiejska zażywała kąpieli. Woda była idealnie czysta. Nad jej korytem, na trawie, bieliko się nieze- brane jeszcze płótno, jak białe katy na tle zieleni. Co chwilę z kwileniem zrywały się czajki. Poza tym,

senny spokój spowijał okolicę.

Iza i Bronisław trzymając się za ręce szli powoli przez łąki, chłonąc błogosławiony spokój zmierzchu. Wyszli obrać miejsce pod budowę czwartego, mieszkalnego budynku folwarcznego, który Bronisław zamierzał stawiać po żniwach. Chcieli też ustalić na gruncie lokalizację przyszłego nowego dworu.

- Tegoroczne plony powinny być obfite.

- Skąd wiesz Broniu ?

- Pamiętasz ścielące się mgły w połowie marca ?

To wróży urodzaj.

- Broniu, już dziewiąty rok jestem w Hurczynach i coraz bardziej je kocham...

- A mnie nie ?

- Nie ciągnij mnie za język. Wiesz dobrze jak jesteś mi drogi. Pomyśl ile przeżyliśmy wspólnie chwil radosnych, szczęśliwych. Także trudnych, ale ogólnie dominuje poczucie spokoju i szczęścia !

- Które Ty mi dałaś Moja Ukochana. Wiesz, nie to trudności i braki, gdy mamy siebie i dzieci...

Od Porozowa niósł się w czystym powietrzu głos sygnaturki wzywającej na wieczorny Aniał Pański.

Z początkiem czerwca 1939 roku, nadszedł list od Zosi Federowskiej, w którym donosi, że przyjechała na lato do Osady z Ewunią, która w maju chorowała w Warszawie na różyczkę. Chciała by dziecko na wsi odzyskało siły po chorobie. Tymczasem Ewunia zapadła na koklusz. Napady kaszlu bardzo ją męczyły. Za poradą lekarza, dwa razy dziennie, na pół godziny prowadzi dziecko do stajni, co zdaje się przynosić dziecku ulgę.

Jak zwykle, po św. Antonim rozpoczęto sianokosy. Pogoda sprzyjała, trawy wyrosły bujnie. Na nadrzecznych łąkach mimo znoju, panował radosny nastrój. Kobiety i dziewczę-

ta z wesołym gwarem i przekomarzaniem, grabiami rozrzucały pokosy do wysuszenia. W południe chowają się w cień olszyn nadrzecznych i ocierają uznojone czoła. Dziedziczka z pomocą domowej służby, przywozi duże gliniane garnce kwaśnego mleka z lodowni i bochny chleba. Rozkładają je na rozpostartych ręcznikach. Po posiłku i spoczynku, robotnice znów powstaną do pracy, którą ukończą dopiero nad wieczorem. Na łąkach pozostaną tylko kopice siana, które jutro rozrzucone do przeschnięcia, jeśli Bóg da pogodę, po południu zostaną zwiezione do stodół.

O zmierzchu małżonkowie ze Zdzisiem za rękę i Halinką na rękę, wyszli jeszcze na łąki zobaczyć rezultat dzisiejszej pracy. W powietrzu unosił się rozkoszny aromat przewiędłych, podsuszanych traw. Kopice siana dawały okazję doskonałej zabawy w chowanego. Dzieciaki rozbawione chowały się za kopkami wołając: Szukaj mnie! Bronisław z poważną miną kroczył od kopki do kopki, nie mogąc rzekomo znaleźć maluchów, co wywoływało kaskady ich śmiechu. Iza rozrzuwniona patrzyła na ten sielski obraz wiejskiego życia, miłości i radości rodzinnej.

Gdy siano sprzątnięto już do stodół, pewnego dnia, bez zapowiedzenia, by zrobić niespodziankę, pojawiła się chrzestnica Bronka, Helenka Błażewicz, zwana w rodzinie Ela. Była dorodną dwudziestoletnią panną, o ciemnych włosach i rysach twarzy przypominających ojca. To gajstarsza z sześciorga dzieci Adzi, siostry Bronka. Iza zobaczyła ją po raz pierwszy. Ela była najpierw w Warszawie u wuja Mieczysława Federowskiego, wraz z Kazikiem, młodszym bratem. Spędzili dziewięć dni w stolicy, zwiedzając miasto. Ciocia Zosia z Ewą były na letnisku w Osadzie. Ela pojechała do nich, a stamtąd do Hurczyn. Kazik natomiast z Warszawy wyjechał do domu na Lotwę. Broniek od 1925 roku nie widział swojej chrzestnej

córki, kiedy to z rodzicami i rocznym Kaziczkiem, zjechali do Hurczyn. Od tej pory pozostawali w stałym, choć niezbyt częstym kontakcie korespondencyjnym. Iza szwagierkę poznała na swoim weselu, ale jej męża i dzieci знаła tylko z listów.

Teraz, przy obiedzie i wieczorami, nie było końca opowieściom. Małżonkowie chcieli w szczególności poznać życie na Łotwie. Ela relacjonowała, zapraszała w odwiedziny, przekazywała pozdrowienia od swoich. Bronisław czując się zażenowanym, że nie odwiedził dotąd rodziny, solennie obiecał, że na przyszłą rok po żniwach, obydwoje z Izą i dziećmi wybiorą się do nich. Tymczasem pojechali do Walickowszczyzny, do Kazi, matki chrzestnej Helenki.

Wspominano skromne i pospieszne chrzciny. Ojciec Eli ledwie wrócił z wojny do żony w Warszawie. Bronisław podobnie, nawet nie zdażył zorientować się w sytuacji jaką zastał w Hurczynach, gdy pilnie wezwany przez Kazię, z nią udał się do Warszawy. Obaj z Kazimierzem, ojcem Helenki, występowali w mundurach. Kazimierz nadal był w czynnej służbie, a Bronisław nawet nie miał jeszcze cywilnego ubrania. Po drodze Kazia opowiadała o aresztowaniu męża i poniesionych stratach wojennych. Bronisław relacjonował swoje przeżycia.

Warszawa zdumiała przybyłych. Wojna dopiero co zakończona, kresy pogrążone w żałobie i zrujnowane, nadludzkim wysiłkiem walczące o przetrwanie, a w stolicy ożywiony ruch, czynne teatry, otwarte restauracje, kluby, kawiarnie, odbywają się imprezy i zabawy. Na ulicach dobrze ubrani przechodnie...

Bronisław opowiadał o odwiedzinach w 1925 roku w Hurczynach - siostry z mężem Kazimierzem, który zakończył służbę wojskową, z dziećmi Elą i rocznym Kazikiem. Było to tuż przed żniwami, w najgorętszym okresie, w dodatku parę tygodni przed rozwiązaniem Adzi, która wkrótce po-

wiała trzecie dziecko - Alinkę. Ponieważ postanowiony już był wyjazd na stałe, do rodzowego majątku męża, na Lotwę, Adzia uparła się przed tym odwiedzić rodzinne strony i dom, z którego wyszła z matką na tułaczkę w 1915 roku. Z ogromnym wzruszeniem witała rodzinne progi. Pod krzyżem na rozstaju ukłękła, poklękali z nią mąż i brat. Ze łzami w oczach wstępowała do starego dworu, w którym upłynęło jej dzieciństwo. Jego obraz zakodowany w pamięci i sercu chciała zabrać ze sobą wyjeżdżając z Polski.

Mimo zajęć żniwnych, Bronisław starał się umilić pobyt siostrze. Zabierał ją na pola i do lasu, nad Boś, na cmentarz w Porosowie do grobów rodzinnych dziada, ojca, stryja, ciotek i męża Kazi. Wieczorami siadali na ganku wspominając lata dzieciństwa. Wybrali się nawet do Walickowszczyzny i Kwater, gdzie Adzia doznała bólów porodowych. Czym prędzej owieziono ją do Świsłoczy, do prywatnej lecznicy, którą tamtejszy lekarz prowadził po śmierci wuja Adzi, doktora Adolfa Bitnera. Tam przyszła na świat Alinka 18 VIII.

Nadchodził czas powrotu do Warszawy. Małżonkowie Błażewiczowie mieli jeszcze spakować dobytek i zlikwidować mieszkanie. Nie chcieli odkładać przenosin na zimowe miesiące, ale serce trzymało Adzię w Hurczynach i z dnia na dzień odkładano wyjazd, aż do października. We wrześniu przyjechała jeszcze na dwa tygodnie Aldona - córka Pawła, brata męża Adzi, z Mińska Mazowieckiego. Pannica dziewiętnastoletnia, pełna wigoru, która ożywiła całe towarzystwo. Rwała się do pracy w polu i oborze, do stajni, wozila ciocię Adzię linijką na pola, wuja Bronka uprosiła by pozwolił jej jeździć konno. Kochała zwierzęta, może po ojcu, który był lekarzem weterynarii w Mińsku Mazowieckim.

Gdy wszyscy się rozjechali, dziwnie pusto i cicho zrobiło się we dworze. Nie słychać było szebiotu dzieci,

krzątani Adzi, młodzieńczego śmiechu Aldony. Najmniej dał się odczuć brak szwagra, bo ten przeważnie milczący i zamysłony, mało zwracał na siebie uwagę.

- Doznałem dotkliwego osamotnienia, mówił Bronisław, Znowu zostałem sam w moich zmaganiach gospodarskich, a w pamięci utkwiły mi słowa siostry przy pożegnaniu:

"Musisz się Broniu ożenić. Sam nie zbudujesz prawdziwego domu. Tobie potrzebna jest żona, która cię wesprze i zadba o ciebie. Musisz założyć rodzinę i zapewnić ciągłość trwania naszego rodu, w tym kochanym starym dworze. Proszę cię o to przez pamięć Rodziców i Dziadów naszych. Nadszedł czas odbudowy po wszystkich kolejnych dramatach naszej Ojczyzny. Trzeba, by nowe pokolenie kształtowało Polskę nową, silną nie tylko gospodarczo i militarnie, ale także duchem, wierną Bogu i Matce Jego - Naszej Królowej. Wiele pracy bracie kochany włożyłeś w ratowanie ojcowizny. Dziękuję ci za to, ale popatrz jak ty mieszkasz, jak masz niezorganizowane życie. Pozostajesz we własnym domu na łaskawym chlebie współlokatorów, Bogu dzięki dbających o ciebie i przyjaznych, ale jak długo jeszcze? Mają przecież własne życie i dzieci, o przyszłość których też muszą się troszczyć. Obecną waszą sytuację trzeba traktować jak stan przejściowy i szukać póki czas rozwiązań przyszłościowych." - Tak wspominał teraz Bronisław gościnę Błażewiczów w Hurczynach przed 14 laty.

15 lipca imieniny obchodził Henryk Andrzejkiewicz. Pojechali obydwójce Iza i Bronisław bryczką, złożyć życzenia sąsiadowi. Zastali już spore grono gości z okolicy i członków rodziny, którzy zjechali na kresy do

Krewniaka. Henryk był znanym i szanowanym w tutejszej społeczności. Pełnił w gminie funkcję radnego, prze-
sował miejscowej straży ogniowej i wspierał ją fi-
nansowo. Pracownikiem gminnych obdarzał corocznie dre-
wnem opałowym ze swych lasów, współredagował Tygodnik
Wojkowyski i był uważany za miejscowego notabla. To
też było rzeczą naturalną, że przybyła z Porozowa
orkiestra Straży Ogniowej, by życzeniami i muzyką wy-
razić cześć solenizantowi. Wówczas to, wśród ogólnego
wesela, solenizant z miną smutną powiedział coś, czego
nikt nie rozumiał, a wszystkich zastanowiło:

"Ciemna chmura ze wschodu nadciąga na Polskę."

Ciepły, pogodny lipiec dobiegał końca, gdy nieoczeki-
wanie przyjechała z Katowic Janina, siostra Izy.
Po przebytej chorobie - zapaleniu korzonków nerwowych,
rodzice doradzili jej wyjazd do Hurczyn dla rekonwa-
lescencji. Janina pracowała wraz z ojcem w jego przed-
siębiorstwie w Katowicach. Mając przedstawicielstwo
kilku wielkich młynów, prowadził pan Jan hurtową sprze-
daż produktów zbożowych, na teren całego kraju. Jance po-
wierzył rozliczenia finansowe przedsiębiorstwa.
Może rodzice chcieli też zabezpieczyć córkę na wypadek
wojny, wysyłając ją dalej od niemieckiej granicy. Wszak
na Śląsku i w Gdańsku, mnożyły się już prowokacje hi-
tlerowskie, nie wróżące niczego dobrego. W ubiegłym
roku Niemcy zajęli terytorium Austrii, jesienią czes-
kie Sudety, a w marcu bieżącego roku, resztę Czechosło-
wacji. Brat Jani - Olgierd, powołany do służby wojsko-
wej, uczestniczył w kontrowersyjnym przyłączeniu do
Polski czeskiego Zaolzia. Tak więc w województwach gga-
niczących z Niemcami i terytorium zaanektowanym, mimo
buńczucznych hasł w rodzaju: "Silni, zwarci, gotowi",
czy "Nie oddamy nawet guzika od polskiego munduru",
panował jednak nastrój napięcia i wyczekiwania. O sta-
nie niepewności świadczyło także, przesłanie przez Jan-

kę do Hurczyn, kosztowności rodzinnych na przechowanie. Zasepili się małżonkowie słuchając Janiny, opowiada - jacej o tej sytuacji i nastrojach. Hurczyny położone z dala od dramaturgii niemieckiej agresji, były bezpiecznym schronieniem. Janina przywiozła jeszcze jedną nowinę. Otóż okazało się, że brat Izy - Feliks, który pracował w Mostach, w tajemnicy przed rodziną zawarł związek małżeński, w tym samym roku co Iza. Jego żona Michalina zwana była Lalą, pochodziła z Wileńszczyzny. Mają syna ośmioletniego - Zbyszka.

W pierwszych dniach sierpnia, wytyczono miejsce pod budowę czwartego budynku folwarcznego dla pracowników, obok już istniejącego za oborą. Kiedy cieśle kładli podwaliny, Bronisław szykował się do wyjazdu do Wilna. Spokojny o żonę i dzieci, mające zapewnioną opiekę w osobach szwagierki i chrześnicy, mógł wyjechać dla dokonania spłaty ostatniej raty zaciągniętego długoterminowego kredytu. Wraz z odsetkami stanowiła poważną kwotę 900 złotych. Ostatnia !

- Izo, Kochanie, nareszcie pozbędziemy się długu, będziemy wolni ! Po moim powrocie zaczniemy żniwa z Bożą pomocą, a wiosną, zgodnie z ustaleniami, zaczniemy myśleć o budowie nowego dworu.

Sprawdziła się marcową wróżba na urodzaj. Potwierdziła ją jeszcze kwietniowa: "Kiedy grzmi na świętego Wojciecha, rośnie rolnikowi pociecha".

W ostatnią niedzielę lipca, po sumie odprawionej na intencję pomyślnych zbiorów, proboszcz odmówił okolicznościową modlitwę:

"Wylej Panie błogosławieństwo Twoje, na lud Twój i plony ziemskie... Racz obdarzyć nas urodzajem owoców ziemi, bez których w życiu doczesnym obejść się nie możemy..."

A teraz z Bożą pomocą kończono żniwa. W Hurczynach

na zagonie pod lasem, żółte żyto stało w mendlach. Reszta zboża zwieszona leżała w stodole czekając omłotu. Nastął błogosławiony czas zbioru plonów matki ziemi, którą z miłością i oddaniem pielęgnuje rolnik.

W tym czasie Bronisław dni całe, od świtu do zmierzchu spędzał w polu, wśród robotników, których doglądał i pracował wraz z nimi. Wieczorem padał ze zmęczenia, ale był szczęśliwy, a następnego ranka wstawał znów pełen zapału i siły. Żona próbowała perswadować, że przecież nie musi się osobiście tak angażować. Od tego są robotnicy którym płaci.

- Masz rację Moja Droga, ale nie mam rządcy, sam muszę dopilnować, a nie umiem stać i gapić się na cudze ręce, gdy moje własne bezczynne, rwą się do pracy. To nasz chleb ! To nasza ziemia !

Widząc bezskuteczność perswazji, Iza dawała za wygraną i szła z dziećmi w pole niosąc mężowi posiłek, gdy nie przychodził na obiad. Zresztą i ona lubiła podziwiać trud żniwiarzy. Prawdę mówiąc i robotnicy lepiej się starali mając przy sobie dziedziców.

Z suchym chrzęstem padały źdźbła pod kosami żniwiarzy, równym odkładane pokosem. Na szeroko rozstawionych nogach, w rytmicznych skrętach ciała, z zamachem podcinały chlebobójny plon. Za żeńcami postępowały kobiety. Jedną skręcały ze zboża mocne powróśla i rozładały na ziemi, inne brały w objęcia przygarście zboża, formując snopki. Kładły je na powróślach i mocno skręcały dociskając kolanem. Szły dalej, wiążąc następne. Pot spływa po twarzach, ocierany rękawem. Czasem któraś na moment prostuje zbolale krzyże i znów pochyla się w znojnym trudzie. Z kolei mężczyźni podejmują z ziemi powiązane snopy i ustawiają z nich mendle równym szeregiem, które za dzień lub dwa, zwożą do stodoł.

W tych rytmicznych, jednobójnych ruchach mężczyzn i kobiet, niespiesznych, a wytrwałych, odczytać można jakby

swoiste misterium ku czci ziemi karmicielki. Słońce praży, pot oczy zalewa. Czasem ktoś spojrzy ku niebu, jak daleko południe. Dzieci natury nie patrzą na zegarek, do nich przemawia przyroda. A świerszcze na ściernisku grają, niewyszukaną, ale jakże swojską melodię.

Tak w zbożnej pracy mijały dni sierpniowe, aż ostatnie snopy zwieziono z pola. Wówczas świątecznie ubrani, mężczyźni i kobiety, cała hurczyńska społeczność, jak jedna rodzina zaczęli świętowanie. Z kłosów zboża przetykanych polnym kwieciem, wito wieńce. Dwa duże dla dziedziczki i dziedzica i dwa małe wianuszki dla Halinki i Zdzisia. Złote, nabrzmiałe kłosa pięknie harmonizowały z czerwienią maków i błękitem chabrów. Zdawały się być nasycone promieniami słońca, błękitem nieba i krwawym znojem pracy.

Od stodół, lipową aleją kroczył ku dworowi korowód robotników folwarcznych z rodzinami. Na przedzie sędziwy Czajkowski z Lubą Koził w parze, nieśli duże wieńce dożynkowe. Za nimi Pela z Aleksandrem, niosący małe wianuszki. Dalej Jan Gusztyn z harmonią i reszta stałych pracowników. Zbliżali się do podjazdu, śpiewając w takt harmonii znaną w okolicy pieśń :

"Dożęli żyta, dożęli jarki"..

Stanęli przed gankiem, na który wyszedł Bronisław z rodziną. Złożono wieńce na ręce dziedziców wraz z życzeniami pomyślności. Dziedzic uściskał obdarowujących, dziękował wszystkim za trud żniwny i zapraszał do ustawionych na podjeździe stołów na poczęstunek. Gdy sobie już podjedli i wychylili kilka toastów, zagrała harmonia do tańca. Tańczył Bronisław z pracownikami, i za z fernalami, wszyscy bawili się razem, jak przedtem razem pracowali. To było wspólne święto. W miarę zabawy ochota rosła. Już zaczynały się prześmiechy i docinki. Pela, Weronika i Janek za-

nucili na dwa głosy:

" Powiedz dziewczę dzie mieszkasz
Ja cie podprowadze,
A pod twoim okienkiem
Białe róże sadze.
Białe róże, biały kwiat,
Niech cie kocha cały świat ! "

Na to frywolnie odpowiedzieli mężczyźni :

" Szto tobie zrobiłasia ?
Lubić minie zabyłasia
Ja by ciebie lubiła
Kab mnia manda nie świerbieła "

A potem wszyscy chórem : Wszystkie rybki śpią w jeziorze i Szła dziewczeczka do laseczka...

Ku wieczorowi płynęły już pieśni tęskne, rozwlekłe nuty pełne białoruskiej melancholii i smętku, przywołujące wrażenie ni to sennej, ni to przyczajonej ciszy w przestrzeni.

Na koniec, gdy już się wszyscy rozeszli i dzieci ułożono do snu, Iza z Bronisławem wyszli jeszcze na ganek, pożegnać odchodzący dzień. Na granatowym niebie mrugały figlarnie gwiazdy, a wkoło panowała cisza. Czasem tylko zaszeleścił w liściach drzew, delikatny podmuch nadlatujący skądś z dala. Bronisław obejmując ramieniem małżonkę, tulił ją do siebie i chłonał ogarniający, radosny spokój spełnienia.

- Zobacz, szepnął, gwiazda spada. Szybko pomyśl co pragniesz by się spełniło.
- By nie opuszczało nas to szczęście, które posiadamy. A ty czego pragniesz ?
- By starczyło sił do pracy dalszej, na ziemi dziadów i ojców - dla was moi kochani.

15 sierpnia, na Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny, w Polsce czczone jako święto Matki Boskiej Zielnej,

zniwa dobiegały końca. Jeszcze tu i ówdzie nie sprzątnięto jakiegoś zagonu, ktoś się ociągał, ktoś czekał na pomoc, ktoś jeszcze nie zwiózł wszystkiego, ale w zasadzie już było po zbiorach. Do kościoła kobiety niosły naręcza kłosów, ziół i polnych kwiatów do święcenia. Zatknięte potem w izbie za obraz święty i w oberze, chronią od złego dom, jego mieszkańców i dobytek. Od pioruna, pożogi i uroku.

To także rocznica "Cudu nad Wisłą". Bronisław pamięcią wracał na pola pod Radzyminem, gdzie stoczono decydujący bój. W ogłuszającym huku, dymie, jękach rannych i konających, wrzasku ruskim i polskim, ważyły się losy Warszawy, Polski, Europy... I Ona, Matka-Królowa przeważyła szalę dziejów.

28 sierpnia odjeżdżała Ela. Czułe było wzajemne pożegnanie, któremu towarzyszyło zapewnienie :

- Za rok o tej porze, będziemy u was w Jawdziemach. Konie odwiozły chrześnicę na stację w Wołkowysku, skąd odchodził pociąg przez Grodno do Wilna. Stamtąd przez Dyneburg, linią kolejową biegnącą do Rzerzycy, ku stacji Ruszone. Dalej do Jawdziem już końmi.

Już w połowie miesiąca zauważono ogromne ilości ptactwa, gromadzące się na polach, w jakimś niezwykłym nerwowym pośpiechu. Zrywały się, przelatwały na drugi łąn, kołowały niespokojnie i odlatywały do ciepłych krajów, jakby je coś goniło. Szpaki, bociany, dzikie gęsi, z hardrem opuszczały swojskie strony, jakby w przerażeniu, mimo pięknej, słonecznej pogody. Żle wrócono z tego. Chłop na co dzień zżyty z przyrodą, z jej przejawów nauczył się od wieków przewidywać przyszłość. Albo będzie wczesna, ostra zima, albo jakaś inna bieda - mówiono.

W środę rano, 30 sierpnia ukazały się plakaty ogłaszające powszechną mobilizację. Konno pojechał Bronisław do Walickowszczyzny, by od Jurka zasięgnąć informacje o sytuacji politycznej. Zdenerwowana Kazia oznajmiła, że syn powołany, już od 25-go jest w pułku w Wołkowysku. Nie miała żadnych wiadomości ani od niego, ani od synowej, która wyjechała do rodziców swoich z trzymiesięczną Joasią i synkiem. Niepokoiła się o Wandzię i jej rodzinę.

W większych majątkach odbywał się już pobór koni dla wojska. Kilku pracowników Kazi dostało już karty powołania do służby wojskowej.

A Bronisław, po powrocie zastał w domu wezwanie do zdeponowania broni.

W czwartek, dwóch pracowników folwarcznych odchodzących do wojska, z węzełkami w dłoni przyszło się pożegnać. Bronisław wsunął im do kieszeni papierowe banknoty na drogę i zapewnił, że będzie dbał o ich rodziny.

- Niech was Bóg prowadzi !

Na posterunku policji, gdy przyjechał zdać swoje parabellum, zalecono czujność wobec pojawiających się dywersantów i szpiegów niemieckich.

- To akurat w porę zabieracie mi broń...

W piątek 1-go września rano wstał nieco chmurny. Idąc do obory usłyszał Bronisław w górze pomruk samolotu. Trzy godziny później słychać już było całą eskadrę. Niebo wypogodziło się, chmury gdzieś odpłynęły, zapowiadał się słoneczny dzień. Wysoko w górze widoczne były miniaturowe krzyżyki samolotów. Leciały na wschód. To zapewne jakieś strategiczne przegrupowania naszego lotnictwa - pomyślał Bronisław.

Dzień upływał przy zwykłych zajęciach. Zdzisiu z grupą folwarcznych dzieci poszedł do szkoły, Iza z siostrą i Malinką zbierały w ogrodzie maliny na zimowe zaprawy. Podziwiałały obfitość owoców w sadzie. Dorodne śliwy, grubsze słońcem malowane, nabrzmiące słodkim, soczystym miąższem, złoto-czerwone jabłka. Bóg dał urodzaj. Bronisław

z robotnikami przeglądał i montował kierat. Nad wieczorem, policjant przywiózł wezwanie do odebrania na posterunku zdeponowanej broni. Bronisław był na folwarku, wezwanie odebrała Iza nie wdając się w rozmowę.

Następnego dnia odbierając broń, dowiedział się Bronisław, że - wczoraj wybuchła wojna !...

Widząc na biurku komendanta stos kart mobilizacyjnych, zapytał o swoją. Nie było. W rozmowie okazało się, że wczoraj widziane samoloty były niemieckie. Bombardowały Baranowicze, a w powrotnej drodze ostrzelały z broni pokładowej koszary w Wołkowysku. Bombardowane wczoraj było także Grodno i fabryka sklejki lotniczej braci Konopackich w Mostach-Zelwianach.

Wstąpił Bronisław do urzędu gminy po wieści. Tu nikt nie pracował. Wszyscy skupieni przy odbiorniku radiowym słuchali komunikatów, co chwilę przerywanych wezwaniami: "Uwaga, uwaga - nadchodzi..." po czym następowały zaszyfrowane kryptonimy literowo-cyfrowe.

Bombardowana Warszawa płonie. Zachrypnięty głos prezydenta stolicy Starzyńskiego wzywa do zachowania spokoju i obrony. Walki trwają na całym froncie północno-zachodnim. Westerplatte broni się bohatersko...

W niedzielę przemówił do wiernych w kościele ksiądz Józef. Starął się dodać otuchy, prosił o zachowanie spokoju i pomoc uciekinierom z zachodu, którzy już pojawiali się w powiecie.

Wieczorem, gdy dzieci leżały już w łóżeczkach, Bronisławowie z Janeczką naradzali się co począć w obecnej sytuacji. Wojna wprawdzie toczyła się jeszcze daleko, ale trudno przewidzieć bieg wydarzeń. Uciekinierzy z zachodnich województw, którzy pojawiali się na bocznych drogach ze względu na zatłoczenie głównych traktów, opowiadali o potwornych bombardowaniach, masakrach na zatłoczonych gościńcach dokonywanych przez niemieckie lotnictwo, aresztowaniach i rozstrzeliwaniach. W rela-

ejach tych wylęknionych i zdezorientowanych ludzi było wiele paniki, udzielającej się i szerzącej dalej. We dworze pojawiło się zagadkowe indywiduum. Nie uciekinier, bo nie miał żadnego bagażu. Na żebraka też nie wyglądał. Prosił o szklankę wody. Iza zaprosiła go do kuchni i postawiła przed nim talerz zupy i odkrojony kawał chleba. Sama odeszła do pieca pozorując zajęcie, a kątem oka obserwowała przybysza. Jadł chciwie, lecz nie prostacko. Nie przeżegnał się, zatem to nie katolik i nie prawosławny. Zjadłszy podziękował zabierając się do odejścia. Iza przysunęła się życząc dobrej drogi.

- Z daleka ?

- Oj z daleka - z Berezy Kartuskiej.

Zaniemówiła Iza, patrząc ze zdziwieniem i obawą za odchodzącym.

Z Chrustowa fornał przyprowadził siwego wierzchowca, w imieniu Kozłowskiego prosząc o jego przechowanie. Dziedzic, jak mówił, zamierzał schronić się w puszczańskiej osadzie u znajomego, twierdząc, że w lesie bezpieczniej. To nasunęło myśl, by udać się do Białowieży, do Błazewicza. Nie wiedziano, że już go tam nie ma. Na rodzinnej naradzie ułożono plan. Wstąpią do Krassowskich, by namówić ich na wspólną podróż. Zanim oni się przygotowują, Bronisław konno pojedzie do Kwater porozumieć się z Dolkiem, a Janka uda się do Kazi. Iza zostanie w Kropiwnicy, czekając ich powrotu. Do wieczora czyniono przygotowania. Służbie Bronisław wydał polecenia i zapowiedział, że za kilka dni wróci, gdy tylko bezpiecznie ułoży rodzinę. Szarżało gdy załadowano na wóz przygotowaną odzież, koce, zapasy żywności i kosztowności przywiezione przez Jankę. Iza na kolanach trzymała Halinkę, Janka tuliła Zdzisia, Bronisław powoził. Za wozem, uwiązana na lince podążała osiodłana kasztanka. U Krassowskich stanęli wczesnym rankiem. Tu przy śniadaniu plan się zawalił. Krassowscy oświadczyli stanowczo, że nigdzie nie pojedą, na miejscu czekać będą na powrót syna, który już był na wojnie. Odradzali też wyjazd do puszczy. Szu-

kają tam schronienia, jak słychać, uciekinierzy z zachodu, z czego korzystają grasujące bandy chłopskie, grabiąc ich i mordując. W tej sytuacji zrezygnowano z dalszej drogi. Zawrócili do domu, wstępując jeszcze do Walickowszczyzny. Tu okazało się, że i Kazia nie zamierza się nigdzie ruszać.

- Przecież każdej chwili może wrócić Basia z dziećmi. Wśród uciekinierów może pojawić się Wandzia z rodziną, a po zakończeniu tej przeklętej wojny wróci Jerzy. Nie mogę zresztą zostawić babci Czartoryskiej, a starszka niezdolna już jest do koczowania. A co stałoby się z gospodarstwem gdybym je opuściła? Przecież tuż w sąsiedztwie są skomunizowane Hruszczany, a po okolicy wałęsają się jacyś obcy, podejrzani, nie wiadomo skąd...

Izie przypomniał się więzień z Berezy.

Pokazała Kazia przysłaną przez okazyjnego posłańca kartkę od syna, skreśloną pospiesznie na świstku papieru:

"Wyjeżdżamy 5-go na front. Jestem zdrow i mam zamiar szybko zakończyć tę bezsensowną wojnę."

- Boże, pomyślcie, tak niedawno przeżywaliśmy wojnę światową, straciliśmy najbliższych. Tyle wysiłku włożyliśmy w nadrobienie strat wojennych i dziś stoimy wobec nowego dramatu. W Bogu nadzieja, że wojna nie potrwa długo, że sojusznicy pomogą, ale przecież nie obejdzie się bez ofiar i strat.

Pożegnano się czule i tegoż dnia Bronisławowie byli na powrót w Hurczynach. Z ciężkim sercem kładziono się na spoczynek, nie wiedząc co jutro przyniesie. Iza była zmęczona i zdenerwowana. Bronisław stawał się coraz bardziej przygnębionym. Wspominał tragiczną wróżbę cioci Lotki. Nie przypominał jej Izie, ale sam gryził się nią.

Gdzie podziało się tak niedawne jeszcze poczucie szczęścia i spokoju, u boku kochanej żony, z dwójkiem cudownych dzieci. Te wieczorne rozmowy na stopniach ganku, spacerzy nad Rosią, radość ze spłaty kredytu i plany przyszłości... Wszystko legło w gruzach. Dlaczego?!

Małe grupy i pojedynczy żołnierze z rozbitych oddziałów, zarośnięci, brudni i zmęczeni, przeciągali w różne strony, zdążając do rodzinnych domów lub iluzorycznych rejonów koncentracji. Wstępowali do dworów, gdzie ich karmiono, czasem przebierano w cywilną odzież. Bronisław usiłował wysondować od nich wiadomości o sytuacji na froncie, okazywało się jednak, że nie ma frontu. Jest natomiast totalna klęska i chaos. Brak łączności sprawiał, że praktycznie nikt nie wiedział gdzie swój, a gdzie wróg. Okrążenia i zaskoczenia, to codzienne zjawiska tej dziwnej wojny, w której po stronie obrońców zawiodło wszystko, prócz woli walki i honoru żołnierza. Podobno rząd, sztab i wódz naczelny są już w Rumunii. Oddziały pozostawione same sobie, na własną rękę przebijają się ku południowej granicy, lub walczą w osamotnieniu do końca. Wielu dowódców w beznadziejnej sytuacji, rozwiązuje oddziały, zwalnając żołnierzy ze służby. Uciekinierzy, rozproszone wojsko, dywersanci, wrogie samoloty na niebie, rozpowszechniane wiadomości o zdradzie i klęsce, samosady co raz częstsze ze strony skomunizowanego chłopstwa, łuny pożarów na nocnym niebie i detonacje, powodowały nastrój nerwowości i zastraszenia. Od strony puszczy niosły się odgłosy walki - huk dział i broni maszynowej. Tam koncentrowały się rozproszone oddziały, atakowane przez Niemców. Między innymi 3 Pułk Strzelców Konnych, w składzie Suwalskiej Brygady Kawalerii, który z Wołkowyska wyruszył w rejon Augustowa. Po stoczonych bitwach z nieprzyjacielską kawalerią, dywizją pancerną i piechotą w Łomżyńskim, zagrożony okrążeniem, wraz z całą SBK zdążył do rejonu koncentracji w Białowieży, po drodze walcząc pod Hodyszewem. Brygada atakowana w Hajnówce, cofnęła się do Bud. Stąd 3 PSK nocnym marszem, w ulewnym deszczu, przez puszcę dotarł do Cichowoli nad Narwią, gdzie dostał się pod ostrzał czołgów wroga. 18 września osiada Hrynki, na przedpolu Świsłoczy, z zamiarem dotarcia do Wołkowyska dla wypoczynku i uzupełnień. Tu otrzymuje wiadomość

o wtargnięciu do Polski Armii Czerwonej, która zbliża się do Wołkowyska. Pułk zawraca do Białowieży, skąd rusza w zgrupowaniu kawalerii na południe, z zamiarem przebicia się do Rumunii. Po drodze stacza bitny, między innymi we wsi Kalenkiewiczze, gdzie nocą rozgromił wroga. Na rozkaz generała Kleberga, wchodzi w skład Grupy Operacyjnej Polesie, w której walczy do kapitulacji 5 października. 3PSK nie kapitulował. Podejmuje znów marsz na południe i wpada w zasadzkę w Kalinowym Dole/26 km na północny zachód od Dęblińska/. Pułk posuwał się pieszo, trzymając konie na wozach. Gdy wpadli w zmasowany ogień karabinów maszynowych, konie które nie padły, spłoszone zerwały się i rozbiegły trając strzelców. 3 PSK był ostatnim zwartym oddziałem kawalerii, kończącym 6.X.kampanię 1939 roku.

Kto ocalał z pogromu, krył się w lasach. Część żołnierzy z zastępcą dowódcy ppłk. Platonoff-em, przediera się w kierunku Łomży. We wsi Kosiny, ciężko chory ppłk. rozwiązuje pułk. Zakopano sztandar i strzelcy rozproszyli się.

Porucznik rezerwy Jerzy Wysocki, pełnił funkcję oficera broni w kampanii, za którą odznaczony został Krzyżem Walecznych. Po rozproszeniu pułku, dotarł do teściów w Szastach, gdzie zastał żonę z dziećmi. Niestety, niebawem aresztowany, prawdopodobnie na skutek donosu, resztę wojny spędził w jenieckim obozie w Murnau.

Feliks, brat Izabeli i Janiny, który walczył w kampanii jako lotnik, został zestrzelony. Ranny w szyję, dostał się również do obozu jenieckiego, gdzie spotkał Mieczysława Federowskiego.

Drugi brat - Olgierd, padł 18 września w walce, w okolicy Tomaszowa Lubelskiego. Pod Ułowem, przy szosie tomaszowskiej, znajduje się zbiorowa mogiła poległych żołnierzy. /W 1940 roku Iza wezwana do identyfikacji zwłok, widziała jeszcze przed ekshumacją, wśród pojedynczych mogił, mogiłę brata z imienną tabliczką na krzyżu.



Ulów - zbiorowa mogiła poległych żołnierzy



Ulów - tablica nagrobna na zbiorowej mogile

EPILOG

Po nocnej burzy, niedzielny poranek 17 września zapowiadał słoneczny dzień. Wśród wiernych w kościele wyczuwało się napięcie. Tu i ówdzie szepty zakłócały nabożeństwo. Z ust do ust podawano sobie grozę budzącą nowinę.

- Panie Bronisławie, szepnął Henryk Andrzejkowicz - w nocy sowieci najechali Polskę. Mamy dwa fronty, to już koniec...

Dreszcz przeszył Bronisława i poczuł ucisk w gardle. Spojrzał na Izę pogrążoną w modlitwie i siedzące obok dzieci.

Wracając z kościoła, minęli grupę chłopów z czerwonymi opaskami na rękawach i karabinami na ramionach, patrzących wrogo.

- Co to za ludzie Broniu i czemu uzbrojeni ?

- Poznałem kilku ze wsi Kowale. To komunistyczna bojówka. Mają sowiecką broń, przemyconą i zmagazynowaną po wioskach.

Niespokojnie krążył Bronisław po całym domu, wychodził na folwark, zaglądał do stodoł pełnych niemiłoczonego zboża, do świrona, stajni, obory. Snuł się wszędzie nie wiedząc za czym i nie mógł sobie nigdzie znaleźć miejsca. Czuł grozę sytuacji i nie chciał o tym rozmawiać z rodziną, więc usuwał się jej z przed oczu. Wieczorem udał się do dzieciennego pokoju, gdzie zastał żonę spłakaną przy łóżeczkach dzieci. Zaczął ją pocieszać i uspokajać, choć wiązał mu głos w gardle. Długo razem objęci patrzyli na swe najdroższe pociechy, śpiące spokojnym snem.

Wyszli jeszcze, według zwyczaju na ganek. Niebo na północnym wschodzie, gdzieś w kierunku Łopienicy, gorzało wzmagającą się łuną pożaru. W ciszy wieczoru słychać było z różnych stron pojedyncze strzały. Górą niesło się ze wschodu na zachód pomrukiwanie lecących samolotów. Od starej kuchni słychać przyciszone głosy, mającą sylwetki zbliżających się ludzi. Iza mocno ścisnęła rękę męża.

- Kto tam ?
 - To my panie dziedzicu, usłyszeli głos Aleksego.
 - Cóż wy tak chodzicie po ciemku ?
 - Pilnujem od bandy, ja z Iwaśką, Janek z Czajkowskim. Jakby co to poczęstujem ! potrzęsnał kijem.
 - Ależ chłopcy, oni mają broń palną, zabić mogą !
 - Jak Bóg da, a my tak naszego dworu pilnować będziemy do rana. Idźcie państwo spokojnie spać.
- Z gościńca dobiegł turkot wozów. Któż o tej porze jedzie ?
- Panie, świsłockim traktem uciekiniery jadą ze wschodu, może i naszym gościńcem...
- Kano Melania z Kowali przyniosła wiadomość, że w Słoniemiu już są sowieci. Chłopi po wsiach, a w miasteczkach żydzi wieszają czerwone flagi i budują bramy, w których witają entuzjastycznie wkraczającą Czerwoną Armię. Skomunizowani chłopci napadają na dwory, aresztują ziemian i osadników wojskowych, rabują uciekinierów i grożą, że zrobią porządek ze wszystkimi krwio-pijcami. Przyniosła też ulotkę napisaną okropną polszczyzną, skierowaną do żołnierzy, chłopów i robotników, podburzającą przeciw oficerom, urzędnikom, inteligencji, kułakom i obszarnikom.
- Oprócz sterowanych przez sowietów bojówek, powstają samozwańcze komitety rewolucyjne, grupujące kryminalistów i wszelkie męty społeczne. Ci napadają, grabią, palą, mordują na wszelki wymyślny sposób, strzelając, podrzynując gardła, zakopując żywcem i t.p. Dzikie instynkty i ślepa nienawiść rządzą motłochem, ogłupionym sowiecką propagandą i cieszącym się bezkarnością. Takie hłobowe wieści docierały zewsząd, budząc grozę.
- Boże, znów powtarza się rewolucja !
- We wtorek 19 września sowieci zajęli Wołkowysk. Natychmiast zaczęły się aresztowania inteligencji.

Powołano chłopskie komitety z analfabetów i prymitywów, dla konfiskaty majątków i rozdziału pańskiej ziemi.

Nocą znów słychać strzały i świecą łuny pożarów. Długo w noc, nie mogąc zasnąć, snął się Bronisław po domu i obejściu, w końcu nie rozbiarając się, w ubraniu położył się na kanapie w małej jadalni. Pełen najgorszych przeczuć, nasłuchiwał odgłosów, sen nie przychodził.

Rano przyjechał patrol kozacki na rozpoznanie. Dorodne chłopcy w granatowych mundurach i futrzanych papachach na głowach, na wyrosniętych koniach karych, prezentowali się okazale. Zbrojni byli w szable, krótkie karabiny kawaleryjskie i nagany. Oświadczyli, że będą tu kwaterować całą sotnią. Popaśli konie dworskim obrokiem i odjechali.

Wkrótce po nich, zjawił się komisarz polityczny, w skórzanej kurcie z naganem u pasa, w asyście funkcjonariusza NKWD i przedstawiciela chłopskiej milicji z czerwoną opaską na rękawie i karabinem na sznurku zawieszonym przez ramię. Zachowywali się butnie i arogancko. Chodzili po całym domu rewidując. Z szaf i szuflad wyrzucali wszystko na podłogę, z łóżek zrywali pościel i materace, bluźnili na widok krzyży i religijnych obrazów. Gdy zajęci byli w dużej jadalni, Iza chyłkiem wymknęła się do sypialni i dzieciennego pokoju. Pod materac w łóżeczku Zdzicha wrzuciła przytomnie męża rewolwer i teczkę z dokumentami, każąc się chłopcu natychmiast kłaść do łóżka i nie wstawać pod żadnym pozorem. Podobnie Halince, której pod materac wsunęła rodzinne precjoza. Dzieci wystraszone płakały, matka uspakajała je, pilnując równocześnie, by leżały w łózkach. Widząc małe dzieci płaczące, na szczęście zbiry nie kontrolowały ich posłań.

- A eto szto ? Kuda rewolwier ?

pytał komisarz trzymając w ręku naboje znalezione w nocnej szafce. Bronisław pokazał kwit zdeponowania

broni, którego na szczęście nie oddał odbierając parabellum i tym załagodził sprawę.

Zabrali aparat fotograficzny Janki, zbiór numizmatyczny monet rosyjskich, polskich, austriackich i pruskich z różnych okresów, oraz budzik. Następnie udali się na folwark, gdzie spędzili do stodoły wszystkich dworskich pracowników na wiec. Długo mówił komisarz o wyzwoleniu ludu z pod obszarniczej władzy, o klęsce pańskiej Polski, zapowiadał rządy chłopów i robotników. Przekonywał, że raz na zawsze należy zlikwidować wrogów ludu, wzywał by denuncjować wszystkich ukrywających się oficerów i obszarników. Na koniec zapowiedział, że cała dworska ziemia i żywy inwentarz zostaną rozdzielone między służbę i małorolnych z okolicznych wsi, a dziedzica polecił aresztować i doprowadzić do komendantury.

W całkowitym milczeniu wysłuchała służba tego manifestu. Nie widząc żadnej reakcji, komisarz wyznaczył dwu fernali do przeprowadzenia aresztowania. Ci kategorycznie odmówili, oświadczając, że to dobry i sprawiedliwy pan, który nikogo nie krzywdzi.

Coś między sobą poszeptali bandyci i komisarz wysłał milicjanta do wsi, sam z NKWD-ystą poszedł do obory, stajni i chlewu, spisywać inwentarz.

Małżonkowie porządkowali mieszkanie po rewizji, gdy po południu zajechał przed dwór chłopski wóz. Wysiadło z niego czterech drabów z karabinami. Dwóch pozostało przy wozie, w którym siedział już ktoś aresztowany, a dwóch butnie weszło do dworu. Jednym był Janczyk ze wsi Kowale, drugim Gajlik z Kusińców.

Bronisław zbladł i szepnął: to po mnie...

Zapominając polskiej mowy, Janczyk zawołał:

Wychodźcie ! Wy aresztowannyje !

Opanował się Bronisław i nawet zdobył na uśmiech, całując żonę, dzieci i Janeczkę. Zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł na podjazd. Za nim konwojenci, spłakana Iza z Halinką na ręku i Janka prowadząc Zdzisia.

Tu niemo stała zgromadzona cała służba. Kobiety fartuchami ocierając oczy, mężczyźni zasępieni.

Siedząc już na wozie, zwrócił się Bronisław do dzieci:

- Bądźcie grzeczne i opiekujcie się mamą, a do Janki:

- opiekuj się Izą i dziećmi.

- Niedługo wrócę, z gorzkim uśmiechem powiedział do żony.

To były jego ostatnie zamienione z rodziną słowa.

Wóz odjechał do Hornostajewicz, gdzie aresztowali

Henryka Andrzejkowicza i urządzili punkt zborny aresztantów z okolicy. Nad wieczorem, wszystkich pod strażą odwieziono do więzienia w Wołkowysku.

Biedna Iza, jak stała, tak siadła na stopniach ganku pozbawiona sił. Wzrok tępo wbiła w pustą już aleję, którą uwieziono jej męża. Po policzkach ściekały niepowstrzymane łzy. Spłakane i wystraszone dzieci tuliły się do jej kolan. Z zakamarków pamięci wypęzły straszne słowa wróżby:

..! i już nigdy więcej się nie spotkacie."

Słońce chyliło się ku zachodowi, jakby na przekór ludzkiej tragedii wróżąc na jutro znów pogodny dzień złotej jesieni.

Nastaly dni pełne smutku. Słońce nie było w stanie rozproszyć mroku zalegającego duszę i dławiącego daremnym żalem.

Nowy komisarz Iwaszkin, który sprawował "pieczę" nad okolicznymi dworami, co raz wpadał na indagację i rządził się jak u siebie. Połowę dworu zajął, tam zgromadziwszy skonfiskowane rzeczy: meble, pościel, obrazy, dywany, pianino. Połowę mieszkania zostawił Izie i Jance z dziećmi. Nie na długo, bo z kolei zakwaterowali się w salonie, małej jadalni i dziecinnym pokoju, so - wieccy oficerowie oddziałów zdążających na zachód. Samotne kobiety w strachu zatarasowały drzwi do sypialni szafą. Co dnia Iwaszkin nachodził dwór, sam

lub z ludową milicją, kontrolując co robią mieszkańcy, a przede wszystkim co można jeszcze zabrać. Na część skonfiskowanych rzeczy wydał pisemne poświadczenie, które prócz komisji podpisać musiała także była właścicielka.

4) Список

Издавна имущество
у помещицы Высоцкой 2. Е.
Адеты и мебели и поезда

- 1 тармак 5 ш. граешевы
- 2 шпекс 1 ш. шкляна.
- 3 Броды 2 ш. Серый и серый
- 4 Фурчанки 12 ш. давоком
- 5 Засланки 4 ш. диваноч
- 6 Сорветки 1 ш. шпекс
- 7 Машы 2 ш.
- 8 Павликов 1 ш. шпекс
- 9 Машы 2 ш.
- 10 Кошцы 7 ш. мужские
- 11 Кинес 3 ш.
- 12 Касовы платков 12
- 13 Кошач 1
- 14 Машы 5 ш.
- 15 Сорветки 2 ш. 2 ш. шпекс
- 16 Воротничков 11
- 17 те шпекс 1 пара
- 18 Кепри шпекс 1 Кашлоны 1

- 19 Анна Статиситесно 1 м
- 20 Дмитром Антыперешин 1 м
- 21 Вова ~~Вова~~ Зубов 1 м
- 22 шотко. Свруткарой 7 м
- 23 шатки 2 м
- 24 румшиков 3 м
- 25 шатко 10 таназ шадере 1 м
- 26 Тростань м
- 27 Вагсевичик 1 м
- 28 Сталовыт конов 6 м
- 29 Вилоск 13 Столовья сломе 5 м
- 30 Подумшик 5 м ^{Майков сломк 5 м}

Косменц По. Изгнущ
 Косменц есто Досенц
 Косменц и Доздима
 Андрус Трабла Высока,
 Аказин Уста

Поświadczenie konfiskaty

Kilkakrotnie pytał o Jerzego Wysockiego, którego poszukiwali. Dla armii zabrano wszystkie konie. Bydło i trzodę podzielono między służbę, część zabierając dla wojska. Izabeli komitet "przydzielił na własność" jednego konia, starego siewka i jedną krowę. Ziemia według zapowiedzi została rozparcelowana między służbę i małorolnych ze wsi. Izie pozostawiono zagon, który mogła upra-

wiać sama, bez pomocy folwarcznych.

Służba dworska poruszona aresztowaniem ich pana, uradziła wystosować pismo do władzy o jego uwolnienie. Jak umieli, tak napisali, że pan był dobry, że nikogo nie krzywdził, że wszyscy chcą by do nich wrócił. Podpisała pismo cała służba, a Aleksy Gusztyn poszedł jeszcze do Motoszów zbierać podpisy. I tam większość mieszkańców podpisała. Wiedzieli już o aresztowaniu i uzalali nad dziedzicem, jak i nad dziedziczką pozostałą z małymi dziećmi.

Wieczorem Aleksy przyniósł do dworu petycję z podpisanymi, by pani wiedziała, że wszyscy za panem stoją. Uradzano zawieźć ją nie zwlekając, jutro rano, do Wołkowyska, do Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych /NKWD/. Rankiem w delegacji pojechali: Aleksander z żoną Pelagią i stary Czajkowski. Naparła się jechać z nimi siostra Izy. Komisarz, który odbierał pismo, czytając je miał ironiczny uśmiech na twarzy, ale oświadczył, że sprawa zostanie rozpatrzona.

Kto znał sowietów, nie łudził się by interwencja przyniosła pozytywny rezultat. Iza też nie miała złudzeń, ale była wdzięczna służbie za jej lojalność i szczerą intencję. To było najbardziej wiarygodne i pochlebne świadectwo wystawione jej kochanemu mężowi.

Któregoś dnia tak zwana "Święta Panienska", starsza, samotna kobieta, bardzo nabożna, sprzątająca kościół w Porozowie, przyniosła słoje miodu. Okazało się, że przysłał go obecny kierownik porozowskiej Spółdzielni Spożywczej, były więzień Berezy, którego Iza ugościła w swoim czasie. Kazał też powiedzieć byłej dziedziczce, że gdy będzie potrzebowała czegoś z żywności, ułatwi jej zakup. I rzeczywiście, kilkakrotnie dopomógł.

Przez tę Świętą Panienskę, posłała Iza ślubny garnitur męża do księdza Ławrynowicza, z prośbą o przechowanie. Doszły bowiem siostry do wniosku, że skoro tak często nachodzony jest dwór przez bolszewików, trzeba co jesz-

cze się da, ocalić, usuwając z domu, względnie dokładniej chowając. Przede wszystkim rewolwer, który stanowił zagrożenie. Schowała go Iza na strychu, pod glinianą polepę, zawinięty w chustę. Do środka dzieciennego materacyku włożyła teczkę dokumentów Bronisława z pracy społecznej, działalności w legionach, dowody własności majątku, kwity spłat pożyczek, podatków i t. p. W lodowni pod lodem ukryto bieliznę, odzież, obrusy, przykryte grubą warstwą słomy i brykami lodu. Wszystkie ocalałe jeszcze meble z połowy pozostawionego do dyspozycji domu, przeniesiono do sypialni. Biżuterię przywiezioną przez Jankę, zakopano w skrzynce w świronie. Własne, Izy i Bronisława pierścionki, zegarki, bransolety, zatrzymała Iza przy sobie na ewentualność sprzedaży, wymiany, czy przekupstwa. Srebro stołowe zostało zakopane w skrzyni, jeszcze przed zamierzonym wyjazdem do puszczy.

W późniejszym czasie okazało się, że część pochowanego dobytku dawna służba odnalazła i rozebrała między siebie, podobnie jak sprzęt gospodarski i resztkę mebli. Z kolei, w 1941 roku gdy wkroczyli Niemcy, poodbierali przedmioty po wsiach i na folwarku.

Należało pomyśleć o zapasach żywności. Iza z Janką wykopywały ziemniaki na zagonie, biły drób i soliły mięso w beczce, wyrabiały sery i suszyły.

Iza pracowała półprzymotnie, zamyślona i rozżalona. Janka nią kierowała i zapędzała do działania, by wyrwać ze stanu odrętwienia.

Władza otwierała w Porozowie Klub Ludowy, do którego zabrano z Hurczyn pianino. Jance zaproponowano by wieczorami grała w klubie. Gdy wymawiała się tym, że musi być z siostrą i dziećmi, znaleziono proste rozwiązanie: dzieci zabierze się do państwowego Domu Dziecka, a siostrę skieruje do pracy.

Dawna służba i okoliczni małorolni pracowali w płu na gruntach im przydzielonych, bojąc się udzielać pomocy samotnym zdeklasowanym kobietom.

22 października sowieci urządzili "głosowanie" w sprawie "wyboru" delegatów do Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Białorusi, którzy następnie na zjeździe uchwalą jej włączenie do ZSRR. Delegaci oczywiście zostali ustaleni już przed głosowaniem, a uchwała była przesądzona. Cała farsa wyborów była dla pozorowania legalności, a bardziej może dla złamania społeczeństwa i przekonania, że żadne protesty na nic się nie zdadzą. Celowo rozpuszczono informację o deportacji grożącej opornym. Głosowanie odbywało się pod nadzorem policyjnym. Chorych i ociągających się, dowożono z domów do urn wyborczych. W hurczyńskim dworze otwarto lokal wyborczy dla okolicy.

Któregoś dnia odwiedziła samotne kobiety Kazia. Wiedziała już o aresztowaniu Bronka. Mówiła, że podobny los spotkał Romualda Bobrowicza, Sieheniów Tadeusza i Przemysława, Chrapowickich ojca i syna, postać Włodzimierza Janotę-Bzowskiego z Cholewicz. Podobno wszyscy znajdują się w wołkowyskim więzieniu. Od fernali którzy odwozili Bitnerów do Nowosad i powrócili już do Kwater, doszła wiadomość, że Dolka sowieci aresztowali w Słonimiu 18 września. Marynia z chłopcami i piastunką zamieszkały w Słonimiu. Są podobno z nimi Żegoccy. Oskara Meysztowicza z Rohoźnicy 19 września aresztowała bojówka białoruska. Pędzili go pieszo do Zelwy i zabili po drodze. Podobnie zamordowali wójta szydłowickiego Wacława Ostroucha z Biegień. To kolega Bronia z kampanii wileńskiej 1920 roku, którego nie zdążyliśmy odwiedzić - wspomniała Iza.

Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie...
Walickowszczyznę nachodzą stale sowieci, milicja i bojówkarze, o różnych porach dnia i nocy. Stale dopytują o Jerzego. Czasem w nocy, dla zmylenia, delikatnie pukają w okno, ścisłym głosem wołając: Panie Jerzy, Panie poruczniku!
Janka na boku rozmawiając z Kazią wspomniała, że zasta-

nawia się nad przeprowadzką do Wołkowyska. Tu ciągle wizyty bolszewików denerwują, straszą dzieci. Może w mieście łatwiej byłoby żyć. Mamy tam znajomych, na pewno znalazłoby się jakieś pomieszczenie.

- A co na to Iza ?

- Iza jest zrezygnowana i zobojętniała, ale może da się namówić. Ty Kaziu czekasz na powrót swoich. Do nas nie ma kto wrócić, więc możemy opuścić dwór.

Wracając z Porozowa, gdzie chodziła po naftę i świece, przyniosła Janka z plebani wiadomość, że Leona Bychowca z Adamkowa i Edmunda Władyczańskiego z Sedelnik, chłopci białoruscy wydali sowietom. A Bolesław Skirmunt z Mesztowicz, uciekł na Polesie, do majątku żony, licząc, że tam jako nieznany w okolicy, łatwiej przeczeka okupację. Tymczasem białoruska służba w tamtejszym majątku zamordowała go. Aresztowany jest także Bochwic z Podoroska. Proboszcz pochwalił myśl przeprowadzki do Wołkowyska, ze względu na bezpieczeństwo samotnych kobiet i możliwość łatwiejszego kontaktu z uwięzionym Bronisławem. Pocieszał, że obecna sytuacja nie potrwa długo - trzeba tylko przeczekać. Dowiedziała się też Janka, że Jańczyk, który aresztował sznagra, został komendantem milicji w Porozowie. Ludzie opowiadali, że zabrakł u Krasowskich konia wierzchowego, siodło i płaszcz wojskowy Gienka. Nie mając pojęcia o konnej jeździe, paraduje na drodze w niedzielę konno, w oficerskim płaszczu, gdy ludzie wychodzą z kościoła i cerkwi. Zonie, kobiecie wiejskiej ze wsi Chrustów, odzianej po pańsku w kradzione suknie, by naśladowała przedwojenną komendantową posterunku, postarał się o małego pieska, którego prowadzi wszędzie ze sobą na sznurku zamiast smyczy. Jakiejś funkcji dosłużył się również Gajlik z Kusińców, drugi konwojent Bronisława, który też dorobił się na rabunku dworów. /Na początku 1940 r. obaj wraz z rodzinami zostali nocą aresztowani przez NKWD i zaginęli bez wieści. Pozostał tylko z czasu tryumfu wałęsający się pies/.

Myśl przeniesienia do Wołkowyska dojrzewała. Janina oswajała z nią siostrę, zwłaszcza wobec perspektywy zabrania dzieci do domu dziecka. Groźba wydawała się realną.

Na wywiad o warunkach bytowania w mieście i dla wyszukania kwatery, wybrała się Janka do Wołkowyska okazji-
ną, chłopską podwodą. Znała kilka tamtejszych rodzin z czasu wspólnego z rodzicami zamieszkania. Wracając wieczorem, spotkała w pobliżu dworu Iwaszki na czatach. Następnego dnia milicja przyszła na wywiad, bo podobno kobiety chcą opuścić Hureczyny? Skąd już wiedzieli? Owszem, potwierdziły, że zamierzają przenieść się do miasta na okres zimowy, bo tam mają znajomych i dzieci będą miały lepsze warunki. Władza nie stawiała przeszkód, chyba nawet zadowolona, że cały dwór zostanie opróżniony. Zgodzono się nawet wydać część mebli na czasowy pobyt w Wołkowysku. Biurokracja sowiecka dla pozorowania legalności wystawiła nawet odpowiednia dokumenty:

Gminny Wiejski Komitet w Hureczynach, w osobach Przewodniczącego Steckiewicza i Sekretarza Makara, wydał zaświadczenie o wyjeździe z Hurzyn na własne życzenie, właścicielki majątku Izabeli Wysockiej z dziećmi i Janiną Kuczkowską, na pobyt w Wołkowysku. Zaświadczenie potwierdził Zarząd Gminy Porozów. Spisano też pokwitowanie określające jakie meble wydano na czasowy wyjazd i zmianę zamieszkania/między innymi zabytkową toaletkę po matce Bronisława/. Prawdopodobnie miało to stanowić zabezpieczenie zwrotu "wypożyczonych" przedmiotów. Następny spis określa jakie meble pozostają we dworze pod nadzorem komitetu.

Spisana została także umowa, mocą której koń i krowa "przyznane" na własność Izabeli Wysockiej, do wiosny 1940 roku, t.j. na czas jej nieobecności, powierzone zostały Aleksandrowi Pawluczni, który zobowiązał się dostarczać właścicielce mleko, ser i masło.

1

Ввиду временного воева ^{смысл вкл} не
 действительности помещика с им. Тургины
 Пороховской вл. Изабелы Висоцкой!
 оставшее в имении находившееся
 в пользовании таковой до дня 24 ноября
 1939г. Александром Велет!

1. Стол кухонный 1. Стол кухонный
 3. Кресла мягкие 2 табуретки 1. Кресло
 1. Буфет лака 2. Столешка пог
 3. Лампа электрическая 1. Стол
 кухонный, который был в пользовании
 таковой до дня воева и находившийся
 по названию Комитета до дня воева
 таковой. Председатель Комитета
 Сергей С. Дубин

Ирина
 9.27/11 1939

Spis mebli pozostających pod dozorem komitetu

5) Умова

Вписана ввиду временного воева помещика с
 им. Тургины Пороховской вл. Изабелы Висоцкой
 до 24 ноября, оставившаяся часть инвентаря коня и
 коровы, который определен Комитетом на изъятие
 изъединен в том же имении до весны 1940 года и
 ружья, по названию тов. Павлолены Александры, которые
 обязуются доставить коровы и коней, лошадей
 сено и масло в пользу Висоцкой. В им. Висоцкой
 при совместного Комитета подписано

Заст. Председателя Комитета
 Сергей С. Дубин
 обязуются подписать
 Висоцкая об.

9.27/11 1939.

Umowa w sprawie powierzenia konia i krowy

Zachowało się też pokwitowanie podpisane przez "pełnomocnika Babaszę" na zabrane: 3 ręczniki, 2 pary ka-lesonów, 2 koszule, 1 spodnie-bryczesy, 1 czarny garnitur, 1 garnitur szary, 1 palto skórzane z futrem, 1 je-sionkę, 1 parę butów, 1 parę trzewików, 2 walizki.

Jak widać złodziejstwo było zinstytucjonalizowane, w postaci komitetu, komisarza, czy pełnomocnika i upa-jało się pozorami legalności.

Kwity rek wizycji sporządzone zostały na przygodnych świstkach papieru, ołówkiem, bez jakiegokolwiek pieczęt-ki, co może sugerować, że nawet wystawiający je organ nie wierzył w ich jakiegokolwiek moc prawną.

W wołkowysku zamieszkali w wynajętym lokalu, razem z Heleną Andrzejkiewicz i jej córką Halinką. Za gotów-kę uzyskaną ze sprzedaży przywiezionych mebli, opła-ciły kobiety czynsz i kupowały żywność. Część pienię-dzy odłożono jako żelazny kapitał na nieprzewidziane okoliczności. Rzecz ciekawa, że kupując produkty u pry-watnych sprzedawców, płacić należało polskimi złotymi, bo nie chciano przyjmować rubli. Świadczyło to chyba o przekonaniu, że okupacja jest krótkotrwałym stanem przejściowym i o braku zaufania do siły nabywczej so-wieckiego rubla.

Pojawiły się charakterystyczne dla systemu, długie ko-lejki pod sklepami. Janka o godzinie 3-ciej w nocy sta-wała w "ogonku" po chleb.

Nieprzerwanie trwały w mieście i okolicy aresztowania. Udział w nich mieli często w charakterze donosicieli żydzi. Dzięki nim zginął między innymi aptekarz Tymiński. Próbowaly kobiety nawiązać kontakt osobisty z uwięzio-nymi. Niestety okazało się to niemożliwym. Jedyne pacz-ki można było oddawać w dyżurce więziennej, nie mając pewności czy dotrą do adresatów. Nie mniej i tu ustawia-ły się kolejki żon, matek sióstr, by swym najbliższym przekazać żywność, odzież, pieniądze, a przede wszystkim dowód serdecznej o nich pamięci. Chodziły pod więzienie

raz Iza, raz Janka, z Haliuką Andrzejkiewicz, która nosiła paczki dla ojca.

Siódmego listopada hałaśliwie sowieci obchodzili święto "Zwycięskiej Rewolucji Październikowej". Oprócz akademii urządzili bal, na którym żony dygnitarzy i oficerów wystąpiły w nocnych koszulach, pokradzionych w domach polskich, jako sukniach balowych. Skąd mogły przypuszczać, że to bielizna, skoro Polacy noszą ubrania z papieru i z mędry żywią się korą drzew - jak głosiła sowiecka propaganda.

Krażyły niepokojące wieści o mających nastąpić deportacjach do ZSRR. Nikt nie znał terminu, ale pogłoski nasilały się ku końcowi 1939 roku. Wydawały się prawdopodobne, bo przecież wywózki stanowiły tradycyjną praktykę tak rosyjską jak i sowiecką. Popłoch potęgowały trwające nieprzerwanie nocne aresztowania, już nie tylko wojskowych, policjantów, osadników, funkcjonariuszy administracji państwowej i samorządowej, ziemian, czy inteligencji w ogóle. W zasadzie każdy Polak był wrogiem i każdy pretekst był dobrym, bowiem pod kategorię organizacji kontrrewolucyjnych, absurdalnie podciągano nawet Kółka Rolnicze, Ligę Morską i Kolonialną, czy Koło Gospodyń Wiejskich. Każdy mógł być uznanym za wroga ludu, na kogo padło podejrzenie, donos, lub był niewygodnym. Jak podają raporty NKWD ujawnione 60 lat później, z Zachodniej Białorusi do czerwca 1941 r. t. j. do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, aresztowano blisko 11 tysięcy osób, z których zlikwidowano własną 1940 roku co najmniej 4 tysiące, na mocy uchwały Biura Politycznego K.C. WKP/b/. Równocześnie, w tym czasie, w czterech masowych deportacjach wywieziono ponad 122 tysiące osób.

Słyszac, że Polacy uciekają do niemieckiej strefy okupacyjnej, Janka namawiała do podjęcia próby. Iza w zasadzie godziła się ze względu na dzieci, by je uchronić przed wywózką lub osieroceniem. Powtarzała przybita i zrezygnowana: Wszystko mi jedno i tak nie mamy już domu.

Do Wołkowyska przeniosła się też Kazia z babcią Czartoryską, gdy majątek został rozparcelowany, a sowieci i lokalni komuniści nękali samotne kobiety. Zaczęto wspólnie prowadzić ostrożne wywiady w sprawie organizacji ucieczki. Potrzebny był pewny przewodnik, znający drogę przerzutu przez granicę. Helena Andrzejkiewiczowa z córką, postanowiły pozostać na miejscu, dopóki Henryk przebywa w wołkowyskim więzieniu/ I doczekały się deportacji do Kazachstanu na początku 1940 r./ Znaleźiono przewodniczkę, nauczycielkę, która już kilkakrotnie przeprowadzała, a obecnie zamierzała sama wraz z matką przedostać się do Generalnej Guberni. Ta okoliczność dawała większą gwarancję z jej strony. Zgodziła się zabrać Izę z dziećmi, Jankę, Kazię i babcię Czartoryską, nie ukrywając, że droga będzie ciężka. Ruch na granicy wzrastał się z każdym dniem. Już nie pojedynczo, ale zorganizowanymi grupami ludzie uciekali. Przygotowano na drogę ciepłą odzież, jedną zmianę bielizny dla każdego, pozostałą gotówkę, butelkę wódki i pęto kiełbasy jako "argument", według zalecenia przewodniczki. Zastanawiały się kobiety czy nie zabrać biżuterii zakopanej we dworze, ale jej wydobyć mogło być niebezpieczne, więc zaniechano. Ostatecznie wojna nie potrwa dłużej jak pół roku, zatem lepiej już nie pokazywać się w Hurczynach, by nie wzbudzać podejrzeń. Dla zawiadomienia Bronisława o wyjeździe, na przesłanych mu w paczce kałesonach wyhaftowała Janka napis: "do rodziców". Po ich ucieczce, jeszcze kilkakrotnie Halinka Andrzejkiewicz nosiła do więzienia pieniądze dla Bronisława, jak zapisała w prowadzonym dzienniku jej matka. Nareszcie przewodniczka oznajmiła termin: 31 grudnia, wyjazd pociągiem do Białegostoku. Jeszcze Iza pamiątkową toaletkę po teściowej oddała na przechowanie do znajomych sąsiadów. Do szufladki włożyła teczkę dokumentów, wyprutą z dziecinnego materaca, którą zabrała wyjeżdżając z Hurczyn.

Dzień sylwestrowy był bardzo mroźny. Termometr wskazy-

wał 30 stopni poniżej zera. Opad śniegu był obfity, grubą warstwą zaścielał pola.

Na dworcu kolejowym zastali tłum ludzi, którzy przepychając się, nawołując, klnąc i ziorzecząc po polsku, białorusku i rosyjsku, rzucali się do każdego nadjeżdżającego pociągu, by na siłę wdrzeć się do środka, odpychając innych. Zwątpiły kobiety, by z dziećmi i staruszką Czartoryską dążyć w tych warunkach wsiąść do pociągu. Ale tłum napierał gniotąc i popychając do przodu. Iza wzięła córeczkę na ręce chroniąc od zdeptania. Janka mocno trzymała Zdzisia. Kazia z babcią gdzieś zginęły w tłumie odepchnięte. Prawdopodobnie próba wyjazdu dnia tego skończyłaby się niepowodzeniem, gdyby nie kolejarz, który podszedł do Izy i Janki osłaniających dzieci i wezwał by iść za nim. Odeszli od tłumu wzdłuż składu pociągu, otworzył zamknięte drzwi któregoś wagonu i kazał wsiadać. Za nimi, jako rodzina, weszły przewodniczka z matką. Kazi i babci nie było widać. Kim był kolejarz wybawca? Czy znał je, czy ulitował się nad dziećmi? Pociągami jechali wojskowi Czerwonej Armii i cywile, którzy zdawali się wcisnąć. W Białymstoku cywile wysiedli, bądź sami, bądź usunięci przez służbę kolejową, która kontrolowała kolejno przedziały. Widząc to, oficer sowiecki pytając kobiet czy chcą jechać dalej, oboje dzieci podniósł układając na półce bagażowej, a kolejarzom nie pozwolił usunąć kobiet z przedziału. Powstała sprzeczka, w wyniku której kolejarze wycofali się. Dziękując, Janka wyznała wybawcy, że chcą się przedostać przez granicę do rodziców. W Czyżewie oficerowie wysiadali i z nimi wysiadły kobiety z dziećmi. Okazało się, że na wojskowych czekało na stacji kilka chłopskich podwód. Jedne sanie oficer odstąpił uciekinierkom i polecił woźnicy wieźć je ku granicy. Przewodniczka była zachwycona, bowiem ogromnie ułatwiło to ucieczkę. Jechano wyjeżdżonym traktem, przez pola, gdzieś niedługo mijając małe osiedla domków. Mróz siarczysty trzymał. Dzieci wtulone w objęcia swych opiekunek, zaczynały drzemać. Dość szybko prze-

jechało 13 kilometrów do Zareb Kościelnych. Tu przewodniczka poleciła woźnicy jechać dalej, do Zareb Leśnych i wysadzić ich kawałek za wsią. Była godzina 12 w nocy gdy wysiedli z sań na leśnej drodze. Księżyc rozświecał mrok sylwestrowej nocy. W ludzkich osiedlach świętowano zapewne nastanie Nowego Roku 1940, z którym wiązano najśmielsze nadzieje. Opłacony woźnica odjechał, zostały same, cztery kobiety i dwoje dzieci zspanych i zmęczonych. Po krótkim posiłku, na który nikt nie miał ochoty, dorosli z emocji, dzieci z rozespania, ruszono za przewodniczką. Szli po bezdrożach lasem, to znów przez polany śródleśne, zachowując milczenie. Na otwartych przestrzeniach śnieg przewiany i zmrożony tworzył skorupę, po której względnie wygodnie można się było poruszać, bez głębokiego zapadania. W lesie natomiast, po kolana brnęli w miękkim śniegu, miejscami zapadając głębiej. Ten mozolny ruch rozgrzewał, za to w walonkach dzieci i w kapturach kobiet, pełno było śniegu sypiącego się do środka. Co chwilę przystawano dla odpoczynku. W lesie, kobiety niosły Halinkę na zmianę, na otwartej przestrzeni, gdzie śnieg twardszy, szła sama. Zdzisiu natomiast samodzielnie walczył ze śniegiem i zmęczeniem. W pewnej chwili dostrzegli sylwetkę człowieka zbliżającą się ku nim. Początkowa obawa rozwiązała się, gdy grzecznie prosił by panie pozwoliły mu przyłączyć się, bo nie zna okolicy, a również chce przedostać się przez granicę. Ofiarował się w zamian nieść Halinkę. Zdzisiu zaczął pozostawać w tyle, tak że musiano na niego czekać. W końcu z płaczem oświadczył: Mamusiu ja już nie mogę! Nie dam rady!... Biedne dziecko i bolejące serce matki, która sama dobijając resztek sił, nie mogła mu pomóc inaczej, jak dopinając do dalszego wysiłku - Jeśli chcesz żyć - musisz iść! Bez słowa skargi ruszył dalej. Księżyc już zachodził, gwiazdy bledły, niebo zaczynało różowieć na wschodzie, nadchodził świt. Przewodniczka ostrzegła, że zbliżają się do granicy. Potwierdzały to strzały, w ciszy poranku niosące się raz z prawej, to znów gdzieś po lewej stro-

nie. Zatrzymali się nasłuchując. Przed nimi, od zagajnika w którym stali ciągnęła się długa polana, za którą na horyzoncie ciemniała ściana lasu. Stamtąd dochodziły strzały pojedyncze i seryjne. Czas naglił, niedługo całkiem się rozwidni. Przewodniczka żegnając się krzyżem zarządziła: Idziemy w Imię Boże !

Wszyscy się przeżegnali i szepcąc modlitwy, wysunęli się na otwartą przestrzeń. Z każdym krokiem rosło napięcie. Strzały wprawdzie ucichły, ale raptowna cisza jeszcze bardziej drażniła nerwy. Względnie szybko zbliżali się do lasu. Iza trzymając za rękę Zdzisia, żarliwie modliła się po cichu. Malinka niesiona na ramionach przygodnego wędrowca chyba drzemała, bo główka jej chwiała się bezwładnie w rytm kroków. Na wszystkich twarzach widoczne było zmęczenie i strach. Zmrożony śnieg skrzypiał pod nogami nieznośnie głośno. Ale już wchodzili między pierwsze drzewa rzadkiego lasu, za którym znów otwierała się niewielka polana, a na jej skraju stała szopa. Dochodząc do niej, zauważyli przybity plakat w języku rosyjskim i polskim, obwieszczający, że za przekroczenie granicy grozi zsyłka na Syberię. Dalej, w głębi polany widoczna była następna szopa, z której słychać głosy ludzkie i parskanie koni. W szparach między deskami, migocące światło zdradzało palone wewnątrz ognisko. Przygodny towarzysz dziękując odszedł rzadkim laskiem gdzieś w bok. To lepiej, może samotne kobiety z dziećmi nie będą tak surowo potraktowane w razie wpadki. Rozmowa w szopie stała się głośniejszą i po chwili wyszli z niej żołdaci, rozchodząc się w prawo i w lewo. Gdy się oddalili, przewodniczka dała sygnał: - Teraz ! Znów nieznośnie skrzypiał śnieg. Szli prosto na opuszczoną przed chwilą przez Krasnoarmiejców chatę.

- Łożitsja !

Padli na śnieg jak stali. Nad nimi ruski żołdat celował w nich pepeszą. Dzieci nie rozumiejąc sytuacji wpatrywały się w obcego. Iza leżąc wyciągnęła z torby pęto kiełbasy, Janka flaszkę wódki i podawały wyciągniętymi rękami

mi w stronę prześladowcy. Skwapliwie pochwycił, chowając do kieszeni i za fufajkę na piersiach. W tej chwili znów gdzieś blisko buchnęły strzały, słysząc okrzyki: Stoj !

- Skoreje ! skoreje ! poderwał ich przekupiony żołdat wskazując w dali chatę. Na ile się starczyło poczęli biec przed siebie ku wskazanemu budynkowi. Przewodniczka porwała na ręce Halinkę, od niej po chwili przejęła Janka. Zdzisiu biegł ciężko dysząc, trzymany przez matkę za rękę. Gdy oddalili się od "swego" żołdata na jakie 50 metrów, ten zaczął za nimi strzelać ponad głowy, dla porowania pościgu. Nieco dalej z boku biegły też jakieś postacie, co chwilę padając w śnieg. Strzelano za nimi i już nie wszyscy wstawali. Zbawcza chata była już tuż. Okazała się zamieszkaną przez polską chłopską rodzinę. Wpadli do oświetlonej, ciepłej izby półprzytomni ze zmęczenia biegiem, z trudem łapiąc powietrze, nie mogąc słowa wykrztusić. Nogi się ugiwały, w głowach pulsowało. Chłop podał zydle, kobieta posadziła dzieci na łóżku. Po chwili gorące mleko łapczywie pite, przywróciło nieco sił. Gospodarze o nic nie pytali, sytuacja była oczywista. Zdjęto dzieciom walonki zupełnie przemoczone i nie rozbierając więcej zawinięto w koce gospodarzy. Ułożone na łóżku po chwili zasnęły. Z chaty słyszać było co chwilę strzelaninę na granicy.

Rozwidniało się, gdy na zewnątrz usłyszano kroki i obcesowe stukanie do drzwi. Chłop odsunął zasuwę w sieni i do izby weszło trzech żołnierzy niemieckiej straży granicznej. Chłopską rodzinę traktowali jak znajomych, żądając tylko wyjaśnień i dokumentów od przybyłych. Janka miała dowód osobisty z Katowic. Iza tłumaczyła, że tam wraca, do rodziców, poaresztowaniu męża. Coś poszwargotali między sobą ściszym głosem i jeden z nich, łamaną polszczyzną kazał chłopu odwieźć wszystkich saniami do stacji kolejowej w Małkinii.

Chwilę jeszcze odpoczywali uciekinierzy, zanim gospodarz zaprzął sanie. Dzieci wyniesiono, jak były zawinięte w koce. Droga do stacji okazała się niedaleką. Za niecałą godzinę byli na miejscu. Janka poszła do kasy kupić

bilety do Warszawy. Iza odwijala dzieci by oddać koce, ubrała im nieco podsuszone w chacie walonki, opłacała chłopca i dziękowała mu serdecznie za pomoc.

Wkrótce w ciepłym wnętrzu wagonu, usnęły dzieci skulone na ławce. Kobiety dziękując Bogu za szczęśliwie zakończoną ucieczkę, powoli odprężały się i odpoczywały. Ta koszmarne noc sylwestrowa, ośmiogodzinna droga do granicy, w śniegu i mrozie, strzały, skarga Zdzisia, którego opuszczali się, pozostały na zawsze żywym wspomnieniem nieszczęsnych wygnańców, pozbawionych męża, ojca, domu i spokojnego szczęśliwego bytu.

Okolo godziny czwartej po południu dojechali do Warszawy. Dorożka z dworca zawiozła całą szóstkę do hotelu, gdzie po umyciu się i przebraniu w czystą, zapasową bieliznę, spożyto w restauracji hotelowej kolację, po czym wszyscy położyli się na spoczynek. W dniu następnym, przewodniczka wyszukała mieszkanie u gospodyni zbiegłego dyplomaty. Żyli z reszty pozostałych pieniędzy. Tydzień później przyjechały do Warszawy, Kazia z babcią Czartoryską, która niestety, po trudach marszu w śniegu i mrozie zachorowała i wkrótce zmarła.

Kazia, spodziewająca się w Walickowszczyźnie przyjazdu córki z rodziną, zastała ich w Warszawie.

Już jesienią Higersbergerowie konnym wozem przyjechali do stolicy i zamieszkali przy ulicy Wileczej. Z powodu nazwiska, Niemcy naciskali by wyrzekli się obywatelstwa polskiego, podpisując "Volkslistę". Wydziedziczeni z majątku i szykanowani, załadowali cenniejsze przedmioty na wóz i przyjechali do stolicy, gdzie zameldowali się pod zmienionym nazwiskiem, na podstawie fałszywych dokumentów. Jan niezwłocznie przystąpił do pracy konspiracyjnej pod pseudonimem "Grom", w Związku Walki Zbrojnej /ZWZ/, przekształconej później w Armię Krajową /AK/. By utrzymać rodzinę, założył z kolegą ze studiów i przyjaciелеm Andrzejem Jankowskim/bratem cichociemnego - "Agatona"/, spółkę przewozową, zajmującą się przewozem towarów. Jan dwukrotnie unikał szczęśliwie aresztowa-

nia. Raz, gdy nocując u Andrzeja, zerwał się wśród nocy i mimo godziny policyjnej, ryzykując życiem poszedł do rodziny na ulicę Wilczą. Po jego wyjściu Gestapo zabrało wszystkich nocujących u Andrzeja, niezameldowanych w tym lokalu. Drugi raz, w tym samym 1940 roku, gdy zjawił się u współnika, podczas aresztowania jego rodziny. W czasie sprawdzania dokumentów, Jan zdołał zbiec i ostrzec Andrzeja, nieobecnego wówczas w mieszkaniu. Zagrożony w Warszawie, przeniósł się Jan z rodziną do Miastkowa, w powiecie garwolińskim, gdzie pełniąc funkcję leśniczego, zatrudniał do prac młodych konspiratorów. Po wojnie, pełnił Jan m.in. funkcję dyrektora Zakładu Doświadczalnego Melioracji i Użytków Zielonych w Falentach. Opublikował wiele prac z zakresu rolnictwa. Jego syn Jan, ukończył studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej i pasjonował się taternictwem. Drugi syn - Tadeusz, w ślad za ojcem, ukończył Wydz. Rolny SGGW i pracował na stanowisku inspektora Ministerstwa Rolnictwa. Był członkiem klubu jeździeckiego. Obaj synowie założyli rodziny.

Z początkiem marca 1940 r. Iza z dziećmi i siostrą, zamieszkali w Grobicach, w majątku Kawińskich, skierowani przez warszawski oddział Związku Ziemiań. We wrześniu, rodzice Izy i Janki, przenieśli się z Katowic do Krakowa i zamieszkali najpierw przy ulicy Grodzkiej, a następnie razem z córkami i wnuczkami, w przydzielonym pożydowskim mieszkaniu na ulicy Rzeszowskiej Nr 8. Korespondowano z Feliksem przebywającym w obozie jeńckim. Pisał on do rodziny w liście z 16.IX.1940 :

"Będzie dobrze i znów będziemy się wszyscy zjeżdżali do Hurczyn."...

Po agresji niemieckiej na ZSRR w 1941 roku, gdy Białoruś znalazła się pod okupacją niemiecką, Izabela nawiązała kontakt korespondencyjny z dawną służbą dworską. Z Weroniką Kiedzik, Pelagią Gusztyn, Weroniką Białuga, z krawcówką z Porozowa Kazią Balejkówną, a także z księdzem Józefem Ławrynowiczem, przebywającym w Wołkowysku.

Wymiana listów trwała od lutego 1942 do marca 1944, to jest do nowej okupacji sowieckiej. Z korespondencji dowiadywała się dawna dziedziczka o zdarzeniach i ludziach, o wywiezionych przez Sowietów, zmarłych, o deportacji wszystkich Żydów w XI 1942 przez Niemców. Dawna służba informowała o odbudowaniu krzyża na rozdrożu, zniszczonego przez bolszewików, o dokończeniu budowy folwarcznego budynku rozpoczętej przed wojną, o rozbiórce starej kuchni i spaleniu lodowni. Donoszono że Niemcy odebrali ludziom dworską ziemię i żywy inwentarz, rozdane przez Sowietów, o odtworzeniu gospodarstwa. Donoszono, że w Wilejszach gospodarzy Staś Bobrowicz, który wrócił z wojny, a siostra jego i rodzice wywiezieni są do Rosji. Budynki majątku Chrustów spalone, Wołkowyk zniszczony, a pani Krassowska jest na miejscu. Wśród nadesłanych listów, był także wzruszający liścik małej Marysi Gusztyn, córki Peli, do "Kochanej Halinki". Jeden z listów kończy się słowami:

"Zawsze panią wspominamy i Boga prosimy, żeby mogli doczekać się paninego powrotu, zasyłamy pani wszyscy serdeczne pozdrowienia"...

Od Weroniki Kiedzik nadeszły do Krakowa nawet dwie świąteczne paczki.

W czteropokojowym mieszkaniu przy ulicy Rzeszowskiej była jednak ciasnota, przyjęto bowiem pięcioosobową rodzinę Pawlickich, a po powstaniu warszawskim jeszcze Zosię Federowską z córką i stryjecznego brata Izy i Janki - Franciszka z żoną, córką i teściową.

Biedna Iza, tak dalece łudziła się odzyskaniem męża, że nawet pierwszą Komunię świętą Halinki przesunięto o jeden rok, by ojciec po powrocie mógł uczestniczyć w uroczystości córki. Dochodziły wiadomości o Bronisławie od Feliksa z obozu, od siostry Bronka Adolfiny. Niestety, okazały się złudne, lecz w zbolalym sercu żony, każdy sygnał rodził nową nadzieję.

W święto Wielkiej Nocy 1944 r. zmarła mama Izy i Janki Stefania. Po zakończeniu wojny, wyjechały do Warszawy

Zosia z córką, do Poznania rodzina Pawlickich, do Rzeszowa Franciszek z rodziną.

Izabela i Janina pracowały w różnych przedsiębiorstwach, dzieci kontynuowały naukę. Po szkole podstawowej Halinka w technikum krawieckim, a następnie w liceum bibliotekarskim, Zdzich w technikum przemysłu zielarskiego.



Halina - Maria



Zdzisław - Eustachy

Godziemba - Woyszkiewicz - Wysocey

W lipcu 1948 r. zmarł Jan Kuczkowski, ojciec Izy i Janki, ukochany dziadzio malców, a właściwie już młodzieży.

W 1953 r. Halinka wyszła za mąż, za autora tej kroniki, Zdzich ożenił się w 1957 r. Do ślubu ubrany był w ślubny garnitur ojca, oddany na przechowanie w 1939 r. księdzu Lawrynowiczowi. Gdy ten po wojnie został repatriowany na Pomorze, przywiózł z sobą powierzone ubranie i odeśłał je do Krakowa.

Jerzy Wysocki, po wyzwoleniu z obozu, zaciągnął się do armii generała Andersa. Po zakończeniu wojny starał się daremnie o sprowadzenie rodziny do Anglii. Oficjalnie

było to niemożliwe, a próba nielegalnego przerzutu zawiiodła. Córeczka Joasia, po ciężkiej chorobie zmarła w 13 roku życia. Żona Basia z synem Jurkiem, chorym, pozostała w Polsce, pielęgnując syna i chorego także swego ojca. Jurek wrócił do zdrowia, ukończył wyższe studia i założył rodzinę.



Jerzy Godziemba
Woyszkiewicz-Hysocki
syn Jerzego i Barbary

Wiele było rozmaitych wersji odnośnie losów uwięzionego Bronisława. Niestety wszystkie okazały się złudne, oparte na domniemaniach. Poszukiwania rozpoczęte jeszcze w czasie wojny, prowadzone były bez rezultatu do 1999 roku, przez blisko 60 lat. Kierowano pisma do Czerwonego Krzyża w Polsce, Genewie i Ameryce. Do Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża i Czerwonego Połksiężycyca w ZSRR. Do ambasady polskiej w Moskwie, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w PRL i Republice Białoruskiej, do Archiwum Wschodniego - Indeks Represjonowanych. Zewsząd nadchodziły odpowiedzi negatywne.

Pozostają nieznane-czas, miejsce i okoliczności śmierci Bronisława. Nie wiemy czy umierał powoli z tęsknoty, głodu, zimna i niewolniczej pracy, czy śmierć przyszła jak jak piorun - od wrażej kuli ludobójcy, do dziś bezkarnego i niepotępionego przez opinię międzynarodową. Wiemy tylko, że ofiara jego cierpienia i życia, wobec Najwyższej Sprawiedliwości nie poszła na marne, podobnie jak tysiący innych zamęczonych i pomordowanych.

Nie udało się również trafić na ślad innych ziemian z powiatu wołkowyskiego, współwięzionych z Bronisławem. NKWD mordowało więźniów w wołkowyskim więzieniu. Pozostałych przewieziono do Mińska, prawdopodobnie 25.III.1940 r. i tam strzelano, a przed ewakuacją truto. Po wybuchu wojny z Niemcami w 1941 r., w czasie ewakuacji więźniów na wschód w tak zwanym "marszu śmierci" z Mińska do Czerwieni/Ihumeń, na całej trasie konwojenci sukcesywnie zabijali więźniów, a pod koniec etapu, resztę wystrzelali z broni maszynowej, dobijając bagnietami i łopatkami saperskimi. Szacunkowo ewakuowano z Mińska około 20 tysięcy więźniów, w większości Polaków, ale także Białorusinów i Litwinów. Zabici zostali prawie wszyscy. Nielicznym udało się zbiec, lub udając zabitych, przeczekać masakrę pod zwłokami innych.

W lutym 1945r. prezydent USA F.Roosevelt i premier brytyjski W.Churchill, na żądanie Stalina-sprezentowali mu Polskie Kresy Wschodnie, układem w Jałcie.

Majątek Walickowszczyzna włączono do kołchozu. Dwór, jak inne, ograbiono i zniszczono. Podobno stał jeszcze w 1990r. według innej wersji - został rozebrany w 1947r. Na pewno ani dwór, ani folwarczne budynki nie istniały już w 1992r. Pozostała tylko jakaś resztką dawnego budynku gospodarczego W majątku Hurozyny, do wojny niemiecko-radzieckiej, gospodarzyli na rozparcelowanej ziemi chłopci okolicznych wsi i dawna służba dworska. Po wkroczeniu Niemców, okupant odebrał chłopom inwentarz i ziemię rozparcelowaną przez sowietów, ustanowił rządęcę, niejakiego Rachlenicza, który wraz z rodziną zamieszkał we dworze. Zorganizowano tu skup żywca dla okolicy, zlikwidowany podczas dru-



Walickowszczyzna - pozostała resztką zabudowy
dawnego majątku

giej okupacji sowieckiej. Wówczas majątek został włączony do kołchozu. We dworze mieszkali pracownicy. Po rozwiązaniu kołchozu, rozebrano wszystkie budynki gospodarskie i mieszkalne, pozostał tylko zrujnowany dwór, który przekazano w użytkowanie spółdzielni pszczelarskiej, wraz z otoczeniem. Na dziko zarosniętym podjeździe, bez śladu dawnego klombu, ustawiono ulę. Według relacji z 1993 roku naocznego świadka, dwór stoi pusty i popada w ruinę. Dawni lokatorzy opuścili go, kiedy zaczął ulegać zniszczeniu. Drzwi zabito deskami, straszą puste oczodoły okien. Dach pokryty eternitem w czasach kołchozowych, już przecieka, konstrukcja dachowa przegniła, kalenica zała-

mana, ściany zawilgocone. Jeszcze kilka lat i legnie samoczynnie w gruzach, o ile wcześniej nie rozbiórą go na opał. Żałosny koniec kilkusetletniego trwania domu, majątku, bytu rodzinnego.

... "w proch się obrócisz."

Kokół dawnego podjazdu i na folwarku, stoją jeszcze stare, potężne drzewa, pamiętające miniony czas. W ich koronach, jak dawniej brzęczą latem pracowite pszczoły, a zimą w bezlistnych konarach skargą jęczy wiatr. Stoi u stóp Mogilnika potężny dąb, w cieniu którego krzewiło się tu niegdyś życie. Wielesetletni świadek dziejów, strażnik tego gniazda. Jego nie zmożły jeszcze zawieruchy i burze, nie tknęła ręka barbarzyńcy. Jak przed wiekami stoi na straży, teraz - już tylko mogiły.



Hurczyzny - ruina dworu Godziembów
Woyszkiewicz-Wysockich

post-scriptum

Ma się ku wieczorowi. Zmierzch się miękko kładzie,
Otula w szary woal cały wokół świat.
Lipy pachną lipcowo, świerszcze grają w sadzie.
Zegar cofnął wskazówki i nie pomni dat.

O tej szarej godzinie, zdarzy się na pewno -
Cud w sercu kołysany, on się zaraz stanie:
Ogród, ścieżki, klomb w różach, ciepłe domu drewno,
Matki dłoń na pianinie, kilimek na ścianie.

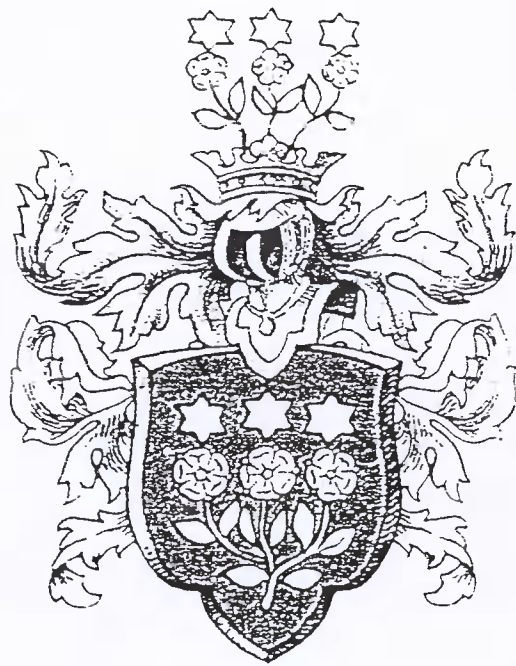
Ojciec bierze na ręce, lampa walczy z nocą,
Pies tuli się do kolan, dom oddycha ciszą.
Gwiazdy wyszły na spacer i żaby rechocą,
Z łąk płynie zapach siana, drzewa się kołyszą.

Chwilo, proszę, stań w miejscu, niech się nic nie zmienia -
Dom, co przytula wszystkich i pola i las...
Niech wszystko znów powróci z tamtej strony cienia,
Niech choć na oka mgnienie powróci TEN CZAS !

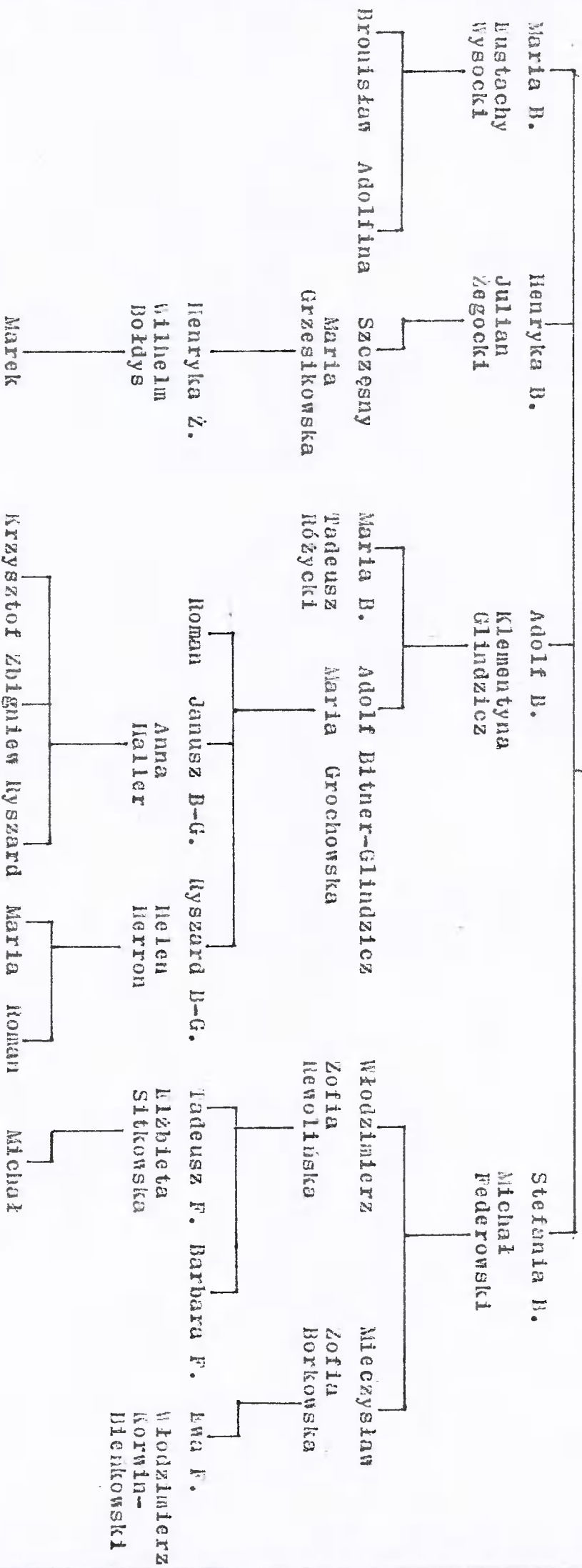
Ewa Jasionowska

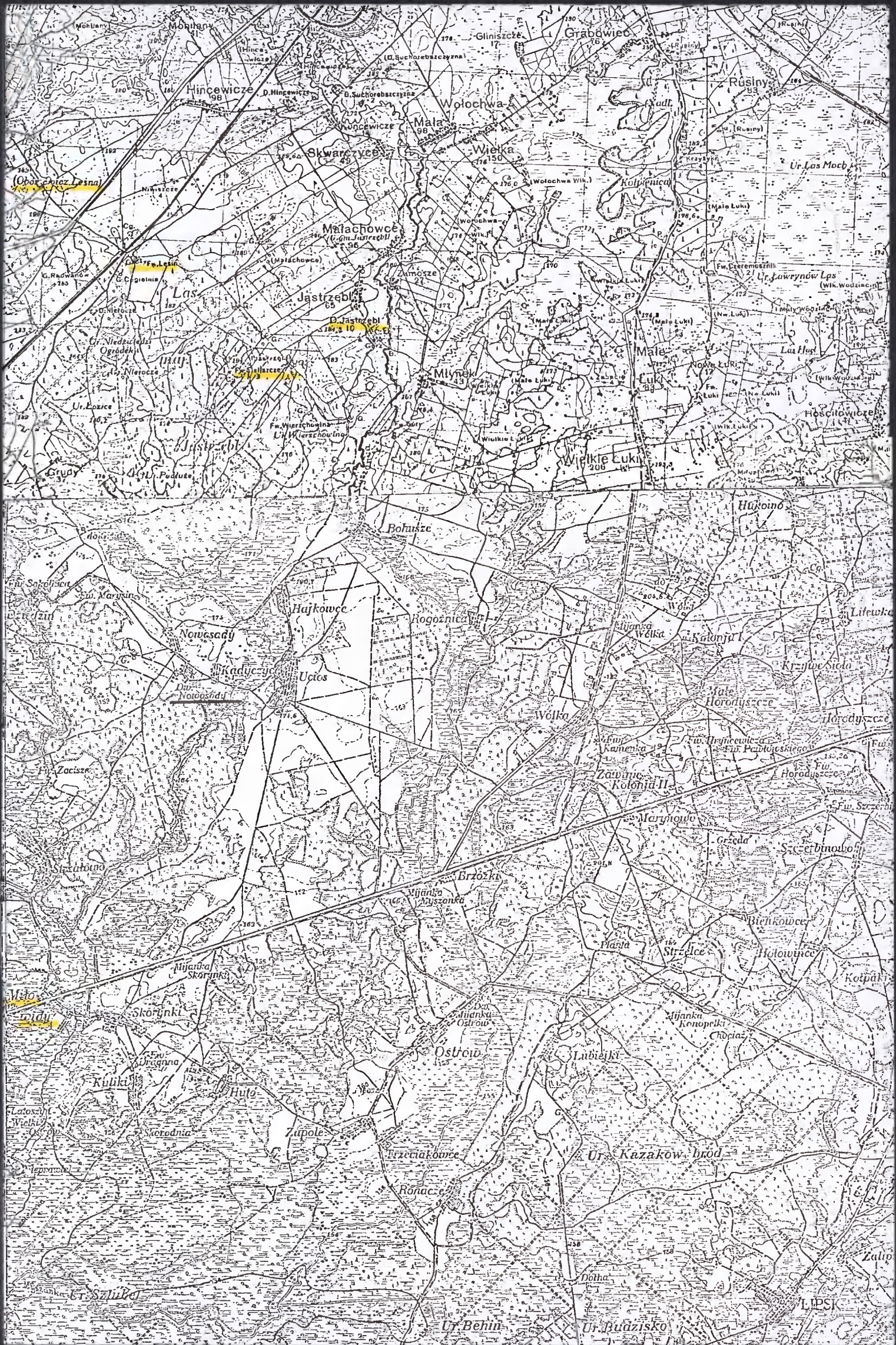
dnia 1 lipca 2000 roku

BITNEROWIE



Zdzisław Bitner
Wincentyzna Jabłońska





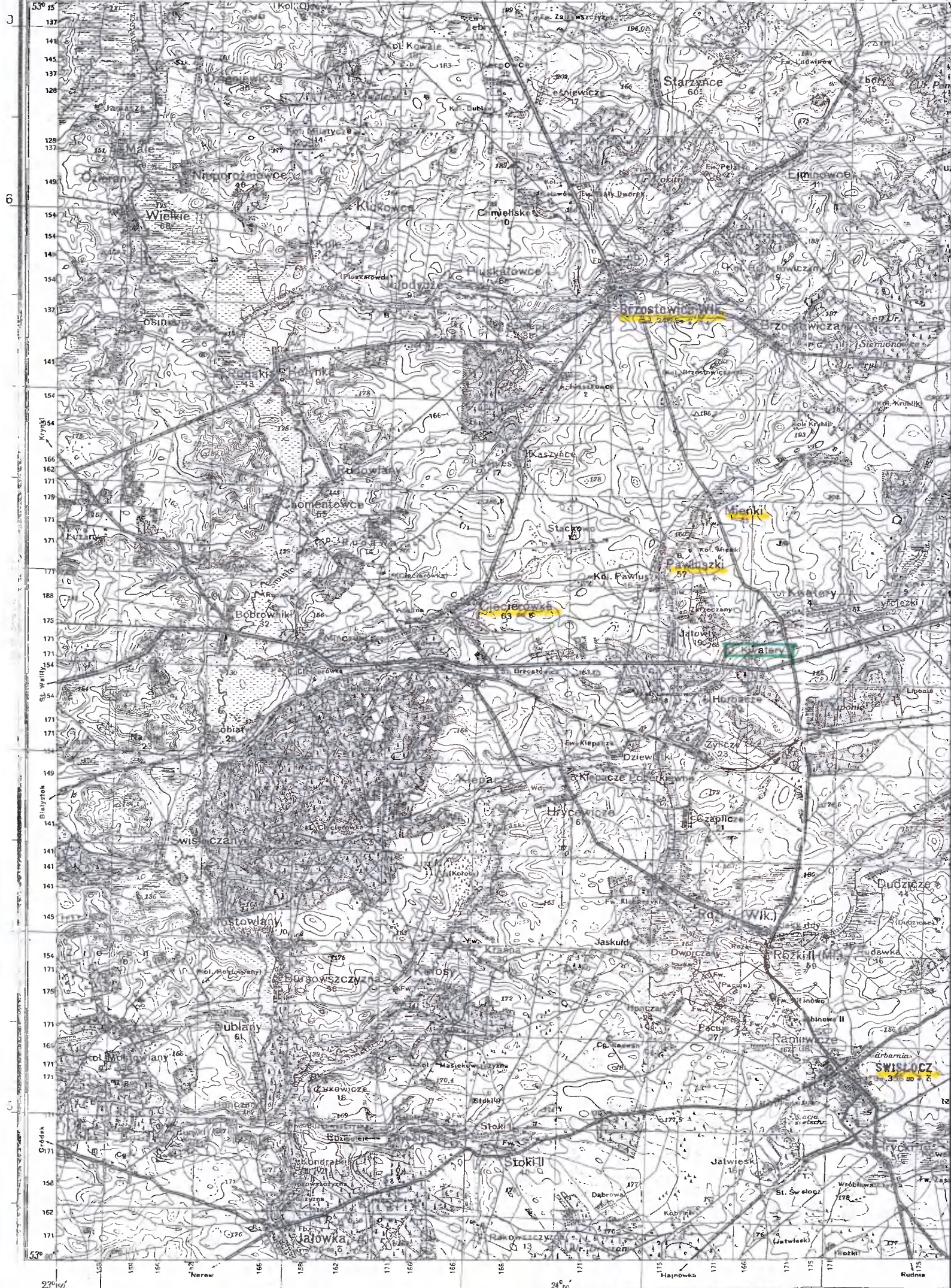
23° 50' na wsch. od Greenwich

SWISŁOCZ 365 58

Brzostowica Mała

24 00

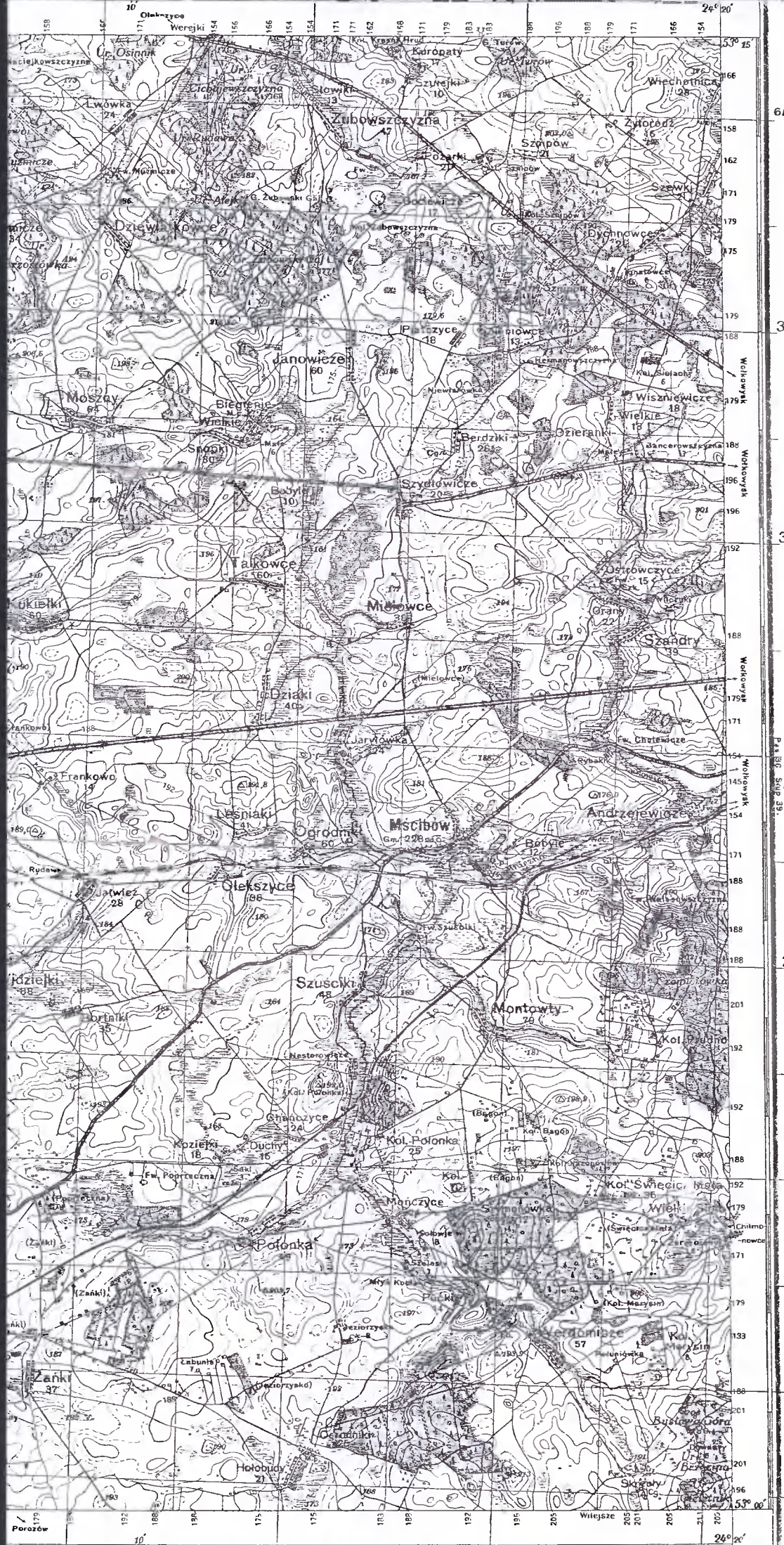
Olekażycze



0
6
Krypk
St. Wawrz.
Białystok
Grodzka

16
15
14
13
12
11
10
9
8
7
6
5
4
3
2
1

23° 50' 155 156 157 158 159 160 161 162 163 164 165 166 167 168 169 170 171 172 173 174 175 176 177 178 179 180 181 182 183 184 185 186 187 188 189 190 191 192 193 194 195 196 197 198 199 200



640

36

32

24

20

616 kr

SPIS TREŚCI

dwór "Kwatery" i majątność.....	str 365
ród Glindziczów	
protoplaści rodu Bitnerów.....	375
Zdzisław Bitner	
doktor Adolf Bitner	
miasteczko Świsłocz	
Adolf Bitner-Glindzicz - "Dolek".....	386
Maria z Grochowskich Bitnerowa	
dwór kwaterski	
goście we dworze	
gospodarstwo kwaterskie	
służba dworska	
Brzostowica	
lotnisko	
sytuacja ekonomiczna ziemiaństwa	
etyka i patriotyzm	
imieniny gospodarzy.....	401
Wielkanoc	
dożynki	
święto pułkowe	
spizarnia	
jadalnia	
park i ogród	
korytarz i wejście na piętro dworu	
Amcia	
majówki	
podróże, wilki, bandyci	
dzieci	

Żegoccy.....	str 412
Tygodnik Wołkowyski	
Janota-Bzowscy	
Buba-Zalutyński	
pożar Wołkowyska	
droga do Nowosad, Wołkowysk, Słonim	
Nowosady.....	423
sowiecka dywersja	
dwór nowosadzki	
życie we dworze	
kaplica dworska	
represje popowstaniowe, profanacja zwłok	
obyczaje ludu i zabobony	
Tatarzy	
dwory Kotłubajów	
las nowosadzki	
epilog.....	436

Trzydzieści pięć wiorst na północny-zachód od Hurczyn położony był majątek " Kwatery ". Od 1924 roku władał nim Adolf Bitner-Glindzicz, zwany w rodzinie " Dolkiem," wujeczny brat Bronisława. Ojciec Dolka i matka Bronka byli rodzeństwem.

Jechało się do Kwatery bryczką około pięciu godzin, przez Porozów, skrajem Puszczy Świsłockiej do Kropiwnicy i Sokolnik, następnie przez pola i podmokłe łąki, oddalając się stopniowo od puszczy wciąż jednak widocznej po lewej stronie, do Świsłoczy - historycznego miasteczka. Dalej przez Koźki Małe i Wielkie, przecinając tor kolei i szosę z Dielegostoku do Wołkowyska, wjeżdżało się na teren majątku. Z prawej strony, na skraju lasu i skrzyżowaniu dróg, stał wysoki, kilkumetrowy drewniany krzyż, a za nim wzdłuż drogi prowadzącej do dworu, rzędem budynki folwarczne.

Koło bryczki budują na drewnianym mostku przesuwanym nad rzeczką Kuklanką. Z lewej mijamy młyn wodny, za nim rzeczka rozlewa się w małe jezioro. Koło młyna topole, na nich bocianie gniazda. Z prawej, za mostkiem domek rządcy i już na wprost, za wielkim różanym klombem, klasycystyczny budynek dworski.

Wysoka od frontu, ze względu na pochyłość terenu, bielona podmurówka, wielostopniowe centralnie usytuowane schody prowadzące na obszerny taras i białe kolumny, po trzy z każdej strony schodów, wspierające szczyt dachu nad piętrem centralnej części budynku, nadawały mu wygląd

Dwor Kwatery od podjazdu rys. A. Orna





Fronton dworu kwaterskiego

monumentalny. Może dlatego okoliczna ludność zwała go czasem pałacem. Na wysokości piętra, za kolumnadą, znajdował się balkon stanowiący częściowe zadaszenie parterowego obszerniejszego tarasu, wychodzącego przed kolumnadę. Cały ten portyk wieńczył wsparty na kolumnach trójkątny szczyt dachu, ozdobiony rzeźbioną w drewnie wstęgą tworzącą owal. Jej końce od przewiązania u dołu, falistą linią rozchodziły się na boki.

Z obu stron, do piętrowej centralnej części, przylegały parterowe skrzydła budynku. Drzwi i okna malowane na biało, na parterze prostokątne, na piętrze zwieńczone półkoliście, podobnie jak białe kolumny, kontrastowały z ciemną, naturalną barwą starego drewna ścian. Budynek nakrywał gontowy dach dwuspadowy. Jego oś w centralnej części była prostopadła do osi dachu parterowych skrzydeł. Budulca dostarczyła Puszcza Świsłocka.

Przed tarasem rosły drzewka morelowe, na zimę okrywane słomą, a z boków budynku i na tyłach, w parku, rosły topole, lipy, jesiony, kasztany, graby i świerki, tworząc zielone tło dworu.

Usytuowanie majątku miało uzasadniać jego nazwę. Położony przy traktach z Wileńszczyzny, Mińszczyzny i Nowogródzczyzny siłą tradycji mógł przez wieki służyć za miejsce popasu dla panów szlachty, kładzących na sejmy i sejmiki.

Według ustnego przekazu, stąd ponoć wywodzi się oryginalna nazwa majątku " Kwatery " .

Być to może, bowiem w obecnym dworze wzniesionym przez Glindziczów w XVIII wieku, ściany obszernej sieni zdobiły wizerunki królów polskich i przetrwały tu czasy rozbiorów aż do wójny światowej, podczas której Niemcy zrabowali je wraz z biblioteką, meblami i pamiątkami rodzowymi. W latach 1920 do 1930 uległ zmianie wewnętrzny rozkład i wystrój dworu. Unowocześniając i przystosowując do własnych potrzeb, aktualny dziedzic wprowadził innowacje. Jednak bryła budynku i jego elewacje, pozostały niezmienione przez prawie 170 lat.

Na skutek dość powszechnych w XVII i XVIII wieku zastawów majątkowych w razie braku pilnie potrzebnej gotówki, transakcji kupna-sprzedaży, zapisów rodowych, posagów, działów, a w XIX wieku konfiskat popowstaniowych, majątności kresowe z upływem czasu zmieniały właścicieli. Najstarszy znaleziony dokument dotyczący majątku Kwatery pochodzi z roku 1617 i stanowi zapis jego darowizny dla klasztoru Kanoników Regularnych, dokonany przez fundatora klasztoru Mikołaja Wolskiego. Klasztor władał majątkiem do roku 1832, w którym został skonfiskowany przez władze carskie Rosji. Liczył wówczas 33 dymy i 243 mieszkańców. Konfiskata nastąpiła prawdopodobnie w ramach represji po powstaniu listopadowym, kiedy to carat prześladował Kościół katolicki jako ostoję polskości, eksmitował klasztory z kresów wschodnich i konfiskował ich dobra. W 1649 roku wprowadzono w Wielkim Księstwie Litewskim jednostkę podatkową t. zw. "dym" to jest należność do Skarbu płaconą od dymu, czyli od budynku mieszkalnego. W roku 1690 majątek Kwatery, a właściwie ówczesny folwark, wraz z młynem i karczmą liczył 11 dymów, oraz oczywiście gospodarze zabudowania nienaliczane do podatku i areał ziemi. W tymże roku, część folwarku odkupiła niejaka Ciechanowicka, równocześnie oddając w zastaw Tomaszowi Jaskołodowi, widocznie za jakieś zobowiązania lub poręczenie. Jeśli, jak podaje miejscowa tradycja, Glindziczowie zbudowali w 1776 roku obecny dwór, mogli to uczynić tylko na części zastawionej, w posiadanie której weszli prawdopodobnie, jak to było w zwyczaju, czy to drogą

wykupu czy koligacji, skoro pozostała częścią nadal władał klasztor. Do Glindziczów natomiast, budujących dwór na części folwarku, należały okoliczne wsie. I tak w roku 1855 zapis majątkowy wymienia Antoniego Glindzicza w guberni grodzieńskiej jako właściciela majątków Siemierenki i Kwatery. A w trzy lata później sporządzony inwentarzowy opis podaje, że do majątku Kwatery należą:

w chutorze Kwatery	-	10 dusz
we wsi Czaplicze	-	57 dusz
we wsi Zarzeczany	-	8 dusz
we wsi Horbacze	-	29 dusz
we wsi Syrojeżki	-	39 dusz

"Dusze" to oczywiście poddani pańszczyźniani. Wprawdzie oficjalnie pańszczyzna została zniesiona przez cara Aleksandra II, jednak lokalne ustawy gubernialne praktycznie nadal ją chroniły i podtrzymywały. Dziedzic nie miał już prawa ingerencji w osobiste życie chłopą, jak na przykład w kwestii zawierania małżeństwa, czy niewolniczego przywiązania do majątku, jednak chłop żył z ziemi, a ziemia była pańska. Za jej użytkowanie "dusze" musiały płacić czynsz /na co nie było je stać naogół/ lub odrabiać na pańskim określoną, naogół wysoką, liczbę dni. Zatem, oficjalne zniesienie pańszczyzny zmieniło tylko formę uzależnienia.

Majątek kwaterski z czasem powiększał się. Według potwierdzenia z roku 1872, wcześniejszego zapisu testamentowego Antoniego Glindzicza na rzecz żony, obejmuje ziemi uprawnej 446 dziesięcin, lasu 89 dziesięcin i nieużytków 118 dziesięcin. W roku 1904 majątek ogółem posiadał 891 dziesięcin, co w przeliczeniu na obecne hektary, stanowiłoby około 990 ha, a więc duży majątek.

Ród Glindziczów, według starej pisowni Glindzieczów, lub Gliendziczów, których majątek i nazwisko przejął ostatni dziedzic kwaterski, zasługuje na poświęcenie mu nieco uwagi. Stary to ród kresowy osiadły na Grodzieńszczyźnie, rozrośnięty na wiele gałęzi. Jego szlachectwo herbu "Ostoja" uznane zostało i zapisane do II kategorii.

Carat od początku zaboru polskich ziem uważał stan szlachecki za zagrożenie. Słuszność tego rozumowania potwierdziły wszystkie polskie zrywy wolnościowe. To też konse-



herb Glindzieców " Ostoja "

kwentnie dążono do rozbicia stanu szlacheckiego i zróżnicowania na kategorie, możliwie je obniżając, by zepchnąć szlachtę do stanu chłopskiego. W ten sposób około dwieście tysięcy drobnej szlachty na kresach zostało pozbawionych szlachectwa. Oznaczało to obarczenie podatkami, pozbawienie prawa do posiadania ziemi, obowiązek kilkunastoletniej służby wojskowej bez możliwości awansu i brak możliwości pełnienia państwowej służby urzędniczej. Praktycznie skazywało zdeklasowanego na nędzną vegetację do śmierci. Dla ratowania swego statusu społecznego i związanych z nim przywilejów, szlachcic zobowiązany był przedłożyć przed Komisją Wywodową wiele dokumentów, których uzyskanie w odpowiednich urzędach, w warunkach słynnej biurokracji rosyjskiej i usan-

kcjonowanego łapownictwa wymagało nie lada zachodu i kosztów. Nie każdego było stać na to. Dla przykładu - dekret wywodowy rodu Monkiewiczów liczył 3237 sztuk załączonych dokumentów ! Protokoły Komisji Wywodowych wysyłane były do Heroldii w Petersburgu, która je weryfikowała latami i zatwierdzała wciągając do rejestru, lub odrzucając pod byle pretekstem. Jak widać nie łatwa była pod zaborem rosyjskim obrona praw obywatelskich.

Różne dokumenty wymieniają przedstawicieli rodu Glindziczów:

Andrzeja - dworzaniina skarbowego Wielkiego Księstwa Litewskiego, a następnie komisarza cywilnego i wojskowego na powiat grodzieński, żonatego z Konstancją z Puciatów, lata 1786, 1792.

Adama - kanonika smoleńskiego i dziekana słonimskiego - 1789 r.

A na przełomie XIX/XX wiek - Mieczysława /1836 - 1916/, doktora medycyny, który z ramienia Rządu Narodowego piastował funkcję naczelnika organizacji cywilnej powiatu wołkowyskiego w okresie przygotowań do powstania styczniowego. Zaangażował się w tę straceńczo-patriotyczną robotę wraz z braćmi, za co wszyscy drogo zapłacili. Po wybuchu powstania Mieczysław organizuje służbę sanitarną w oddziale Ramotowskiego i wraz z nim walczy w Augustowskim w bitwach pod Kadyszem, Gruszkami, w Kozim Rynku, pod Rzęśnikami i Strzelcowizną, od maja do września 1863 r. Kiedy oddział został rozбит i otoczony, nie traci przytomności, zbiera kilkunastu śmiałków i pod jego dowództwem przedzierają się, uchodząc z okrażeń. Ścigany przez Rosjan, otrzymuje wiadomość o śmierci brata Jana w więzieniu wołkowyskim, więc uchodzi za granicę. Przedostaje się do Francji, gdzie na emigracji kontynuuje studia medyczne i praktykę lekarską. Zakłada rodzinę żeniąc się z Rose Gozzini. Źródła rosyjskie podają, że został uwięziony i zesłany w głąb Rosji. Może władze carskie nie chciały się przyznać, że umknął im naczelnik powiatu.

Drugim bratem Mieczysława, który podobnie jak Jan zapłacił śmiercią za aktywność patriotyczną, był dziedzic majątku Kwatery - Antoni Glindzicz. Ożeniony był z Teodorą z domu Orzeszko, siostrą Piotra - męża Elizy, pisarki kresowej z Pa-

włowskich Orzeszkowej, późniejszej pisarki pozytywistycznej. Tak przez małżeństwo nastąpiła koligacja rodów Orzeszków i Glindziczów. Antoni od dawna zresztą znał matkę Elizy, Franciszkę z Kamińskich - Pawłowską, z majątku Milkowszczyzna nad Niemnem, w Grodzieńskim. Tu spędziła dzieciństwo Eliza i tu powróciła po konfiskacie majątku męża. Ten majątek rodziny zresztą sprzedała ostatecznie, po nieudolnej gospodarce, oczywiście Rosjaninowi, bo tylko Rosjanom wolno było nabywać ziemię. Był to grzech niewybaczalny w opinii ówczesnego społeczeństwa kresowego. Eliza bywała niejednokrotnie w Kwaterach i nawet spędziła tam czas dłuższy w latach panieńskich, z tytułu znajomości z Antonim, który ostatecznie wystąpił w roli swata o rękę Elizy dla swego szwagra Piotra, starszego o 16 lat od niej. Eliza wspomina w listach Antoniego bardzo pochlebnie, jako poważnego, rozumnego, czytanego, cieszącego się powszechnym poważaniem. Antoni piastował godność prezesa Izby Cywilnej powiatu grodzieńskiego.

W jednym z listów Eliza wspomina swaty :

" ...mama w kilku słowach powiedziała mi to, o czym już wiedziałam i zapytała czy chcę zostać żoną pana Orzeszki. Dygając bez wahania odpowiedziałam - tak ! Pan Glindzicz powstał i po kilka razy w rękę mnie pocałował mówiąc przy tym wiele słów grzecznych i pochlebnych, po czym moja mama jego i nieobecnego pana Orzeszkę na obiad zaprosiła ".

Po ślubie w 1858 roku młodzi małżonkowie według ówczesnego zwyczaju, objeżdżali dwory bliższych i dalszych krewnych obu rodzin, więc zapewne byli także w Kwaterach u Antoniego Glindzicza. Prawdopodobnie po raz ostatni, bowiem gdy wkrótce małżeństwo poczęło się rozpadać, za co Eliza w sferach towarzyskich była potępiana, należy wątpić by bywała u swata. Zresztą w sześć lat po ślubie Elizy, Antoni zmarł w więzieniu wołkowyskim.

Wracając do kwestii powstania styczniowego, Eliza również brała w nim czynny udział, zresztą wbrew woli męża, za to z jego bratem Florentym, lekarzem. Wozil leki i zaopatrzenie do obozu powstańców w lasach Horeckich na Polesiu. Ukrywa we dworze w Ludwinowie/majątek męża w Kobryńskim/

Domualda Traugutta- dyktatora powstania, a następnie w przebraniu przewozi za kordon, do Królestwa. Okrutnie zaborca zemścił się na patriotach. Piotr, mąż Elizy został aresztowany i zesłany na Sybir, za aktywność żony, gdy ona sama zdołała uknąć do Milkoszczyzny. Majątek Ludwinowo został skonfiskowany. Antoni Glindzicz wraz z żoną Teodorą zostali aresztowani i osadzeni w więzieniu wołkowyskim, gdzie Antoni zmarł po dwóch latach. Majątek Kwatery został obciążony kontrybucją 200 rubli i przeznaczony do konfiskaty, od której zresztą odstąpiono po śmierci Antoniego, pozostawiając żonie zwolnionej z więzienia, której odmówiono jedynie wdowiej reaty. Pisze o tym Eliza w jednym z listów :

" Zaledwie przyjechałam do Grodna, dowiedziałam się o śmierci szwagra mego męża zaszczej w Wołkowysku. Musiałam więc tam się udać dla odwiedzenia i pocieszenia siostry jego/siostry męża, a żony Antoniego - Teodory/, która też i sama uwięzioną. "

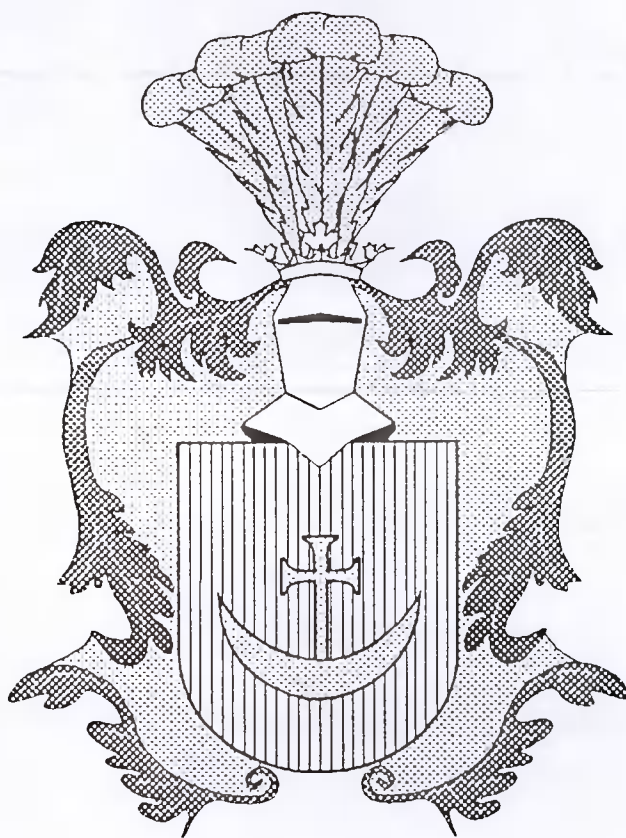
Majątki Glindziczów w powiecie grodzieńskim to : Glindzicze, Maciejewicze, Staniewicze, Burniewo, Siemieręki, a w powiecie wołkowyskim - Kwatery. Później, przez kolidacje doszły Nowosady w Nowogródczyźnie.

Jan Glindzicz pojął za żonę Mariannę z Horehładów, według starej pisowni Gorehładów. Był to stary ród białoruski herbu "Szeliga", który w roku 1496 otrzymał od księcia Kiebowicza nadanie pięciu gospodarstw na Polesiu we wsi Włazy. Po udowodnieniu szlachectwa 129 przedstawicieli tego rodu zostało zapisanych do ewidencji szlachty w guberni mińskiej.

Marianna wniosła w małżeństwo Nowosady jako wiano. Majątek stał się przedmiotem rodzinnego nieporozumienia, jak wynika z korespondencji z roku 1859. Siostra Marianny Emilia, rościła prawo do części majątku, której nie otrzymała. Na skutek tego zerwała stosunki ze szwagrem i wogóle rodziną Glindziczów. Tak przynajmniej sprawę przedstawia autor korespondencji, wuj Marianny

i Emilii, który chciał sobie także zapewnić locum w części majątku rzekomo należnej Emilii. Przyznał, że na skutek waśni rodzinnych, cała jego familia Minasowiczów podpada. W każdym razie Nowosady w całości pozostały przy Mariannie i Glindziczach. Należy wątpić, by Marianna skrzywdziła siostrę, bowiem cieszyła się opinią niezwykle dobrej i litościwej kobiety, a więc zapewne majątek w całości był jej przekazany przez rodziców posagiem. Po Janie i Mariannie Glindziczach, Nowosady otrzymała ich córka Klementyna, która około 1893 roku poślubiła lekarza ze Świsłoczy, doktora Adolfa Bitnera. Brat Klementyny, Józef Glindzicz w roku 1904 otrzymuje "pod dozór" majątek Kwatery. Nastąpiło to chyba po śmierci Teodory, wdowy po Antonim, który jej zapisał majątek w testamencie. Nie wiadomo czy Antoni i Teodora mieli potomstwo. Jeśli nie, oddanie "pod dozór" mogło nastąpić

herb Horehladów " Szeliga "





Józef Glindzicz z żoną

z urzędu. Można przypuszczać, że Józefowi powierzono majątek, który niegdyś miał być skonfiskowany, albo z tytułu bliskiego pokrewieństwa z Antonim/ brat rodzony lub stryjeczny/, albo jako krewnemu i lojaliście piastującemu godność honorowego sędziego powiatu wołkowyskiego. Tak czy inaczej, w roku rodzeństwa Glindziczów znalazły się majątki: po matce Nowosady, po ojcu Siemieręki, które później sprzedali i po Antonim i Teodorze Kwatery.

Józef Glindzicz to ciekawa postać. Michał Federowski kreśląc jego rys biograficzny pisze, że był to typ Podbięty, z Trylogii Sienkiewicza, ruchliwy, krzepki, szlachetnych rysów. Piastując urząd prokuratora, w ciągu 35 lat objechał całą Rosję. Towarzyszyła mu Krystyna, dziewczyna z Nowosad, poddana jego matki, bardzo przywiązana

do swych państwa. Przy Józiku pełniła obowiązki niańki, a później towarzyszyła mu jako gospodyni w Rosji. Federowski pisze, że Józef przed ożenkiem oderwał się od hulaszczego życia i birbanterii, a po dość długiej pokucie w klasztorze gdzieś w Normandii, znabożniał, spoważniał, zahartował wolę i poskromił namiętności, z wyjątkiem karcianej, która towarzyszyła mu do zgonu. Był lojalistą wierzącym w dyplomację i potęgę caratu. Stąd też nie miał miru wśród patriotycznego ogółu ziemiaństwa. Przyłgnęło do niego przezwisko "Katarzyniarza", którym obdarzono około sześćdziesięciu arystokratów i zamożniejszych ziemian, przymuszonych do uczestnictwa w uroczystości odsłonięcia pomnika carycy Katarzyny II w Wilnie 1904 roku. Społeczeństwo doby powstaniowej, zgnębione moralnie i materialnie, niejednokrotnie demonstrowało w różny sposób swoją lojalność wobec zaborcy.

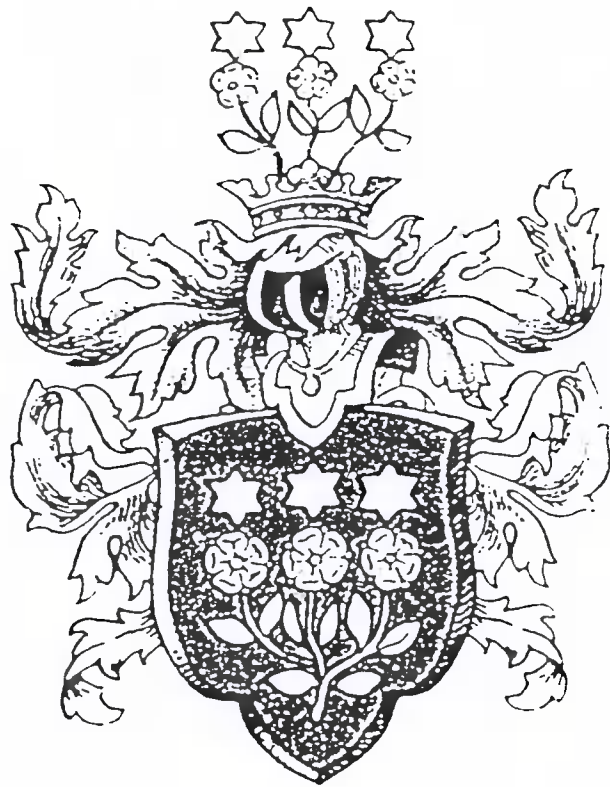
Józef jako bezdzietny usynowił w 1905 roku swego siostrzeńca Adolfa, syna siostry Klementyny i doktora Bitnera. Przekazał dziewięcioletniemu Dolkowi Bitnerowi nazwisko i uczynił go spadkobiercą majątku. Sądzić należy, że nie był to tylko gest sympatii, ale również chodziło o utrzymanie majątków w jednym ręku, na wypadek śmierci bezdzietnego Józefa. Pamiętać trzeba, że prawo nabywania ziemi na kresach, przysługiwało tylko Rosjanom, a zatem, w przypadku braku spadkobiercy, majątek zostałby któremuś z nich sprzedany. Dzięki temu Dolek stał się prawnym dziedzicem, ostatnim zresztą, Nowosad po matce i Kwater po wuju. Odtąd używał podwójnego nazwiska Bitner-Glindzicz. Synowie jego posiadają jeszcze po przodkach sygnet, z herbem Glindziczów.

Różne są opinie co do pochodzenia rodu Bitnerów. Jedni twierdzą, że Bitnerowie wynodzą się z Niemiec, inni, że ze Szwecji. Osobiście sędzę, że pochodzą z Niemców kurlandzkich, którzy w XVI do XVIII wieku, kiedy to Kurlandia stała się lenno polskie, zaciągali się do służby wojskowej w Koronie lub w Wielkim Księstwie Litewskim. Tradycja wojennego rzemiosła przetrwała w tym rodzie. Od kapitana

Jana Bitnera walczącego pod Wiedniem w 1683 roku w wojskach Króla Jana III Sobieskiego, poprzez Józefa, kapitana armii napoleońskiej, po Wojciecha i Józefa, oficerów doby powstania listopadowego. Dokumenty wymieniają jeszcze innych wojskowych, jednak nie ma pewności czy wywodzą się z tego samego pnia rodowego. Byli także funkcjonariusze służb cywilnych jak : sędzia ziemski, poseł na sejm, marszałek szlachty i inni.

Postacią ważną dla historii rodu, był syn wspomnianego uczestnika bitwy wiedeńskiej - Jerzy, podpułkownik W.K. Litewskiego, który spolszczył nazwisko rodowe na Bernowicz i dał początek drugiej gałęzi rodu. Obie zresztą pieczętują się tym samym herbem własnym niemieckiej szlachty : " Bitner " vel " Bernowicz ". Jego wizerunek przedstawia trzy srebrne róże na tarczy, z trzema złotymi gwiazdami. Ten sam motyw powtórzony w klejnocie hełmu. Heraldycy nie są zgodni co do koloru tarczy. Ostrowski, Boniecki i Niesiecki podają barwę niebieską, herbarz "Rodzina"-Mruskiego, Kosinskiego i Włodarskiego, podaje kolor czerwony.

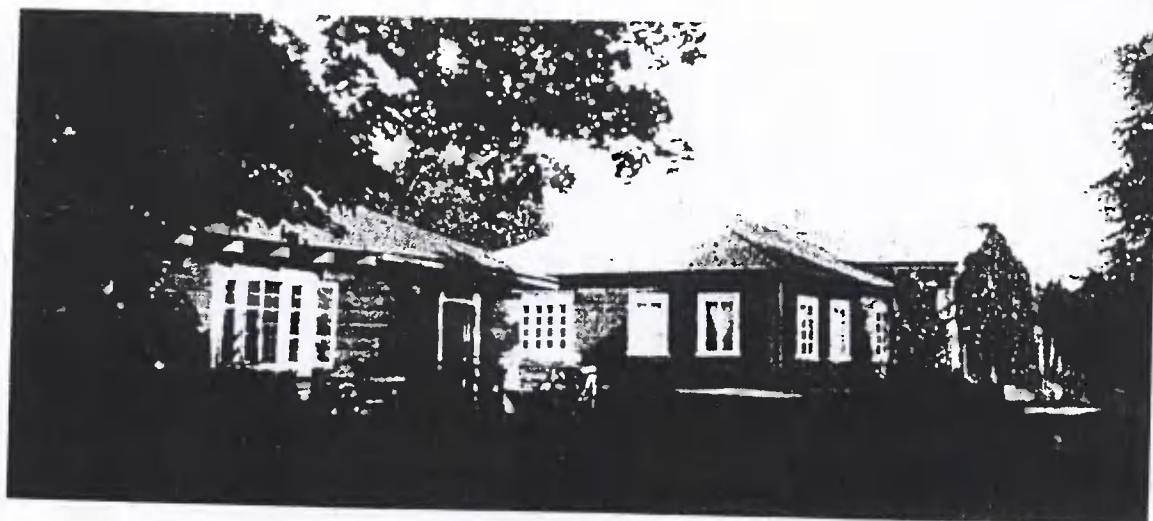
herb "Bitner" vel "Bernowicz"



Bernowiczowie zmieniając nazwisko zmienili także analogicznie nazwę herbu zachowując jego wizerunek. Wspomniany kapitan, później major Jan Bitner otrzymał od Króla Jana III Sobieskiego indygenat w roku 1676, czyli przyznanie obywatelstwa i szlachectwa polskiego. Prawdopodobnie w uznaniu zasług w rzemiośle wojennym. W czasach rozbioru Rzeczypospolitej, w roku 1800, potomkowie Jana udowodnili przed Komisją Wywodową swoje szlachectwo w guberni grodzieńskiej.

Pra-pra-wnuk Jerzego, Władysław Bernowicz, ożeniony z Michaliną Ilnicz-Zubko, być może przez małżeństwo wszedł w posiadanie majątku "Zubki" w Nowogródzkim, który rodzina ta dzierżyła do wybuchu drugiej wojny światowej. Majątek położony nad rzeką Ceprą, w gminie i parafii kleckiej, w roku 1895 liczył 17 włók ziemi ornej, czyli 280 hektarów, a więc gospodarstwo średniej wielkości. Dawniej majątek należał do powiatu słuckiego, a po traktacie pokojowym z 1921 roku, gdy Słuck pozostał po stronie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich/ ZSRR/, przypisano go do powiatu nieświeskiego. Tylko 4 kilometry dzieli dwór od sowieckiej granicy. W czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, przepadły ze dworu cenne zbiory sięgające XV wieku. Wśród nich autografy królów polskich i dzieła historyczne. Zapewne był tam także dokument Króla Jana przyznający Bitnerom polskie szlachectwo. W tamtych czasach z wielką pieczołowitością przechowywano rodowe dokumenty i pamiątki, które gdyby się ostały, stanowiłyby bezcenny materiał do badań historycznych.

dwór w Zubkach



Jeden z Bitnerów - Zdzisław, ożeniony z Wincentyną z Jabłońskich herbu "Jasieńczyk", dożył pono 100 lat. Jabłońscy byli właścicielami majątków w Łomżyńskim : Pniewo, Rybno, Boguszyce i inne, także w Siedleckim i Płockiem.

Zdzisław wcześniej owdowiał i sam wychowywał dzieci w surowej dyscyplinie. Miał trzy córki i syna. Najstarsza Maria wyszła za Eustachego Wysockiego z Hurczyn i była matką Bronisława. Druga córka Henryka zamężna za Julianem Zegockim, osiadła na Kielecczyźnie w dzierzawionym majątku Książnica Mała. Ta była chrzestną matką Bronisława, swego siostrzeńca. Przecim dzieckiem był syn Adolf, doktor nauk lekarskich, ożeniony z Klementyną Glindzicz z majątku Nowosady w Nowogródzkim. Ostatnim dzieckiem była córka Stefania, która poślubiła Michała Federowskiego, zapalonego etnografa Białorusi.

Wiadomo, że Zdzisław jako wdowiec przebywał czasowo w rodowych majątkach żony, a także u dorosłych dzieci. Nie udało się jednak ustalić jego stałego miejsca zamieszkania.

Zachowało się kilka jego listów pisanych do córki Stefanii i zięcia Michała, niestety naogół niedatowanych. Jak z nich wynika, miał bardzo serdeczny stosunek do rodziny mimo, że jak wspomiano wyżej, był surowym wychowawcą.

Do najmłodszej córki Stefanii w okresie jej ciąży pisze 26.X. 1892 z Książnic Małych :

" Kochana Stefciu !

I Ty znów chcesz mnie zrobić dziadkiem ? !
Co ja słyszę ? Ty Westalko - Ty Strażniczko
cnót i niewinności kobiecej - zaawansowałaś
tak prędko na Matusię. Już teraz zaczynam się
uśmiechać, ale gdy przyjadę i obejrzę zmie-
nioną Twą figurkę, owej idealnej niegdys



Zdzisław Bitner

szczupłości, toż to będę miał się czemu przy-
patrywać a dziwność, że się Wam zebrało na
takie zbytki ! No... no... "

A w innym znów liście pisze z uczuciem a żartobliwie :

"Droga Stefciu !

Nigdy tyle nie zrodziło się w mym sercu
chęci ile dziś, aby Cię zobaczyć wśród Two-
jej drobnej a corocznie prawie zwiększają-
cej się rodziny. Wyobrażam sobie Cię jak
kwoczkę zwołującą drobiazg do znalezione-
go ziarenka lub robaczka....

Chcę Ci posłać tyle zachwalaną i poczytną
powieść Prusa "Lalka" i album, skoro nadej-
dą z Warszawy "



Kwatery: Stefania Bitner-Fedcrowska ze swagierką
Klementyną Glindzicz, Bitnerową

Jakaś nostalgia gniotła samotnego starca, którą wyraził
w innym liście do Stefci, zdradzającym dużą wrażliwość

"...Jakżebym pragnął widzieć Cię uściskać
i ucałować śliczne Twoje oczęta po ojcow-

sku i jak niegdyś w szarej godzinie po -
słuchać cudnej melodii, którą Twoje palusz-
ki tak umiejętnie, tak biegle wydobywały
z fortepianu. Dziś on stoi osamotniony, jak
skamieniały, a ja bez muzyki dziś stałem
się ponury, zadumany, zgorzkniały. O wierz
mi, że człowiek, który nie czuje piękna
w poezji, który unika dźwięków muzyki, to
albo jest/ tu nieczytelne wyrazy/i zdol-
ny do czynów, które jego własny rozum po-
tępia....

Już skowronki u nas ówierkają i czajka
była widziana, ale to " za wcześnie kwiat-
ku za wcześnie ".

Dziś ostatni dzień karnawału a Warszawa
smutno wie dzie dni szalonego zapustu.
Domy magnackie i zamożnej szlachty zam-
knięte. Dobroczynne instytucje muszą się
bawić ale i to nie idzie. Maskarady upad-
ły, bo dziś wszędzie chodzą w maskach.
Gdzie się podziało owo życie z młodoś-
ci mojej, gdzie ów zapal, ożywienie, werwa.
....Upadek ducha, zanikanie tradycji, ob-
niżenie poziomu zamożności, sprowadziły
nas do tego, że nosić musimy wieczną za-
łobę..... "

Świsłocz: stary kościół murowany rys. N.Ordy



Syn Zdzisława, Adolf/ 1860-1924/rozpoczął praktykę lekarską w Świsłoczy około roku 1884.

Świsłocz to stare historyczne miasto, wymieniane w dokumentach już w 1256 roku. Prawa miejskie nadał Król Zygmunt Stary w 1520 roku i w dwadzieścia lat później, miasto wraz z Puszcza Świsłocką, ofiarował za zasługi Hieronimowi Chodkiewiczowi, dziadowi sławnego hetmana.

Wszakże po 32 latach, król Zygmunt August darowiznę na powrót włączył do dóbr królewskich, oddając Chodkiewiczom jako rekompensatę Lachowicze. W zmiennej kolei losów, znów odzyskują dobra Chodkiewiczowie z nadania króla Stefana Batorego, by następnie w drodze sprzedaży i zastawów stały się na koniec własnością Tyszkiewiczów. Im to, a zwłaszcza Wincentemu Tyszkiewiczowi, ekscentrykowi ale i dobremu gospodarzowi miasteczko zawdzięcza rozwój i rozbudowę. Przy starym pałacu, gdzie odbywały się bale, przedstawienia teatralne, maskarady i tak zwane żywe obrazy, założył ogród, zwierzyńiec. Zbudował ozdobne bramy wjazdowe do miasta. Wyjednał u administracji carskiej pozwolenie na organizowanie stałych jarmarków. Największą wszakże jego zasługą było założenie gimnazjum, przynoszącego sławę Świsłoczy. Ufundowane zostało i wyposażone w bibliotekę i pracownię dydaktyczną.

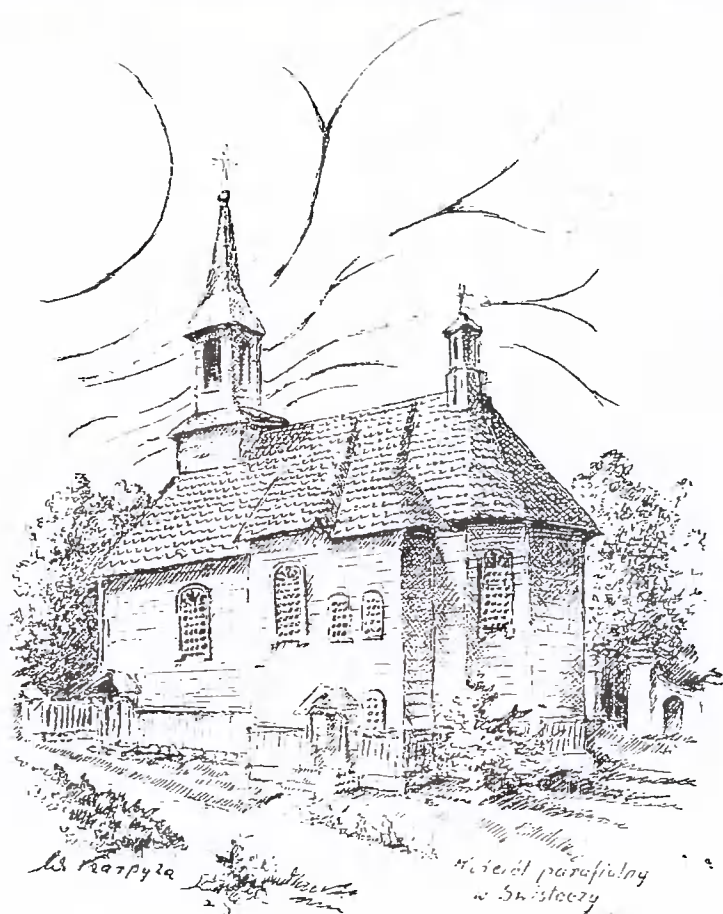
Gimnazjum w Świsłoczy rys. W. Karpyza



ktyczne właśnie przez Wincentego, który wyjednał zezwolenie władz carskich. Reskryptem z 1804 roku zostało powołane jako "Guberialne gimnazjum grodzieńskie z siedzibą w Świsłoczy". Murowany klasycystyczny gmach gimnazjum, wznosił już po śmierci Wincentego, jego spadkobierca generał Tadeusz Tyszkiewicz w 1827 roku. Kształciła się tu młodzież męska okolicznych ziemian ale także i ze stron dalszych. Wychowankami było wiele wybitnych postaci jak: pisarz Ignacy Kraszewski, Romuald Traugutt - dyktator powstania styczniowego, malarz Napoleon Orda, Konstanty Kalinowski - jeden z przywódców powstania 1863 roku i inni. Miało gimnazjum również znakomitych wykładowców i wychowawców, jak dla przykładu Paweł Wysocki, lubiany i szanowany, który został zesłany na Sybir za patriotyczne wychowywanie młodzieży.

Pomnik Romualda Traugutta w Świsłoczy





Kościół parafialny w Świsłoczy
rys. W. Karpyza

W murach tego gimnazjum działały tajne związki patriotyczne "Zorzan" i "Promienistych", z pośród których wywodziło się wielu późniejszych filomatów i filareków.

Za udział gen. Tadeusza Tyszkiewicza w powstaniu listopadowym, carat skonfiskował cały majątek tej rodziny. Po powstaniu styczniowym gimnazjum zostało zamknięte. Później uruchomiono w nim rosyjskie seminarjum nauczycielskie. W roku 1924 w wolnej już Polsce, otwarto tu, tym razem polskie seminarium nauczycielskie imienia Romualda Traugutta. Na jego cześć wzniesiono ze składek społeczeństwa pomnik.

Tutejszy drewniany kościółek, wzniesiony w miejsce spalonego murowanego, dla majątku Kwatery był kościołem parafialnym. Z prawej strony ołtarza Bitnerowie mieli ławkę kolatorską w prezbiterium. Na tutejszym cmentarzu byli chowani, o czym będzie jeszcze mowa.

Otóż w tym miasteczku doktor Adolf Bitner, syn Zdzisława prowadził praktykę lekarską przez lat czternaście. W tym czasie ożenił się, pojmując za żonę Klementynę Glindzicz z majątku Nowosady, siostrę Józefa, późniejszego właściciela Kwater. Uroczystość ślubna odbyła się w roku 1893 lub 1894. Jako lekarz i człowiek cieszył się doktor szacunkiem i zaufaniem społeczności. Był człowiekiem łagodnym, życzliwym i bezinteresownym. Niejednokrotnie biedotę leczył darmo. W czasie epidemicznych chorób ofiarnie niósł pomoc lekarską. Oprócz praktyki ogólnej interesowała go chirurgia i okulistyka. Wielokrotnie wyjeżdżał za granicę dla doskonalenia swych umiejętności. Był lekarzem bardzo wziętym, z dala przyjeżdżali doń pacjenci, nawet zza granicy. Równocześnie jako społecznik działał w Grodzieńskim Towarzystwie Rolniczym. Zabiegał o popularyzowanie i wdrażanie nowych osiągnięć w rolnictwie. Po przejęciu Kwater przez szwagra Józefa, doktor wraz z żoną zamieszkali przy nim. W majątku założył doktor małą lecznicę, "bolnicę" jak mówiono w okolicy, w jednym z budynków folwarcznych. Dziś nazwalibyśmy ją izbą przyjęć. Nadal jednak prowadził praktykę w Świsłoczy.

Zacnych rodziców Bóg obdarzył dwojgiem dzieci. Córką Marią urodzoną w roku 1894 i synem, po ojcu ochrzczonego Adolfem, urodzonym w dwa lata później w Kwaterach, ostatnim ich dziedzicem, zwanym w rodzinie Dolkiem.

Z nieznanых powodów w roku 1908 wraz z żoną i dziećmi przenosi się doktor do Nowosad, majątku żony, gdzie gospodarzą, a równocześnie prowadzi swoją lekarską praktykę w okolicy. Podobnie jak w Kwaterach, zakłada we dworze "bolnicę". Być może, gospodarstwo wymagało stałego dozoru gospodarza na miejscu, a Józef przecież od lat czterech przebywał w Kwaterach.

W 1919 roku zmarł szwagier doktora Józef Glindzicz, dziedzic na Kwaterach. Może w związku z tym doktor powraca do powiatu wołkowyskiego. Zamieszkuje w Kwaterach, prowadzi gospodarstwo i praktykę lekarską, oraz działalność społeczną. Znów czynna jest kwaterska bolnica, znów ordynuje w Świsłoczy. Towarzystwu Rolniczemu proponuje



Świsłocz: tablica upamiętniająca dawną nazwę ulicy umieszczona w 1995 roku.

założenie lokalnej szkoły rolniczej i na ten cel deklaruje przekazanie 18 dziesięcin ziemi z majątku kwaterskiego. Projekt nie został zrealizowany, może na skutek wojny polsko-bolszewickiej i trudności odbudowy państwowości polskiej. W roku 1922 doktor kandyduje z listy Chrześcijańskiego Związku Jedności Narodowej na posła do Sejmu Rzeczypospolitej.

Dnia 18 stycznia 1924 roku, w wieku 64 lat zmarł doktor Adolf Bitner. W uznaniu jego zasług dla regionu, jedną z ulic Świsłoczy, prowadzącą w kierunku Kwater, nazwano jego imieniem. W wiele lat później, w roku 1995, wnuk doktora Myszard Bitner-Gładzicz odwiedzający strony rodzinne, uzyskał zgodę władz administracyjnych na umieszczenie przy tejże ulicy/ nazwanej Komсомolską / tablicy upamiętniającej dawną nazwę i zasługi doktora. Tablica dwujęzyczna została wykonana w Polsce i przesłana do Świsłoczy, gdzie zgodnie z ustaleniem umieszczono ją z okazji uroczystości 740-lecia miasta. Ciało zmarłego spoczęło na cmentarzu w Świsłoczy. Na postumencie wyryto słowa:

"Służył ludności i Bogu
Pokój Jego zacnej duszy "



Grób dra Adolfa Bitnera w Świsłoczy
zdjęcie wykonane w 1995 r.

Jeszcze długo po śmierci doktora, nieorientowani przyjeżdżali po poradę lekarską.

Zona doktora - Klementyna zmarła niemal dokładnie w siedem lat po śmierci męża, 24 stycznia 1931 roku. Pochowana została również na świsłockim cmentarzu, nie wiadomo czy przy mężu, czy w osobnej mogile.

Śmierć Józefa Glindzieza automatycznie uczyniła Dolkę, syna doktora, spadkobiercą kwater. Narazie jednak gospodarstwo prowadzili rodzice, podczas gdy Dolek pobierał nauki. Najpierw w gimnazjum w Białymstoku, mieszkając u Antoniny Zołądkowskiej, swojej chrzestnej matki, przy ulicy Modlińskiej 5, a następnie w Warszawie na wydziale agronomii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Nie było mu jednak danym ukończenie studiów. Śmierć ojca

spowodowała, że powrócił do Kwater by prowadzić odziedziczone po waju gospodarstwo i matczyne Nowosady. Nie łatwe to było zadanie. Majątek Kwaterny liczył 440 hektarów, dwór i zabudowania folwarczne, majątek Nowosady odległy o 145 wiorst, obejmował areał 1000 ha. i zabudowania dworskie. W obydwu było nieco żywego inwentarza ocalałego z wojny. Były to lata dźwigania gospodarstw z powojennych zniszczeń. Majątki na ogół były ograbione, pozbawione zapasów, inwentarza, siły roboczej, nierzadko popalone, zadłużone zaciągniętymi pożyczkami na odbudowę. Dwory kwaterski i nowosadzki wprawdzie ocalały od pożogi, ale jak inne były zrabowane i zdekastowane. Młody dziedzic okazał się zaradnym, a wielce pomocną stała się pani dziedziczka, Maria z Grochowskich, z ziemian-
skiej rodziny herbu "Lubicz", z majątku Drogoszewo w Łomżyń-
skiem. Jako absolwentka warszaw-
skiej szkoły im. C. Zyberg-Plate-
równiej i szkoły dla ziemianek
w Chyliczkach pod Warszawą, była
świetnie przygotowaną do swojej
roli. Młodzi poznali się w Ostro-
łęce, na balu z okazji święta puł-
kowego, prawdopodobnie 5 Pułku
Ułanów Zasławskich z Podlaskiej
Brygady Kawalerii. W uroczysto-
ści uczestniczyli ówczesnym zwy-
czajem zapraszani ziemianie oko-
liczni i dalsi, przedstawiciele
władz państwowych i hierarchii
kościelnej. Czasem przypadek
rzadzi ludzkim losem. Konie z zaprzęgów niektórych gości
zachorowały i były chwilowo niezdolne do jazdy powrotnej.
Przeto Dolek jako jedyny z gości dysponujący autem, odwo-
ził do Łomży księdza biskupa, a następnie państwa Grochow-
skich, do odległego zaledwie 15 kilometrów od Ostrołęki
Drogoszewa. I tak to się zaczęło. Energiczny, dobrze ułożo-
ny i towarzyski, około 30-letni mężczyzna, zwrócił na sie-
bie uwagę. Wzajemnie, panna Maria swą urodą musiała zburzyć
jego spokój. Zapewne dwór drogoszewski niejednokrotnie jesz-



Adolf Bitner-Glindziec
" Dolek "

cze gościł Kresowiaka, na tyle skutecznie, że w 1928 roku, 29 kwietnia odbył się ślub Marii Grochowskiej i Adolfa Bitner-Glindzicza.

Nowa dziedziczka była świetną gospodynią. W dużej mierze na jej barkach spoczywało gospodarstwo. Dziedzic często przebywał poza domem, czego wymagało zarządzanie Nowosadami, później także Drogoszewem. Nadto udzielał się społecznie w Związku Ziemiaków, którego czas jakiś piastował nawet prezesurę. Tygodnik Wołkowyski z 11.X.1932 donosił:

"Walne Zgromadzenie Związku Ziemiaków Oddział w Wołkowysku, wybrało nowy zarząd w osobach: Adolf Bitner-Glindzicz - prezes, członkowie: Henryk Butówt-Andrzejkiewicz, Kazimierz Bisping, Oskar Meysztowicz".

Nie gardził też towarzystwem i dziś trudno określić w jakim stopniu względami towarzyskimi, a w jakim gospodarskimi i społecznymi dyktowane były częste wyjazdy.

Mieczysław Federowski w dzienniku spisywanym od 1928 r. aż po 4.X.1939, wspomina o częstych wizytach Dolka w stolicy. Miał tu znajomości ze studiów i rodzinę. Mieczysław był jego ciotecznym bratem, a matka Dolka - Klementyna była chrzestną Mieczysława. Z kolei żona Dolka - Marynia, została chrzestną córki Mietka - Ewy. Otóż w dzienniku, każdego roku notowane są przyjazdy Dolka. Dla przykładu: 1-4.I.1932 Dolek przyjechał, 14-31.I.32 Dolek w Warszawie i znów 10-12.II. tegoż roku i jeszcze 27-29.II, a potem w V, VIII i t.d. w stolicy miał starszą siostrę Marię, która w roku 1920 wyszła tu za płk. T. Różyckiego, a w czterech latach później zmarła bezdzietnie w wieku 30 lat. Pochowana została na Powązkowskim Cmentarzu. Na temat Marii i jej małżeństwa nie rozmawiano w Kwaterach. Prawdopodobnie za tym milczeniem krył się jakiś wstydlivy dramat. Wyjeżdżał Dolek także na okresowe kuracje "do wód", jak się mówiło, do uzdrowisk. Wyjazdy nie były zbyt uciążliwe. Z Kwater jechało się 5 kilometrów do stacji kolei "Brzostowica", a stamtąd pociągiem przez Białystok do Warszawy. Być może, także własnym samochodem/który we dworze kresowym na owe czasy był ewenementem/, bywał w stolicy nie tak bardzo odległej, a miał ku temu jeszcze jeden po -

wód. Po Glindziczach odziedziczył także dom w Warszawie. Miał więc, być może i kwaterę na czas pobytu i motywację przyjazdu, a Warszawa miała swoje atrakcje i pokusy, o jakich nie śniło się na kresach. W latach trzydziestych, rodowy majątek żony Drogoszewo, jak wiele innych został zagrożony licytacją. Dawał się we znaki kryzys, ale także zła gospodarka w majątku. Wówczas po naderadzie rodzinnej, Dolek sprzedał dom w stolicy, a za uzyskaną sumę pospłacał długi majątku i sam przejął jego kierownictwo, pozostawiając oczywiście na miejscu rodzinę żony tam zamieszkałą. Jeden ze szwagrów - Stanisław, spędził później w Kwaterach rok cały, ucząc się zarządzania majątkiem. Miał przejąć jego prowadzenie/Drogoszewa/ w 1940 roku.

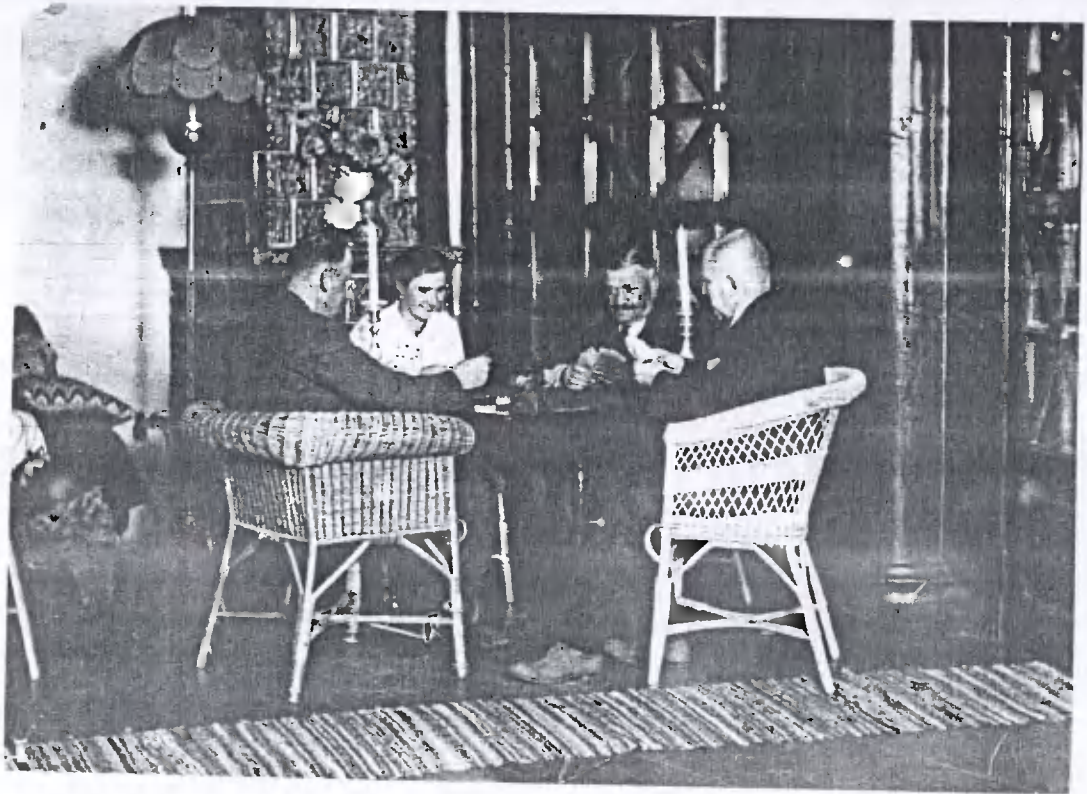


Maria z Grochowskich
Bitner-Glindziczowa

Wynikało to zapewne z jakiejś zawartej w tym przedmiocie umowy między rodzinami Grochowskich i Bitnerów, bowiem logicznym było, by majątek zwrócił Dolkowi nakłady poniesione na jego restaurację. Opieka nad Drogoszewem zmuszała również do wyjazdów z Kwater. Może to wszystko stanowiło zbyt duże obciążenie, bowiem w roku 1934 Dolek oddał Nowosady w dzierżawę.

Wejźmy do wnętrza dworu, bo na tarasie pojawiają się gościnni gospodarze. Dolek już zstępuje po schodach, a reprezentacyjna Marynia gestem i uśmiechem zaprasza do środka. Schody prowadzą na wysoki parter. Na tych schodach rozegrała się tragedia rodzinna 9 XI 1929 r. Pierworodny syn gospodarzy, Roman, na skutek nieuwagi piastunki stoczył się z tarasu wraz z wózkiem, ginąc na miejscu w trzecim miesiącu życia.

Z tarasu drzwi prowadzą do małego przedpokoju o ścianach oszklonych w trzech czwartych wysokości. Za nimi duży hol z kominkiem. U powały wisi rzucający się w oczy wchodzącym piękny pajak ze słomy i kolorowej bibuły,



Partia brydża w holu.
od lewej: Bolek, Marynia, ojciec Maryni Grochowski, NN

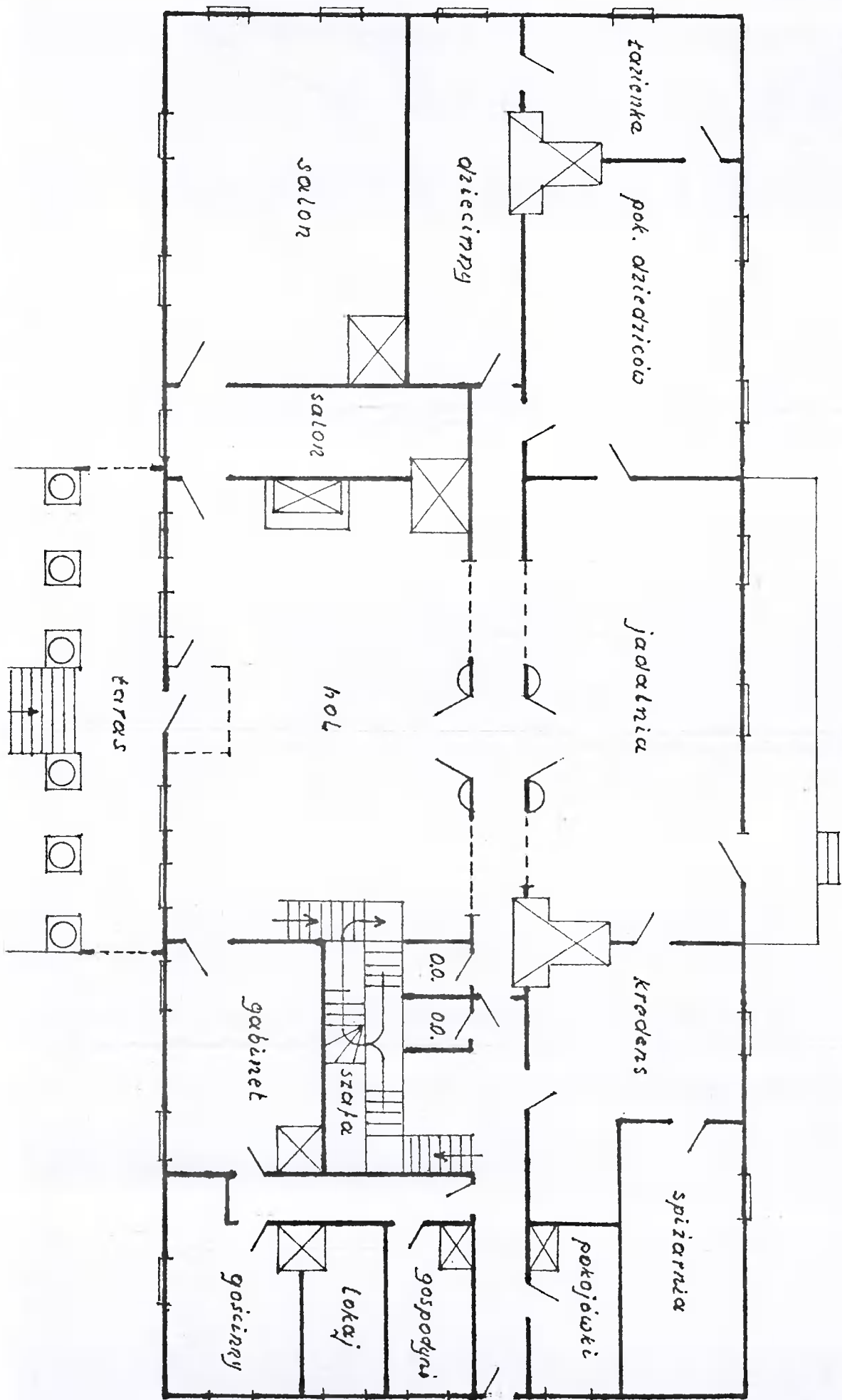
oraz ozdobny świecznik, zapalany okazynie gdy przybywali goście. Ściany wyłożone drewnianą ciemną boazerią. W narożniku holu, blisko pieca, przy oszklonej ścianie korytarza dzielącego budynek na część frontową i tylną, stoją fotele z modnej wikliny i okrągły stolik do kart. Obok lampa naitowa na wysokim postumencie, nakryta abażurem, rzucającym światło na stolik. Piec z kadnych wzorzystych kalli, którego dolna szeroka część wieńczona wysuwanym gzymssem, zdobiona była zawsze świeżymi kwiatami w wazonach. Gospodyni kocha kwiaty. Naprzeciwległą ścianę kominka, zdobi poroże jelenia z białymi końcami grotów. Drewniane podłogę zdobi samodziałowy pasiasty chodnik.

W ciepłe letnie dni, rodzina i domownicy spędzali chwile wypoczynku zasiadając na tarasie, oczywiście z Lotką, dogiem, który układał się na wprost schodów, wpatrując się w podjazd w oczekiwaniu gości. Natomiast w innych porach roku, właśnie hol stanowił jakby centrum skupiające domowników, oczywiście poza jadalnią w czasie posił-

ków. Tu także rozgrywano partie brydżowe przy każdej nadarzającej się okazji, a tych nie brakowało. Może pasja do kart była także odziedziczona po Józefie Glindziczu, może duch jego w starym dworze inspirował gospodarzy? Często gościem był Mieczysław Federowski z Warszawy, który w odległej zaledwie o cztery kilometry od Kwater t. zw. "Osadzie", koło wsi Pauluszki, poznał swą drugą żonę Zofię z Borkowskich. Później z nią i córką Ewą, regularnie przyjeżdżali do Osady na wakacje i urlopy, do mamy i siostry Zofii - Stanisławy, miejscowej nauczycielki. W Kwaterach wspólnie świętowano Wielkanoc, Sylwestra, imieniny gospodarzy, czy inne okazje. Do reguły należało odwiedzanie Kwater w czasie pobytu w Osadzie i odwrotnie. Chętnie jeżdżono ze stolicy "na wieś", o czym świadczą notatki w dzienniku Mieczysława. Przyjeżdżała także z Warszawy na wakacje siostra Maryni Aniela Drabczykowa z córką Anią, chrzestna matka starszego syna gospodarzy, matka Maryni- Aniela Grochowska. Drabczykowie nawet lat kilka spędzili we dworze kwaterskim w latach trzydziestych. Jak wspomniano, był także czas dłuższy brat Maryni Stanisław.

Okazjonalnie odwiedzali państwo Kossakowscy: Antoni z żoną Danutą. Bywał adwokat Bąckiewicz - kum Anieli przy chrzcie syna dziedziców Janusza, a z pobliskich Mieniek przyjeżdżali państwo Zasadczy. Z majątku Ciecierówka, koło stacji kolejowej "Brzostowica", bywał dziedzic Jerzy Ursyn-Niemcewicz. Przyjeżdżał z Hureczyn, zwykle sam, rzadziej z żoną, Bronisław Wysocki, cioteczny brat Dolka i Mietka Federowskiego. Z Walickowszczyzny czasem zaglądał stryjeczny bratanek Bronisława - Jerzy Wysocki i wielu innych znajomych, przyjaciół, sąsiadów.

Nie podobna pominąć dość częstych wizyt z Wołkowyska oficerów 3 Pułku Strzelców Konnych, jak wspomniano już rotmistrz Antoni Kossakowski, pułkowy doktor weterynarii kpt. Bronisław Lubieniecki, rtm. Witold Wasiutyński i inni. Wnosili zawsze wiele humoru i młodzieńczej werwy. Wołkowysk, miasto powiatowe odległe o 25 kilometrów, nie posiadało wielu atrakcji. Stałe kino, czasem pojawiał się teatr objazdowy, kasyno i trochę inteligencji rekrutującej się z urzędników starostwa, nauczycieli,



taras

salon

dziędrzycio

pok. dziędrzycio

salon

jadalnia

hol

kuchnia

gabinet

szafa

sypialnia

pokojówki

gospodyni

lokaj

gościny

palestry i lekarzy. I to też młoda kadra oficerska, w czas wolny od zajęć chętnie wyskakiwała konno do zaprzyjaźnionych dworów okolicznych, gdzie można było nie tylko pograć w karty, ale i potańczyć, poplirtować i zawsze czekał stół gościnnie zastawiony, a na nim przeróżne tajemnicze naleweczki.

Jak widać nie trudno było skompletować czwórkę do brydża, a bywało, że zasiadało nawet pięć partii! Wówczas lokaj Stanisław zapalał świecznik u poważy i wnosił do holu dodatkowe stoliki i krzesła.

Z holu na lewo wchodziło się do małego saloniku, gdzie znajdował się gramofon i płyty. Tu ich słuchano, albo otwierano drzwi do holu, a w razie potrzeby także do salonu większego, położonego za małym, gdy było więcej gości. Można było wówczas tańczyć w holu i dużym salonie. W tym drugim był także fortepian, na którym grywała Marynia, lub jej siostra Aniela, względnie ktoś z aktualnych gości. Na fortepianie leżała zarzucona skóra wilecza, trofeum chyba nie dziedzica, bo ten, choć miał sztucer, nie polował osobiście, natomiast urządzał polowania prozowne dla gości, w nowosadzkich lasach.

Przed przebudową wnętrza dworu dokonaną przez Dolka, całe lewe skrzydło dworu stanowiło salon. Mogło tu tańczyć równocześnie kilkanaście par. Być może, w dawnych czasach przygrywała żydowska kapela, jak w "Panu Tadeuszu" A. Mickiewicza. Nie było we dworze antycznych mebli. Zostały zagrabione w czasie wojny światowej, wraz ze wspomnianymi portretami królów, pamiątkami rodzinnymi, biblioteką. Nowe proste meble dziedzic skupował stopniowo wyposażając pomieszczenia, bez stylowej manieri i snobizmu na biedermeier czy empiry. Pomieszczenia, za wyjątkiem holu były jasne. Ściany wewnątrz tynkowane i malowane na biało. Podłogi były drewniane, pięknie pastowane i froterowane, miejscami nakryte samodzielnymi chodnikami w poprzeczne kolorowe pasy.

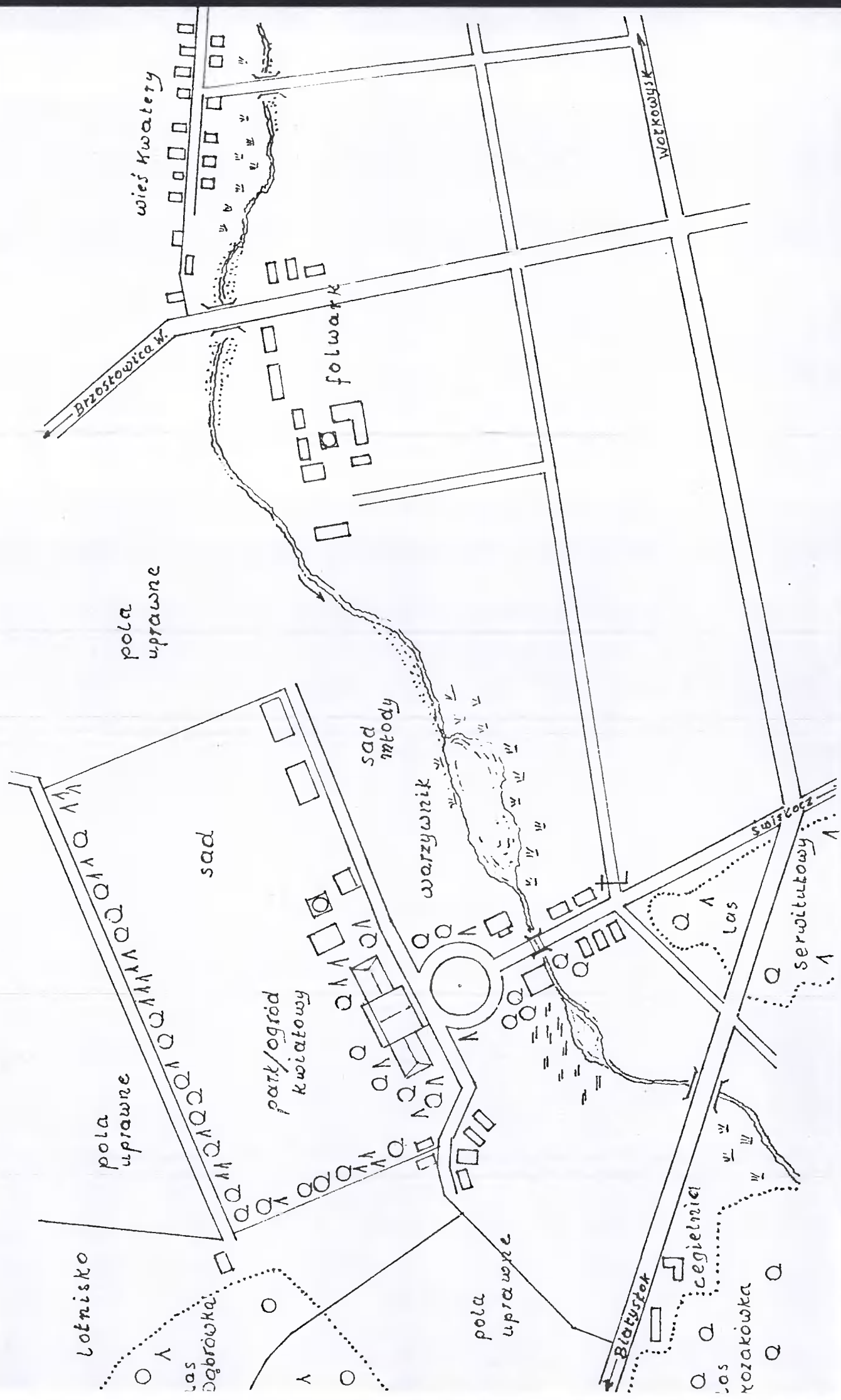
Z prawej strony holu znajdował się gabinet dziedzica. Tu było centrum zarządzania majątkiem. Tu przyjmowano interesantów i kontrahentów. Tu z rządcą Pacewiczem, "ci-

wuncem " jak mówiono na Białorusi, dziedzic ustalał strategię gospodarczą i bieżące zadania.

Stało tu duże biurko i kilka krzeseł. Tu przechowywane były wszelkie dokumenty geodezyjne i hipoteczne, kontrakty, neksele, dowody spłat pożyczek i zapłaconych podatków, rachunki i t.p. dowody obrazujące całokształt gospodarki. A w zamkniętej szufladzie leżał rosyjski " nagan ". Pól uprawnych w kwaterach było 320 hektarów, lasu 100 ha, pastwisk 15 ha, 4 ha sadu i 1 ha ogrodu warzywnego. Siano pszenicę, żyto, owies, jęczmień i hreczkę. Hodowano bydło, owce, trzodę chlewną i mnóstwo rozmaitego drobiu, sprzedawanego częściowo na jarmarkach w Świsłoczy. Były dwa buhaje zarodowe: Mircio i Miły, który wcale nie był miły lecz agresywny, czarny byk, odczuwający respekt tylko przed karbowym Kołosowskim. Oczywiście były konie do prac polowych i do wyjazdów w zaprzęgu i pod wierzch dla wyjazdu dziedzica w pole, lub dla gości.

W Nowosadach było 175 ha pastwisk, pól uprawnych tylko 20 ha, łąk i łąk łącznie stanowiły 1 ha. Natomiast lasu było ponad 800 ha. To też w Nowosadach więcej hodowano bydła. Gospodarka lesna stanowiła także ważny dział i źródło dochodu. Dla takiej powierzchni majątek winien posiadać t.zw. operat, czyli dziesięcioletni plan gospodarczy, opracowany na koszt właściciela przez państwową służbę leśną. Plan zawierał inwentaryzację lasu t.j. opis drzewostanów i ich zasobność, wskazówki i zalecenia, wyliczony etat czyli dozwoloną do wyrebu masę drewna. Dziedzic posiadał taki plan i obowiązany był stosować do niego. Część wycinanych drzew używano na własne potrzeby, na stolarkę, remonty, na opał, część sprzedawano przedsiębiorcom drzewnym.

. Kwaterach były trzy niewielkie kompleksy leśne. Jeden blisko dworu, po obu stronach szosy Białystok-Pokcowyst. większa jego część za szosą, obciążona serwitutem, była przyczyna zatargów ze wsią. Drugi kompleks t.zw. "kozakówka", położony był za szosą, na południowy-zachód od dworu. Trzeci zwany "Łąbrówka", na północny-zachód, za osiedla zarzeczany. Do lasów tutaj -



wieś Kwatery

pola uprawne

folwark

Warkoczyńska

Brzostowica W.

sad
młody

warzywnik

sad

park/ogród
kwiatowy

las

serwitutowy

pola uprawne

lotnisko

las
Dębówka

pola uprawne

Blatystok

cegielnia

las
Kozakówka

szych chodzono ze dworu na jagody i grzyby, do lasów nowosadzkich jeżdżono na polowania. Był tam duży kompleks łączący się z lasami rządowymi od zachodu, a od północy z lasami majątku "Jastrzębl". Raz w roku urządzał Dolek proszone polowanie, w którym udział brali "oficjele", jak wojewoda białostocki lub nowogródzki, starostowie: wołkowyski, słonimski, przedsiębiorcy drzewni, z którymi dziedzic prowadził interesy, a także oficerowie okolicznych garnizonów. Oczywiście po polowaniu odbywało się przyjęcie we dworze, suto zakrapiane. Polowano na zwierzyne grubą jak: sarny, dziki, a także drobną: zające, kuropatwy i t.p. Część ustrzelonych sztuk zabierali goście, część pozostawała w Nowosadach, resztę przywożono do Kwater dla zasilenia dworskiej spiżarni i rozdziału między pracowników folwarcznych.

Takie polowania towarzyskie służyły zarówno rozrywce, jak urabianiu stosunków i załatwianiu doraźnych interesów. W majątku kwaterskim była także cegielnia, położona pod lasem Kozakówka. Dzierżawił ją niejaki Babiński spod Świsłoczy. W kryzysowych latach trzydziestych przed drugą wojną światową, przestała funkcjonować.

Oprócz drewna, na opalanie dworu używano wysuszonego torfu, który był wydobywany na nieużytku między młynem a lasem Dąbrówka.

Do omlotów służyła lokomobila parowa.

Oprócz dworu i domu rządcy, zabudowania dworskie stanowiło 16 budynków mieszkalnych dla stałej służby i ich rodzin. Każdy z nich posiadał dwie izby i kuchnię. Nadto była stolarnia, kuźnia, dwa spichlerze, dwie stodoły, wspomniany młyn wodny, stajnia, dwie obory dla bydła, chlewnia, kurniki dla drobiu, parnik, lodownia, w której przez cały rok przechowywany był w trocinach i torfie lód, wyrąbany zimą na Kuklance, mleczarnia z centryfugą, gdzie wyrabiano masło i twaróg na własne potrzeby i dostawę do spółdzielni w Wołkowysku. Nadmiar mleka odwoził do Świsłoczy żyd-pachciarz. Jako osobny budynek stała w pobliżu dworu kuchnia. Wodę czerpano ze studni żurawiem. Kiedy dziedzic zakupił auto, wybudowano jeszcze garaż i mieszkanie dla szofera.



Były fornal Bartosz Paweł z żoną
fotografia wykon. w 1995 r.

Trudno dziś po upływie wielu lat przywołać z pamięci dawnych pracowników dworskich. Jak z zabudowy folwarcznej wynika, mieszkało 16 rodzin robotników. Prócz rzadcy, który w kwaterach przetrwał do 1943 roku, wspomnianego karbowego, był stolarz, kowal, formale: Chlebik, Bieleńnik, Paweł Bartosz i inni. We dworze pracowały: gospodyni mająca pieczę nad całością służby domowej, dwie pokojówki Andzia i Leokadia, które sprzątały i usługiwały przy stole, kucharka i lokaj. Bywało nierzadko, że przy większym zjeździe gości, do pomocy we dworze używano dodatkowe siły z rodzin folwarcznych lub nawet ze wsi.

Dziedzic w stosunku do pracowników był stanowczym, ale sprawiedliwym. Bywało, że mający sprawę do dziedzica, szukali wstawiennictwa Maryni. Że jednak nie był ciężkim dla służby, świadczą jej zeznania/mające stanowić materiał do aktu oskarżenia/składane po aresztowaniu Dołka w 1939 roku, przed sowieckim śledczym, z których ten był niezadowolony.

W 1938 roku Dołek zinstalował we dworze telefon i okazją tej inwestycji była budowa lotniska. Z odległej o 8 kilometrów Brzostowicy Wielkiej, przebiegała linia napowietrzna. Słupy dostarczył las nowosadzki. Brzostowica Wielka, wcale nie była wielka jak sugeruje nazwa. Miasteczko niewielkie z siedzibą urzędu gminnego, w powiecie grodzieńskim. Była i druga Brzostowica

zwana Małą, bardziej na północny-zachód, równie mała jak Wielka. Otóż w tej Wielkiej mieszkało mnóstwo żydów. Wszędzie spotykało się pejsatych i brodatych starozakonnych, w długich czarnych białatach i kapeluszach lub jarmułkach na głowach. Ale był także okazały pałac hrabiostwa Kossakowskich, wyposażony w wodociąg, elektryczność, nawet centralne ogrzewanie !

Brzostowica Wielka była nadaniem króla Aleksandra Jagiellończyka dla Chodkiewiczów. Później, drogą koligacji przeszła w ręce Mniszchów, Potockich, wreszcie Kossakowskich. Aktualnym dziedzicem był hrabia Stanisław, ale praktycznie całością majątku własnego i po mężu, zarządzała hrabina Maria z Chodkiewiczów-Kossakowska/matka Stanisława/. Osoba niezwykle skromna i pobożna, zawsze czarno ubrana, dyskretnie wspomagająca ubogich. Co rano pieszo szła do kościoła, który sama fundowała, gdy Moskale po powstaniu styczniowym przebudowali na cerkiew stary, XVI wieczny kościół. W pałacu wyposażonym w piękne, stylowe meble sprowadzone z Warszawy, z tamtejszego sprzedanego pałacu, dzieła sztuki malarzkiej i rzeźbiarskiej, bibliotekę, rodowe dokumenty i pamiątki, była także wspaniała kolekcja fotografii dokumentujących kresowe miejscowości, dwory i wydarzenia.

Pod budowę wspomnianego lotniska wojskowego, dziedzic sprzedał 120 hektarów pól uprawnych, jakieś 400 metrów na północ od dworu, pod lasem Lebrówka. Inwestorem była spółka związana doraznie, w której dziedzic miał 1/3 udziału. Spółka zatrudniała robotników sprowadzonych z Holandii /!/, może specjalistów prac ziemnych ? Do wybuchu wojny 1. IX. 1939 r. zakończono prace niwelacyjne. Później w 1940 roku Sowici dokonczyli budowę, a w roku następnym lotnisko zostało zbombardowane przez Niemców.

Jak wynika z powyższego opisu majątku i podejmowanych przedsięwzięć, było czym zarządzać, a dwór na tyle dobrze prosperował, że prowadzono ożywione życie towarzyskie. Gospodarze mogli sobie pozwolić na podróż poślubną do Monte Carlo i na Rivierę, na utrzymywanie samochodu, a po jego nieopatrzonym spaleniu na kupno nowego w 1935 roku. To też ksiądz Albin Norba, proboszcz parafii Świsłockiej od 1927 roku,

zaprzyjaźniony z dworem kwaterskim, w swoim pamiętniku zanotował, że dziedzic, syn doktora to człowiek sprytny. Z tą sprzedażą ziemi - może to było sprytne działanie, może konieczność, a może jedno i drugie.

Trzeba pamiętać, że w okresie między dwiema wojnami światowymi, ziemiaństwo, szczególnie kresowe, znalazło się w trudnej sytuacji. Żeby utrzymać swoją pozycję, należało albo rozwijać i unowocześniać gospodarstwo, co wymagało nakładów, a brak było środków, albo sprzedawać ziemię po kawałku. Cile w czasach rosyjskiego zaboru spłata należności do Skarbu nie stanowiła większego problemu, to po wojnie, w wolnej Rzeczypospolitej dobijała gospodarstwa wielkoobszarowe, już wojną zrujnowane. Obciążenia rosły w miarę jak Skarb Państwa tracił z tytułu programowej parcelacji wielkiej własności, bowiem z tej samej jednostki powierzchni, drobne gospodarstwa płaciły trzykrotnie niższy podatek niż wielkoobszarowe. Kredyty były wysoko oprocentowane. Płacono podatek gruntowy, dochodowy i do roku 1937 t. zw. nadzwyczajną daninę majątkową. to do Kasy Państwowej. Ponadto, podatki gminne i szarwarki. Dochodziło do sytuacji, w której wielu ziemian posiadających majątki, nie miało gotówki na najpilniejsze potrzeby ! Rosnące długi z tytułu niespłacanych należności wraz z odsetkami, niejednokrotnie przekraczały wartość samego majątku. Nadto, od około 1929 roku, gospodarstwa stawały się nieopłacalne, na skutek spadku cen na produkty rolne, a wyżki na przemysłowe.

Po dworach zaczęto chować przed komornikiem, co cenniejsze, jeszcze ocalałe przedmioty. Zrujnowane gospodarstwa przejmował Skarb Państwa za długi i wystawiał na licytację. W tej sytuacji sprzedaż ziemi była najprostszym sposobem zdobycia gotówki. I ziemiaństwo kresowe, które kosztem wyrzeczeń, z patriotyzmu trwało przy ziemi w czasie zaborów, by nie oddać jej w rosyjskie ręce, teraz, w wolnej Polsce wyzbywało się ziemi, nie mogąc podołać nałożonym ciężarom.

Państwo potrzebowało ze względów strategicznych polowych lotnisk. Jeszcze w ostatnich dniach sierpnia 1939 r. w Massalanach Bispingów, wojsko wycinało drzewa i wałowało obsiane pola. Ze dziedzic kwaterski uprzedzając sy-



Samochód Ford przed domem, wokół rodzina
i domownicy

tuację ewentualnie przymusową, sprzedał wcześniej ziemię pod lotnisko i sam uszedł do spółki wykonawczej, to można uznać za sprytne posunięcie, ale sam fakt sprzedaży, chyba trzeba traktować jako konieczność.

Zapewne w gronie rodzinnym dyskutowano nad sposobem spożytkowania uzyskanej gotówki. Padła propozycja ulokowania w banku szwajcarskim. Dzisiaj wydaje się to logicznym zabezpieczeniem. Według ówczesnych pojęć – równało się zdradzie narodowej. Ziemiaństwo kresowe od pokoleń wychowane w tradycjach patriotycznych, stanowiło zwartą klasę społeczną, w której obowiązywały zasady. Jak obrona ziemi w czasie zaboru, tak w wolnej Ojczyźnie lokowanie ewentualnych zasobów kapitałowych w rozwój gospodarczy, a jeśli w banku, to tylko krajowym. Walery Mey-sztowicz w swojej książce "Gawędy o czasach i ludziach" /wyd. 1983 r./ pisze: "Nie znam nikogo z ziemian, kto za granicą zabezpieczałby się od klęski. Tak było trzeba." Właśnie – obowiązujące "Tak było trzeba", społeczeństwo

wyrosłe po drugiej wojnie światowej, uznać może za przeżytek polsko-kawaleryjskiej determinacji. Tymczasem zasady zachowań ukształtowane na wielopokoleniowych tradycjach patriotycznych, stanowią o tożsamości narodowej, której piastowanie jest i pozostanie świętym obowiązkiem każdego Polaka, mimo, a właściwie wobec prób integracji kosmopolitycznej.

Uroczyście obchodzono imieniny pana domu 17 czerwca, jak też pani dziedziczki 15 sierpnia. Zawsze w towarzystwie licznych gości z bliska, jak państwa Kossakowskich z Brzostowicy, Stanisławy Borkowskiej z Osady, Bronisława z Hurczyn z żoną Izabelą, a także z dalszych stron: Federowskich z Warszawy, Antoniny Żołądkowskiej z Białegostoku i wielu innych osób zaprzyjaźnionych z dworem kwaterskim, lub mających z nią takie czy inne układy, które powodowały, że wypadało się pokazać i złożyć życzenia. Pewnego razu, w tak liczny gronie, ku ogólnej uciechu, po sutym przyjęciu, Broniek Wysocki zwrócił się do gospodyni: - Maryniu - daj kwaśnego mleka ! Krzesło aktualnego solenizanta w jadalni, było zawsze ubrane kwiatami z ogrodu. Bukietów w wazonach było zresztą wszędzie pełno. Dzieci odświętnie ubrane składały wierszowane życzenia i osobiście wykonane laurki. Po nich dorosli kolejno składali życzenia i prezenty.

Na Wielkanocne święta bito kilka świń, cieląt i owiec. Robiono dużo kiełbas wędzonych tygodniami w dymie jęczmiewym, sałcesonów, kaszanki, pasztetówki. Mięsem i wyrobami obdarzano rządę i rodziny folwarczne.

Na świątecznym stole pięknie prezentował się na wielkim półmisku, pieczony prosiak z jajkiem w rozwartym pysku, wśród zwojów kiełbas i innych wyrobów, stosu kolorowych pisanek, ptactwa pieczonego i nadziewanego, słodkich bab lukrowanych, mazurków na żółto barwionych szafranem, placzków i innych smakołyków, karafek i butelek. Wszystko pięknie przybrane bukszpanem i jarzynową zieleniną. Oczywiście miał na stole swe godne miejsce także bochen chleba, sól i inne przyprawy, baranek duży, pięknie wykonany

cukrowy lub z ciasta pieczony, z chorągiewką, symbolem Ofiary i tryumfu Zmartwychstania. Do dworu przyjeżdżał święcić ksiądz proboszcz ze Świsłoczy. Oczywiście przyjmowany był z atencją i uwoził z sobą "gościńca" wcześniej dlań przygotowanego, którego służba wynosiła do bryczki.

Uroczyscie obchodzono dożynki. Były wieńce z kłosów zbóż przybrane kolorowymi wstążkami, muzyka i tańce, życzenia i pieśni.

" Dożęli żyta, dożęli jarki
Nie żałuj Panie piwa, gorzałki.
Na błotnej łące szare żaby,
Dożęły żyta stare baby.
Na błotnej łące miłe owieczki,
Dożęły żyta młode dziewczaki. "

Obficie zastawiano we młynie jadłem stoły, były także napitki - nie żałował dziedzic piwa, gorzałki, jak śpiewano. Tańczono przy muzyce kapeli sprowadzonej. Oczywiście dziedzic wraz z żoną uczestniczyli w uroczystości, zasiadając przy stołach na honorowym miejscu. Gospodarz musiał do wszystkich przepijać, by nikogo nie urazić odmową, a potem odchorowywał uroczystość.

Pod koniec obchodów, gdy już odeszli do dworu dziedzice, a z głów dobrze się dymiło, dochodziły do głosu emocje i urazy, ręcznie dokumentowane. A w dniach następnych smarowano, bandażowano i zakrywano wstydliwie guzy i sińce.

Kazu pewnego, a był to już rok 1938, dzięki znajomości Dolka z porucznikiem Kazimierzem Plisowskim, dowódcą 2 Pułku Ułanów Grochowskich, stacjonującego w Suwałkach w składzie Suwalskiej Brygady Kawalerii, zorganizowano w kwaterach obchód święta pułkowego. Był olbrzymi zjazd uczestników i zaproszonych gości. Wszędzie pełno mundurów, samochodów i koni. Dwu kucharzy pułkowych przygotowywało posiłek. Ciężarowym autem żołnierze przywieźli drób i odbyło się masowe morderstwo. Wszędzie na zapleczu dworu pełno było pierza, krwi i patrochów.

Pedantyczna Marynia bezsilnie płakała na widok tego bałaganu. Uroczystość odbyła się 26 sierpnia, w święto Matki Boskiej Jasnogórskiej - patronki pułku, której wizerunek pięknie haftowany widniał na pułkowym sztandarze, a na jego rewersie orzeł, w szponach dzierzący proporzcyk pułkowy biało-granatowy, z inicjałami "JD", gen. Józefa Dwernickiego, którego imię nosił pułk.

Po uroczystej Mszy polowej, wieczorem we dworze, przy ogromnym ognisku, dźwiękach trąbki i werbli, odbył się capstrzyk z apelem poległych. Pułk wywodził się z kresowego I Korpusu Dąbora-Muśnickiego. Kontakty z pułkiem Bitnerowie utrzymywali stale. Nawet po drugiej wojnie światowej, na emigracji w Anglii. W biuletynie wydanym przez emigracyjne Koło Ułanów Grochowskich z 1973 r. Nr 61, Maria Bitnerowa wymieniona jest jako wspierająca koło finansowo. Po części oficjalnej, nastąpiła część towarzyska, przy kielichu i zastawionym stole gospodarzy, we dworze, dla grona oficerskiego. Kiedy sobie podochocono, chór męskich głosów zainicjował pieśni i piosenki żołnierskie i oczywiście wśród nich żurawiejki kawaleryjskie :

pułkowa - " Kto w kielichu koi troski -
To Ułanów Pułk Grochowski,
Trochę chamów, trochę panów -
To jest drugi Pułk Ułanów. "

i śpiewaną w całej kawalerii :

" Lance do boju szable w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń !
Żura, żura, żura ma
Żurawiejka ty moja ! "

W północno-wschodnim narożniku domu była spiżarnia, do której wchodziło się z "kredensu", czyli pomieszczenia obok jadalni, gdzie przynoszono potrawy z kuchni, znajdującej się w osobnym budynku. Tu je porcjowano, garnirowano i podawano na stół w jadalni. Przygotowaniem posiłków zajmowała się kucharka, która otrzymywała pomoc gdy zachodziła potrzeba.

Wracając do spiżarni - Czego tam nie było! Kielbasy i szynki wędzone. Na hakach u poważy dziczyzna z Nowosad. Pod ścianami stały dzieże maki, skrzynie drewniane z przegródami, gdzie przechowywano różne rodzaje kasz, grochu,

fasoli. Na półkach faski masła, kosze jaj, słoje marmolad, konfitur, kompotów. W glinianych garnkach smażone powidła, w oplatanych gąsiorach nalewki, wina z porzeczek i wiśni, mnóstwo różnych przypraw ogrodowych jak: koper suszony, lubczyk, nasz selera i inne, oraz kupnych: cynamonów, wanilii, bakalii wszelakich. Śliwki suszone i wędzone, wiązki grzybów suszonych, słoje marynowanych. Sery z mleczarni nowosadzkiej i tutejszy twaróg, śmietana, oraz wiele różnych innych wspaniałości służących zdrowiu i podniebieniu. Wszystko co potrzebne w dobrze zaopatrzonym domu. W obszernej piwnicy pod domem, podzielonej na kilka pomieszczeń, przechowywano w beczkach dębowych kwaszone ogórki i kiszoną kapustę. Nadto jarzyny korzeniowe w skrzyniach z piaskiem, cebulę i inne warzywa z własnego ogrodu. W innym pomieszczeniu było palenisko, nad którym pieczono "baumkuchen" czyli tak zwany "sękacz". Była to długa operacja, wymagająca udziału trzech osób. Godzinę ucierało się w donicy dwa funty masła, dodając stopniowo: dwa funty cukru, 40 żółtek jaj, dwa funty mąki ziemniaczanej, pół kwarty słodkiej śmietanki, pianę ubitą z 40 białek, cynamon, wanilię, startą skórkę cytrynową i rum. Gotową masę polewało się specjalnie wytoczony stożkowy walec drewniany, owinięty natkuszczonym papierem i osadzony na metalowej osi zakończonej korbą. Walec osią wsparty na widełkach, obracało się korbą, przy ogniu z brzozywych szczapek, rozpalonym na palenisku. Masa, którą polewało się obracany walec, piekąc się, częściowo ściekała tworząc zapieczone "seki". Na pierwszą zrumienioną warstwę, polewało się następne, 6 do 8 warstw. Ostatnia winna być najmocniej zrumieniona. Ściekające z walca ciasto, zbierało się do rynienki i znów polewało na walec. Gdy ciasto zdjęte z różną ostygło, zsuwało się łatwo z walca. Tak powstawała stożkowa baba, z otworem po wałku, pięknie prezentująca się dzięki sękatej powierzchni. Teraz ją lukrowano lub polewano czekoladą.

Oczywiście nie wszystkie płody własnego ogrodu i sadu, oraz ich przetwory, konsumowano we dworze. Wiele rozdawano gościom i przyjacielom, a także sprzedawano na targu w Świsłoczy, Brzostowicy Wielkiej, odstawiano do Spółdzielni Rolniczej w Wołkowysku, a nawet wożono do stałych odbiorców w stolicy.

Klucze do tego bogactwa dzierżyła Marynia. Każdego ranka wydawała gospodyni i kucharce dyspozycje posiłków, oraz potrzebne do tego produkty.

W pokoju jadalnym stał ogromny, pięknie politurowany stół, przy którym mogło zasiąść 16 osób, a po jego rozsunięciu nawet 24. W rogu pokoju pod ścianą stał mały stolik z samowarem, fajansowym nakryciem stołowym i sztućcem na codzienny użytek dla samych domowników. Były także dwie oszklone szafki. W jednej ustawione były kryształy, pisaniki regionalne pięknie malowane i inne drobiazgi. W drugiej stały srebra: cukiernice, zestawy do kawy, patery, talerze, dzbanki i wazy, oraz sztuciec, kompletne nakrycie dla 24 osób, odziedziczone po przodkach, liczące chyba dwieście lat, może pochodzące z pierwszego wyposażenia dworu Glindziczów.

Stała tu jeszcze kanapa, a obok niej na specjalnym stoliku stało bateryjne radio. W 1939 roku, Dolek uchwycił relację z Rzymu z wyboru na Stolicę Apostolską papieża, Piusa XII, transmitowaną przez Wiedeń - Pragę - Warszawę. Tu w jadalni spożywano zawsze wspólnie posiłki.

O godzinie 8 rano śniadanie, o 12 obiad, o 4 po południu podwieczorek, a kolację o pół do ósmej wieczór. Mali chłopcy, synowie gospodarzy, zachodzili tu jeszcze między śniadaniem a obiadem, o pół do jedenastej, na łyżkę tranu, którym powszechnie wówczas pojono dzieci dla zdrowia i prawidłowego rozwoju. Po obiedzie chłopcy otrzymywali po dwa cukierki. Do stołu z rodziną zasiadały: piastunka i nauczycielka starszego syna. Jeśli był duży zjazd gości, dzieci spożywały posiłki z piastunką w jej pokoju na piętrze.

Na tyłach i z boku dworu, na lekkim skłonie terenu dobrze nasłonecznionym, na pięciu hektarach urządzony był park, ogród warzywny, kwiatowy i sad. W sadzie rosło mnóstwo drzew owocowych: jabłoni, grusz, śliw, wiśni, wiele krzewów: porzeczek białych, czerwonych i czarnych, malin, cukrowe róże, dereń i inne. Wewnętrzna dworska droga-aleja, oddzielała sad od warzywnika i nowego, młodego jeszcze sadu. Na

warzywniku uprawiano wszelkie warzywa, część w szklarniach, które dostarczały wczesnych nowalijek, część na otwartych grzędach.

Z jadalnego pokoju wychodziło się na niezadaszoną werandę na tyłach domu, a z niej na wprost, w głąb parku prowadziła kwietna, kolorowa, pachnąca alejka. Można było przechadzać się nią wśród dąli przeróżnych kształtów i kolorów, malw, gladioli, floksów, nagietek, ku dalszym kwietnym rabatom, klombom i grzędom. Nad wieczorem, siadając na werandzie wdychało się wszystkie oszałamiające wonie, wśród których dominowały zapachy bzu i maciejki. Gospodarstwo kwiatowo-warzywne musiało być wzorowo prowadzone, skoro tutejsze nasiona eksponowane były na regionalnych wystawach rolniczych. Cały ogród i park otoczony był szpalerem drzew. W maju przepięknie kwitły kasztany. Z początkiem lata w koronach starych lip brzęczały pracowite pszczoły. Pod jesień, opadały wirując na wietrze uskrzydłone nasiona klonów i jaworów, a zimą, szerokogłęziste świerki drzemały w śniegowej szacie jak przepiękne choinki.

Ileż to umiejętności i starania wymagało utrzymanie w ochędźstwie tak dużego domu, pełnej spiżarni, pięknego ogrodu i sadu, kierowanie zespołem pracowników, prowadzenie otwartego domu, gdzie każdego dnia i o każdej porze pojawić się mogli i pojawiali goście, których należało przyjąć, często przenocować, zabawić.

Nie darmo Marynia kończyła szkołę gospodarczą. Świetnie radziła sobie w roli pani domu. Była powszechnie szanowaną i lubianą przez wszystkich bywających w Kwaterach. Na jednym z licznych balów, została jednomyślnie wybrana jego królową. Miała wówczas na sobie kremową suknię obcisłą w stanie, a sutą dołem, o obwodzie ośmiu metrów! To też mąż zdołał swój Skarb w biżuterię i klejnoty, których większość stanowiła dziedzictwo po przodkach, ocalałe z zawieruchy kolejnych powstań, wojen i rewolucji. Brosze z diamentem i szafirem, kolczyki, bransolety i pierścienie.

Długi korytarz biegnący wzdłuż budynku, dzielący go na

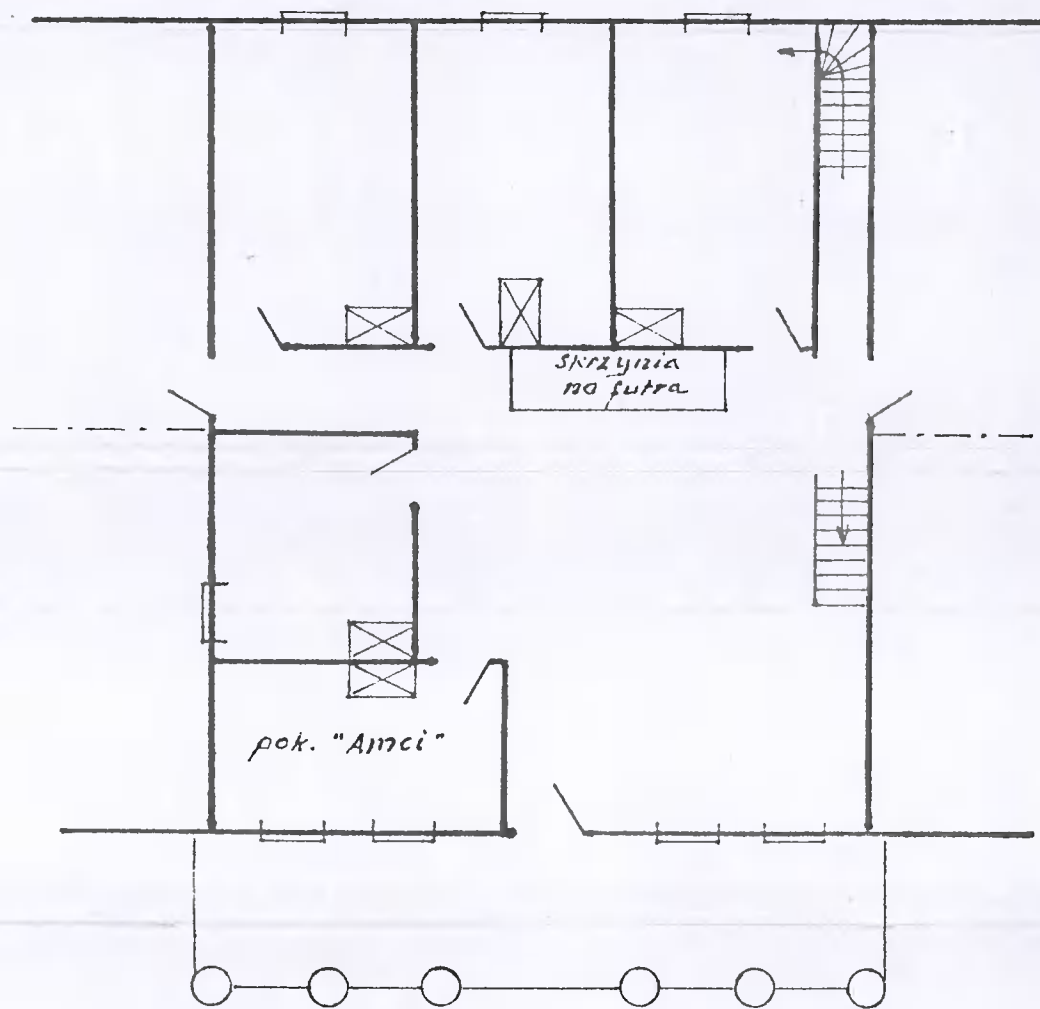
część frontową i tylną, umożliwiał dojście do wszystkich pomieszczeń z bocznego, gospodarczego wejścia.

W lewym tylnym narożu mieściła się łazienka, jak się to dziś nazywa. Wejście było do niej zarówno z pokoju państwa jak i z dziecinnego. Była to raczej umywalnia, bo dwory kresowe w owych czasach nie były skanalizowane. Woda stała w dzbanku, nalewało się ją na miednicę, a po umyciu zlewało do wiadra i wynosiło na zewnątrz. Z korytarza wchodziło się do ubikacji o dwu przedziałach, gdzie stały po prostu kubły nakrywane i wynoszone dla opróżnienia.

Bocznym krytarzykiem można było dostać się również do gabinetu dziedzica, pokoju dla gości obok, pokoju lokaja i gospodyni.

Z holu i korytarza prowadziły jesionowe schody na piętro centralnej części dworu. Z piękną balustradą, na podście półpiętra schody łączyły się i stąd już pojedyncze wyprowadzały do holu na piętrze. Z holu wchodziło się do czterech pokoi gościnnych, pokoju Antoniny Zakrzewskiej zwanej "Amcią", pełniącej rolę piastunki, oraz na balkon za kolumnadą, a także na strych nad parterowymi skrzydłami dworu, a po schodkach, na strych nad piętrową częścią centralną.

Amcia przybyła do Kwater w 1930 roku, jako opiekunka do dzieci i pozostała w rodzinie jako wieray przyjaciel do końca. Była niezamężną, starszą kobietą, zawsze skromnie ubraną. Sine włosy gładko zaczesywała do tyłu, zaplatając w kok. Zyskała sympatię i zaufanie całej rodziny. Marynia ceniła jej dobre, praktyczne rady. Chłopcy ogromnie ją kochali. Po "Mamutce" i "Tatutku" była im najbliższą osobą. Amcia również kochała dzieci i serdecznie opiekowała się nimi. Ta skromna kobieta była dobrym duchem domu, wypełniając go swoją cichą obecnością, pracą i charakterystycznym porzekadłem "O la Boga !" Była bardzo nabożną. Podczas burzy, z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej obchodziła cały dom, stawiając na koniec w którymś oknie, by opieka Bożej Matki chroniła dwór i jego mieszkańców.



Kazdego roku, w maju, w jednym z gościnnych pokoi na piętrze, mieszkał potężnej budowy kapucyn. Przyjeżdżał z klasztoru w Łomży na miesięczny pobyt we dworze. Jego zwalistą postawą, ciemnobrazowy habit i długi z węzłami sznur opasujący go i zwisający prawie do ziemi, budziły dreszcz obawy u malców, tym więcej, że jak mówiła Amcia :

" La Boga - jak nie będziecie grzeczni, to wam ksiądz dobrodziej tym sznurem złoży skórę ! "

Ale chłopcy wiedzieli, że były to tylko czeze pogróżki. Ich kochana Amcia nie pozwoliłaby na to, a kapucyn, choć groźnie wyglądający, był łagodnym wobec dzieci. Uczył religii i przygotowywał do Pierwszej Komunii Świętej dziatwę z folwarku i okolicznych wiosek, a ona z otwartymi buziami chłoneła w swoje proste duszyczki prawdy Boże.

A że był to miesiąc Maryjny, nad wieczorem schodziły się do holu na piętrze "pałacu" kobiety i dzieci z czworaków i wsi pobliskich, dworska służba i gospodarze, przed zainicjowany ołtarzyk, tonący w złocie kaczenców zrywanych nad Kuklanką.

Przez otwarte na balkon drzwi i okna, wraz z wiosennymi aromatami bujnej przyrody, trelami słowików, wróźebnym kukaniem kukúłki zwanej tu zezulą i rechotem żab z zewnątrz, krzyżowały się z wnętrza głosy gromady:

- Matko Chrystusowa -

- Królowo Anielska -

- Królowo Polski -

- módl się za nami !

A potem: Pod Twoją obronę..... i Chwalcie jąki umajone...
Niosły się te głosy na okoliczne pola, a brzmiała w nich prosta, serdeczna ufność do Matki, Królowej tej polskiej ziemi.

Nie było przecież na miejscu kościoła, więc naturalnym porządkiem, dwór szlachecki otwierał gościnne podwoje dla lokalnej społeczności polsko-białoruskiej, dla religijnych zgromadzeń. Tak i na wiele innych sposobów, dwory kresowe stawały się od wieków bastionami polskości i zachodnio-chrześcijańskiej kultury na Wschodzie. To też komunizm z całą zagadnością i bezmyślną nienawiścią niszczył je grabiąc, paląc, wysadzając w powietrze, a ich mieszkańców deportując i mordując.

W pokojach na piętrze zachowały się stare piece, z zielonych zdobnych ornamentem kafli, ponoć osiemnastowiecznych.

Na zapleczu gabinetu dziedzica, pod schodami, znajdowała się duża szafa na futra. Natomiast na piętrze, w holu stała ogromna skrzynia, w której chowano futra do okrywania się zimą w saniach. No cóż, były to przecież kresy i czasy lutyh zim. Jeżdżono zimą w sprawach gospodarskich i towarzyskich do Wołkowyska, do Świsłoczy, na jarmarki i do kościoła, do okolicznych dworów, no i do Nowosad. Cóż to były za wyprawy ! Kiedy Warszawa otwierała komunikację lotniczą z krajami Europy, tu na kresach, sanie moszczono słomą i futrami baraniami, wilczymi, a nawet niedźwiedziami przy większych mrozach. W dzień wyjazdu wstawano bardzo wcześnie, by przed drogą dobrze się odżywić i rozgrzać. Niezależnie od skór i futer, do sań brano termofory gorące i termosy z gorącą herbatą. Zimą czy latem zabierano na drogę koszyk z prowiantem. Odjazd poprzedzały wielokrotne pożegnania, uściski, pocałunki, błogosławieństwa na drogę. Domownicy wychodzili przed dwór by jeszcze z daleka za odjeżdżającymi kreślić w powietrzu znak krzyża i pomachać rękoma na "do widzenia"... Kiedy na horyzoncie niżyły sanie czy bryczka, wracano w milczeniu do codziennych zajęć, w myśli i uczuciach towarzysząc podrażającym.

Dziś może śmieszny ten cały rytuał, ale wówczas, z domem wiązało się poczucie bezpieczeństwa, a zagrożenia z podróżą. Mógł ktoś zakuleć, zepsuć się mogła bryczka, można było pobłądzić w zadymce, utknąć w zaspach śniegowych, zamarznąć. Wałęsające się wilki mogły napaść, podobnie jak złodziejaskowie i bandyci. "Tygodnik Wołkowyski" lokalna gazeta, w każdym prawie numerze podawał komunikaty o rabunkach i napadach. O pojawianiu się wilków i czynionych przez nie szkodach informowano z okolic nosi 13.XI.1932, w gminie Żelwa w XII tegoż roku, w gminie Międzyrzecz w grudniu 1934 roku, gdzie w biały dzień porwały szesnaście owiec. W roku 1931 wilki rozszarpały kobietę pod Chomim Borem koło Nowosiółek. Kresy by-

ły penetrowane przez rodzimych awanturników jak i przez zorganizowane i nasyłane z za sowieckiej granicy bandy, dla siania zamętu i podburzania ciemnego chłopstwa przeciw Polsce. W kwietniu 1928 roku, w Białymstoku toczył się proces przeciwko 136 komunistom przeszkolonym i sterowanym przez Sowietów. Pewnego razu, wracając z Nowosad, a był to chyba rok 1925, Dolek przywiózł wiadomość, że pod Siniawką, jakieś trzydzieści kilometrów od Nowosad, grasująca od dłuższego czasu w okolicy banda "Muchy", mająca już na koncie zabójstwa i napady rabunkowe, zatrzymała na drodze autobus jadący do Siniawki. Ponieważ między pasażerami jechał oficer Korpusu Ochrony Pogranicza/KOP/, nastąpiła wymiana strażów, raniąc oficera i jednego z bandytów. Oficer zmarł w szpitalu, bandytów policja ujęła po śladach krwi i zostali powieszani. Okazało się w toku dochodzenia, że to ci sami wcześniej napadli nocą na dwór w Naczy, przebrani za policjantów. Pod pretekstem rewizji ograbili dwór i zabrali konie. Współcześnie, wobec wielorakich zagrożeń zawsze i wszędzie, dom nie stanowi już bezpiecznej ostoji. Podróże wszelkimi środkami lokomocji, choć ryzykowne, stanowią chleb powszedni. A czułe pożegnania tamtych lat, były przejawem mocnych więzi rodzinnych, których brakuje dzisiaj.

Marynia i Dolek, oprócz tragicznie zmarłego Romanka, mieli w rok po nim syna Januszka, urodzonego 26 listopada 1930 roku, a w trzy lata później urodził się Ryszard, 2 stycznia. Obaj spędzili w rodzinnym domu najszcześniejsze lata dziecięce, do wybuchu drugiej wojny światowej, w roku 1939, która pozbawiła te dzieci ojca i domu, a ich wraz z matką skazała na tułaczkę. Obrazy i zdarzenia zakodowane w pamięci kilkuletnich chłopców, po wielu latach posłużyły do odtworzenia wizerunku domu rodzinnego i jego mieszkańców.

Starszy syn Janusz, pobierał naukę w domu. Jego nauczycielką była pani Maria zwana "Zgagą", chyba nie z nadmiaru sympatii do niej małego ucznia.

Nie brakło chłopcom miejsca do zabawy, czy w domu, czy

na dworze mieli huśtawkę, piaskownicę, w domu zabawki: misie, konie na biegunach i inne. Latem biegali po obejściu i w ogrodzie, bawiąc się w chowanego i strącając z dziećmi foliowymi jabłkami w sadzie. Zimą ślizgali się na zamrożonym rozlewisku kuklanki. Nie brakło pomysłów w młodych, niefrasobliwych głowach. Ewa Fedrowska, rówieśnica Rysia, która nie mało czasu spędziła w Kwaterach, przyjeżdżając czy z Warszawy, czy z Osady, gdzie spędzała wakacje, wspomina, jak bawiąc się w żniwa, obstrzygli piękną araucarię w salonie.

Marynia kochająca kwiaty była wstrząśnięta wyrządzoną szkodą. Za karę zamknięto sprawców na piętrze, ale mój Boże, w tym wieku ma się zawsze świeże pomysły. Winowajcy by się nie nudzić, postanowili latać w powietrzu. Skończyło się to upadkiem ze schodów i sińcami, a także małą awanturą domową. Dziś trudno ustalić kto był inicjatorem owego latania, jednak w dwadzieścia parę lat później, zawodowo latała Ewa, jako stewardesa Polskich Linii Lotniczych. Również z "upadkiem", na szczęście dla niej nie tragicznym. Natomiast Henia Zegocka, nauczka siostry doktora Adolfa, która przyjechała do Kwater z rodzicami jesienią 1938 roku, pozostając tam do wybuchu wojny, wspomina jak z rówieśnym jej Rysiem wdrapywali się na drzewa i po deszczu budowali tany na kałużach.

Zegoccy bywali w Kwaterach. Starsza siostra doktora Adolfa Bitnera, Henryka, ciotka Doika, wyszła za powstancą styczniowego, Juliana Zegockiego herbu "Jastrzębiec" w 1878 roku. Po powrocie z dziesięcioletniego zesłania



Marynia z synem Januszem



Od prawej: Marysia, A. Zołotkowska, NN,
"Ancia" z Januszką na ręku

na Syberię, Julian wziął w dzierżawę majątek w Książkach Małych w powiecie miechowskim, gdzie gospodarzył do śmierci. Po nim majątek prowadziła wdowa Henryka, zapewne z pomocą ojca - Zdzisława Błachera, który przebywał przy owdowiałej córce. Syn Henryki - Szczęsny, studiował w Niedźwie, po czym osiadł w majątku przy matce. Zapewne były jakieś kłopoty z jego usamodzielnieniem, skoro dziadek Zdzisław pisał do zięcia Michała Federowskiego :

..!Myśl o Szczęsku i rzucony przez siebie projekt byłby dobry....

Matka lęka się o niego, że tak daleko na Syberii i Syberia nie jest to co przed 50 laty. Co innego na swobodzie a co innego przykutym do tażki. W los Szczęsnego, na jego pokierowanie nie



Herb " Jastrzębiec "

wpływam i usuwam się od tego, bo to bardzo drażliwa z Henryką dysputa... "

Jak domyślać się można, Henryka trzęsa się nad jedynakiem, mimo że sama wychowana była przez ojca w surowej szkole. W tym czasie wielu Polaków dobrowolnie wyjeżdżało na Syberię, w nadziei otrzymania na własność ziemi. Być może Michał to właśnie proponował w sprawie Szczęśka. Tymczasem on, ożenił się z panną w sąsiednich Majkowicach Marią Grzesikowską, o dwadzieścia jeden lat młodszą. Nie po myśli rodziny było to małżeństwo. Uważano, że Szczęśny popełnił mezalians, żeniąc się z wiejską dziewczyną, co wpłynęło na pewne ochłodzenie stosunków rodzinnych.

W roku 1929 majątek w Książnicach Małych, podupadły i zadłużony, został zlicytowany. Henryka prawdopodobnie wraz z synową, przenieśli się do rodziny Grzesikow-

skich, gdzie w roku następnym zmarła w wieku 77 lat i została pochowana przy mężu Julianie w księżnicach Wielkich - tamtejszej parafii.

Szczęsny wkrótce wyjechał na Polesie, gdzie na krótko objął administrację majątku "Stepangródka" Tadeusza Szola. Pod koniec następnego roku wraca do żony, a w kwietniu 1932 r. jak zanotował w swoim dzienniku Mieczysław Federowski, wyjeżdża na nową posadę na wileńszczyźnie, w majątku "Bienia" pani Kislańskiej.

Nie łatwo żyło się Szczęsnemu, bowiem krótko przed wyjazdem ze Stepangródka, w listopadzie 1932 r. napisał wiersz:

" W walce o byt i w walce o jutro
Ściele się życie, co stygmaty kładzie
Na czyny nasze i w ducha układzie,
Dnie przez manowce nim się drogi utra,
W walce o jutro, jutro niepewne -
W walce o dzisiaj nawet, w pocie czoła,
Głos w krtani więźnie, choć wytrwanie woła-
Duch pędzi od się wszystkie myśli zwycięne
By brnąć znów dalej - nim się drogi utra,
W walce o jutro. "

Szczęsny
Zegocki



W roku 1933 urodziła się Szczęsnemu córka, której po babco dano imię Henryka.

Znów sięgając do dziennika Mieczysława, czytamy pod datą 31.I -9.II.1938 Szczęsny bawi na urlopie w Warszawie. Krótki to był urlop i ostatni, gdyż jesienią tego roku wraz z żoną i córką przyjechał do Kwater, gdzie pozostali u Bitnerów, jak wspomiano do wybuchu wojny 1.IX.39.

Wracając z karnawałowej zabawy w kasynie 3 Pułku Strzelców Konnych w Wołkowysku, przywieźli Bitnerowie z sobą świeży numer Tygodnika Wołkowyskiego. W gronie domowników przeglądając gazetę Dolek powiada:

- Piszą, że sprowadzone zostaną z Paryża do Świsłoczy zwłoki generała Tadeusza Tyszkiewicza, urodzonego w 1774 roku, zmarłego 12 kwietnia 1852. Byłego Naczelnika Rządu Powstańczego na Litwie w 1831 roku.
- Będziemy mieli w Świsłoczy manifestację patriotyczną!
- A propos, czy wiecie, że spadkobiercy generała wyprocesowali od Skarbu Państwa część Puszczy Świsłockiej? Rosja skonfiskowała Tyszkiewiczom majątek za udział w powstaniu, który z kolei przejęło Państwo Polskie. Spadkobiercy zrzekli się wszystkiego, unosząc roszczenie tylko do 28 tysięcy ha puszczy, z której jeszcze chcą oddać 1/3 zamiast podatku spadkowego.
- Dobrze, że mamy - mówi Marynia - lokalne czasopismo informujące o wydarzeniach w regionie.

Założycielem Tygodnika Wołkowyskiego był Włodzimierz Janota-Bzowski z Cholewicz, zakupionych przez ojca jego żony Steckiewicza, który przeniósł się tu z rodzinnych Siemierok, tych samych, które niegdyś należały do Glinieczów. Pismo wychodziło od 1927 r. Redaktorem odpowiedzialnym był Henryk Buttowt-Andrzejkowiec z Hornostajewicz.

- Widziałas Maryniu w Wołkowysku przy ulicy Rynkowej Nr 18 szyld redakcji?
- Czy to ten Bzowski, który prezesuje Spółdzielni Rolniczo-Handlowej?

- Tak, a nadto założyciel wielu gminnych Kas Zapomogowo-pożyczkowych i spółdzielni mleczarskich. Od 1930 roku poseł do Sejmu Rzeczypospolitej z naszego województwa. Ostatnio będąc w Warszawie słyszałem, że i tam jest w prezydiach kilku organizacji rolniczych.
- Dobrze, że w Cholewiczach gospodarzy moja imienniczka Marysia, bo jak widać, jej mąż nie ma na to czasu...
- Istotnie. A wiesz Marysiu, że jego syn Zdzisław to kolega ze studiów i korporacji Jurka Wysockiego z Walickowszczyzny - stryjeczna bratanka naszego Bronka? Obaj zresztą: Zdzisław i Jerzy są oficerami rezerwy naszego 3 Pułku S.K. Wiosną lub jesienią wraz z pułkiem wyjeżdżają do obozu ćwiczeń koło Leśnej. To jest jakieś około 12 kilometrów od Nowosad. Czysem dowozimy im do kasyna produkty naszej nowosadzkiej mleczarni.
- Słyszałem też w Warszawie o nowych wyczynach "Buby" Jego pomysły znane są już chyba w całej Polsce. Otóż ilekroć przyjeżdża do stolicy, telefonuje do nieznanego mu zresztą generała Zająca :

Pif-paf ! Czy Pan Generał jest już zabity ? Buba to Bohdan Żalutyński z majątku Repla, na północny zachód od Brzostowicy Wielkiej. Słynny był jego złośliwy kawał przed wojną: Znanemu i cieszącemu się zdrowiem Żydowi, posłał karawan pogrzebowy z wynajętymi płaczkami do obrzędu. Dziwak z niego i oryginał był wielki, rozmiłowany w płatanie psikusów i kawałów. Podobno korespondencję otrzymywaną, a prowadził szeroką, nawet z koronowanymi głowami, jeśli nie była adresowana : " Jaśnie Wielmożny Pan Hrabia Palatynatu "...odsyłał adresatowi nie otwierając. Był pono kawalerem Zakonu Rycerzy Grobu Chrystusowego i wielu różnych orderów. Miał czarną limuzynę, którą jeździł. Nazu pewnego chłopiec rzucił w nią grudką ziemi. Buba z dobrotliwym uśmiechem zatrzymał samochód, chłopcu zaproponował przejażdżkę i uszczęśliwionego wywiózł 60 kilometrów w nieznaną okolicę i tam wysadził, pozostawiając własnemu losowi.

Pod koniec kwietnia 1935 roku, Dolek wracając z banku w Wołkowysku, przywiózł kłobową wiadomość: Pożar na wschodnim przedmieściu Wołkowyska zwanym Zapole, strawił 127 zabudowań, wiele inwentarza żywego i martwego, zapasy zboża. W drewnianej, gęstej zabudowie ogień błyskawicznie przenosił się z budynku na budynek. Podobno pożar wzniecił mały chłopiec.

- Biedni ludzie stracili domy i dobytek.

Niestety, Tygodnik Wołkowyski w kronice wydarzeń, często donosił o pożarach w powiecie, ale żeby cała dzielnica spłonęła, tego od czasu wojny nie bywało.

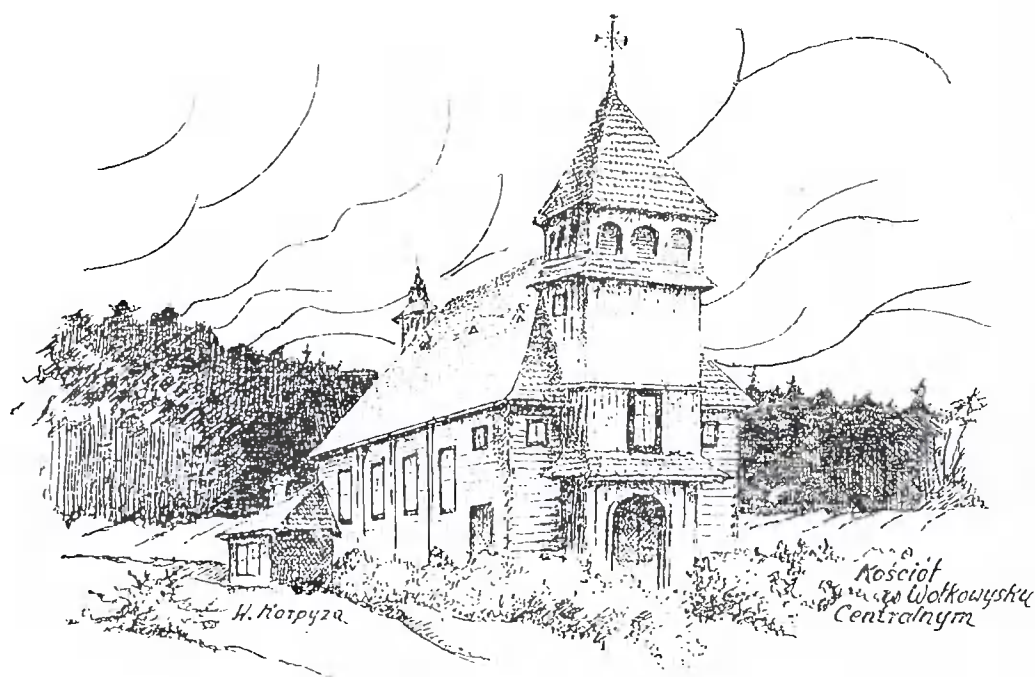
Do Nowosad jechano z Kwater bitym gościńcem. Po obu stronach w pofalowanym terenie rozciągały się pola. Drogę przecinały dwie rzeczki: Naunka i Łukowica, a pomiędzy nimi, po prawej stronie, ukazywała się na chwilę między pagórkami murowana wieża kościoła w niedalekim Mścibowie. Jak głosi tradycja, wtedy parły wojska napoleońskie na Moskwę w 1812 roku.

Rzadko napotymano podróżnych. Czasem jakaś żydowska furka ciągnięta przez chudą szkapinę, senną jak kiwający się na koźle furman, czasem wieśniak pieszo, apatycznie gdzieś zdążający. Napotkani kłaniali się zdejmując czapkę, ale bez słowa, badawczo wpatrując się w jadących.

Chyba, że był to ktoś znajomy - wtedy chwalił Boga.

Za wioską Janysze przekraczało się rzekę Roś i już wjeżdżano na przedmieście Wołkowyska - Borki, które później otrzymały szumną nazwę Wołkowysk Centralny, a to z powodu centralnej stacji kolei, gdzie rozwidłał się tor z Białegostoku w kierunku na wschód do Słonima i Baranowicz, oraz na północ do Grodna i Wilna. Wokół stacji i wzdłuż torów, rozbudowało się osiedle pracowników Polskich Kolei Państwowych/PKP/. Oni też wznieśli tu drewniany kościół w 1926 roku. W tym kościele Bronisław z Hurezym brał ślub.

Pociąg jadący w stronę Baranowicz, zatrzymywał się jeszcze o 4 kilometry dalej, na stacji "Wołkowysk Miasto". Jadący traktem do Nowosad, tu skręcali w kierunku po-



Kościół w Wołkowyśku Centralnym rys. W. Karpyza

łudniowo-wschodnim, omijając centrum. Wołkowyśk był dziesięciotysięcznym typowym miastem kresowym, z dużym udziałem Żydów. Swoją rangę zawdzięczał starostwu zarządzającemu powiatem i garnizonowi wojskowemu. Koszary 3 Pułku Strzelców Konnych znajdowały się w bezpośrednim sąsiedztwie stacji kolei. W pobliżu duży magazyn i zarząd Spółdzielni Rolniczo-Handlowej, której prezesował założyciel Włodzimierz Janota-Bzowski. Obok podlegała jej Spółdzielnia Przetwórnia Mięsa, znana w kraju i za granicą z doskonałych litewskich wędlin wędzonych i innych wyrobów. Jej dyrektorem był przybyły z Wielkopolski Jan Kuczowski, teść Bronisława Wysockiego. W mieście miało siedzibę Towarzystwo Rolnicze i Związek Ziemiaków. Ponadto był bank, magistrat, sąd, poczta, gimnazjum i kilka szkół powszechnych, gabinety lekarskie, kancelarie adwokackie, kino. Porny kościół katolicki pod wezwaniem św. Macłana. Poprzednie na tym miejscu trzykrotnie spłonęły, a w pierwszym fundowanym przez księcia Witolda w 1739 roku, spaliły się cenne dokumenty. Była także bożnica i cerkiew. Sporo sklepików, warsztatów drobnego rzemiosła, hotelików i zajazdów, przeważnie żydowskich,

cegielnia, tartak.

Wzdłuż ulic brukowanych "kocimi łbami" stały drewniane domki obrośnięte dzikim winem, a między nimi zagajniki brzożowe. Z za drewnianych parkanów wychylały się kolorowe mały i żółte słoneczniki. Było tu na ogół sennie i pusto. Czasem przejedzie bręczka ziemiańska, rzadko ogumiony wolant ze stangretem w jasnym prochowcu na koźle. W dni targowe pojawiały się chłopskie wózki zaprzężone w koniki drobnej budowy, z drewnianym kabłąkiem nad karciem zwanym duhą, spinającym hołoble, czyli dyszle.

Wtedy miasto ożywało jarmarcznym zgiełkiem. Chłopi w białych lnianych koszulach t. zw. rubaszkach, wyrzucanych na także białe spodnie, obuci w łapcie skórzane, ómiący machorkę nabijaną do fajek, lub skręcaną w gazetę. Kobiety w spódnicach samodziałowych, w chustkach na głowaach, chustach na plecach i ramionach. Handlowano bydłem, trzodą chlewną, ptactwem domowym, zbożem, nabiałem, narzędziami i innym sprzętem i produktami drobnych gospodarstw.

Wśród ryku bydła, krzyku gęsi, krzyżowały się mowy: białoruska, żydowska i polska. A wszyscy żuli "siemieszki", plując łuskami słonecznikowego ziarna. Po jarmarku sprzątano i znów zalegała senna cisza kresowa.

Najbardziej jednak ożywało miasto w czasie świąt narodowych, gdy ulicami, przed trybuną honorową, przy dźwiękach orkiestry, defilował 3 Pułk Strzelców Konnych, a po oficjalnej uroczystości następował festyn i zabawy.

Ojcem miasta w latach trzydziestych, międzywojennych był major kawalerii w stanie spoczynku, Władysław Kozubski, pełniący funkcję burmistrza.

Wołkowysk ma jednak swą szacowną historię. Legenda głosi, że na wzgórzach na południowy-zachód od miasta, w połowie XIII wieku, książęta litewscy, po najazdach Mongołów, zbudowali gród warowny. Ten, w wojnach wewnętrznych przechodził raz w ruskie, to znów litewskie ręce. Krążą też pradawne podania o wilkołakach i zaklętej dziewczycy. Od wilkołaków jakoby pochodziła nazwa miasta. Niegdyś były tu nieprzebyte puszcze, w których nie brakło drapieżników, stąd w tradycji ludu przerażające opowieści.



Pomnik Wolności w Wołkowysku rys. W. Karpyza

Natomiast faktem historycznym jest, że w Wołkowysku w styczniu 1386 roku, Władysław Jagiełło, Książę Litewski, z licznym poczetem braci, krewniaków i znaczniejszych bojarów, przyjął polskie poselstwo ofiarujące mu polską koronę.

Za Wołkowyskiem trakt biegnie lasami aż do Zelwy, by za nią, przekraczając rzekę Żelwiankę, stanowiącą granicę powiatów: wołkowyskiego i słonimskiego, znów zagłębić się w lasy. Były to kiedyś puszcze dzikie, pełne zwierza z rzadko rozrzuconymi, zagubionymi nielicznymi osadami. Lasy Nowogródziny z Puszcza Zaniemeńską w widłach Niemna i Szczary, łączyły się z Puszcza Różańską, aż po bagna Polesia, a na zachodzie z Puszcza Białowieską. Pełno tu było przeróżnej zwierzyny i drapieżników jak: niedźwiedzie, wilki, rysie. Michał Federowski przebywa-

jąc w majątku Podol w Słonimskim, ustrzelił rysia około roku 1890. Żyły tu także rosomaki, jak wiadomo, z natury ogromnie drapieżne. Według wierzeń ludowych, rzucały się głównie na kobiety, wygryzając im piersi. Zapewne to one były z tej racji uważane za wilkołaki, o których krążyły mroźące krew opowieści. To też czyniono na nie oblawy, aż wytępiono całkowicie w pierwszej połowie XIX wieku, a więc w epoce kampanii napoleońskiej i powstania listopadowego. W tym też czasie padły ostatnie niedźwiedzie.

Jadąc dalej w stronę Słonima, mija się rzadko rozrzucone osady i wioski. Małe chaty kryte słomą, obok obórka i stodoła. Co pewien czas las ustępuje i na otwartej przestrzeni widać wśród nieużytków długie wąskie zagony chłopskie. A dalej znów lasy, przeważnie sosnowe i sosnowo-świerkowe, czasem Kępa białych brzoź, a nad wodami ciemne olszyny. Słonim omija się przez jego południowe przedmieścia.

Było tu niegdyś wiele klasztorów, które władze carskie eksmitowały. Zostały jednak poklasztorne trzy kościoły katolickie, jest cerkiew z przebudowanego kościoła Bernardynów, synagoga i meczet muzułmański. Obok polskich szkół katolickich, funkcjonują: talmudyczna i muzułmańska. W siedemnastotysięcznym mieście większość stanowią Żydzi, kilkanaście procent prawosławni, kilka procent muzułmanie, resztą t.j. około czwartą część mieszkańców stanowią polscy katolicy. Płyną stąd wezwania do Boga Jedynego, Jahwe i Allaha.

Dzięki położeniu na trasie komunikacyjnej i handlowej z Mińska i Mohylewa do Brześcia, miasto rozwijało się. Od 1500 roku jest stolicą powiatu. Tu odbywały się sejmiki szlacheckie i sądy ziemskie. Dobra słonimskie należały do Sapiechów. Wznieiony w nie w XVIII wieku Michał Ogiński, ogromnie podniósł znaczenie gospodarcze i kulturalne miasta i regionu. Zbudował pałac, założył park, teatr, zespoły operowe, drukarnię, szkoły kształcące ogólnie i muzycznie. Zbudował kanał łączący Jasiołdę ze Szczarą/"Kanał Ogińskiego"/. Przez Szczarę

i Niemen spławiano zboże i drewno. Okres zaborów oznacza upadek gospodarczy i kulturalny. Dopiero budowa linii kolejowej z Wołkowyska do Baranowicz i Mińska, oraz koszar wojskowych, z końcem XIX wieku, spowodowała powtórne ożywienie miasta.

Szosa Wołkowysk - Słonim pokrywa się z dawną granicą zasiedlenia - plemion litewskich od północy, ruskich od południa. Tu walczyły ze sobą ich zastępy. Słonim przeżywał najazdy tatarskie, był palony. Walczono tu w czasie konfederacji barskiej, insurekcji kościuszkowskiej, w czasie powstania listopadowego gen. Dębiński cofał się z pod Wilna, wymykając z okrażenia przez tu-tejsze lasy i bagna do Puszczy Białowieskiej. W 1863 r. walczył tu oddział Łukaszewicza. Pod Słonimem toczyły się ciężkie boje armii austriackiej i rosyjskiej we wrześniu 1915 roku.

Za Słonimem droga znów biegnie lasami majątków Albertyn i Hawinowicze, a następnie przez lasy rządowe do stacji Leśna. "Lesnaja" po rosyjsku - stacja kolei żelaznej moskiewsko-brzeskiej. 154 wiorsty do Mińska, 167 do Brześcia. Obecnie w pobliżu znajduje się wojskowy o-bóz ćwiczeń, wśród lasów rządowych. Baraki mieszkalne, gospodarcze, kasyno, kościółek.

Od stacji na skrót leśnym duchtym, a potem wiejską drogą przez Hutę wjeżdżało się do dworskiego lasu i nim do dworu w Nowosadach. Albo lepszą drogą, od stacji do miejscowości Miłowidy, przy szosie z Kobrynia przez Berezę do Sinlówki i dalej do granicy państwa. Tu w Miłowidach była dawniej stacja pocztowa, na granicy guberni mińskiej. Z Miłowidów trzy kilometra wspomnianą szosą, a dalej polną drogą do miejscowości Ucios i przez Kadyczyce do dworu w Nowosadach.

To już głębokie kresy. Znacznie stąd bliżej do granicy ZSRR niż do Kwater. Szosą z Miłowidów tylko 68 kilometrów do krainy kłamstwa i nienawiści, gdzie niegdysiejsze godko czarnego dwugłowego drapieżcy zastąpiły jak na ironię symbole ludzkiej pracy. Do Słucka, gdzie tkano słynne pasy do kontuszków szlacheckich - 100 kilometrów. Do Mińska około 150 km, a do Warszawy dwukrotnie dalej.

tuż za szosą, na południe rozciągają się puszcze i bagna poleskie, hen po Prypeć i jej dorzecza. Wśród nich uroczyska i ostrowy, do których wiodą nieliczne groble. Łgnotyczna kraina, o której pisał Syrokomla:

" Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary
snują mi się niekiedy, jakby senne mory.
Lasy ciemne i gęste, jak gdyby jaskinie,
Rzeka co między łożą, a sitowiem płynie,
Uprzykrzonych owadów družyna skrzydlata
i zielony motylek co nad wodą lata.
I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
Oстрым krzykiem żurawia, klekotem bociana..."

W czasie wojny światowej Nowosady znalazły się w bezpośredniej strefie frontu, który na linii Pińsk-Baranowicze-Kołdyczew, hen po Dyneburg trwał w pozycyjnych walkach od jesieni 1915 roku. Z jednej strony Niemcy z drugiej Rosjanie, metodycznie ograbiali wsie i dwory, ryli ziemię okopami, drutowali zasiekami, wycinali lasy, bili zwierzyną. Ludzie wcześniej zostali przepędzeni w głąb Rosji. Dworek w Nowosadach jakimś cudem ocalał od pożogi, choć spustoszony.

W latach powojennych grasowały na kresach zbrojne bandy rabusiów, kiusowników i przemytników. Jeszcze współczesnie nad wieczorem zamykają po dworach okiennice i bramy, spuszczaają psy z łańcuchów, trzymają broń wojskową i myśliwską.

W roku 1924 na powiatowe miasto Stołpce, liczące trzy tysiące mieszkańców, powiatową komendę policji i miejski posterunek, 4 sierpnia uderzyła banda dywersyjna. Po odcięciu łączności, zranieniu telegrafisty, banda atakowała wszystkie urzędy państwowe i prywatne mieszkania. Zginęło siedmiu policjantów i urzędnik starostwa. Na odgłos strzałów, przybyli z odsieczą ułani kwaterujący w okolicy. Banda z łupami cofała się ku granicy, skąd sowiecka placówka ogniem karabinów maszynowych osłaniała ich odwrót. Ujęto 11 bandytów. Byli wśród nich żołnierze Armii Czerwonej i dywersanci szkoleni w Miń-

sku. Zadaniem ich było wzniesienie w łączności z miejscowymi komunistami powstania na Zachodniej Białorusi, by połączyć ją z częścią sowiecką. W tym samym roku zanotowano 207 napadów i sabotaży z udziałem około tysiąca bandytów. Wojsko i policja w końcu rozbiły grasującą od trzech lat bandę dywersyjną. Nie znaczy to, że sowieci zaniechali działalności wywrotowej i inwigilacyjnej. Trwała przez cały okres niepodległości Polski, aż do drugiej wojny światowej.

Od wieków kresowiaci nawykli żyć w czujności i zagrożeniu. Kiedy w miastach centralnej Polski snuły się ulicami nad wieczorem rozmarzone pary, kawiarnie i dansingi kusily rześcicie oświetlonym wnętrzem, ławeczki w parkach służyły wypoczynkowi i towarzyskim spotkaniom, kresowiaci o wieczornej porze skupiali się w domach, przy lampie naftowej. Kto po zmierzchu kręcił się w okolicy był podejrzany.

Dwór w Nowosadach był niewielki, dziesięcioizbowy, parterowy, z gankiem frontowym na kolumnkach, drewniany, kryty gontem - typowy dla kresów. W obejściu znajdowały się budynki gospodarcze jak stodoła, spichlerz, stajnia, obora mleczarnia i sześć budynków mieszkalnych dla pracowników folwarcznych. Później Dolek dobudował garaż dla samochodu. Obecnie część dworu zajmował dzierżawca z rodziną. Reszta pomieszczeń użytkowana była gdy przyjeżdżali dziedzice i w czas polowań.

Majątek stanowił niegdyś siedzibę Horehładów, następnie Glindziczów. Po zmarłych rodzicach majątek prowadziła córka Klementyna, wraz z mężem doktorem Adolfem Bitnerem który założył we dworze lecznicę. Po ich wyjeździe do Świsłoczy, ich syn Dolek objął matkowiznę. Obecnie majątek odrestaurowany po wojennych zniszczeniach, od roku 1934 został wydzierżawiony. Dzierżawcą był niejaki Masłowski, być może z rodziny posiadającej majątek Dobromyśl w południowej części powiatu słonimskiego. W kolejności pretendował do dzierżawy pułkownik Romuald Borycki, oficer z baranowickiego garnizonu. Miał kontakty z okolicznymi dworami, które go zapraszały chęć wojsku

Odsprzedać konie. On je kwalifikował, stąd znał majątki ziemskie w okolicy. Ponieważ w 1940 roku miał z czynnej służby przejść w stan spoczynku, układał się z Dolkiem o dzierżawę Nowosad. Była to korzystna oferta i gdyby nie wybuch drugiej wojny światowej, zapewne zostałaaby zrealizowana.

W dworku nowosadzkim jak w innych, rytm życia wyznaczała nieustanna praca w gospodarstwie. Nadchodzący dzień oznajmiały przed świtem żurawie, nawołujące się przeciągłym, jęklwym głosem. "Żurawi hołos podajut" jak mówili miejscowi. Pory roku wyznaczały przyloty i odloty bocianów. Krążyły zawsze najpierw nad obejściem, jakby rundą honorową witając, względnie żegnając mieszkańców i swoje znajome ustronie. Potem zabierały się do naprawy starego gniazda na spichrzu, a jesienią do odlotu na południe, na długie miesiące. Jak w innych dworach jaskółki wiły gniazda klejąc misternie pod okapem, a nad wieczorem chmary komarów wylęgłych na mokradłach pod Hajkowcami, dręczyły ludzi i bydło z porykiwaniem wracające z pastwisk do obór.

Na tyłach dworu w Nowosadach
od lewej: Klementyna Glindzicz-Bitnerowa,
Ancia z Januszkiem, Dolek, dzierżawca M., AN.





Kaplica dworska w Nowosadach

Dwieście metrów od dworu, w stronę lasu, stała na murywanym fundamencie drewniana kaplica. Prowadziły do niej dróżki od dworu i od wsi Nowosady. Ciekawa i ładna była architektura kaplicy, z portalem na kolumnkach i ostrołukowym zwieńczeniem, z dzwonnica nad stromym dwuspadowym dachem. Wokół niej rosły modrzewie i brzozy, miejsce było urocze. Zbudował ją któryś z Borehladów, chyba w XVIII wieku. Wymienia ją dokument z 1886 roku, jako katolicką kaplicę parafii Nowa Mysz. W jej podziemiach chowani byli zmarli kolejni dziedzice dworu. Było w zwyczaju dawnymi laty, budowanie kaplic dworskich w wię-

kszych majątkach, w których chrzczono, zawierano śluby, w większe święta odprawiano nabożeństwa. Do posługi kapłańskiej przyjeżdżał ksiądz z odległej parafii lub klasztoru. Z Nowosad do kościoła parafialnego w Krzywoszynie było 25 wiorst, nie o każdej porze roku przejezdnych, mimo usypanych na bagnach grobli. Jechać trzeba było przez rozlewiska Nowosadki, a za szosą brzesko-moskiewską Myszanki, przez dobra poleskie Potockich. Mijając Ostrów, osadę z cerkwią pounicka, jechało się zwartym lasem do Krzywoszyna, śródleśnej osady stanowiącej niegdyś siedzibę dominium Jezuitów, które przeszło na Fundusz Komisji Edukacyjnej po 1781 roku.

Około połowy XIX wieku parafię przeniesiono do miejscowości Nowa Mysz, na zachód od Baranowicz, równie odległej, choć łatwiej dostępnej. To też z całej okolicy ludność schodziła się i zjeżdżała do kaplicy w Nowosadach, cawnymi czasy w większe tylko święta, później na niedzielną Mszę. Dopiero w niepodległej Polsce zbudowano kościół w Leśnej, ze względu na wojskowy obóz.

To, że dworek nowosadzki nie spłonął w czasie wojny, nie znaczy, że nie dotarła tu, na to ustronie, dzicz azjatycka. W ramach represji rozpętanych przez cara za powstania, z krypty kaplicy nowosadzkiej wyrzucono z trumien szczątki pogrzebanych Horehladów i Glindziczów. Między innymi, Józefa Glindzicza z Kwater - żałoki ojca, oraz dziada po kądzieli - członka Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a także jego żony. I nie był to czyn prostych rabusiów szukających kosztowności, lecz profanacja zaplanowana przez żonę gubernatora grodzieńskiego.

Działo się to w czasie, gdy w Nieświeżu palono na dziedzińcu pałacowym bibliotekę i archiwum, a w Wilnie na rozkaz Murawjowa przezwanego "wieszatkiem", palono zrabowane po okolicznych dworach i klasztorach księgozbiory. Podobnie na Nowogródczyźnie, carscy "stróż prawa" z bezmyślną zawziętością poczynali sobie w Zdzięciole Sołtanów, Podolu Komarów, gdzie jeszcze w 20 lat po listopadowym zrywie rozbierali marmurowe kominki i statuy.

W Dereczynie z pałacu Sapiehów zrabowali słynną galerię obrazów. W Brzostowicy Wielkiej, niedaleko Kwater, trumny z krypty odarto ze złocen i spalono wraz ze zwłokami. Tak działo się wszędzie, gdzie było coś do zniszczenia lub zrabowania, by zniknął z powierzchni tej umęczonej ziemi wszelki ślad polskości. Zagrabionymi dziełami sztuki zdobiono carskie pałace, ermitaże, przed światem szczycąc się "swoim" bogactwem złodziejskim.

Pracowicie płynęły dni we dworze. Każdy przybysz witany był ze zwykłą dla polskich dworów gościnnością, wypytywany o wieści ze świata i ugaszczany razowcem, serem, wędliną i zsiadłym mlekiem. Herbata, oczywiście z samowara, jeszcze u Glindziczów była rarytasem na specjalne okazje. Weszła w użycie w połowie XIX wieku i uważana była początkowo za szkodliwą dla zdrowia zamorską nowalijkę. Sprowadzali ją z Chin kupcy rosyjscy, w puszkach blaszanych malowanych w chińskie smoki. Słodziło się ją miodem lub melasą z buraków.

Bywał tu Michał Federowski w swoich odkrywczych wyprawach, jego teść Zdzisław Bitner. Współcześnie przyjeżdżali z Kwater od czasu do czasu Bitnerowie, częściej sam Dolek. Najbardziej, choć na krótko ozywał dworek w czas polowania.

" Aż w cichym samotnym domu
wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk
/wesoły,
Jak w ulu pustym, kiedy węć wlatują pszczoły:
Był to znak, że wracali goście z polowania
I krzątała się służba około śniadania. "

/A. Mickiewicz "Pan Tadeusz"/

Tutejszy biedny lud jest ostrożny. Między sobą prostoduszni, przed obcym przytajemni. Łagodni i bogobojni/poza obafanucowymi duchem rewolucji/. Egzotyka kresowa wyróżza się między innymi tym, że wyznając Chrystusa, równocześnie jedną nogą tkwią jeszcze w pogaństwie, wierząc w przesady, a nawet uprawiając potępiane przez duchowieństwo praktyki. Mają na przykład w lasach "swoje" drzewa, którym zwierzają swoje troski. Jedne pomagają

na bóle głowy i zębów, inne pannom w zamążpójściu. W zapadłych kątach w Dzień Zaduszny odprawiają na grobach obrzędy "Dziadów". Zawsze co niematerialne budzi lęk, więc trzeba zapewnić sobie przychylność duchów. Cykanie świerszcza, skwierczenie, polana w ogniu - to głosy zmarłych. Duchy złe snują się jako upiory po drogach.

Więc w jesienny wieczór "Dziadów" lud szedł na "żałnik" niosąc z sobą jadło i napoje. Wróż wywołując kolejno imiona zmarłych z gromady, rzuca w ogień kołaczki, kaszę, mięswo... W każdej chacie żyją skrzaty, po rusku "domowoje". Zyczliwe sprawiają, że wiedzie się gospodarzka. Ustrzegają od ognia i choroby. Więc stawia się przed progiem miseczkę z miodem, mlekiem, wino czy piwo niedopite chlusta się na próg. Nie daj Bóg rozłościć skrzata klnąc w chacie lub nic mu nie dając. Wyniesie się i wówczas zaczynają się wszelkie nieszczęścia.

Gdy masz na kogoś złość, możesz go zniszczyć wiążąc mu na zagonie "skręt". Garść zboża na pnju skręcona i związana. Powoduje przepadek plonu i wszelkie możliwe nieszczęścia w gospodarstwie. Tknięcie skrętu nie wolno, grozi chorobą lub śmiercią! Odczynić urok może tylko wiedźma znająca zaklęcie. Tylko ona może wskazać sprawcę i oddać w moc pokrzywdzonego. Cała wieś tym żyje i bez współczucia oczekuje skutku.

Istnieją jeszcze majątki, w których od feudalizmu przetrwało i egzekwowane było do niedawna "Jus primae noctis" czyli prawo dziedzica do pierwszej nocy z nowoposiłubioną panną we wsi.

Spotkanie obcego, co to nie wiadomo kto i co zamierza, na wszelki wypadek kwituje się cichym: "Traścia na тебе nie na mnie!", co znaczy: niech ciebie febra trzęsie nie mnie, jako że znana jest nie tylko na Polesiu ale i w Nowogródczyźnie.

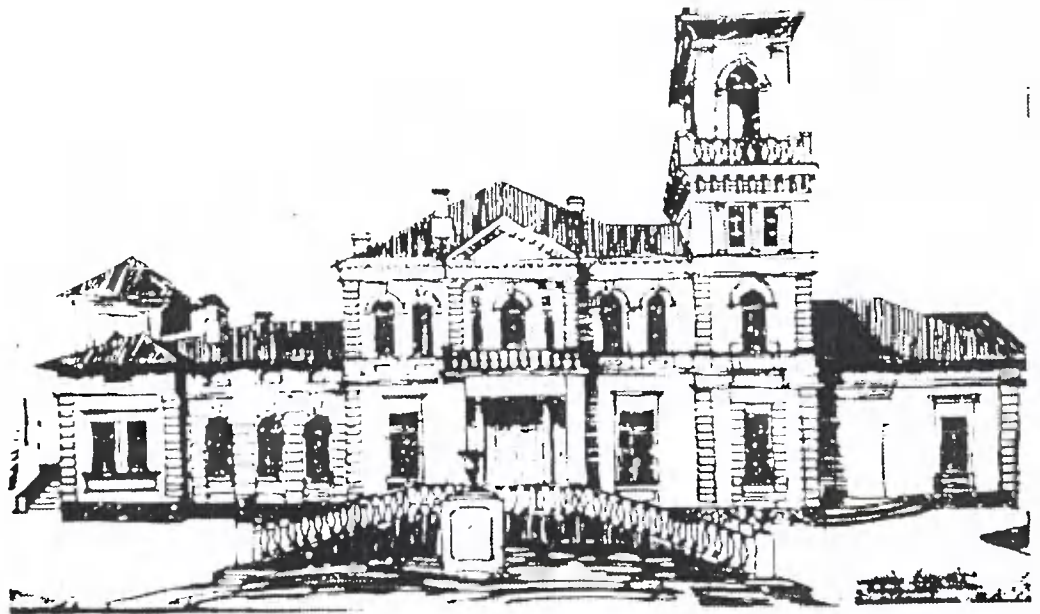
Ciekawą grupę etniczną stanowią Tatarzy: Aliewicze, Bajraszewscy, Szeridewicze, Radeccy i inni. Trudno określić od kiedy osiedlili się w Polsce, w każdym razie ich obecność jest świadectwem epoki najazdów i podbojów.

Zachowując religię muzułmańską, czuli się Polakami. Mówili po polsku i walczyli za Polskę. Zajmowali się głównie garbarstwem, futrzarstwem i uprawą roli. Skupiskiem był Słonim, ale rozrzućeni zamieszkiwali cały powiat, a także Nowogródczyznę. W 1919 roku w Grodnie, uformował się Pułk Tatarskich Ułanów, który walczył pod Grodnem, Mińskiem i na Polesiu, aż po Kijów. Po wojnie pułk został przeformowany na Dywizjon Mahometański. Żołnierze nosili spodnie wpuszczane w cholewy, czerwone lub granatowe z białym lampasem, kurtki t.zw. tatarcki i serdaczki szare z seledynowym szamerunkiem. Czapki okrągłe maciejówki, też szare z seledynowym otokiem, a na nich pod orzełkiem półksiężyc z gwiazdą. Proporce przy lancach seledynowe z gwiazdą i półksiężycem. Zamiast sztandaru, dywizjon miał buńczuk.

W sąsiedztwie Nowosad znajdował się folwark "Sieliszczcze". 100 ha dobrej ziemi, 200 ha łąk, 900 ha łąs, dwa wodne młyny w Małachowicach, cegielnia, smolarnie, stawy rybne. Folwark stanowił część wydzieloną z większej, liczącej trzy tysiące hektarów posiadłości o nazwie "Jastrzębl". Własność Kotłubajów herbu "Kot" - spolszczonych tatarów.

To już sąsiedztwo opiewanych przez Adama Mickiewicza stron. Stąd do Zaosia, gdzie urodził się wieszcz, w linii powietrznej zaledwie 28 kilometrów. Nieco dalej Luhanowicze, gdzie spędził wakacje w 1818 roku i poznał Marylę Wereszczakówną, późniejszą hrabinę Puttkamerową, daremnie do niej wzdychając.

Nad rzeczką Myszanką, po spaleniu pierwotnego dworu, Edward Kotłubaj zbudował pod koniec XIX wieku, wśród parku, pałac o nieregularnej bryle i wyposażył w bogatą bibliotekę. W czasie wojny światowej pałac został zdemolowany. Folwark Sieliszczcze odziedziczyła po zmarłym wuju Kotłubaju siostrzenica, córka Anny Kotłubaj i Eugeniusza Dłuskiego. Kotłubajowie byli spowinowaceni z Glińdziczami. Tak więc majątki: Nowosady i Jastrzębl, łączyło nie tylko sąsiedztwo, ale i związki rodowe właścicieli. O drugim folwarku jastrzęblańskim o nazwie



Pałac w majątku Jastrzębł

"Lesin", gospodarzył brat Edwarda - Władysław. Dwór w Lesinie spłonął w czasie wojny. Janina, dziedziczka Sieliszcza wyszła za mąż za inżyniera Józefa Raciborskiego, którego matka - Wanda z Białosukniów była spokrewniona z Grochowskimi. Były to dwie rodziny ziemiańskie w powiecie łomżyńskim. Tak więc Maria z Grochowskich, żona Dolka i córki Janiny z Dłuskich-Raciborskiej: Zosia i Janka, były kuzynkami.

Każu pewnego w 1931 roku, bawiąc w Nowosadach, Dolkowie przyjechali do Jastrzębł i Sieliszcza. Dolek chciał przedstawić sąsiadom swoją żonę. Jak wspomina Janina-córka, Dolkowie byli w żałobie po niedawnej śmierci Klementyny Glindzicz-Bitnerowej. Marynia przedstawiła się Janinie jako wysoka, szczupła i bardzo piękna. Straciła tragicznie pierwszego syna Romka, a obecnie była matką drugiego, rocznego Januszka.

Kiedy w Nowosadach gospodarzyli doktorostwo Bitnerowie Adolf i Klementyna, wydzielili dla córki Marii część majątku w północnej jego części. Kawał lasu i przyległych pól, nadając folwarkowi nazwę "Marysin". Miał stanowić zabezpieczenie materialne córki. Niestety, wyszła za mąż

do Warszawy i młodo zmarła. Nie wiadomo komu przyznany był drugi folwark w części południowej nazwany "Zacisze". Może dla syna. To zresztą nieistotne, bowiem i tak przejął całość majątku po matce, łącznie z obydwoma folwarkami.

Las nowosadzki położony był na równinie częściowo podmokłej i stanowił fragment dawnej, rozległej puszczy. W południowo-wschodniej części tworzył porozrywane kompleksy, poprzedzielane łąkami, a w zachodniej, na przestrzeni 10 kilometrów ciągnął się zwarty las, od brzeskiej szosy, aż poza dwór ku północy. Był to przeważnie bór sosnowo-świerkowy, z modrzewiem, ale występowały także kępy dębów, klonów, jesionów, a na podmokłych rozlewiskach Nowosadzki przecinającej cały las, gęsto rozrosła się olszyna. Na skraju lasu i obrzeżach śródleśnych polan, bieleły brzozy. W kępach gęstego podrostu świerkowego miały swoje legowiska dziki. Ślady ich buchtowania spotykało się wszędzie. Na mokradkach miały paprzyska, gdzie tarzały się, pozostawiając w mule czasem nieco szczeciny. Rano i nad wieczorem, na polanach spotykało się żerujące sarny, a spod nóg z głośnym furkotem podrywały się z mchów jarząbki. W zapadłych kątach lasu, w widłach korzeni wiekowych kolosów, lisy i borsuki kopały swoje jamy. Chodząc po lesie, niejednokrotnie spotkać można było poszarpane szczątki zwierzyny - ślady wilczej uczty.

Wczesną wiosną, las pełen był ponęt. Po długim śnie zimowym zaczynał tętnić życiem w nabrzmiąłych pączkach drzew i krzewów, w godowych zapachach leśnych mieszkańców. Zajęcie pomykały jak nieprzytomne i zdarzało się, że gdy staniesz bez ruchu, wpadają pod nogi. Nad wieczorem, z pochrapywaniem "ciągną" słońki. Lecz najpiękniejszych doznań dostarczają toki: Gdy jeszcze zalegają łąty śniegu, a po zachodzie czerwonej tarczy słońca mróz przenika do kości, o zmroku, w zaajomym sobie ostępie leśnym, gdzie nikt nie ma ci spokoju, na wybranej gałęzi, z głośnym łopotem skrzydeł "zapada" głuszc, by przenocowawszy, o świcie rozpocząć pieśń godową

tajemniczą, pierwotną i dziką. Na południowym skraju lasu na mszarach, gardłowym bulgotaniem cietrzewie wabia samki i straszą konkurentów. Nastroszone pióra wachlarzowatych ogonów, w pomroce przedświt błyskają białym podbiciem.

Majątek zatrudniał czterech gajowych, których zadaniem było pilnowanie lasu przed kradzieżami i kłusownictwem, a przed polowaniem otropienie zwierzyny i werbowanie we wsi naganiaczy. Do nich należała też organizacja kśby polan śródleśnych, które chłopci kosili na " czast " lub na " paławinu ", to znaczy dworowi oddając dwie trzecie, lub połowę zbioru, zależnie od jakości siana i umowy, resztę zatrzymując sobie za robotę.

Krok za krokiem, z rytmicznym zamachem kos, posuwa się szereg w białe płótna przyodzianych kosiarzy, odkładając równe pokosy. Nad łąkami kwiląc żałośnie uniwijają się czajki, a mokradła, dostojnym powolnym krokiem przemierzają bociany w poszukiwaniu żab. Potem przychodziły wiejskie dziewczęta i kobiety by rozrzucić pokosy i obracać do wysuszenia siano. Jego odurzający zapach przywodził na pamięć nadchodzący schyłek lata. Gdy chłopci złożyli suche siano w stogi, wetkniętą gałęzią olchy znaczyli co drugi lub co trzeci, po czym jeden z kosiarzy wyciągał ku gajowemu zwinięte pięści mówiąc:

" Ciapier wibiraj. Kotora z listeczkom, ta wietkoj."

Gdy we wskazanej ręce był listek, dla dworu szły stogi z zatkniętą gałęzią. Gdy dłoń była pusta, znaczone stogi brali chłopci.

Z nadchodzącą jesienią las stroi się w przepyszne barwy i odcienie złota i czerwieni. O poranku błyszczą rosa, a gdzieniegdzie już szronem. Trawy i krzewinki spowite w pajęczyny, na których drobniutkimi kryształkami osiada poranna mgła. Snują się jeszcze w powietrzu nici babiego lata, a już odczuć się daje jakaś zaduma i smętek. W taki czas, nad wieczorem i wczesnym rankiem, można było usłyszeć stłumiony mgłą, tęskny, a czasem groźny godowy głos jelenia, lub głuche stękanie łośia. W czas godów niespokojnie wędrując poza zwykłe ostoje, zapusz-

czał się tu z poleskich głuszy. Ale tak było dawniej, zanim walec wojny toczący się przez te ziemie, nie wytrzebił lasów i zwierzyny.

Zimą las choć piękny w śniegowej szacie, stawał się złowrogi. W ciemne, ponure noce jęczy skargą targanych wichrem drzew. Spadają z nich głucho strząsane lawiny okiści. Zadyмки śnieżne zacierają wszelki ślad i mają zapóźnionego wędrowca. W mroźne dni pękają z hukiem drzewa, a nocą niesie się z oddali, a czasem z bliska tęskne wycie wilków.

Niedaleko za wsią Nowosady, z bagiennych moczarów, wypływała rzeczka Nowosadka. Omijając wieś, płynęła w pobliżu dworu. Leniwie, z cichym pluskiem płynęła na południe przez dworski las, by przed szosą brzeską wpaść do Mototówki, a z nią razem przeciąć szosę pod Miłowidami i już na Polesiu połączyć się ze Szczarą.

Płynąc wśród bagien i podmokłych lasów, szeptała olcho-wo-osikowym zagajom i sosnom na ostrowach, to znów borom świerkowym i kępom brzeziny - o czasach dawnych, minionych, o dniu dzisiejszym i jego sprawach. W porannych i wieczornych mgłach nad wodami, w głosach ptactwa, ostrzegawczym "szczeku" rogacza i zawodzącym wyciu wilków, te niezmiernie obszary pierwotnego świata chwaliły Boga, jęczały skargą udręk doznanych i trwożą przed nadchodzącym czasem.

EPILOG

W dniach wrześniowej grozy 1939 roku, docierały różne wieści, często sprzeczne i dezorientujące. Konsultowano się wzajemnie po sąsiedzku: Co robić? Uciekać - gdzie, czy na miejscu czekać na swój los?...

Już 3 września Dolek wyprawił samochodem do Nowosad Aniunia czyli dziewięcioletniego Januszka i Kyslutka liczącego 6 lat, pod opieką Amci, Baby Teni i Zgagi. Obydwoje z Marynią i Żegockimi pozostali jeszcze w Kwaterach czekając dalszych wieści, szykując do drogi rzeczy osobiste i cenniejszy dobytek, wypłacając służbę, wydając gorączkowo ostatnie polecenia rządcy.

Wreszcie ruszyli za dziećmi. Ciężka to była droga i powolna jazda. Jechano końmi, wioząc na wozach i bryczkach zabrane z sobą mienie. Za wozami podążały pędzone przez fornali konie i krowy. Co chwilę przystawano, bo droga była zatłoczona podobnymi uciekinierami, małymi oddziałami wojska podążającego w obu kierunkach, samochodami i wozami. Nad głowami przelatwały samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach, gdzieś dalej zrzucając bomby, a w powrocie ostrzeliwując drogę z broni maszynowej. Powstawał zamęt i popłoch, krzyki i jęki rannych, kwik koni, ryk bydła. Już wkrótce w ogólnym zamieszaniu przepadły spłoszone konie i krowy, porozdzielały się wozy. Musieli dzień spędzić ukryci w lasach. Jechali tylko nocami przy blasku łun bliższych i dalszych pożarów, przy akompaniamencie dalekich detonacji i bliskich strzałów z broni ręcznej. Unikali wsi i skupisk na drogach, Grasowały już bandy skomunizowanych chłopów, grabiące i mordujące uciekinierów. Już za Słonimem, chcieli zatrzymać się dla odpoczynku i posilenia w napotkanym chutorze, lecz wystraszona mieszkanka radziła czym prędzej odjeżdżać, zanim wrócą chłopci, którzy właśnie wyszli budować przy głównej drodze tryumfalną bramę na powitanie wkraczających Sowietów.

- Oni was zamordują!

Kompletna dezorientacja. Z tyłu Niemcy, z przodu Sowietci, w Nowosadach dzieci, może już ogarnięte przez bolszewików? Wrócono do jeszcze wolnego Słonima, a do Nowosad

wysłano zaufanego fornała, by sprowadził dzieci i opiekunki. niezwłocznie, pozostawiając auto, drabiniastym wozem, maskując jak się dało inteligenckie pochodzenie, wyruszyły panie i dzieci do Słonima. Zatrzymywani byli wielokrotnie przez chłopów z czerwonymi opaskami na rękawach, mówiących tylko po białorusku, tendencyjnie unikających dobrze im znanej polszczyzny. Twarze złośliwe i okrutne, oczy rozbiegane, podejrzliwe. Rewidowali furmankę i jadących, rzekomo poszukując broni. Niestety, w Słoniemiu dzieci nie zastały już ojca. Spłakana Marynia relacjonowała wystraszonemu malcom i piastunkom okoliczności jego aresztowania przez sowietów: nie czekając biernie na powrót dzieci, Dolek zamierzał jednak dotrzeć do Nowosad. Ponieważ bez przepustki nigdzie nie wolno było się poruszać, posłał po nią fornała do komisariatu. Temu jednak nie wydano, polecając by Adolf Bitner zgłosił się osobiście po jej odbiór. Gdy się tam udał, już nie powrócił.

18 września zajęli Słonim sowieci. Postępujący za Armią Czerwoną NKWD/Narodnyj Kommissariat Wnutriennych Dieł/rozpoczął natychmiast aresztowania oficerów, policjantów, ziemian-"pomieszczyków" i uciekinierów z głębi kraju. Chętną pomoc okazywali skutecznie bałamuceni przez dwudziestolecie chłopci i Żydzi. Infiltracja do Polski bolszewickiej propagandy, święciła tryumf. Żydzi głównie donosili nowej władzy. Chłopci założyli czerwone opaski ludowej milicji i wspólnie z sowietami wyłapywali "wrogów ludu". Nierzadko i bez opasek, ale za to z nożem, siekierą, czy kłusowniczym "obrzyńkiem" karabinowym, doraznie dawali upust swej fanatycznej nienawiści i barbarzyństwu. Nastął ich czas! Nie przewidzieli, że ramię sowieckiej sprawiedliwości wkrótce ich także zmiecie. Narazie jednak powszechny terror szalał.

Po raz ostatni ujrzała Marynia męża, a chłopcy ojca, na początku 1940 roku. Ponad więziennym murem, w zakratowanym oknie celi na drugim piętrze. Tylko przez moment - dawał znaki - zaraz straż krzykiem i groźbą przepędziła patrzących z pod muru.

Dolek więziony w Słoniemiu, następnie najprawdopodobniej w Mińsku, został zamordowany w nieznanym czasie, miejscu i okolicznościach, przez bolszewickich bandytów za to, że był Polakiem i inteligentem.

Marynia wypłaciła służbę odsyłając do domu, sama z dziećmi Amcią i Zgagą zamieszkała w wynajętym lokalu przy ul.3 maja/nazwa przedwojenna/.Baba Tenia wróciła ze służbą do Kwater i Białegostoku, gdzie zmarła w 1941 roku. Zgaga uczył dalej Januszka, do 13 kwietnia 1940, w którym to dniu Marynia z chłopcami i Amcią zostali wywiezieni do Kazachstanu. Już na początku 1940 roku sowieci rozpoczęli masowe deportacje w głąb ZSRR "antyradzieckiego elementu", które trwały do wybuchu wojny z Niemcami w 1941. roku

Zegoccy: Szczęsek, Marysia i Henia zamieszkali osobno przy ulicy Szosowej i uniknęli deportacji. Szczęsny pracował jako robotnik drogowy i przy wyrębie lasu. Później, gdy Niemcy uderzyli na ZSRR został kierownikiem gospodarstwa ogrodniczego, a następnie administratorem gospodarstwa w pobliskim Albertynowie i Szydłowiczach. Gdy znów wkroczyli sowieci, zadekował się u chłopca na wsi, jako jego pomocnik. W 1945 roku powrócił do Polski z żoną i córką, w ramach repatriacji i osiedlili się na Śląsku.

Dwór kwaterski został ograbiony zaraz po wyjeździe gospodarzy przez okoliczną ludność i pracowników folwarcznych, z wszystkiego co dało się wynieść. Wkrótce jednak szabrownicy jak niepyszni znosili z powrotem zabrane dobro, na rozkaz komisarza, który nakazał zwrócić mienie "wspólne". Oczywiście i tak wszystko przepadło, tyle że na rzecz sprytniejszych rabusiów, działających w majestacie "prawa".

Lotnisko koło dworu zostało zbombardowane, a sam dwór spłonął w 1942, lub 1944 roku.

Dwór w Nowosadach spłonął w czasie walk niemiecko-sowieckich w 1941 r. Podziemia kaplicy raz jeszcze zostały sprofanowane w 1939 r. przez czerwonooarmistów szukających kosztowności. Jak widać zmiana ustroju carskiego na radziecki, nie odmieniła obyczajów tej dzieciny.

Kaplica spłonęła w 1965 roku, a resztki rozebrano do fundamentów. Może pożar nastąpił przypadkiem, może był to przypadek sterowany, władza przecież stale utrwała-



Nowosady: miejsce po spalonej kaplicy
zdjęcie wykonane w 1995 r.

ła komunistyczny ład.

Ostatnia dziedziczka majątku Zubki, Bernowiczowa, która zdołała mimo bliskości granicy sowieckiej, zbiec do Warszawy wraz z dziećmi, we wrześniu 1939 r. niestety wróciła do majątku w 1941 roku, posuwając się za niemieckim frontem. A roku następnym poniosła śmierć z rąk Białorusinów.

Dwór w Sieliszczu spłonął. Jego dziedzic Józef Raciborski zginął w miejskim więzieniu. Żona Janina z córkami usiłowały przedostać się do niemieckiej strefy okupacyjnej, jednak złapane przez Sowietów na granicy, zostały zesłane do Kazachstanu. Córka Zofia zdołała uciec z konwoju i dotarła do Warszawy w 1940 roku.

Stanisław Grochowski, brat Maryni Bitnerowej, spotkał na zesłaniu panię Raciborską i pomógł im wydostać się na Bliski Wschód z armią gen. Andersa. Sam zmarł na tyfus w Guzarze/Uzbekistan/w 1942 roku.

Gimnazjum św. Józefa, w którym Niemcy urządzili sanatorium dla lotników Luftwaffe, w czasie ich odrotu zostało wysadzone w powietrze w roku 1944. Pomnik Romualda Traugutta oczywiście został zburzony na po -

czątku okupacji /odbudowany został w roku 1989/. Miasto spłonęło wraz z kościołem parafialnym, w którym znajdowały się dokumenty przechowywane od 1710 roku ! W taki czy inny sposób przepadły wszelkie zapisy i w innych parafiach kresowych, stąd współcześnie trudno odtworzyć kronikę tamtejszych rodów.

W Brzostowicy Wielkiej został spalony pałac Kossakowskich wraz z całym wyposażeniem. Hrabia Stanisław zdołał zbiec do Francji, natomiast matka, hrabina Maria, wraz z córkami i ich dziećmi, zostały zesłane do Kazachstanu. Najmłodszego, kilkumiesięcznego wnuka hrabiny, uratowała od zsyłki prosta dziewczyna wiejska, która z narażeniem czci własnej, przechowała i wychowała jako swoje nieślubne dziecko. Zwróciła rodzinie jako kilkunastoletniego chłopca w parę lat po wojnie.

Klepsydra Marii Bitner-Glindzicz

ś. † P.

MARIA Z GROCHOWSKICH
ADOLFOWA
BITNER-GLINDZICZ

Z DROGOSZEWA I KWATER

opatrzona św. Sakramentami, zmarła w Londynie 27 sierpnia 1983 przeżywszy 84 lata.

Msza św. pogrzebowa zostanie odprawiona w kościele św. Andrzeja Boboli we środę 7 września o godz. 11.15, po czym spopielenie w Mortlake Crematorium.

**SYNOWIE,
RODZINA
PRZYJACIELE**

Zamiast kwiatów prosimy o ofiary na Medical Aid for Poland,
107 Beaufort Street, London SW3.

2767

W walce obronnej 1939 roku, poległ w Kalinowym Dole rotmistrz Witold Wasiutyński z 3 Pułku Strzelców Konnych. Burmistrz Wołkowyska major Władysław Kozubski został zamordowany wśród innych oficerów w Katyniu. Włodzimierz Janota-Bzowski, deportowany wraz z żoną, zmarł na tyfus w drodze do Teheranu z armią gen. Andersa. Jego syn Zdzisław, oficer 3 PSK, po bitwie pod Kockiem, dostał się do niemieckiej niewoli 6.X.1939 r. Podobnie, po kampanii wrześniowej dostał się do niewoli Mieczysław Federowski. Brat jego, aresztowany w Warszawie w czasie okupacji, zaginął bez wieści. Marynia z dziećmi i Amcią, wydostały się z "niełudzkiej ziemi" do Teheranu w roku 1942, z armią gen. Andersa, jako cywili uchodźcy. Tam na początku 1943 r. zmarła na zapalenie płuc Amcia, w wieku siedemdziesięciu kilku lat.

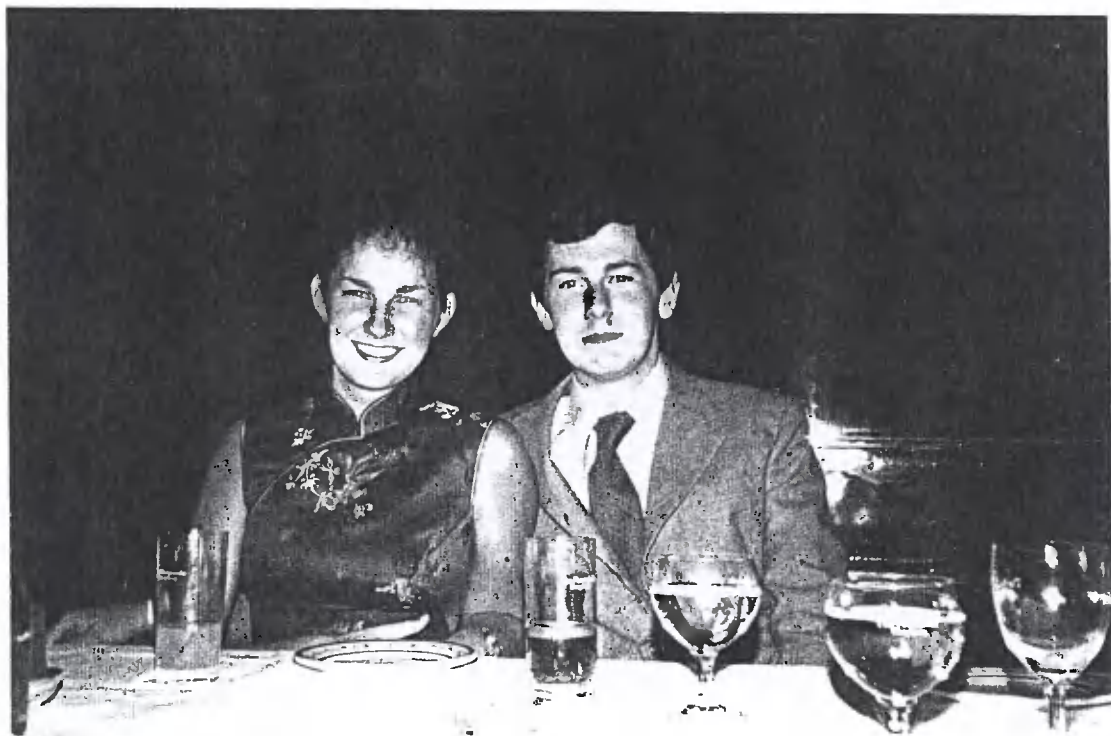
Janusz Bitner-Gładzicz z rodziną:
od lewej u góry-synowie Ryszard i Zbigniew,
Janusz-ojciec. U dołu: syn Krzysztof, Anna
Kaller-Bitnerowa -żona Janusza. California 1987.



By uniknąć wyjazdu do Indii lub Afryki, gdzie rozsyłano uchodźców, a czego obawiała się Marynia, z pomocą znajomości w sferach wojskowych z przed wojny, zdołała uzyskać dla siebie i synów podporządkowanie Dowództwu Jed-



Ryszard Bitner-Glindziez z żoną
Helen Herron-Bitnerową 1996 r.



Dzieci Ryszarda Bitner-Glindzieza :
Roman i Maria 1989 r.

nostek Wojska na Środkowym Wschodzie. W ten sposób status cywilnego uchodźcy zamieniono na służbę wojskową na miejscu. Marynia pełniła w Szkole Kadetów funkcję gospodyni stołówki 5-tej kompanii, a następnie kancelistki w dowództwie. Odznaczona została Medalem Wojska, co potwierdza legitymacja Nr 52/8.

Synowie zostali przydzieleni do Junackich Szkół Kadetów. Starszy Janusz do II klasy gimnazjum, młodszy Ryszard do III klasy powszechnej szkoły.

W lipcu 1947 roku Marynia i chłopcy, z armią ewakuowali do Anglii, gdzie następnie zamieszkali w Londynie.

Synowie kontynuowali kształcenie, zdobywali zawody i założyli rodziny. Marynia tracąc stopniowo wzrok, zmarła 27 sierpnia 1983 roku, mając lat 84.

Starszy Janusz osiadł w Kalifornii, pracował jako konstruktor elektrowni. Ryszard, jako specjalista budowy i eksploatacji turbin parowych, pracował w Anglii, następnie w Hong-Kongu, a po przejściu na emeryturę osiedlił się na Malcie, później w Anglii.

Po wielu latach, w roku 1995, odwiedzając rodzinne strony, Ryszard spotkał byłego fornala z Kwater - Pawła Bartosza i jego żonę. Od nich dowiedział się, że obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, który Amcia obnosiła po dworze w czasie burz, by zapewnić bezpieczeństwo domowi, znajduje się w Moskwie u córki Bartoszków.

SUPLEMENT

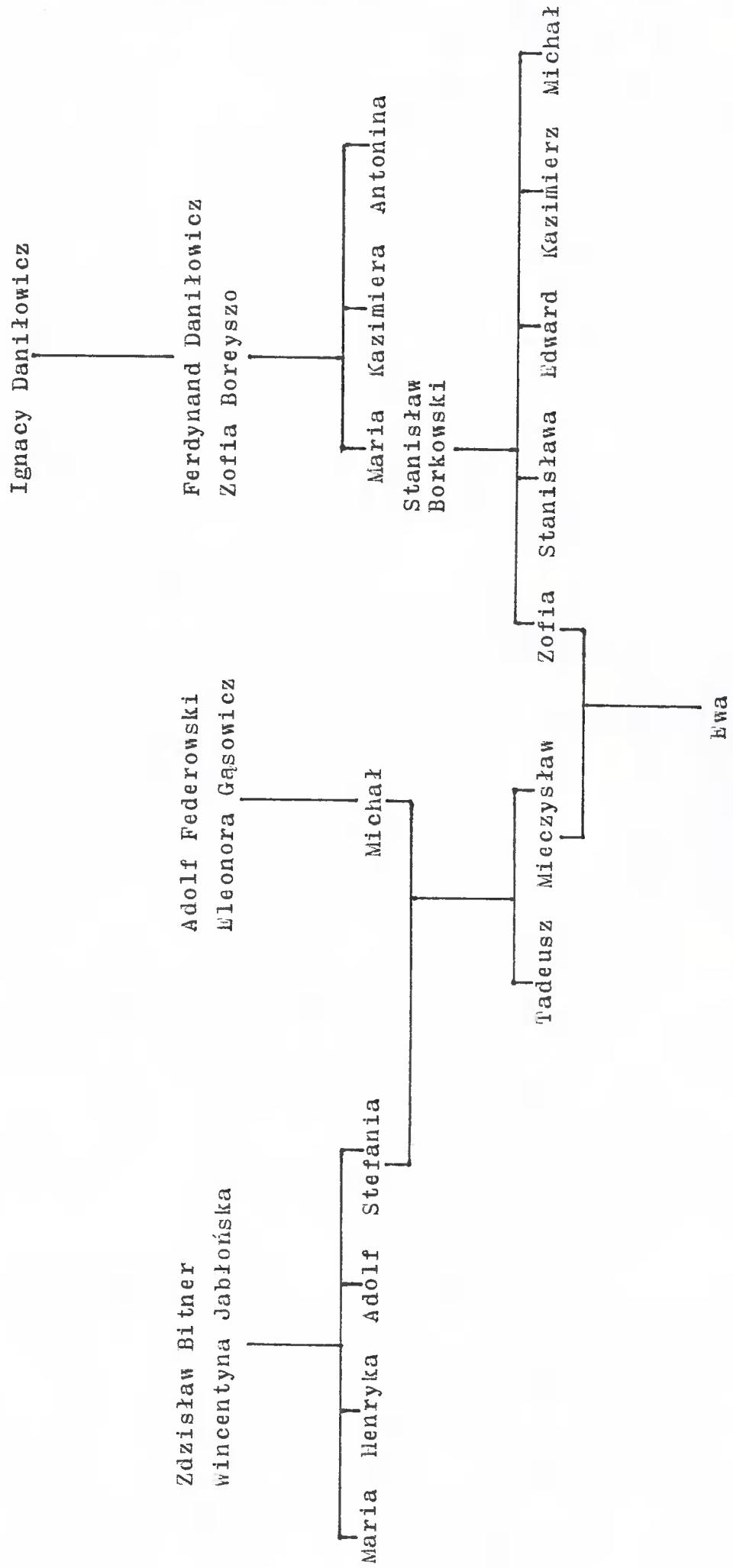
Na podstawie otrzymanej w lipcu 2001 r. kserokopii referatu Fiodora Ignatowicza - wiceprzewodniczącego Grodzieńskiego Towarzystwa Naukowego Historyków Medycyny / ze zbioru w : "Staronki historii świątko kraju"/.

Autor po przeszukaniu zbiorów Archiwum Narodowego Republiki Białoruskiej, oraz Państwowego Archiwum Okręgu Grodzieńskiego i Ksiąg Pamiątkowych Gubernii Grodzieńskiej, podaje w treści referatu:

1. Dr Włodzimierz Adolf /dwojga imion/ Bitner, urodził się 3 /4/ listopada 1859 r.
2. Studiował medycynę na Uniwersytecie Warszawskim, kończąc w roku 1884 lub 1885
3. Ożenił się w roku 1893
4. Odnaleziono własnoręcznie prowadzone przez dr. W. A. Bitnera, karty medyczne z lat 1889, 1890, 1893. Jego dochód z praktyki lekarskiej wynosił w r. 1889 500 rubli, w r. 1893 - 2000 rubli
5. Antoni Glindziez, właściciel maj. Kwatery, zmarł w więzieniu w roku 1864. Był przedstawicielem Grodzieńskiej Izby Obywatelskiej
6. Klementyna Glindziez, żona dr-a W. A. Bitnera, otrzymała jako spadek od swojej matki Nowosady w r. 1897

FEDEROWSCY





SPIS TREŚCI

osadnictwo wojskowe, powrót z Rosji.....	str 444
początki zagospodarowania	
praca nauczycielska	
wspomnienia z Mohylewszczyzny	
rewolucja, IKorpus, samoobrona kresów	
Dywizja Litewsko-Białoruska	
traktat ryski 1921 r.	
Michał Federowski.....	458
działalność etnograficzna Michała	
żona Michała - Stefania z Bitnerów	
przenosiny do stolicy	
dorobek naukowy Michała	
Synowie Michała Federowskiego.....	469
Tadeusz	
Mieczysław	
żona Mieczysława-Zofia z Borkowskich	
córka Ewa	
epilog.....	474

W pół godziny z dworu kwaterskiego, spacerem pod lasem Dębrówka, wśród falujących łanów dworskiego zboża świeższymi rozśpiewanych, dochodziło się do mająteczku zwanego "Osada", w sąsiedztwie wsi Pawluszki. Gospodarzyły tu na 16 hektarach panie Borkowskie: matka Maria i dwie córki, nauczycielki, Stanisława i Zofia.

Nadanie ziemi otrzymał syn Marii - Kazimierz Borkowski żołnierz I wojny światowej.

Po wojnie polsko-bolszewickiej, na mocy ustawy z 17 XII 1920 roku, nadawano na kresach ziemię osadnikom wojskowym. Na skutek protestów właścicieli, a także niektórych ziemian, po kilku latach zaniechano tej praktyki.

Kazimierz otrzymał nadanie na początku akcji osiedleńczej, jako pochodzący z dalekich kresów, traktatem ryskim oderwanym od Polski. Powiadomił niezwłocznie matkę i siostry, by rozpoczęły starania o zezwolenie wyjazdu z sowieckiego "raju". Procedura w Charkowie przedłużała się, z kolei wszystkie panie zachorowały na tyfus. W rezultacie emigrowały do Polski dopiero jesienią 1921 roku.

Na granicy na domiar okazało się, że nie figurują w spisie transportu, co groziło zawróceniem, a to na skutek zagubienia, czy wyrwania przez konwojentów z wykazu, karty z ich personaliami. Na szczęście udało się "załatwić" kwestię w sposób przyjęty w bolszewii i znalazły się na polskiej ziemi.

Tymczasem, w oczekiwaniu na ich przyjazd, Kazimierz czynił pierwsze kroki dla zagospodarowania, oraz nawiązywał stosunki w okolicy, budząc sympatię i uzyskując pomoc sąsiedzką. Nie było to łatwe. Wioski i dwory były popalone i ograbione. Słkakrałnie przez te tereny przetaczał się walec wojny, a jeszcze pod koniec lata 1920 roku, ciężkie walki trwały tu właśnie, na odcinku Kwatery-Mieńki-Brzostowica. Ludność pozbawiona domów, mieszkała w wykopanych ziemiankach. Brakowało wszystkiego, od budynków poczynając, poprzez inwentarz żywy, po narzędzia i żywność. W sąsiedztwie zagospodarowywali się inni zdemobilizowani żołnierze.

Osadnicy przychodzili przeważnie na gołą ziemię i latami, w ciężkim trudzie dopracowywali się gospodarstwa.

Ale z czasem, stawali się pionierami postępu rolniczego, przyczyniali się do rozwoju oświaty i kultury, poczucia obywatelskiego i patriotycznego. Prawie wszyscy osadnicy należeli do paramilitarnej organizacji "Krakusów", pod patronatem lokalnych garnizonów wojskowych. Tradycyjna nazwa wywodziła się z epoki kościuszkowskiej i napoleońskiej. Oznaczała wówczas bitną chłopską kawalerię. W powiecie wołkowyskim, opiekę patronacką nad krakusami, pełnił 3 Pułk Strzelców Konnych. Gdy w 19 lat później, wybuchła II wojna światowa w 1939 roku, sowieci orientując się co do roli w środowisku osadników wojskowych, wszystkich wymordowali lub deportowali, a ich osady, a nawet ich nazwy, wraz z całym dorobkiem likwidowali.

Panie Borkowskie zamieszkały początkowo w folwarku Kołupajłów w Mieńkach, później w wiejskiej chacie. "Na swoje" przeniosły się, gdy nowo wzniesiony domek nie miał jeszcze dachu, podłóg, drzwi i okien. Dzielne kobiety pracowały ciężko, początkowo z pomocą fizyczną Kazimierza i finansową najmłodszego syna Marii - Michała, zatrudnionego w banku warszawskim. Niestety, w wolnej już Polsce utracił wzrok, na skutek powikłań po tyfusie, którym zaraził się pod koniec wojny. Własnymi rękami panie budowały dom na osadzie i pracowały na roli.

Domek stanął niewielki, drewniany, pobielany. Wchodziło się przez oszklony ganeczek do sieni. Z niej schody prowadziły na strych i do gościnnego pokoju na poddaszu. Na parterze, z jednej strony sieni mieściła się stosunkowo duża kuchnia i jadalnia, z drugiej strony, sypialnia mamy, pokój Stasi i gabinecik Zosi. W przybudówce była kuchnia na lato. Stopniowo powstawały budynki gospodarcze: obora dla bydła, stajnia dla trzech koni, spichlerz, stodoła i kurnik. W ogródku obok domku, pyszniły się słoneczniki i kolorowe chryzantemy, a także, intensywnie pachnące nad wieczorem floksy. Wiosną, jabłoń cieszyła oko białym kwieciem, a jesienią - czerwieńią owoców. Pod nią stały ławy i stół, przy którym latem spożywano posiłki. Wokół obejścia i wzdłuż drogi prowadzącej do szosy : Świsłocz - Brzostowica Wielka, posadzono lipy i ustawiono na skrzyżowaniu traktów, wysoki krzyż. Z czasem, zało-

żono pasiekę, z której złocisty miód wędrował w blaszanych bańkach do stolicy, gdzie go sprzedawano.

Zatrudniły osadniczki dwoje służby do pomocy w polu i w zagrodzie. Do przepłaszania ziódziei kradnących snopy z pola, służyły trzy psy trzymane w obejściu i korowce, z których samotne kobiety strzelały na postrach. Zyczliwej pomocy w początkach zagospodarowania, udzieliły okoliczne dwory. Doktor Bitner z Kwater, pozyczał konie i pomagał w pracach polowych. Ursyn-Niemcewicz z Ciecierówki, dał drzewo na budowę ze swego lasu. Te początkowe gesty zyczliwości, z czasem przekształciły się w stałe dobrosąsiedzkie stosunki, a nawet zażyłość i koligację z dworem kwaterskim.

Gbie córki Marii podjęły pracę nauczycielską w okolicy. Początkowo razem uczyły w szkole w Lewszowie. Później, Stanisława we wsi Borbacze, dochodząc co dzień 3,5 kilometra w jedną stronę, natomiast Zofia we wsi Kwatery, podobnie odległej. Miły spacer latem, wśród pól "wyzłancanych pszenicą, posrebrzanych żytem", zimową porą stanowił problem. Zwłaszcza powroty o zmierzchu, przez śniegowe zasy, gdzie nogi bruąc po własnych porannych śladach, często już zasypanych, co raz zapadały w jakieś niewidoczne dziury. Nikt dróg nie odśnieżał, tym więcej jeź bocznymi czy polnymi ścieżkami. Ruszał się kto musiał, sam torując drogę pieszo czy w zaprzęgu. Zofia przemęczając co dzień nogi, zachorowała w końcu na płuca i wyjechać musiała na leczenie sanatoryjne w Zakopanem.

Praca nauczycielska na kresach po wojnie światowej, przypominała orkę na ugorze. Analfabetyzm był powszechny na wsiach. Nie było szkół, podręczników, jakichkolwiek pomocy dydaktycznych. Dzieci w czasie lekcji siedziały wprost na podłodze w izbie wiejskiej chaty. Tablicę szkolną zastępowała rozpięta na ścianie ciemna cerata. Przed południem uczyły się dzieci, po południu dorośli.

Świadomość przynależności narodowej nie istniała. Wieszniak pytany czy jest Polakiem, czy Białorusinem, odpowiadał, że jest "tutejszy". Wyraźniej różnicowało już

wyznanie. Najogół uważano, że kto katolik - to Polak, kto prawosławny - to Białorusin, choć w rzeczywistości nie stanowiło to reguły. Tutejszy język był mieszaniną polsko-białoruską, z licznymi prowincjonalizmami.

Bolszewicka infiltracja i propaganda dodatkowo maciły w głowach ciemnego chłopstwa. Okoliczne wioski, jak dla przykładu Horbacze czy Pauluszki, były w dużym stopniu skomunizowane. Od wieków prawosławie i carat, a później sowieci, zaszczepliali wrogość do polskości i katolicyzmu. Przetrwała jeszcze pamięć straszliwych prześladowań unitów. Obecne pokolenie rzędo Łachów w 1905 i 1917 roku. Oczyszczenie nie dotyczyło to generalnie całej społeczności białoruskiej. Ci, którzy zetknęli się z inną kulturą czy to przez naukę, czy służbę wojskową lub dworską, zwłaszcza w większych skupiskach polskich, prezentowali odmienne postawy. Wielu Białorusinów było dobrymi obywatelami i żołnierzami, oddawali życie za Polskę, szli do jenieckich obozów niemieckich i sowieckich. Służba dworska na zajętych przez bolszewików terenach, bojaźliwie, ale dawała świadectwo nieporównanie wyższego standardu i stylu życia w pańskiej Polsce, niż w sowieckim raju.

Mimo tak trudnych warunków środowiskowych, dzieci zaprzyjaźniły się ze swymi nauczycielkami. Przychodziły na Osadę do swoich pań, gdzie dostawały słodczy i uczyły się w czasie pozalekcyjnym dobrych obyczajów.

W świąteczne letnie dni, matka z córkami siadały na ławach pod jabłonią, z robótką lub różańcem w ręku, zwierając się wzajemnie ze swych doświadczeń w pracy, snując plany na przyszłość, a głównie wspominając z żalem i goryczą daleką Mohylewszczyznę i przebytą tułaczkę. I snuły się wspomnienia, póki wieczorny koncert żab, niosący się od rozlewisk Świsłoczy, zakłócany poszczekiwaniem wioskowych kundli, a czasem tęsknym zawodzeniem chóru dziewczęcych głosów od wsi, nie dał sygnału, że dzień się kończy i pora na spoczynek.

Dorosłym córkom opowiadała matka o swej młodości we dworze, u rodziców, o krótkim małżeństwie i ciężkim wdowim życiu na tułactwie, z pięciorgiem dzieci, bez środków do życia na Syberii, później Lipawie, Kadiewce, Mściślawiu, Ługańsku, aż po emigrację do Polski.

Córki wspominały dziadków, swoje dzieciństwo i młodość, rewolucję i wojnę światową.

"Podkoziele" zwał się majątek Daniłowiczów, w powiecie Czausy, parafii Rośna, w guberni mohylewskiej. Przed pierwszym rozbiorem Polski, było to województwo mściśławskie. Majątek liczył 500 dziesięcin, głównie lasów i łąk kośnych, nad rzeką Koszanką.

Ignacy Daniłowicz - dziad Marii Borkowskiej, był powstańcem styczniowym, ogromnie zaangażowanym w jego przygotowanie. Pod pozorem tanecznych zabaw, ściągął do dworu okoliczną szlachtę na konspiracyjne narady. Pochodził ze starego rodu ruskiego, którego początki notowane są na pierwszej połowę XIII wieku, kiedy to węgierski rycerz pojął za małżonkę córkę księcia ruskiego Daniela. Od syna, tegoż imienia, wywodzą się Daniłowiczowie herbu "Sas". Z tego rodu pochodziło wielu sławnych i zasłużonych ludzi jak: wojewoda podolski Mikołaj/1661/, jego syn Jan podskarbi koronny, ożeniony z Zofią Zólkiewską, córką hetmana, którzy byli dziadami króla Jana III Sobieskiego, zrodzonego z ich córki Teofili.

Kiedy spłonął dwór Podkoziele, dziadek Ignacy odbudował go w innym miejscu, na leśnej polanie i nazwał "Ustronie". We dworze była bogata biblioteka zawierająca dzieła polskie i francuskie, pierwsze wydanie biblijki księdza Wujka z roku 1599, pisane gotykiem, teologiczne traktaty, dzieła Kochanowskiego i Reja, Statut Litewski i inne cenne pozycje. Była też gruba, oprawna w tłoczoną skórę kronika, w której Ignacy wpisywał gęsim piórem wydarzenia.

Po powstaniu Daniłowiczowie zostali wydziedziczni z majątku obłożonego sekwestrem. Dopiero po wielu latach odzyskał Ustronie syn Ignacego - Ferdynand Daniłowicz, który poślubił Zofię z Boreyszów, herbu "wadwicz", co świadczy o niemieckich korzeniach tego rodu. Boreyszow-

wie wywodzą się z Kowieńszczyzny, lecz królewskim nadaniem otrzymali w Mścińskim dobra Petryhy.

W roku 1865 odbył się ślub Ferdynanda i Zofii. Odzyskane Ustronie restaurują i rozbudowują, za fundusze uzyskane z pracy Ferdynanda w nadbałtyckim porcie Lipawie, za sprawą kuzyna Zofii, który kierował budową tamtejszego portu. Tam urodziła się Daniłowiczom córka Maria. Tam poznała Stanisława Borkowskiego z Lubelszczyzny, za którego wyszła w 19 roku życia. Tam urodzili się synowie Borkowskim: Kazimierz, dzięki któremu matka z córkami zamieszkały w Osadzie i Edward, który poległ w czasie wojny.

Około 1892 roku Borkowscy przenieśli się na Syberię do Berdska, później Tomska gdzie Stanisław pełnił funkcję sędziego. Tam urodziły się im córki Zofia i Stanisława, oraz najmłodszy syn Michał. Tam zmarł sędzia Stanisław w 1903 roku, pozostawiając żonę z pięciorgiem dzieci, w trudnych warunkach i obcym środowisku.

- Ty Stasiu miałaś wówczas 13 lat, Zosia zaledwie 5, a Michaś 1 rok. Ładzio i Kazik byli nieco starsi, mieli po 14 i 15 lat, ale to przecież były także jeszcze dzieci.

Cóż miałam począć z wami, bez męskiej pomocy, w obcym kraju? Jeszcze dwa lata po śmierci waszego ojca spędziliśmy na Syberii, po czym wyjechaliśmy wszyscy do Lipawy, do mojej siostry tam zamieszkałej, zameżnej za przedsiębiorcą budowlanym. Byli dobrze sytuowani i mieli dom wzniesiony za mój posag i odprawę otrzymaną po śmierci mego męża, a waszego taty. W sumie siedem tysięcy rubli, które



Maria z Daniłowiczów
i Stanisław Borkowscy



łatwoniernie powierzyłam im w charakterze pożyczki. Każda z nas, trzech sióstr, otrzymała od rodziców posagową sumę pięciu tysięcy rubli. To była bardzo duża kwota. Zawierzyłam ją, a później także otrzymaną odprawę na prośbę siostry i szwagra, sama przez to z wami cierpiąc biedę. Po trzech latach, na propozycję szwagra Michała Siemaszko, męża mojej drugiej siostry Antoniny, wyjechaliśmy do pracy w belgijskim Towarzystwie Gurniczo-Hutniczym w Kadiewce, w Żagłębiu Donieckim, na południe od Charkowa. Oprócz mnie, w Towarzystwie otrzymała pracę także Zosia, a później rozpoczęła studia stomatologiczne w Charkowie.

W roku 1913 Maria z dziećmi przenoszą się do Mścisława, 30 wiorst od Ustronia, które odwiedzają w niedziele i dni świąteczne, przebywając u dziadków.

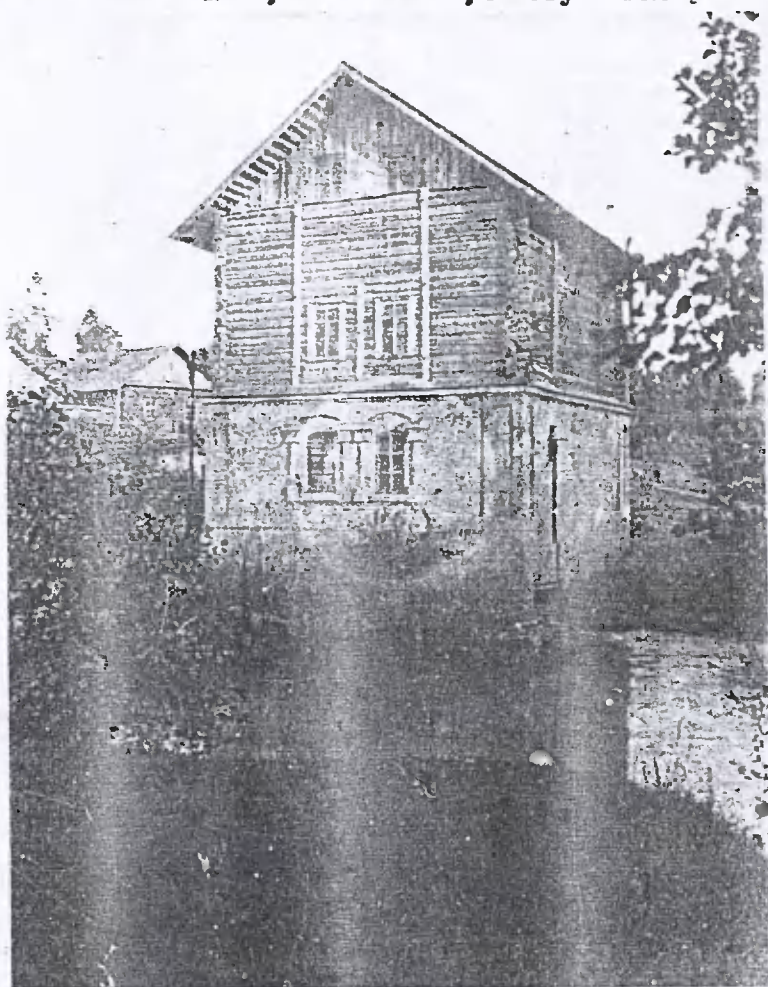
W Mścisławiu, starym historycznym mieście mieszkali Białorusini, Rosjanie i polscy ziemianie zbiegli z majątków w 1905 roku przed bandami zrewolucjonizowanego chłopstwa, jak również Polacy autochtoni. Miał tam aptekę Stefan Suchocki. Nad apteką odbywały się tajne zebrania polskiej młodzieży, na których uczono się historii, literatury i śpiewano ściszym głosem patriotyczne pieśni. 80 lat później, córka aptekarza Regina opowiedziała, że na tych właśnie konspiracyjnych spotkaniach poznała Stasię, Zosię i Michała Borkowskich.

Najmilsze i najtragiczniejsze wspomnienia wiązały się z dworem Ustronie. Położony był rzeczywiście na ustroiniu, na polanie otoczonej w koło starym borem mieszanym sosnowo-dębowo-świerkowym. Na dziedzińcu rósł stary, potężny dąb, nazwany "Dewajtisem". Pod nim ustawione ławy służyły dla wypoczynku i wygody.

Panowały bardzo przyjazne i wzajemnie życzliwe stosunki pomiędzy dworem, a okolicznymi wsiami. Wieśniacy chętnie pracowali we dworze, bo byli uczciwie wynagradzani, a wrazie potrzeby mogli liczyć na pomoc. Pogorzelnicy otrzymywali budulec z dworskiego lasu. W razie śmierci, rodzina zmarłego dostawała deski na trumnę. Młode panny wychodząc za mąż, przychodziły do dworu po błogosławieństwo, które

otrzymywały wraz z datkiem pieniężnym na zagospodarowanie. Dziedziczka Zofia Boreyszo-Daniłowiczowa, matka Marii Borkowskiej, leczyła włościan lekami, które zawsze miała pod ręką w swojej aptece. A były tam przeróżne suszone zioła, owoce i korzenie, własnoręcznie zbierane, w odpowiednim czasie. Sadła różnych zwierząt, woda z marcowego śniegu dla pielęgnacji oczu, kadzidła z różnego suszu, driakwie sporządzane z różnych gadów, przeróżne maści własnego wyrobu, nalewki i mikstury. Panny wychodząc za mąż winny od swych babek i matek przejmować całą wiedzę o sporządzaniu i stosowaniu leków, jakimi natura darzyła człowieka. To przecież one, gospodynie domów stały na straży zdrowia własnej rodziny i czeladzi. Służyły pomocą także całej okolicy. Lekarza w tamtych czasach byli tylko w miasteczkach, często bardzo odległych. Kogóż zresztą na wsi stać było na opłacenie lekarza. Dwór najbliższy, z którym żyło się w przyjaźni był ucieczką we wszelkich biedach, chorobach, służył radą i pomocą.

Dziedziczka Zofia szczególnie skutecznie "zamawiała" różę, wówczas dość pospolitą. To był cały obrzęd: Przy zapalonej gromnicy odczytywała modlitwę spisaną na kartce papieru do odpowiedniego patrona. Bowiem różni święci pomagali w różnych chorobach np: od epilepsji był św. Walenty od febry św. Petronela, od bólu zębów św. Apolonia, a na wrzody poma-



Młyn wodny w Ustroniu



Zofia Boreyszo-
Daniłowiczowa

była postawną kobietą, ubierającą się skromnie na co dzień, w samodziałową spódnicę i lnianą bluzkę, a na nią wkładała jupkę t.j. niewieści krótki kaftanik. Długie kasztanowe włosy, lekko przyprószone siwizną, spletała w warkocze upięte wokół głowy. Na niedzielę ubierała suknię z brązowego jedwabiu, plisowaną, wykonaną aksamitnymi obszywkami, z turniurą. Na głowie upinała stroik z czarnej koronki. Z całej postaci emanowało dostojenie i powaga właściwe szlachciencek kresowym.

We dworze panowała atmosfera godności, miłości i wzajemnego szacunku, a także cichej pracowitości. Nie było śladu nadmiernej frywolności czy nieobyczajności.

Dziewczęta - Stasia i Zosia, wspominały dożynki uroczyste obchodzone u dziadków we dworze. Na ganku stoją dziadkowie, wokół nich wnuki, a na dziedzińcu, wkracza dostojnie, przez szeroko otwartą bramę, dożynkowy korowód z pieśnią:

" U naszego pana my żyto pożali ... "

Przodownica w haftowanej lnianej koszuli i kraciastej spódnicy suto marszczoną, w wianku z kłosów i kwiatów na głowie, składa u stóp dziadków wieniec dożynkowy.

gał św. Roch i t.d. Po odczytaniu modlitwy kartkę paliła nad świecą, a popiół wsypywała do wody. Tę wodę pacjent musiał wypić. Teraz chore miejsce na ciele, obrysowane atramentem sporządzonym z galasówek, nakrywała czerwonym sukniem i nad nim spalała kłak lnu. Następnie mascią sporządzoną z tłuszczu i wosku smarowała chore miejsce. Skutek był niezawodny! Z tej umiejętności słynęła dziewczynka na całą okolicę.

była postawną kobietą, ubierającą się skromnie na co

dzien, w samodziałową spódnicę i lnianą bluzkę, a na nią

wkładała jupkę t.j. niewieści krótki kaftanik. Długie ka-

sztanowe włosy, lekko przyprószone siwizną, spletała w war-

kocze upięte wokół głowy. Na niedzielę ubierała suknię

z brązowego jedwabiu, plisowaną, wykonaną aksamitnymi

obszywkami, z turniurą. Na głowie upinała stroik z czar-

nej koronki. Z całej postaci emanowało dostojenie i po-

waga właściwe szlachciencek kresowym.

We dworze panowała atmosfera godności, miłości i wzajem-

nego szacunku, a także cichej pracowitości. Nie było śla-

du nadmiernej frywolności czy nieobyczajności.

Dziewczęta - Stasia i Zosia, wspominały dożynki uroczys-

cie obchodzone u dziadków we dworze. Na ganku stoją

dziadkowie, wokół nich wnuki, a na dziedzińcu, wkracza

dostojnie, przez szeroko otwartą bramę, dożynkowy koro-

wód z pieśnią:

" U naszego pana my żyto pożali ... "

Przodownica w haftowanej lnianej koszuli i kraciastej

spódnicy suto marszczoną, w wianku z kłosów i kwiatów

na głowie, składa u stóp dziadków wieniec dożynkowy.

Otrzymuje błogosławieństwo i datek pieniężny. W radosnym i podniosłym nastroju wszyscy śpiewają chórem :

A z czyjhoż to pola dabro
Z hor wino ciakło
Na doliny sałodkij miod ?
Naszaha pana pola dabro.

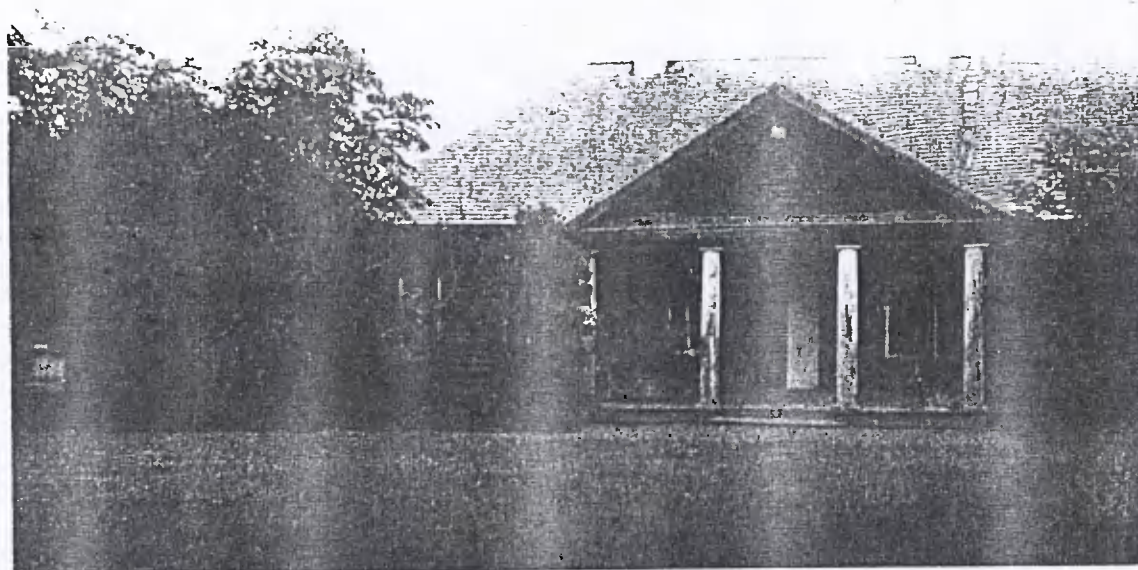
Tamża jaho wino ciakło
Tamże z hor wino ciakło
Tamże wino wiadrom brali
Tamże źniejżk czastowali

Obsiadają wszyscy sute zastawione stoły na dziedzińcu, jedzą, piją, muzykanci przygrywają.

Potem brat Edward zaprasza wszystkich do tańca. Trwa radosne święto zbiorów. Nad wieczorem, zapalone wokół dziedzińca latarnie rzucają światło na roztanczone pary, a długie cienie wirują na ścianie otaczającego polane lasu, nad którym wschodzi księżyc.

U dziadków w Ustroniu spędzano najmiłsze dni, w rodzinnym gronie.

W tymczasem czarne chmury zbierały się nad Europą i wkrótce wybuchła zawierucha, wciągająca w orbitę szaleństwa



Dwór Ustronie w Mohylewszczyżnie

całe narody, niszcząc dorobek pokoleń, kładąc trupem tysiące, do wczoraj pokojową pracą trudniących się ludzi.

w Ustroniu nad wieczorem zamykano bramy i obchodzono całe obejście. Snuli się w czas wojny po jedyncozo i grupami dezertarzy i wszelki awanturnicy element, korzystający z ogólnego rozprzężenia. Bywając u dziadków, młodzi włączali się w nocne czuwanie wraz z dorosłymi. Z bronią myśliwską siadali na zmianę u okna, a na głos ujadających psów wychodzili na obejście i sprawdzali wszystkie zabudowania gospodarcze. Otaczający wokoło bór dawał okazję skrytego podejścia do dworu.

Aż nadszedł czas czerwonej rewolucji 1917 roku. Wyjazdy do dziadków stały się niemożliwe, ze względu na niebezpieczeństwo na drogach. Dziadkowie mieli zapewnioną opiekę włościan, którzy samorzutnie, po kilkunastu, pełnili na zmianę straż dla obrony dworu. Gdy przyszli bolszewicy i zastali włościan spokojnie popijających z dziećmi herbatę, zdumieni takim zbrataniem, odstąpili nie czyniąc nikomu krzywdy. Ale nie mógł się ostać pański dwór. Nastąpiła karna ekspedycja marynarzy, kulami ostrzelała dwór. Zginęli dziadkowie, a banda zrabowała wszystko co zdołała zabrać, resztę spaliła.



Aliejka w parku dworskim

W pogodnym, szczęśliwym do niedawna Ustroniu zapanowało milczenie śmierci. Kochany dwór zionął z czarnych oczodołów wybitych drzwi i okien, ze spalonych ścian, grozą pustki i zniszczenia. Tylko bór jak dawniej szumiął wkoło, teraz jęklonie i żałobnie. Sędziwy Dewajtis zrzucił zieloną szatę i stał jak skamieniały nad mogiłą rodzinnego gniazda. Kazik Borkowski wracając do Bobrujska z oddziałem Dowborczyków I Korpusu z dalekiego zagonu, wiodział zgliszcza dziadkowego Ustronia.

Zofia przerażała studia w Charkowie. Bracia Kazimierz i Edward zaciągnęli się do formowanego I Korpusu Dowbora. Rewolucyjny rząd w imię głoszonych haseł wolności narodów, zgodził się na zwolnienie z rosyjskiej armii Polaków, którzy przechodzili pod polską komendę generała Józefa Dowbora-Musnickiego.

- Pamiętacie moje drogie, jakie nadzieje ożyły w sercach Polaków na wieść o tworzeniu na kresach polskiego wojska? Pamiętacie jak garnęła się do niego młodzież i wasi bracia? Wszyscy uwierzyliśmy, że wybawienie z piekła rewolucji i wojny jest bliskie. Mamy wojsko! Nasze polskie wojsko! Docierają wieści, że i w Galicji tworzą się polskie legiony, walczą na froncie z Rosjanami i zbliżają się ku nam. Polska odrodzi się znowu wolna i potężna!

I rzeczywiście, w zasięgu działania I Korpusu zaczął powracać ład i spokój. Przycichła samowola zrewolucjonizowanego chłopstwa. Zaczęto swobodniej oddychać i spokojniej sypiać. Wysyłane karne ekspedycje uciszały buntowników, rozbrajały bandy. Gdziekolwiek pojawili się Krasnoarmiejcy, tam pierzchali przed bitnym żołnierzem polskim. Obywatelstwo spontanicznie wspierało pieniędzmi i w naturze, rosnące w liczbę wojsko. Spod Smoleńska przebiła się i połączyła z korpusem, tam sformowana dywizja. Generał Dowbór miał pod rozkazami 40 tysięcy bitnego żołnierza, utrzymującego porządek w trójkącie: Słuck - Szkłów - Rzeczyca, z dowództwem w Bobrujsku. To była wyspa Rzeczypospolitej na obszarze wojny i re-

wolucji. Docierają wieści, że w Warszawie powstała Rada Regencyjna, której generał podporządkował swój korpus. Podobno uchodźcy z kresów tworzą w stolicy - Warszawie Komitet Obrony Kresów. Z naszego regionu ziemianie ślą do Warszawy petycje w sprawie oswobodzenia i zachowania dla Polski ziem kresowych.

Biskup Łoziński wizytując parafie nasze, umacniał lud w wierze w rychłe oswobodzenie wołając:

"Jako kapłan - dziękuję Wam za wiarę w Chrystusa, a jako Polak - za wiarę w Polskę. W żadnej okolicy Kresów nie widziałem tak gęsto polskich mundurów, ani takiej nadziei w zmartwychwstanie Polski. Gdy wrócę do Warszawy, powiem przed Radą Regencyjną: Na dalekich kresach mocno żarzy się Polska! Na najdalszym posterunku macie wiernych synów i obrońców, ale też nie zapomnijcie o nich! Gdy Naród zerwie kajdany nie wyprzycie się ziemi związanej z Macierzą, nie zostawcie na zgubę synów oddanych Jej całą duszą. Tak im powiem. Ale wy wytrwajcie"

I trwaliśmy z zaparciem i nadzieją, z wiarą w Polskę odrodzoną i potężną. Wspieraliśmy na wszelki sposób nasze dzielne wojsko i czekaliśmy na przyjscie Legionów z zachodu.

Tymczasem Niemcy odebrali Radzie Regencyjnej zwierzchnictwo nad korpusem i zaczęli wokół niego koncentrację. Dowódca dał się oszukać Niemcom i doszło w maju 1918 r. do rozbicia i rozwiązania korpusu.

Zgasły nadzieje. Jeszcze docierały do nas wiadomości, że w Mińszczyźnie, na Wilenszczyźnie, w Grodzieńszczyźnie i Białostocczyźnie samorzutnie tworzą się oddziały Samoobrony przed bandami, rekwizycjami i agenturalną działalnością sowiecką. W Królestwie podobno formuje się Dywizja Litewsko-Białoruska. Ale to wszystko działo się z dala od nas, którzy znosiliśmy udręki niemieckiej okupacji, a później bandyckie napady i grabieże cofającego się, zdemoralizowanego żołdactwa i następujących za nimi hord bolszewickich.

I znów kresowa młodzież męska garnie się do oddziałów Samoobrony i do ośrodków formowania Dywizji Litewsko-

Białoruskiej. Tam też pojedynczo i grupami przebijają się żołnierze i oficerowie rozwiązanego korpusu. Tam zaciągnęli się i wasi bracia - Edzio i Kazik, walczący później na froncie przeciw bolszewikom od Brześcia do Bobrujska. A potem, smutną koleją losów, nastąpił odwrót wojsk polskich, powstrzymany dopiero na przedpolu Warszawy, gdzie cudowne zwycięstwo nad przeważającym wrogiem uratowało nie tylko nasz kraj, ale całą niewdzięczną Europę od zalewu bolszewizmu. Niewdzięczną, bo kiedy Polacy w osamotnieniu walczyli o wolność i niezależność państwową, już Niemcy ustępujący ze wschodu wczorajszemu wrogowi - sowietom, przekazywali uzbrojenie, materiały wojenne, wsparcie finansowe i kadrę oficerską. A Rada Mocarstw Sprzymierzonych w Paryżu 8 XII 1919 roku już wytyczyła przyszłą granicę polsko-sowiecką na Bugu i Sanie, nazwaną Linia Corzona. Tylko dzięki strategii faktów dokonanych naczelnika Piłsudskiego i sukcesom polskiego żołnierza, wschodnia granica została przesunięta i zatwierdzona ostatecznie traktatem podpisanym w Rydze 18 III 1921 roku. Traktat pozostawił odwiecznie polskie ziemie poza granicą Rzeczypospolitej i skazał na zagładę resztę polskiego społeczeństwa ocalałego, na tamtejszym terenie. -

Około miliona Polaków zdołało jeszcze w pierwszych powojennych latach wyemigrować do Polski, w tym głównie wygnanicy deportowani w głąb Rosji w czasie wojny. Pozostali, głównie mieszkańcy wsi związani z ziemią i nie posiadający środków na organizowanie sobie życia w innych warunkach. Byli i tacy, którym nie pozwolono wyjechać, lub nie zdążyli. Wszyscy oni zostali skazani na głód, szykany, więzienia i śmierć.

Dzięki nadaniu ziemi Kazimierzowi, matka z córkami emigrowały do Polski, by tu rozpocząć w ciężkim trudzie nowe życie. Z dawnego pozostały jedynie raniące serce wspomnienia. Tu na Osadzie miały w ciężkiej pracy, ale i w spokoju przeżyć 19 lat. Gdy Kazimierz założył wła-

sną rodzinę w Pułtuskiem, w majątku Wierzbica, pozostały w Osadzie same kobiety. Początkowo w trójkę, a później gdy Zofia wyszła za mąż za Mieczysława Federowskiego, syna znanego etnografa Białorusi- Michała i przeniosła się do Warszawy, pozostały we dwie mama i Stasia.

Michał Federowski pochodził z warszawskiej rodziny mieszczańskiej. Urodził się 1. IX 1853 z ojca Adolfa, którego rodzina przeniosła się z Kaszub w okolice Warszawy w początkach XIX wieku i matki Eleonory z Gasowiczów. Jak twierdzi wnuczka Iwa, przodkowie Adolfa nosili jakoby nazwisko Teodorowskich. Kiedy jedna z panien tego rodu wyszła za rosyjskiego generała, zbulwersowana tym rodzina zmieniła nazwisko na Federowskich, by odciąć się od zrusyfikowanej linii. Bowiem według obowiązującego prawa, dzieci z mieszanych małżeństw katolicko-prawosławnych, musiały należeć do kościoła prawosławnego, a to oznaczało rusyfikację kolejnych pokoleń.

Ale i Michała rodzice nie żyli szczęśliwie i wkrótce znaleźli się w separacji, a matka powtórnie wyszła za mąż za emerytowanego wojskowego Rosjanina. Michał wspominając swoją młodość w domu rodzinnym, pisał: "Atmosfera domu matki była nie do zniesienia dla syna powstaniec." Ojciec Adolf brał bowiem udział w powstaniu styczniowym, a po jego upadku emigrował do Francji. Tam jako ochotnik zaciągnął się do armii francuskiej i podczas wojny francusko-pruskiej zginął pod Orleanem w 1870 roku. Tak niefortunną kolejną losów przyszło Adolfowi walczyć dwukrotnie na straconych pozycjach/ Francja wszczęła tę wojnę i przegrała/, płacąc najwyższą cenę.

Michał był wątłym dzieckiem. Ukończył w Lesznie progimnazjum i na tym formalnie zakończył edukację. Na studia wyższe nie starczyło zdrowia i środków. Marzyła mu się praca publicystyczna, ale matka ze

względu na jego zdrowie - zagrożone płuca, skierowała go na praktykę rolniczą najpierw w Olkuskiem, następnie w Łomżyńskim.

Na Białorusi pojawił się Michał w 1877 roku, w majątku Linówka na Polesiu, który niegdyś należał do dóbr królewskich. Po III rozbiórze Polski, caryca Katarzyna dobra te nadała swemu ulubieńcowi Romanowiczowi, który z kolei po ich podzieleniu rozsprzedał je Bułharynowi, Trębickiemu i Walentemu Szwykowskiemu - marszałkowi szlachty na powiat prużański. Pan marszałek pojął za żonę ziemiankę, pannę Przeciszewską, koleżankę z pensji matki Michała - Eleonory z Gąsowiczów - Federowskiej. Koleżeństwo tych pań sprawiło, że Michał znalazł się na Białorusi, w majątku Szwykowskich - Linówka, w charakterze administratora.

Zadany wiedzy wiele czytał. Pewnego razu wziął do ręki z biblioteki dworskiej, niedawno wydaną książkę autorstwa Jana Karłowicza - muzykologa, językoznawcy i etnografa, traktującą o zbieractwie ludowym. Pod jej wpływem, Michał zaczął rozglądać się w otoczeniu, znajdując, że pełne jest świadectw kultury materialnej i duchowej białoruskiego ludu. Początkowo hobbistyczne zainteresowanie, przeradzało się w prawdziwą pasję badawczą, która towarzyszyła mu już do śmierci. Z czasem poznał osobiście autora książki/ojca słynnego kompozytora Mieczysława Karłowicza/, a także kolegę szkolnego H. Siekiewicza - Zygmunta Glogera - antropologa i krajoznawcę. Przez tego ostatniego zawiązał znajomość z Oskarem Kolbergiem - folklorystą i muzykiem-kompozytorem. Kontakty z tak wybitnymi osobistościami, wywarły ogromny wpływ na Michała. Pozwoliły mu odkryć głęboki sens jego zainteresowań, wskazały właściwą metodykę pracy i uczyniły zeń zaangażowanego etnografa Białorusi i odkrywcę bogactwa jej kultury.

Zbliżył się do prostego ludu, studiował jego obyczaje. Wędrując po zapadłych kątach Białorusi, spisywał ludowe podania, baśnie i pieśni, fotografował typy wie-

śniaków, rozkopywał stare kurhany w poszukiwaniu przedmiotów grzebalnych, skupował po wsiach stare przedmioty domowe i narzędzia. Przy okazji, penetrując także zakurzone strychy dworskie, odnajdywał ciekawe dokumenty, korespondencję znanych rodów, księgi o wartości historycznej i inne przedmioty o charakterze muzealnym.

W swoich odkrywczych wyprawach, odkrył także siostrę znanego nam już lekarza ze Świsłoczy, dra Bitnera - Stefanię, którą pojął za żonę w 1892 roku.

Już jako zaawansowany zbieracz, w powiecie wołkowyskim dzierżawił w latach 1884 - 1894 majątek Jelskich Kosin. Majątek zwany też Kusin lub Kusinice liczył 870 dziesięcin. Należały doń wsie: Kosin, Menczele, Wiszniewicze, Ozieranki, Sielechy i folwarki: Łukawca i Sielechy, oraz karczma Bancerowszczyzna z browarem, oraz

Dwór
Kosin
rys. W. Korpyza



trzy kompleksy lasu liściastego: Kondratowszczyzna, Leźdze i Bohonica. Gospodarstwo było duże. Jelscy żyli zamożnie. Hodowano dużo bydła, ponad 100 sztuk, owce, trzodę chlewną, ptactwo domowe.

Dwór położony na wyniosłym płaskowyżu otoczony był wiekowymi lipami. Budynek drewniany, tynkowany, kryty gontem, z kolumnadą od frontu. Polwarczne budynki również drewniane, kryte strzechą słomianą. Wśród nich piętrowy spichlerz, młyn, sernik - do obsuszania serów, jaki zwykle bywał przy dworach. Niewielkie pomieszczenie wzniesione na słupach nad ziemią, ze szparami dla przewiewu w podłodze i ścianach z desek, lub wyplatanych z leszczyny. Obok dworu był duży sad owocowy i sadzawka.

Niedaleko dworu, na pagórku, stała niegdyś cerkiewka unicka, odnotowana w inwentarzowym spisie z roku 1756. Legenda głosi, że zapadła się pod ziemię. Krążyły i o samym dworze podania, jakoby dawnymi laty widywano w nim strachy w postaci czarnego psa, to znów kozła, czarnego kota czy buhaja. Cierpieli od nich kolejni właściciele majątku, aż w końcu porzucali go. Dopiero gdy kapłan poświęcił budynek, strachy ustąpiły.

Według starych dokumentów majątek należał kolejno do Kołłatajów, Tołkoczków, Skirmuntów i na przełomie XVII/XVIII w. popadł w ruinę. W 1781 r. majątek odkupił Adam Jelski - podkomorzy wołkowyski, dzwigając go i odbudowując. Wówczas dodano od frontu ganek z kolumnadą. Po Adamie, majątek dziedziczy syn Franciszek żonaty z Józefą Kołłupajło, po nim syn Adam żonaty z Bułharynówną, oficer z powstania listopadowego. W 1884 roku jak wspomniano, od Jelskich wziął w dzierżawę majątek Michał Federowski.

Nowy dziedzic-dzierżawca na co dzień ubierał się jak białoruski wieśniak. Posługiwał się w kontaktach ze wsią, wprawdzie językiem białoruskim. Był drobnej budowy, dobrego serca, ale gwałtownego usposobienia. Palił fajkę nabijaną machorką chłopskiego chowu,

o czym z sarkazmem pisał Wiktor Gomulicki, poznawszy Michała, w czasie wakacji spędzonych na Białorusi, we dworze w Hurczynach:

"...Czorny palił fajkę na bardzo długim cybucyku, w którym przy pociąganiu dymu grało jak w klarncie. Był gryzący jakiegoś swicentu czy też drajkenigu, dusił drapiąc w gardle i zmuszając do kaszlu otoczenie.... "

Zajmował się także ziołolecznictwem, przyjmując za usługi dobrowolne daniny w naturze. We dworze zawsze wisiły pęki suszących się ziół, które sam zbierał i skupował od przynoszących je kobiet wiejskich. We dworze u Michała był, jakbyśmy to współcześnie nazywali - dom pracy twórczej. Zjeżdżali tu dla prowadzenia prac badawczych wspomniani już: Zygmunt Dłoger, badający stare osadnictwo, Jan Karłowicz, któremu Michał sprowadzał do dworu śpiewaczki wiejskie, a ten notował ich pieśni. Bywał Julian Talko-Aryncewicz /Ilgowski/ antropolog pracujący z ramienia Akademii Umiejętności. Ignacy Wróblewski, rysownik, który zdobił swymi pracami wiele wydawnictw, tu czerpiący inspirację i będący nieocenionym kompanem w tym gronie. Przyjeżdżał także góral z pod Babiej Góry - Joachim Traczyk, również zbieracz białoruskich pieśni. Często gościem był hrabia Ludwik de Gelgari, były oficer gwardii Napoleona III-go, znawca obyczajów i historii Białorusi, który pochodził z Jelskich, a nazwisko zmienił we Francji. Po powrocie do kraju kupił na Polesiu majątek. Bywając w Kosinie, swym żywym usposobieniem i sympatycznym obejściem wprowadzał miły nastrój wśród



Michał Federowski w stroju białoruskim

bywalców. Jak pisał Michał Federowski :

"Gwaro i wesoło było wówczas wśród staroświeckich ścian Kosińskiego dworku... Wieczorami całe towarzystwo wylegało na obszerny ganek lub kryty balkon nad aim, czasami wieczory spędzano w obszernej bawialni przy staroświeckim kominku."

Michał dojrzywał w tym środowisku. Był przecież samoukiem w dziedzinie etnografii. Okres pobytu w Kosinie był czasem najintensywniejszej jego pracy w zakresie zbieractwa.

Wiktor Gomulicki w swojej książce "Na rozłogach białoruskich", w sposób humorystyczny przedstawił Michała pod kryptonimem "Szytokryto" :

"Uczony dźwigał w jednej ręce wielką skórzaną torbę pełną książek i papierów, w drugiej parasol, statyw, fajkę na długim cybuchu i podróżny składany stołek....

Z okiem i uchem zawsze na czatach, z ręką gotową w każdej chwili zapisywać dostrzeżone lub usłyszane fakty, był żywą kroniką Litwy i Białorusi"...

Pasji badacza ludoznawcy nie popierała ani żona, ani teść, który w marcu 1897 roku pisał do Michała/wówczas dzierżawiącego majątek Fodol w Słonimskim/ :

"...Z listu twego Kochany Michasiu dostrzegać się daje pewne znużenie, jakiś przesyt prac literackich. Spoczniij chwilę, przestań bujać w krainie przedkilkunwiekowej ukochanej twej Białorusi. Chcesz wskrzesić i jak w zwierciadle przedstawić nam ów lud poczciwy, w jego narodowym stroju, chcesz nam włożyć w usta jego starą gwarę, ożywić jego zwyczaje i obyczaje, ocucić ducha poezji, wierzeń, podań i dawnych Tradycji... Obyśmy to na oczy ujrzeli, co pył wiekowy zakrywa, a silniejsza wola skrzywiła... Kończ swą kilkunastoletnią pracę, a na głos

skowronka wyprowadź swoją rolniczą artylerię.
Niech socha zaświszczy na żwirze i piasku,
Niech ręka Twoja posieje chlebobójne skiby,
a ożywiające nas ziarno wyda obilne plony
tak, abym i ja przyjechawszy do Ciebie uznójny
i zwątlony sędziwym wiekiem, Twój kawałek
chleba pod gościnną Waszą strzechą spożywszy,
otrząsnął podróżny pył z sandałów,
usiadł wśród Twojej rodziny, wypoczął na chwilę,
a popieściaszy z Waszymi dziećmi, ruszył
w dalszą podróż... "

Autor listu - Zdzisław Bitner liczył wówczas około 70 lat i jak widać był już znużony, a pragnął jeszcze złącza sprowadzić na bardziej realny, jego zdaniem, grunt gospodarki na roli.

Tymczasem Michał całkowicie oddany ludoznawstwu, zapewne niewiele uwagi poświęcał gospodarstwu i w tej dziedzinie wyniki miał chyba mierne, bo często zmieniał majątki biorąc w dzierżawę lub administrację, w powiatach: białostockim, sokólskim, lidzkim, wileńskim, grodzieńskim, augustowskim, słuckim, nowogródzkim, poza wspomnianymi już: prużańskim i wołkowyskim. Żona Michała, córka ziemianina, nie mogła być zachwycona kiepską gospodarke męża i częstymi przenosinami, zwłaszcza gdy przychodziły na świat dzieci. Nie podzielała zainteresowań męża, tym więcej obwiniała go za trudne i niestabilne życie. Konflikt narastał i skończył się czasową rozłąką małżonków. Świadczy o tym list niejakiego Łokarzewicza, pisany z majątku Podol do Jana Karłowicza. Być może ów Łokarzewicz był gubernierem lub nauczycielem synów Michała. Otóż 4 marca 1903 roku pisze:

"Podol opuszczę w kwietniu. Do powodów rozstania z zacnym Michałem Federowskim przybył świeżo najwładniejszy: pojednanie się jego z żoną. Przed tygodniem zajęchałem do Kwater majątności państwa Glińdziczów pod Brzostowicą, gdzie dr. Adolf Bitner dalej rozwija cu-

dotwórczą swą praktykę chirurgiczną, ta świetnie rozpoczęta przed laty dwudziestu we Świśloczy. Siostrą doktora Bitnera jest pani Federowska. Rozmowa bezinteresownie życzliwa z rodziną usunęła główne nieporozumienia trzymające od lat czterech w rozłączeniu małżonków poważnionych. W następstwie pierwszych zrobionych kroków, dwaj chłopcy Federowskiego, dziesięcioletni Tadzio i pięcioletni Micio pozyskają zapewne wkrótce opiekę bez porównania czulszą i troskliwszą od mojej przygodnej..."

Jak z listu wynika, ów Łokarzewicz był także mediatorem poważnionych małżonków. Cwa zapowiedz "wkrótce" troskliwszej opieki dla chłopców, nie wiadomo czy oznaczała powrót żony Stefanii do męża i synów, do majątku Podol, czy zamiar przeniesienia się wspólnego małżonków do Warszawy, które nastąpiło dopiero po dwu latach w 1905 roku.

W rozmowie rodzinnej w kwaterach prawdopodobnie uczestniczyła żona Michała, jako najbardziej zainteresowana, może jej brat - dr. Adolf B. a może także ojciec obydwójga - Zdzisław Bitner. Żadna z tych osób nie mieszkała w tym czasie w kwaterach - stanowiących jeszcze własność Teodory Glindziczowej wdowy po Antonim. Trzeba zatem przyjąć, że u niej, jako krewnej została zaarażowana rozmowa, na którą przybyli zainteresowani. Dopiero rok później, po śmierci Teodory i przejęciu majątku przez Józefa Glindzicza, doktor wraz z żoną na stałe osiedlili się w kwaterach. Stefania z Bitnerów-Fede -



Stefania z Bitnerów
i Michał Federowscy

rowska, żona Michała, córka Zdzisława B. urodziła się 24 VIII 1867 roku w Chlewiskach w powiecie radomskim, jako czwarte, najmłodsze dziecko. Rozpieszczona przez owdowiałego ojca, wyszła za mąż późno, mając już 25 lat. W małżeństwie znalazła zgola inne warunki niż w rodzinnym domu i znosiła je nie łatwo. Do tego kolejne częste ciąży pięciokrotne i śmierć trojga dzieci: Adasia, zaraz po urodzeniu, kilkuletnich Danusi i Aldony na dyfteryt, musiały ją wiele kosztować. Pozostali jej dwaj chłopcy, o których wspomina w liście Tokarzewicz Tadzio urodzony 5 maja 1893 w Kosinie i Miecio urodzony w Podolu 8 X 1898. Koczownicze życie jakie prowadzono, często zmieniając miejsce pobytu, nie sprzyjało stabilizacji i pewności jutra. Marne wyniki gospodarcze w kolejnych majątkach, stwarzały trudne warunki egzystencji. Rozżalona pisała do ojca o swych trudnościach, jak wynika z jego korespondencyjnych odpowiedzi:

26.X.1892... " Podobno mnie i Henrysi/starsza o 14 lat siostra Stefanii/ szykujesz się verba jakieś wyrecytować za to, żeśmy Cię za Michałka tak łatwo z domu wypuścili ?!...

... Moja Dziecino, przyjedziemy, i utulę Cię w Twoim frasunku po dawnemu, po ojcowsku podzielę Twoją troskę, ukoję żale... "

A żale i frasunek, jak widać, miały miejsce już w pierwszym roku po ślubie i nasilać się musiały z upływem czasu. Obsesyjne zainteresowania męża chłopstwem, nie zapewniające rodzinie chleba, jego ciągłe wędrówki po wsiach, poza domem, a jeśli w domu to w gronie "marniaków" jemu podobnych, musiały denerwować Stefanię, mającą inne wyobrażenia i oczekiwania od życia.

Grała pięknie na fortepianie. Pozbawiona tej wzrywki w domu męża, zapewne bolała nad tym. Ojciec przyzwyczajony do jej koncertów, czuł się także skrzywdzonym, gdy mu ich brakło. Pisał o tym w liście do córki (cytowanym w części poświęconej Bitnerom).

propone

Froponowanej pracy w Warszawskim Muzeum Etnograficznym Michał nie przyjął, o czym Zygmunt Gloger pisał do Jana Karłowicza:

"... wielka szkoda dla instytucji etnograficznej i sam Federowski żałować potem będzie, gdy się przekona, że gospodarstwo nie jest jego powołaniem..."

Nazeczywiście, nie było i w 1905 roku, zagrożony ruiną majątkową, do czego przyczyniły się także rewolucyjne ruchy chłopskie, przenosi się z Nowogródzyczyny do Warszawy. W stolicy małżonkowie pozbyli się kłopotów z niefortunną gospodarką na roli, ale nie pozbyli kłopotów finansowych. Synowie byli w wieku szkolnym, a Michał zarabiając dorywczo, później jako pracownik naukowy, uposażony był skąpo. By utrzymać siebie i rodzinę, zamieszcza artykuły w czasopiśmie i wyprzedaje zbiory, z takim trudem zgromadzone. W ten sposób pozbył się około trzech tysięcy różnych dokumentów i korespondencji ze zbiorów Paców, Pocięjów, Grabowskich i innych. Część z nich znajduje się obecnie w polskich bibliotekach naukowych. Od 1921 roku pracuje w Zakładzie Etnologii Instytutu Nauk Antropologicznych. Jest do - radcą kolekcjonerów i bibliofilów.

Zona też miała swoje wymagania, zwłaszcza w środowisku warszawskim. wnuczka Ewa wspomina, że babcia Stefania była elegantką, zawsze ufryzowaną, w lakierkach, rękawiczkach, w kapeluszu ze strusimi piórami. Czytywała pono stale romanse francuskie, okryta szalem igubiła bino - kle. Dużo podróżowała. Między innymi do Kwater, gdzie spędzała sporo czasu u brata Adolfa i jego żony, a po ich śmierci także u ich syna Dolka i żony Maryni. Tam na ławeczce pod drzewami siadała z książką, a kiedy szukała jak zwykle binokli, mówiąc: Znów je posiałam, mała wnuczka Ewa szukała w trawie - czy wyrosły, skoro poslane. Stefania zmarła w swoje imieniny 2 IX 1941 r. w Warszawie, w wieku 74 lat i pochowana została^{na} Powązkowskim Cmentarzu, obok męża.

Jeździł jeszcze Michał z Warszawy na Białoruś dla kontynuowania prac. Pomagał mu w zbieraniu materiałów teśó, bowiem z czasem zmieniło się jego początkowo negatywne nastawienie do poczynań zięcia. Zafaszcza, gdy ten za -
poznał go z Janem Karłowiczem. Świadczą o tym listy pi-
sane przez Zdzisława Bitnera:

"Aochany Michasiu ! - teraz dopiero pojąłem do -
statecznie ogroś Twojej pracy, którą na pozór
złudnie, a jednak ze skutkiem posnuasz co raz da-
lej...

historia i etnografia ludu białoruskiego, poru -
szane, potrącane po dyletancku przez uczonych...
doczekały się nareszcie, że ty je źródłowo, do -
skonałe, może z pedanterią postawisz na tej sto-
pie, że ją wszyscy zrozumiemy i poznamy...

Zebrań przysłówia przesyłam Ci...

/list bez daty/

Plonem prac Michała Federowskiego jest zbiór 500 bajek,
ludowych, 3400 informacji o wierzeniach i przesądach
białoruskich, 10 000 przysłów, 500 zagadek, 3000 wyra-
żeń słownikowych, 5000 piosenki ludowych.

Cały ten ogromny plon został zebrany w ośmiu tomach
wydawanych sukcesywnie w latach od 1897 do 1931, przez
Akademię Umiejętności w Krakowie, a w latach po II woj-
nie światowej przez Polską Akademię Nauk.

Na wstępie do swojej pra-
cy autor umieścił motto :

"Niwa szeroka a plonu tak
małe".

Profesor Julian Krzyżanowski
ski we wstępie do tomu

VII napisał:

"Jest to zbiór znacznie ob-
fitszy niż etnografów ro -
syjskich. Przewyższył takich
ludoznawców jak Zygmunt Glo-
ger i Jan Karłowicz. Był sa-
moukiem w dziedzinie etno -
grafii". A cytując Oskara Kol-



Ex libris Michała Federowskiego

berga pisze: "Monumentalne dzieło o wartości materia-
łu do etnografii słowiańskiej".

Michał Federowski przekazał Warszawskiemu Towarzystwu
Naukowemu wiele rękopisów, księgozbiórów i map. Zbiory
archeologiczne znalazły się, niestety, w muzeum Kossy-
skiego i Towarzystwa Geograficznego w Troickosawsku
na Syberii.

Federowski był członkiem Lwowskiego Towarzystwa Ludo-
znawczego. Od 1902 roku był delegatem Towarzystwa Opie-
ki nad Polskimi Zabytkami Sztuki i Kultury - na teren
Białorusi. W roku 1904 zaproszony uczestniczył w Kon-
gresie Historyków i Filologów Słowiańskich w Peters-
burgu.

Zmarł po swojej żmudnej pracy w wieku 70 lat, w roku
1923. Pochowany został w Warszawie na Powązkach.

Starszy syn Federowskich Tadeusz, Młodziej studiow-
wał górnictwo w akademii w Austrii. Pracował w swoim
zawodzie na Śląsku w Łagiewnikach.



Michał Federowski z synem
Tadeuszem-Młodziejem

Młodszy Mieczysław, ukończył Szkołę Główną Handlową
a pracował w Banku Polskim w Warszawie. Ożenił się



Mieczysław Federowski

niepomyslnie z Weroniką Mellerowicz. Był to związek krótkotrwały i bezdzietny. Wyrokiem Sądu Arcybiskupiego w Warszawie małżonkowie pozostawali w separacji. Mieczysław jeżdżąc "na Litwę" do Kwater, do chrzestnej matki Klementyny Glińczyczonej i wujecznego brata Dolka, przy okazji rodzinnych uroczystości, świąt czy urlopów, poznał panie Borkowskie z Osady, bywające we dworze. Tak nawiązał się romans Mieczysława i Zofii,

który zaowocował częstszymi przyjazdami "Sławka", jak nazywała go Zosia i przesyłanymi listami, o których mówiła, że każdy list to poemat. Pocztą z Warszawy na Osadę docierały słodczyce w pięknych lakowych pudełkach. 4.X.1931 roku Zofia i Mieczysław wzięli ślub w kościele ewangelickim/ o czym świadczy dokument wydany przez Zbór Ewangelicko-Reformowany/, ponieważ nie było możliwości uzyskania unieważnienia pierwszego małżeństwa Mieczysława. Małżonkowie zresztą zabiegali o to w kościele katolickim jeszcze w 1937 roku.

Zofia porzuciła Osadę i pracę nauczycielską po ślubie i zamieszkała przy mężu w Warszawie, na ulicy Dobrej. O podróż poślubną, jak wynika z dziennika Sławka, małżonkowie wyjechali do Kwater, gdzie zabawili od 7 do 22 listopada.

W 1932 roku przeprowadzili się Federowscy na ulicę Czerwonego Krzyża Nr 9. Często gościli u siebie rodzinę z Kwater i z Osady, ciotecznych Żegockich, parokrotnie Bronkę z Hurczyn, a nawet w 1939 roku, tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, w lipcu i sierpniu Helenkę i Kazika Białewiczów, dzieci ciotecznej siostry Sławka Adolfiny, zamieszkałych na Łotwie.



Zofia z Borkowskich
Federowska

W roku 1933, 23 listopada, urodziła się małżonkom Federowskim córka Ewa. Na rodzinną uroczystość chrztu 5 VI 1934 przyjechali do Warszawy Bitnerowie z Kwater - Marynia i Dólek, z Osady matka Zofii - Maria z córką Stasią. W dniu do chrztu trzymali: Marynia Bitner i brat Zofii Kazimierz Borkowski.

W kilka dni po uroczystości goście rozjechali się, a 18 VI szczęśliwa mama wraz z córką, prawie siedmioletnią, w ślad za rodziną, wyjechały z Warszawy na Osadę, na wakacje.

Tam miała zachorować na spę wietrzną, która na szczęście szybko minęła. Odtąd każde lato Zofia z córką spędzały w Osadzie przy mamie i siostrze, a Sławek dojeżdżał ze Stolicy zwykle w sobotę po południu, by z rodziną spędzić niedzielę.

Gdy tylko Ewa zaczęła samodzielnie chodzić, wszędzie było jej pełno. Jako kilkuletni brzdąc weszła do budy łańcuchowego wileczura. Gdy domownicy zaniepokojeni zaczęli jej wszędzie szukać, pies szczerząc kły nikogo do budy nie dopuszczał. Gile odważna była wobec psa, o tyle bardzo się bała barana chowanego w Osadzie. W sąsiedztwie, przez podmokłe łąki przepływała Świ - słocz, na tym odcinku jeszcze jako niewielka rzeczka. Przekraczało się ją po drewnianym mostku. Jakaż to była wyśmienita zabawa, kładąc się brzuchem na mostku, obserwować przez szpary między dylowiną raki ruszające się na dnie, w przejrzystej wodzie. Ba, nie były to jakieś tam sobie raki, ale towar eksportowy! W okre-

ślone dni, pociąg bezpośredni kursujący na linii :
Stąpce - Paryż zatrzymywał się na krótko na stacji
Brzostowica, gdzie ładowano doń w koszach ten specjał
na francuskie stoły.

Na Osadę zachodził leśnik z łasów majątku Ciecierów-
ka Ursyna-Niemcewicza i zawsze coś przynosił. A to ja-
gody, a to wiewiórkę schwytaną lub jeża, co budziło
prawdziwą radość Ewy. Jednak szczytem zachwytu kilku-
letniej pannicy były odwiedziny ułana. Przyjechał na
Osadę oficer na siwym koniu, a widząc podziw w oczach



Ewa Federowska

dziecka, podniósł je i po-
sadził przed sobą na sio-
dle, po czym pocałował
panieneczkę w rączkę. By-
ło to coś tak wspaniałe-
go, że zachwycona Ewunia
z wdzięczności podarowa-
ła oficerowi swego kota.
Odwiedziny ułanów czy
strzelców konnych nie by-
ły zresztą czymś wyjąt-
kowym. Z niedalekiego Woł-
kowyska oficerowie 3 PSK
często bywali w kwate-
rach, a przy okazji nie-
jednokrotnie wstępowali
na Osadę. W ramach jesien-

nych manewrów przeciągały przez okolice oddziały kawa-
lerii z Suwalskiej Brygady.

Z Osady chodzono w odwiedziny do dworu kwaterskiego,
gdzie na letnisku przebywała zwykle babcia Stefania,
która zawsze "gdzieś posiadała binokle". Wówczas odcho-
dziły zabawy i figle Ewy z Januszkiem i Rysiem, synami
Dołków.

Tak sielsko mijały letnie miesiące na wsi, każdego ro-
ku, pachnące mlekiem i chlebem razowym, szumiące łanami
zboża, rozśpiewane rechotem żab i pieśnią skowronków.

Tak w cichej codziennej pracy upływał czas, nieuchronnie zmierzając do nowej katastrofy światowej. Z rzadka niewyraźne docierały tu wieści o międzynarodowych napięciach i zabiegach dyplomatów. Każdy zajęty własnym codziennym trudem, nie nastawiał specjalnie ucha na te pogłoski. Może jedynie Żydzi, mający własne kontakty, lepiej orientowali się w sytuacji międzynarodowej. Aż nadszedł dzień 1 września 1939 roku, a po nim, dla tych ziem jeszcze tragiczniejszy 17 września, dzień sowieckiej agresji.

EPILOG

Gdy wokół sąsiedzi uciekali na wschód przed niemiecką agresją i z centralnej Polski trwał exodus wystraszonej ludności, panie w Osadzie pozostawały na miejscu. Dokąd i po co miały uciekać? Zdały się na los i Boską opiekę. Bitnerowie opuścili już Kwatery. Nie wiadomo co dzieje się z Zosią, Sławkiem, Ewunią i babcią Stefanią w oblężonej Warszawie. Co z Kazikiem, Michasiem i Tadzkiem na Śląsku? Niepokój o bliskich i własny los, paraliżował biedne kobiety. Uciekinierzy z głębi kraju przynosili sprzeczne, ale zawsze tragiczne wieści. W tej niepewności i udręce doczekały niespodziewanego wkroczenia Sowietów. To było dopełnieniem dramatu. W jednej chwili zawałił się ich cały świat. Jako emigrantki z bolszewickiego raju, a jeszcze bardziej jako osadniczki wojskowe, narażone były na deportację w pierwszej kolejności. Istotnie, na początku lutego 1940 roku, nocą, znajomy Żyd-pachciarz, który skupował produkty w Osadzie, ostrzegł panie, że grozi im wywózka. Zaproponował też odkupienie inwentarza, za który płacił od ręki gotówką. Już następnego dnia Maria z córką Stasią zostały aresztowane, zapędzone do wagonów towarowych wraz z innymi i wywiezione na Ural, do kopalni metali kolorowych, a później do Taszkientu. Tak po 19 latach znów powróciły do kraju czerwonej przemocy, skąd z taką nadzieją i radością emigrowały w 1921 roku.

Z amią generała Andersa wydostały się później do Bejrutu. Stanisława została wcielona do armii. Rodzina przechowuje jeszcze jej mundur przywieziony do Polski przez matkę, jako pamiątkę po córce, która chora na serce po pracy w kopalni, zmarła w Bejrucie i tam została pochowana. Matka okreśną drogą wróciła do kraju w 1947 roku, z malarią. 8 V 1951 roku zmarła w Warszawie u córki Zosi, w wieku 87 lat.

Domek na Osadzie włączony do kolchozowego gospodarstwa, spłonął w 1986 roku.

Mieczysław Federowski zmobilizowany we wrześniu 1939 r.

jako oficer rezerwy, walczył w obronie stolicy, a po jej kapitulacji dostał się do niewoli niemieckiej. Po wojnie wrócił z obozu jenieckiego schorowany. Zmarł w Warszawie 8.X.1988 roku.

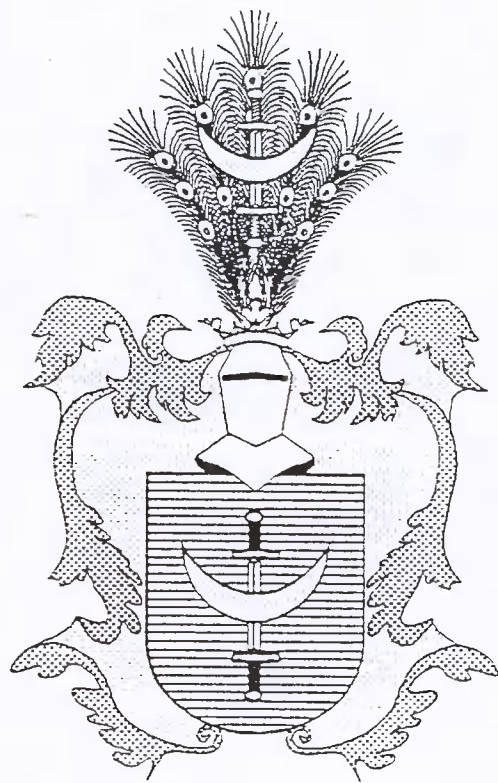
Zofia po odejściu Sławka do wojska, pozostała sama z sześciolletnią Ewą. Oddała ją na wychowanie do sióstr zakonnych w Milanówku, a sama pozostała w okupowanej stolicy. Kiedy wybuchło powstanie w Warszawie, zabrała córkę i wyjechały obie do Krakowa, do Izabeli, żony ciotecznego brata męża - Bronisława Wysockiego.

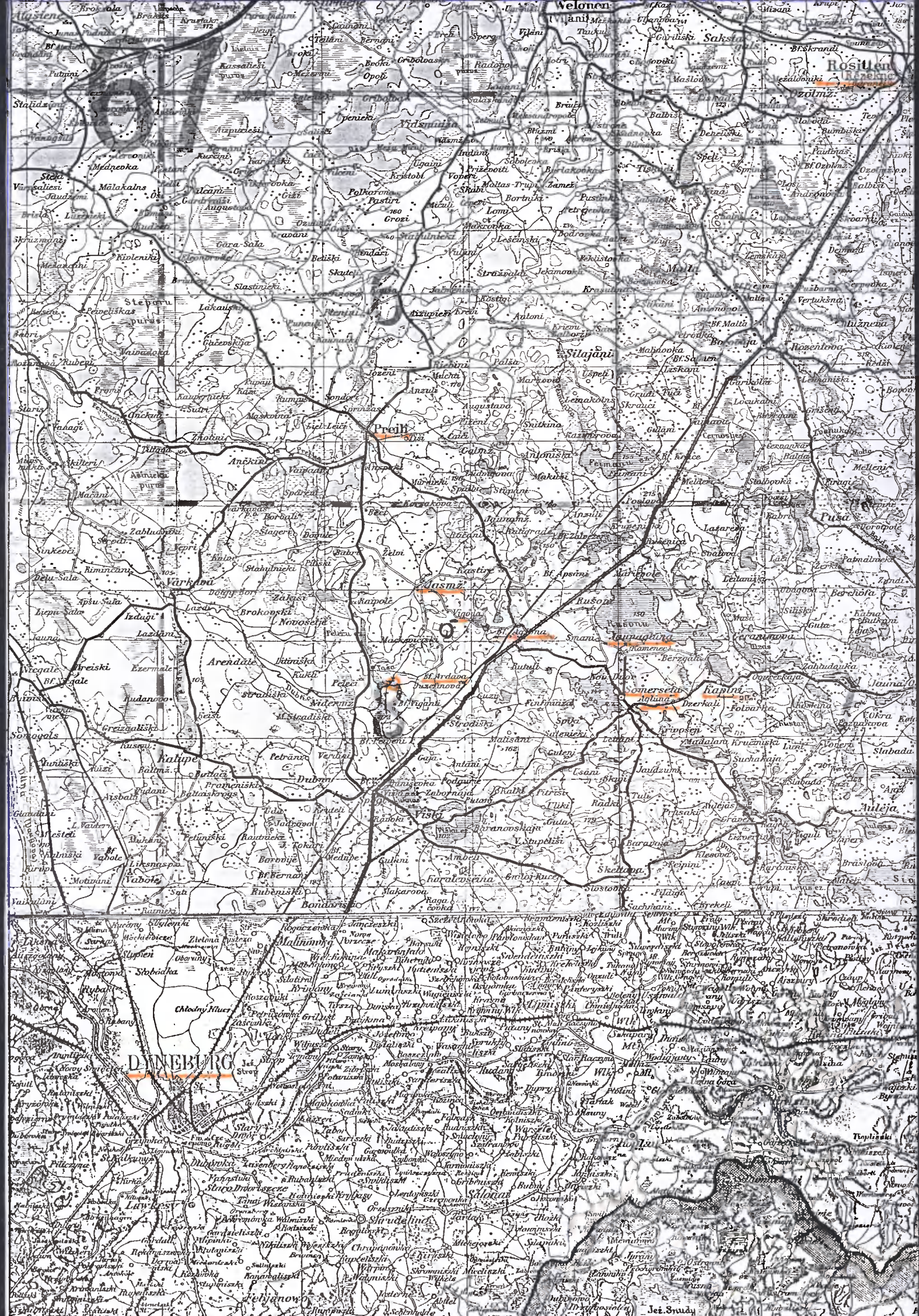
Po wojnie poróciły do Warszawy. Dom zastały rozszabrowany, ale stojący, choć bez jednej ściany. Ewa po studiach na Uniwersytecie Warszawskim, podjęła pracę w LOT-cie jako stewardesa, do czasu katastrofy pod Moskwą. Sama kontuzjowana, organizowała pomoc dla pasażerów i załogi. Za swój czyn otrzymała wysokie odznaczenie po - 33 latach!

Brat Mieczysława Tadeusz przeniósł się w czasie wojny z Łagiewnik do Warszawy, gdzie przepadł bez wieści w jednej z ulicznych łapanek.

Dwór w Kosinie, gdzie Michał Federowski tak intensywnie pracował, również włączony do kołchozu, spłonął przez niedbalstwo kołchoźników już po wojnie, w latach 50-tych.

BLAŻEWICZOWIE





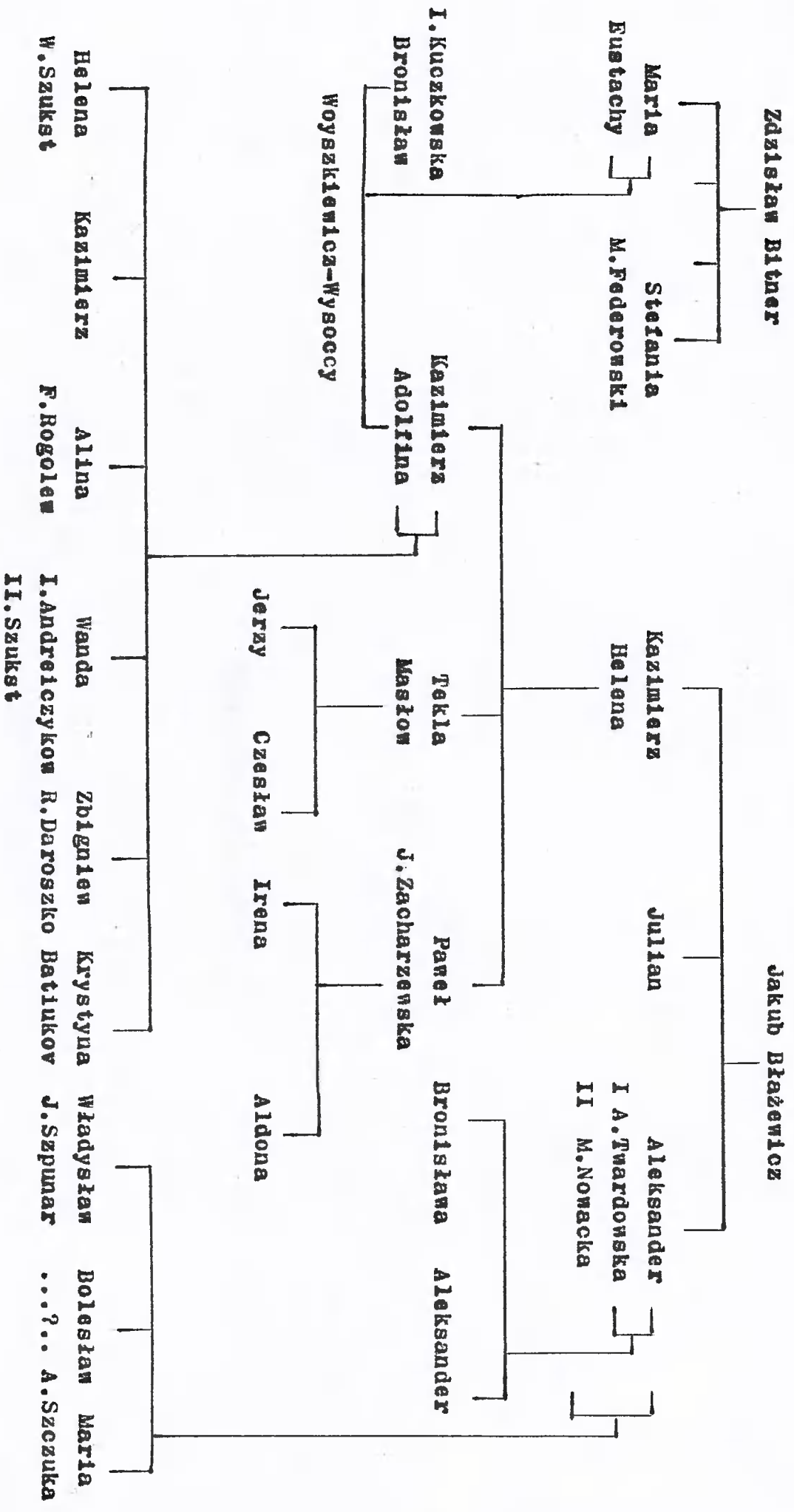


Jakże trudno o czasach pisać naszej ziemi
O bursztynowych polach i czerwonych głogach,
O puszczech ciemnośpiwnych i gwiazdach nad nimi,
O drzewach, jarzębinach, o krzyżach i drogach.

Kiedy każdy wiersz, w którym chcę ręką marzenia
Malować mapę nieba i ziemi krajobraz,
Zrywa rytm, płacze rymy i barwę odmienia
I nad jednym obrazem drugi tworzy obraz.

Tak nad jednym obrazem drugi obraz wschodzi,
Nad jednym sielankowym, drugi - niszczycielski,
W którym słońce nie słońcem, ale krwią zachodzi
I wiatr jest nie ożywczy, ale trucicielski.

/ S.Baliński /



Spis treści

pierwsza powojenna wiadomość	str 476
rozważania Izabeli	
Adzia i Bronisław-młodość, studia	
pierwsza miłość Adzi	
wybuch I wojny światowej	
wypędzenie w głąb Rosji	
śmierć matki	
rewolucja, ucieczka na Łotwę	
wiadomość o śmierci ukochanego	
działania wojenne na Łotwie.....	485
polskie szkolnictwo na Łotwie	
Adzia wybiera się do Somerset	
wypadek na jeziorze, poznanie Kazimierza	
dom w Jawdziemach, ślub	
ucieczka przed bolszewikami.....	501
Kazimierz w Legionach	
narodziny Helenki	
Adzia nawiązuje kontakt z bratem	
chrzciny, spotkanie Adzi i Bronisława	
Pawet Błażewicz i rodzina	
sytuacja Polaków na Łotwie, reforma rolna	
narodziny Kazika, trzecia ciąża Adzi	
decyzja osiedlenia na Łotwie	
spotkanie rzekomo nieżyjącego ukochanego	
pożegnana wizyta w Hurczynach	
trzeci poród Adzi	
Inflanty-Łotwa: historia, przyroda, stosunki narodowościowe i własnościowe	510
ród Błażewiczów, herb, Jawdziemy	
ojcowizna - zagrożenie i podział	
gospodarstwo Kazimierzostwa	
nauka dzieci	
społeczna działalność Kazimierza	

opowieści Adzi	str 528
ciocia Tekla	
wieczory nad jeziorem	
Próchnikowie-Schroedersowie-Aleksandrowiczowie	
znajomości i stosunki sąsiedzkie	
polskie rody w Łatgalii	
mieszane małżeństwa	
wieczory we dworze, białe noce.....	538
narodziny bliźniąt, chrzciny	
rodzinne wspomnienia	
przygoda Alinki	
domowa biblioteka, edukacja dzieci	
praktyki i wychowanie religijne	
śmierć Jerzego	546
wdrażanie Dwidziusia do gospodarstwa	
męskie wieczory w radiowym pokoju	
harcerze w Jawdziemach	
narodziny Krysi	
przybrana córka	
Marysia wyjeżdża do Warszawy	
imieniny Kazimierzów	553
dzień powszedni w gospodarstwie	
letnia burza	
dalsza edukacja dzieci	
Jalnagłona	
jesień, zapasy zimowe	566
jesienne nastroje, zajęcia, spoczynek	
Adzia udziela pomocy medycznej	
pamięć o zmarłych	
Grociszki - odwiedziny, rozmowy	
sytuacja Polonii łotewskiej	
niepokoje na arenie europejskiej	

Helenka i Kazik wyjeżdżają do Warszawy.....str	577
wybuch II wojny światowej	
sowiecka okupacja Łotwy	
niemiecka okupacja,aresztowania	
wiadomości o losach rodziny	
Kazik w dywersyjnej grupie "Wachlarza"	
aresztowanie Kazika	
ofensywa Armii Czerwonej	
śmierć Kazimierza - ojca	
śmierć Kazimierza - syna	
wyjazd Walentynki do Niemiec	
zamążpójście Aliny	

Epilog.....	593
-------------	-----

Wiosną 1954 roku Izabela Wysocka otrzymała w Krakowie list od siostry męża - Adolfiny z Wysockich Błażewiczowej. W szarej kopercie z pakowego papieru, opisanej trzema pieczęciami z gwiazdą, na której adres nadawczy w polskim tłumaczeniu brzmiał:

ZSRR Obwód Omski Isikulski Rajon Sowchoz "Bojsowej"
Drżącymi rękoma wydobyła list pisany na klepskim, bu-
raczkowego koloru papierze.

" Ukochana Moja Izo !

Kartka Twoja pisana przez Genewę, cudem dotarła do Eli, do Rygi, a ona przesłała mi na Syberię. Szósty rok tu żyję, obecnie oderwana od wszystkich dzieci. Mąż tragicznie zmarł w 1944 roku. Syn Kazik rozstrzelany przez Niemców. Ela 1-1/2 roku była tu ze mną i powróciła już do męża do Rygi. Jej mała córeczka Danusia tu zmarła. Alina żyje koło Jawdziem. W tym roku przyjechała z mężem 4500 km odwiedzić mnie. Wanda z mężem bardzo daleko, Krysia z synkiem też/również na zesłaniu przyp. autora/. Mieszkam z synową, mego Zbyszka żoną i wychowuję 6-cio miesięcznego wnuczka Tolusia. Syn na dwa lata wyjechał daleko pracować na nowych ziemiach. Tęsknię bardzo, nie wiem nic o nikim. Pisz o Was i o innych. Czekałam listu. Całuję wszystkich i gorąco tulę do serca.

Adolfina Błażewiczowa "

W niecały rok później, nadszedł od Adzi drugi list z tragiczną wiadomością:

"...21 lutego 1955 został zastrzelony mój jedyny już syn Zbyszek. Straciłam jedynego karmiciela. Wszystkie córki daleko i pomagać mi nie mogą. Po Zbyszku została młoda żona z synkiem półtorarocznym i drugi urodzi się w lipcu. Teraz i oni daleko ode mnie. Jestem sama, obdarta i głodna. Pracować nie

mogę, śmierć nie przychodzi. Za dużo nieszczęść na jedną rodzinę. ... "

Zadumała się Iza nad tragicznymi losami Kresowiaków . Jej Broniek, z takim trudem rekonstruował ojcowiznę po pierwszej wojnie, by ją podczas drugiej utracić wraz z życiem. Ona i dzieci stracili męża, ojca, dom, cały majątek. Szwagierka Adzia w 1915 roku wygnana z matką na tułaczkę, zostaje sierotą, a w 1944 r. traci męża, potem syna. W cztery lata później zesłana na Syberię wraz z trzema córkami i drugim synem, traci i jego i wnuczkę. Sama w nędzy, chora, wegetuje na obcej ziemi czekając śmierci. Zmarły panie Borkowskie z Osady, córka w Bejrucie, matka po powrocie z tułaczki w Warszawie. Nic nie wiadomo o Żegockich, podobno żyją gdzieś na Śląsku po powrocie z Rosji. Jurek Wysocki w Anglii, Włodzio Federowski zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, Dolek przepadł wraz z Bronkiem. Marynia z synami w Londynie, gdzie ewakuowali się z wojskami Andersa po kazachstańskiej tułaczce...

Mimo woli wspomniała Iza przeczytany kiedyś wiersz nieznanego autora:

" Już Ty nas nie powrócisz na Ojczyzny łono
O Wielka Księżno Wilna - Ostrobramska Pani.
Nie w swojej ziemi dni swoich przeżywać skazani
I nie w swojej nam kości położyć sądzono... "

Adolfina i Bronisław Wysoccy, to było bardzo kochające się rodzeństwo. Być może, trudna sytuacja domowa we wczesnym ich dzieciństwie sprawiła, że tych dwoje dzieci, wspólnie walcząc z losem, wzajemnie się wspierało, zacieśniając więzy braterskiej i siostrzanej miłości. Broniu starszy o cztery lata od siostry, brał ją w opiekę i obronę, młodsza Adzia, bardziej uczuciowa, łagodziła tro-

ski brata. Dzieci pozostające z respektem i szacunkiem dla obojga rodziców, współczuły udręczonej matce i starały się być dla niej pociechą i nadzieją. Kiedy Broniu liczył lat szesnaście, a Adzia dwanaście, zmarł nagle ojciec. Zostały półsierotami. Dzieci były zdolne i chętne do nauki. Matka nie zdołałaby sama zapewnić im wykształcenia z dochodów źle prosperującego gospodarstwa, gdyby nie pomoc brata - doktora Adolfa Bitnera. Dzięki niej, w 1913 roku wysłała obydwój na studia do Krakowa. Bronisław jako starszy zobowiązany był do opieki nad Adzią.

Dziewczynka miała piękny i silny głos. Doradzano matce by kształciła wokalnie córkę, ta jednak wybrała studia medyczne. Młode, żywego temperamentu i pogodne dziewczę, zwracało na siebie uwagę kolegów. Wkrótce, z jednym z nich nawiązała romans. Pokochała młodzieńca pierwszą, gorącą miłością. Brat był jej serdecznym powiernikiem w sercowych zapalach i równocześnie, jako starszy i chłodniejszego charakteru, trzeźwym doradcą i opiekunem młodszej siostry.

Zaciszne alejki Parku Jordana kryły dyskretnie szepty i gesty pary zakochanych. W miarę możliwości czasowych i finansowych, bywali oboje i z Broniem, w teatrach i teatrykach, podziwiając grę aktorów takich jak Ludwika Solskiego, czy Ireny Solskiej, jego żony, która w rzeczywistości po mężu nazywała się Sosnowska, bowiem nazwisko Solski, było przybranym nazwiskiem aktorskim, czy też bawiąc się satyrą Boya.

Między Krakowem a Hurczynami trwała wymiana korespondencji. Dzieci relacjonowały stęsknionej matce swoje wrażenia ze studiów i postępy w nauce. Opisywały miasto i jego życie, które ich zafascynowało: Zamek Wawelski - dawną siedzibę królów, górującą na skale nad szerokim korytem Wisły, katedrę zamkową z potężnym dzwonem "Zygmunt", którego dźwięk w dni uroczyste niósł się daleko ponad miastem. Trwała właśnie odbudowa i porządkowanie wzgórza i samego zamku z hojnych datków społecznych, po dewastacji zaborecy, który zamie-

nił obiekty zamkowe na koszary wojska.

Rynek z kościołem Mariackim, z którego wieży co godzinę rozlega się hejnał grany na trąbce, Sukiennicami, pomnikiem Adama Mickiewicza i postojem konnych dorożek. Z gazowymi latarniami w świetle których wieczorem pięknie wyglądają szpalery drzew i fasady architektury wokół rynku. Opisywały tramwaj, wagon poruszany elektrycznie, jadący na szynach przez miasto, którym za 10 halerzy można dojechać z rynku do Wisły.

Zdumiewała ich mnogość cukierni, pijalni, restauracji, kawiarni z "ogródkami" na zewnątrz, gdzie gromadził się świat intelektualny Krakowa - literaci, aktorzy, poeci, malarze, artyści sztuk wszelkich, określający się sami mianem Cyganerii, a także przedstawiciele rodów utytułowanych, hrabiowie i baronowie.

Planty stanowiły krakowską promenadę, gdzie spotykało się wszystkie warstwy społeczne: Dostojne towarzystwo zasłuchane w koncertującej orkiestrze, przechadzających się zamyślonych intelektualistów, studentów ślęczących na ławkach ze skryptami w ręku, wojskowych c. k. armii w srebrnych kaskach dragonów, granatowych ułańskich mundurach z czerwonymi wyłogami, artylerzystów w brązowych uniformach ze złotymi guzikami i czarnym, wysokim czakiem na głowach. Wojskowym zwykle towarzyszyły pomocnice domowe wszelkich szczebli, od bonnianiek, pokojówek, po pomywaczki. Wśród tej różnorodności szybko i cicho pomykały zakonnice i zakonnicy licznych tutejszych zgromadzeń, ślepi i głusi na ponęty doczesnego świata.

Ale najbardziej zdumiewała Kresowiaków swoboda z jaką manifestowano nastroje, obchodzono publicznie narodowe święta i rocznice. Policja nie rozpędzała zgromadzeń, nikogo nie zamykano do tury...

Z kolei matka słała dzieciom przestrogi, słowa zachęty do pracy, tęsknoty i miłości. Liczyła dni pozostałe do świąt, oczekując przyjazdu swych studentów.

Pierwsze ferie w okresie Bożego Narodzenia, oczywiście

spędziły dzieci u mamy, w rodzinnym domu. Ileż było radości i opowieści w starm dworku, wśród tęgiej kresowej zimy. Wkrótce jednak znów nastąpiło rzewne pożegnanie. Dzieci wracały do miasta, gdzie kontynuowały naukę i Adzia pielęgnowała rozwijające się co raz mocniejsze uczucie.

Z obawą wysyłała matka dzieci z domu po świętach Wielkanocnych 1914 roku. Krążyły jakieś niespokojne wieści o napięciach międzynarodowych, tworzone między państwowe porozumienia i sojusze, spekulowano na temat przyszłych wydarzeń politycznych. A gdy w Sarajewie zamachowiec zamordował Arcyksięcia Ferdynanda, następcę tronu Monarchii Austro-Węgier, wojna zdawała się nieuniknioną. Niespokojna o los dzieci Maria, wysłała do Krakowa pe-słańca z listem, wzywającym dzieci do niezwłocznego powrotu. Do domu pojechała jednak tylko Adzia, po uprzednim czułym pożegnaniu z bratem i swym ukochanym, z którym nieświadomie żegnała się na zawsze. Nieprzewidywalne są ludzkie losy.

Broniek pozostał w Krakowie, przez siostrę tłumacząc matce, że związany jest udzielanymi korepetycjami i nie może zerwać umowy. Nie chciał przecież całego ciężaru finansowania studiów własnych i siostry, pozostawić na barkach matki i wuja. Obiecywał przyjechać we wrześniu. Liczył na to, że nawet w razie zaostrzenia sytuacji politycznej, zawsze przecież zdąży jeszcze wrócić.

Któż mógł przewidzieć dalszy ciąg wydarzeń. Ani Bronisław, że front walk odetnie mu możliwość powrotu do siostry i matki, której miał już więcej nie ujrzeć, ani Adzia, że to koniec jej studiów.

Jeszcze po wybuchu wojny światowej, gdy Rosjanie parli na zachód zajmując wschodnią część Galicji, matka i córka wyczekiwały daremnie powrotu Bronisia. Jeszcze się łudziły, jeszcze czekały. Smutne były bez niego tego-roczone święta Bożego Narodzenia. Ukrywały kobiety swój żal i niepokój jedna przed drugą, by nie powiększać

cierpienia, Ukradkiem ocierały łzy wśród pracy domowej wokół sprzątania dworu i zajęć kuchennych. Skromnie obchodzono te święta, brakło radosnego nastroju i chęci. Trwająca wojna dała się we znaki, powodując też trudności gospodarcze. Na szczęście w drugi dzień świąt zjechał do Hurczyn 16-letni Mietek Federowski, który z Warszawy na święta przybył do chrzestnej matki do Kwater. Jego obecność rozproszyła nieco smutki. Słuchano z ciekawością jego relacji ze stolicy Królestwa. Adzia wówczas poznała ciotecznego brata i bliskie, przyjazne ich stosunki przetrwały do śmierci Adzi. W 48 lat później, po powrocie z zesłania, pisała do Mieczysława 12 XII 1962 roku:

... "Czy pamiętasz Mietku Twój przyjazd do Hurczyn na święta? Nie wiem czemu Twój głos mnie i Mamie przypominał Bronka. To były moje ostatnie święta w rodzinnym domu..."

Wkrótce do domu rodzinnego miał stać się jedynie wspomnieniem. Ofensywa niemiecka wyparła rosyjskie wojska z Galicji i spowodowała cofanie się całego frontu na wschód. Rosjanie wycofując się stosowali taktykę "spalonej ziemi", niszcząc czego nie zrabowali. Po wsiach i dworach rozlegał się płacz i lament okradanych z dobytku, zabieranych siłą do wojska mężczyzn i młodzieńców, gwałconych kobiet i dziewcząt. Kto mógł, krył się po lasach, w zapadłych kątach, kopał ziemianki, byle ujść przed rozpasaniem cofających się Moskali i nadchodzącej z zachodu, podobno jeszcze gorszej dziczy, jak głosiła propaganda rosyjska. Cóż przeciw jednym i drugim mogły dwie samotne kobiety, matka i córka?

Dobyttek z obory i stajni już kozacy zabrali. Z nakazu władz należało uciekać do Rosji przed frontem. Po dworach zakopywane w ziemi beczki wódki, wina, ziarna, porcelanę, skrzynie sztućców, odzieży. W drogę pakowano na

wozy odzież, żywność, biżuterię, dywany... Za wozami wiązano bydło, żrebacki i ruszano na wschód, po zatłoczonych drogach, w narastającej panice, by i ten ocalały dobytek utracić w czasie masowego exodusu. Trupami i ściernem gnijących bydłał usłane były drogi tej narodowej Kalwarii.

W Hurczynach praktycznie nie było już co chować, nie było i wiele do zabrania. Spakowały kobiety odzież, nieco pamiątek i ocalałych kosztowności, pożegnały resztę służby, która się jeszcze nie rozbiegła, ucałowały próg starego, kochanego domu i znacząc krzyż na piersi, spłakane i wylęknione ruszyły w nieznane.

Wozem dojechały do stacji kolei w Wołkowysku, tam przesiadły do zatłoczonego pociągu w kierunku Baranowicz, gdzie czekała je jeszcze trudniejsza przesiadka do dalekobieżnego pociągu relacji Brześć - Moskwa.

Przez Mińsk, Borysów, Orszę, Smoleńsk i Wiaźmę, dotarły wreszcie do Moskwy.

Wszędzie po drodze ślady trwającej wojny - stacje kolei zatłoczone transportami wojskowymi, składami zapatrzania dla frontu, przymusowe postoje dla przepuszczenia długich składów wojskowych zdążających na zachód. Z okien wagonu przerażający widok na drogach "bieżeńców" czyli wypędzonych z ojcowizny, pieszo i na wozach z dobytkiem pędzonych kozacką nahajką w nieznane. Twarze nieszczęśników przerażone lub zubożniałe na wszystko, umęczone. Tu i ówdzie słychać śpiewane pobożne pieśni błagalne, płacz dzieci, ryk bydła, a nad wszystkim góruje pokrzykiwanie kozaków na małych koniach, konwojujących to ludzkie nieszczęście.

Moskwa. Rozległe miasto, zabudowane było przeważnie drewnianymi, parterowymi domkami. Panował nieopisany tłok przybyszów, trudno było o jakąkolwiek kwaterę. Ludzie obcy sobie gnieździli się stłoczeni w pojedynczych izbach. W poszukiwaniu miejsca do zamieszkania, wędrując

po mieście, podziwiała matka z córką Kreml i cerkiew Wasyla Błogosławionego z XVI wieku, szeroko rozlaną rzekę Moskwę, warsztaty rzemiosła i rozbudowujący się przemysł. Przepych i bogactwo arystokracji, współegzystujące i biedą i niechlujstwem.

Wobec trudności zakwaterowania, za poradą życzliwych, przeniosły się kobiety do Kaługi nad rzeką Oką, na południe od Moskwy. To było także duże miasto, ale nie tak zatłoczone. Tu szczęśliwie ulokowały się przy polskiej rodzinie pochodzącej z Radopola, w guberni witebskiej, jak one wypędzonej do Rosji.

Maria udręczona warunkami, obawą o syna, trudnościami przeżycia w nowych warunkach, na obcej ziemi, zaczęła słabować, opadać z sił i wkrótce zmarła w wieku 66 lat. Adzia osierocona pozostała sama wśród obcych. Na szczęście, rodzina przy której mieszkały okazała życzliwą pomoc. Adzia uczyła ich dzieci, mając w zamian zapewnione utrzymanie i mieszkanie. Przybywało jej więcej uczniów. Inne polskie rodziny wypędzone, również powierzały jej kształcenie swoich dzieci. W miarę wolnego czasu, Adzia sama doksztalała się pobierając lekcje języka francuskiego i rosyjskiego.

Pewien czas pracowała również w szpitalu jako pielęgniarka. Tocząca się wojna przysparzała rannych i chorych. To była ciężka praca dla młodej dziewczyny. Adzie jednak interesowała medycyna, więc dobrowolnie ją podjęła. Musiała jednak w tym okresie zrezygnować z nauki, bowiem zajęcia w szpitalu trwały cały dzień, a czasem całą dobę. Polacy u których mieszkała, patrzyli z troską jak umęczona wrasała do domu. Uważali, że szkoda jej młodych sił i talentów, że pożyteczniej byłoby uczyć dzieci.

Tymczasem w Rosji do głosu zaczęły dochodzić elementy rewolucyjne. Wybuchaly strajki w zakładach, wśród robotników krążyli agitatorzy. W Piotrogradzie w 1917 roku wybuchła zwycięska rewolucja, zwana później lutową, w wyniku której abdykował car Mikołaj II. Powstają Ra-

dy Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Tymczasowy Rząd z Kiereńskim na czele, stłumił w lipcu wystąpienia rewolucyjne i wprowadził dyktaturę.

Polacy, którzy zostali wypędzeni, poczynali indywidualnie powracać do swoich stron rodzinnych, przynaglani społecznymi niepokojami. Dyktatura Kiereńskiego bynajmniej nie ostudziła nastrojów, które w każdej chwili groziły nowym, bodaj czy nie potężniejszym wybuchem. Do powrotu przygotowywali się także opiekunowie Adzi. Proponowali by wracała wraz z nimi. Wahała się dziewczyna, bo serce ciągnęło ją do Hurczyn, a nie znów w obce strony. Należało jednak wracać czym prędzej na zachód, byle dalej od zrewolucjonizowanej Rosji. Droga byłaby bezpieczniejsza w towarzystwie przyjaciół.

A w Hurczynach, cóż sama pocznie bez matki. Brat zapewne też nie wrócił odcięty wojną od ojcowizny. Czy stoi zresztą jeszcze rodzinny dom opuszczony przed dwoma laty? Tak więc wypadło wracać z zaprzyjaźnioną rodziną do nadbałtyckiego kraju, a później, jak Bóg da, stamtąd do Hurczyn.

Niebawem, do trudów i emocji związanych z powrotem, dojdzie bolesne doświadczenie. Otóż wśród Polaków wracających spotkała dalszą rodzinę swego ukochanego z Krakowa, z którym rozstała się przed trzema laty. W rozmowie okazało się, że poległ na froncie, jako żołnierz wcielony do austriackiej armii. Adzia bardzo boleśnie przeżyła to nowe doświadczenie. Wszak to była pierwsza, a więc najgorętsza miłość, która gdy owładnie człowiekiem, nie daje się łatwo wyrzucić z pamięci i serca. O wojno straszliwa, ileż powodujesz krzywd i cierpień, ile wyciskasz łez...

Tak tedy dnia jednego, Adzia z przyjaciółmi stanęła we dworze w Radopolu, w guberni witebskiej.

Rodzina Januszkowskich, a z nimi Adzia, uchodząc z Rosji przed rewolucją bolszewicką, znaleźli się w rosjskiej strefie przyfrontowej walk z Niemcami. Rzeka Dźwina od

Rygi do Dyneburga stanowiła linię frontu. Na domiar złego, w rosyjskiej strefie, na wschód od Dźwiny, trwała wojna domowa. Oddziały "Strzelców Łotewskich" walczące po stronie Rosji, na całym froncie ulegają stopniowej bolszewizacji od czasu rewolucji lutowej, stają się w końcu awangardą łotewskiego bolszewizmu. Część oddziałów pozostała wiernie przy powstałym Rządzie Tymczasowym, dążącym do skupienia wszystkich prowincji łotewskich i uzyskania autonomii w sojuszu z Rosją. Obecnie toczyły walki przeciw sobie oddziały pod czerwonymi sztandarami bolszewickiego internacjonalizmu i reprezentujące idee nacjonalistyczne. W końcu bolszewicy przejęli władzę i zaczęli represjonować "kontrrewolucję". Opozycja antybolszewicka i antyniemiecka przeszły do konspiracji i zjednoczone szukały oparcia w Wielkiej Brytanii.

Niemcy korzystając z zamieszania przyfrontowego i rozprężenia armii rosyjskiej, przekraczają Dźwinę i zajmują tereny guberni Inflanckiej i witebskiej, od Zatok Fińskiej po Dyneburg.

Wkrótce jednak, na mocy ustaleń zawartego w Brześciu pokoju w marcu 1918 r. z terenów nowozajętych, zmuszone będą wycofać się wojska zarówno niemieckie jak bolszewickie. Dotychczasowe gubernie stanowiące wschodnie prowincje łotewskie: Liwlandia i Łatgalia, zostaną uwolnione od wojsk okupacyjnych i pod nadzorem niemieckim tworzyć będą własny zarząd. Gdy pod koniec 1918 r. wybuchnie w Niemczech rewolucja i na zachodnim froncie Niemcy poniosą klęskę, wycofają się także z łotewskich prowincji zachodnich - Semigalii i Kurlandii, oraz pozostałych krajów bałtyckich: Estonii i Litwy.

Powstała Łotewska Rada Ludowa, skupiająca reprezentantów wszystkich narodowości zamieszkujących Łotwę, oraz przedstawicieli stronnictw politycznych/prócz bolszewików i germanofilów/, jako oficjalna reprezentacja na-



Prowincje :

- Kurlandia
 - Semigalia
 - Łatgalia
 - Liflandia
 - + północna część Gub. Inflanckiej do Gub. Estlandzkiej
- } dawne Inflanty Polskie

— granice guberni - zabór rosyjski

..... granica Łotwy po I wojnie świat.

rodu, 18 listopada 1918 roku proklamuje niepodległość republiki.

Naród Łotewski, którego terytorium od 1722 do 1795, stopniowo Rosja anektowała ustanawiając gubernie: Inflacką, następnie Witebską i Kurlandzką, teraz nareszcie zaczął żywić nadzieję odzyskania niepodległości. Jednak droga do niej okazała się jeszcze zawiła. Zmieniający się okupanci niemieccy i bolszewicy, dla umocnienia swych wpływów w krajach bałtyckich, starali się pozyskać ludność pozorami samorządności, uznaniem mniejszości narodowych, zezwoleniem na funkcjonowanie szkolnictwa i t.p.

Korzystając z tego, Polacy zamieszkujący łotewskie prowincje, organizowali polskie szkolnictwo. Były to małe szkółki, otwierane tu i ówdzie dla okolicznej dziatwy, zwykle w polskich dworach. Później, w okresie międzywojennym, zaangażowani działacze polonii łotewskiej, na bazie tych szkół rozwijali dalej polskie szkolnictwo, które przetrwało do drugiej wojny światowej, jakkolwiek szykanowane od 1934 roku przez szowinistyczne władze łotewskie. Rozbudowywano sieć punktów oświatowych adaptując do potrzeb szkolnictwa budynki prywatne i wznosząc nowe. Dopuszczano szkoły w pomoce naukowe i biblioteki, zawierające literaturę piękną i podręczniki, a także, dla starszej młodzieży i dorosłych, wydawnictwa z zakresu gospodarki rolnej i hodowlanej. Uzupełniano kadre pedagogiczną i organizowano dowóz dzieci do szkół z dalszych okolic. W tym okresie międzywojennym, szkoły stanowiły równocześnie ośrodki życia społecznego danej okolicy. Tu prowadzone były szkolenia dorosłych z zakresu gospodarki rolnej, gospodarstwa domowego, nauki kroju i szycia i t.p. W szkołach odbywały się zebrania Kółek Rolniczych, a młodzież organizowała się w drużynach harcerskich, zespołach teatralnych i śpiewaczych, kołach zainteresowań różnych. Młodzież wychowywana była w duchu patriotycznym, umiłowania Polski, jej kultury i tradycji.

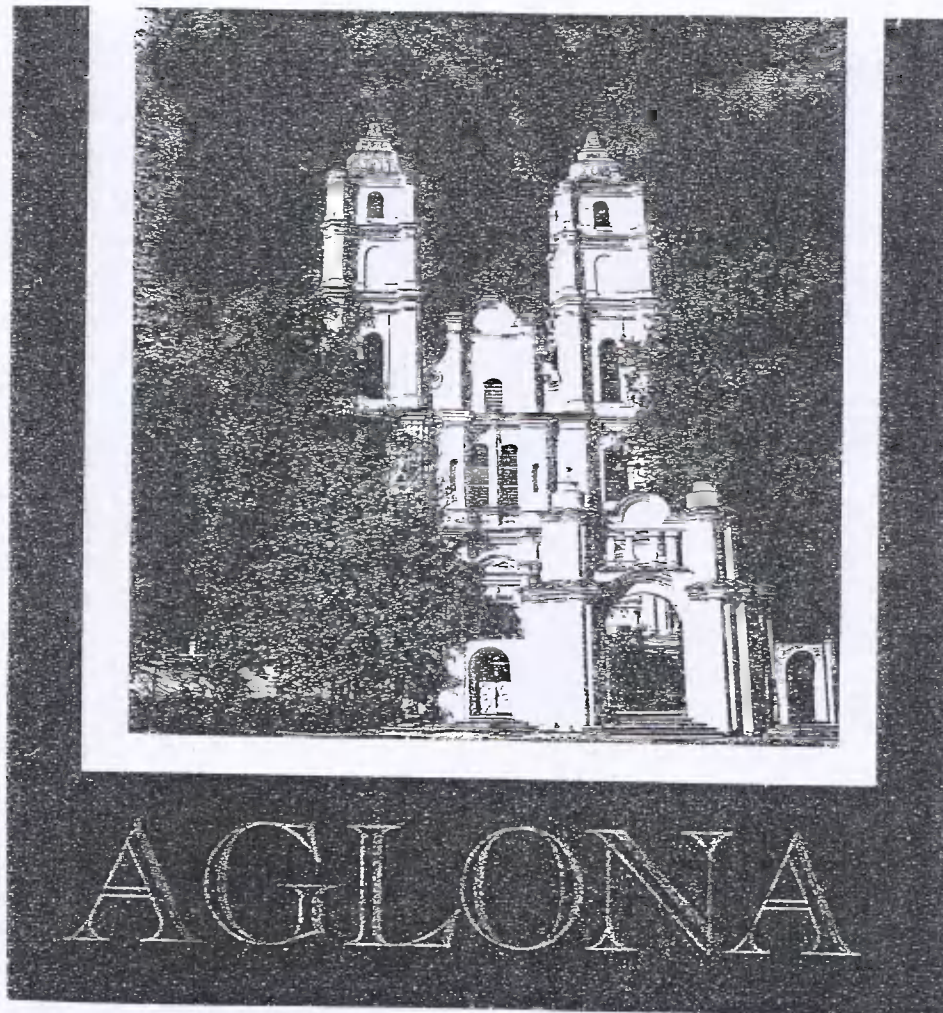
Jako jedna z pierwszych powstała szkoła w Jawdziemach, która już z początkiem 1918 roku rozpoczęła nauczanie, z inicjatywą i przy współudziale Stanisława Wiścickiego, właściciela majątku Wygoda nad jeziorem Sołka. Początkowo były tylko 4 klasy, później uruchomiono klasy 5-tą i 6-tą. Pierwszymi nauczycielkami była panie: Jadwiga Januszkowska i Maria Błażewicz, córka Aleksandra i Marii z domu Nowackiej.



Szkoła w Jawdziemach 1918 r. Dzieci szkolne z nauczycielkami: Marią Błażewicz i Jadwigą Januszkowską

Właśnie przez Jadzię Januszkowską, krewną rodziny z Radopola, otrzymała Adolfina Wysocka propozycję zorganizowania szkoły w Somerset. Mieszkanka tego majątku, niejaka Roseterowa - Polka, szukała odpowiedniej osoby o kwalifikacjach pedagogicznych. Januszkowsy polecili

Adzie, której umiejętności zostały sprawdzone w Kałudze. Obco brzmiące nazwisko Polki nie może dziwić, bowiem na Lotwie wiele było małżeństw mieszanych. Majątek Somerset /Somerseta/ otrzymał nazwę od nazwiska właściciela - Anglika. Położony był w sąsiedztwie dawnego klasztoru Dominikanów w Agłonie, nad jeziorem Ciorisa, posiadającego słynny wizerunek Matki Bożej.



Kościół przy klasztorze O.O. Dominikanów w Agłonie

Klasztor skasowały władze carskie, ale kościół przyklasztorny pozostał otwarty. Otóż tam Adzia miała rozpocząć pracę oświatową.

Splot wydarzeń jaki w związku z tym nastąpił, zdecydował o dalszym życiu Adzi. Któż jest w stanie przewidzieć swoją przyszłość? Czasem tak zwany los płata

niespodzianki, a wydarzenia w których jesteśmy aktorami, pozornie nie mające związku, układają się jednak w logiczną całość.

Dziwiły obco brzmiące nazwy tutejszych miejscowości i obiektów, jak choćby majątku Somerset, czy jeziora Ciris /po niemiecku Tscheresch/, lub w okolicy Radopola: Weleny, Rampany, Goliane i t.p. Zresztą, te same miejscowości nosiły różne nazwy w języku łotewskim, polskim, rosyjskim, niemieckim. I tak dla przykładu łotewski Daugavpils, to w języku rosyjskim Dwińsk, po niemiecku Dünaburg, a po polsku Dźwińsk. Podobnie Rezekne, Ruszl, Rositten, to po polsku Rzeżyca. Tak skutkowały - kolonizacja niemiecka, polskie osadnictwo w Inflantach i zabór rosyjski.

Wybierała się zatem Adzia do Somerset dla rozpoczęcia pionierskiej pracy nauczycielskiej. Cieszyła się otrzymaną propozycją, bo trudno było swoim pobytom obciążać przyjazną rodzinę, przecież zrujnowaną materialnie na skutek wojny. Podejmie pracę w której czuła się pewnie i osiągnie niezależność. Wprawdzie walki jeszcze nie ustały, wojna jednak zaczynała się przesilać, budząc nadzieję w ludzkich sercach. Wreszcie musi się przecież skończyć, a wówczas - będzie chyba można dotrzeć jakoś do Hurczyn, odszukać ukochanego brata, jeśli żyje. Może wspólnie zaczną gospodarzyć na ojczyźnie. Broniu się ożeni, będzie miał dzieci, a ona zajmie się nimi. Będzie pielęgnowała i uczyła siostrzeńców. O własnym zamążpójściu jakoś nie myślała. Jeszcze w sercu nosiła żal po utracie ukochanego. Przedmiotem marzeń było odzyskanie brata i rodzinnego domu, powrót do Polski, do stron znanych, kochanych, gdzie minęło dzieciństwo. Nie raz w snach i marzeniach na jawie widziała potężny dąb za dworem,

w którego koronie ptactwo wilo gniazda i świergotem rozweselało okolice. Słyszała brzęczenie pracowitych pszczół w koronach lip, strzelanie gontów na dachu w mroźne noce zimowe i świerszcze za kominem w kuchni. Uderzenia miarowe zegara i ciche jego tykanie. Wstępowała na ganeczek obrośnięty winem i do półmrocznej sieni. Dziw, jak żywe w pamięci i sercu te obrazy i doznania, których nie zdołały przyćmić ani tułaczka na obczyźnie, ani śmierć mamy i ukochanego młodzieńca.

Daleka jest droga z Radopola do Somerset. Po czułym pożegnaniu wyjechała Adzia wczesnym rankiem ze swym skromnym bagażem, saniami do stacji kolei, którą dotarła do Rzeżycy. Tam przesiadła do pociągu zdużającego do Dźwińska. Czy na skutek zamyślenia, czy niedokładnej informacji, minęła stację Ruschon /obecnie Aglona/, gdzie należało wysiąść. Z następnej stacji odległość do Somerset, jak informowano, wynosiła kilkanaście wiorst. Z trudem znalazła chętnego woźnicę, by ją dowiózł do celu podróży. Było sylwestrowe późne popołudnie, 31 grudnia 1917 roku. W taki czas ludzie bawią się w domach lub u sąsiadów, świętując ostatni dzień roku. Znalazł się w końcu chętny Łotysz, który za odpowiednią opłatą zgodził się dowieźć Adzię jednokonnymi saniami do Somerset. Zmęczona, zaczynała już drzemać w drodze. Zimno dokuczało, rozmowa ze względu na trudności językowe nie kleiła się. Z pewnym niepokojem stwierdziła nasza niefortunna podróżna, że woźnica jest pijany. Nie miała jednak wyboru. Jechali otwartą przestrzenią ośnieżonych pól, w zapadającym wczesnym mroku grudniowym. Gdzieś daleko nikłymi światełkami dawały o sobie znać pojedyncze chaty, a na niebie ukazały się pierwsze gwiazdy. Z pól wjechali pomiędzy lasy, a za nimi, w obniżeniu terenu ukazała się równa tafla zamrożonego jeziora. Na drugim brzegu widoczne były liczne światła. Woźnica wskazując biczyskiem jezioro, przez zamrożone usta wycedził: Tszeresz, a wskazując na światła na przeciwległym brzegu, nazwał je Somerseta !

Bogu dzięki - westchnęła Adzia. Nareszcie skończy się ta męcząca podróż i przenikliwe zimno.

Z chrzęstem sunęły sanie po gładkiej powierzchni jeziora, ku przeciwległemu brzegowi. Światła widoczne z dala, teraz okazały się rzęsiście oświetlonymi oknami pałacyku położonego nad brzegiem. Latarnie zapalone na podjeździe rzucały światło na bryłę budynku. Widoczne były sylwetki ludzi kręcących się przed budynkiem, z którego dochodziły dźwięki orkiestry. Zapewne świętowano ostatni dzień roku.

Raptem - koń z chrapliwym kwikiem zapadł się przednimi nogami pod lód. Woźnica kłnąc soczyście po rosyjsku, lejcami starał się podtrzymać konia. Ten szamocząc się, łamał lód dalej, rozpaczliwie chrapiąc. Adzia wyskoczyła z saní, widząc, że i one zaczynają się pograżać. Na tafli jeziora ukazały się rysy co raz dalej sięgającego pęknięcia. Wołała by woźnica puścił lejce i sam się ratował, ale ten nie rozumiał zapewne i nie chciał stracić zaprzęgu. Sam stał już w wodzie, która z przerębli wylewała się na lód. Na brzegu widać doszyszano szamotanie, bo kilka postaci z pochodniami zbliżało się do brzegu. Adzia zaczęła wołać o pomoc i widząc, że uparty woźnica sam się utopi wraz z koniem, z całej mocy szarpnęła go do tyłu za kołnierz kożucha i wraz z nim padła na lód. Nis spodziewanie szarpnięty puścił lejce i w tym momencie koń wraz z saniami, pograżył się z bulgotem w wodzie. Jeszcze niósł się po jeziorze jego ostatni rozpaczliwy kwik.

Leżeli na lodzie, w wodzie, porażeni grozą sytuacji. Od brzegu już zbliżali się ludzie z drągami, bosakami i światłem. Kładli deski na lód, by dotrzeć do leżących. Zdrętwiała z zima i strachem Adzia poczuła, że ktoś uniół ją na ręce i ociekającą z wody niesie do brzegu. Potem były jakieś jasno oświetlone pokoje, liczne głosy, kobiece ręce zdejmowały z niej odzież, rozcierały zziębnięte ciało i poiły wywarem ziołowym. Rozgrzana zapadła w głęboki sen.

Kiedy się ocknęła, ujrzała nad sobą pochyloną zafra-
sowaną twarz kobiety i usłyszała:

- Bogu dzięki, byłam niespokojna o Panią.

Jestem Roseterowa, a kim Pani jest ?

- Adolfina Wysocka, przyjechałam na Pani wezwanie
uczyć dzieci.

- Ach więc to Pani! Drogie Dziecko, jakże się cieszę!
Skądś dochodziły liczne głosy męskie, śpiewy, okrzyki...

- Co to za głosy?

- Oficerowie, którzy w naszym dworze obchodzą powitanie
Nowego Roku. Jeśli czuje się Pani na siłach, może zej-
dziemy do nich, do salonu. Od dawna dopytują o Pani
zdrowie i proszą by Pani ich zaszczyciła.

Adzia ubrana w pożyczoną suknię wieczorową prezenro-
wała się znakomicie. Wprawdzie na twarzy widoczne były
jeszcze niedawne przeżycia, ale cała postać była pełna
wdzięku. Wraz z gospodynią zstępując po schodach, zoba-
czyła spore grono rosyjskich oficerów, którzy na ich
widok dawali sobie wzajemnie znaki, uciszając gwar ro-
zmów. Gdzieś z końca sali doleciał głos:

Kazimir - twoja wodnaja barisznia !

Szybkim krokiem pospieszał ku niej, by pierwszy powi-
tać, postawny mężczyzna w oficerskim mundurze. Widocznie
uradowany stuknął obcasami -

- Kazimir Kazimirowicz

i pochylił się w niskim ukłonie, by ucałować podaną
sobie rękę panny.

- Adolfina Wysocka

Ach, więc Pani jest Polką ! wykrzyknął w niekłamany
zachwycie.

- Kazimierz Błażewicz, także Polak.

Przepraszając gospodynią, poprowadził Adzię do stołu
i przesuwając kolegów wyjednał dla niej miejsce obok
swego. Natychmiast hurmem przystąpili pozostali bie-
siadnicy. Każdy osobiście chciał powitać piękną pannę.
Wszyscy, choć rozbawieni i już na lekkim rauszu, byli

szarmanccy. Ktoś napełniał kielichy, orkiestra zagrała rusz.

- Zdrowie naszej Krasawicy s Nowym 1918 Godom! zabrzmiał toast z końca stołu. Skinieniem głowy i uśmiechem dziękowała Adzia zażenowana spontanicznym wyrazem sympatii.

Kazimierz podając jej półmiski, osobiście obsługiwał, napełniał kielich czerwonym winem i zachęcał by ją dła, co czyniła skwapliwie, będąc już wygłodzoną.



Kazimierz Błazewicz
herbu "Trzaska"

Przy którymś kolejnym napełnieniu kielichów, Kazimierz wyjął notes z kieszeni munduru, wyrwał kartkę i napisał na niej "Adolfina". Następnie nad kielichem kartkę spalił, wrzucając do wina zwęglone resztki. Przy stole zaległa cisza i wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Kazimierz wstał unosząc wysoko kielich:

- Towarzyszei, na sławu Bariszni Adolfiny Wysockój!
Gromkie Huraa ! zagłuszyło hałas odsuwanych krzeseł, gdy biesiadnicy powstawali. Adzia poczuła, że się rumieni i w zakłopotaniu nie wiedziała co ma począć.

- Proszę wypić z nami toast, szepnął po polsku sąsiad z drugiej strony, widząc jej zakłopotanie.

- Ale Kazia wzięła! doleciały ją słowa. Wypadło zreważować się towarzystwu, więc po chwili Adzia, jakkolwiek oniesmielona, powstała na znak, że chce przemówić. Zaległa cisza oczekiwania.

- I ja chcę wzniesić toast jako wyraz wdzięczności za uratowane życie i serdeczne przyjęcie. Obyście Panowie szybko i zdrowo powrócili do swych domów, matek, żon i narzeczonych.

Wychylono kielichy i rozległy się gromkie oklaski. Z końca stołu powstał starszy rangą oficer:

- Pust ispoñnitsja żelanije naszięgo dorogowo gostia. A tiepier koniec bała. Użę tri czasa posle poñnoczi. Zawtra signal połowina siedmogo. Spokojnoj noczi !

Towarzystwo powstając od stołu zaczęło się zbierać do odejścia, składając ukłon gospodyni i Adzi. Kazimierz poprosił o pozwolenie ^{odprowadzenia} Adzi do jej pokoju na piętrze. Tam żegnając się przed progiem na dobranoc, Adzia spytała:

- Panie Kazimierzu, proszę mi wyjaśnić co znaczyły usłyszane słowa: "Twoja wodna panna" ?

- To ja miałem szczęście wynieść Panią z topieli na brzeg.

- Jestem serdecznie wdzięczna i niech Panu Bóg wynagrodzi...

A ten dziwny obyczaj spalania kartki z moim imieniem nad kielichem ?

- To stary obyczaj Panno Adolfo, oznacza moje oświadczenia.

Nic bardziej nie mogło zaskoczyć Adzi. Zaniemówiła.

Dopiero po chwili zebrała się na odpowiedź:

- Panie Kazimierzu, zawdzięczam Panu życie, ale jesteśmy obcy mi sobie ludźmi. Zaledwie parę godzin temu ujrzeliśmy się po raz pierwszy. Ponadto trwa wojna i nie pora o tym myśleć. Jest Pan Polakiem ale jednak w obcej armii...

- Panno Adolfino, niech Pani wypocznie, a jutro da Bóg, porozmawiamy. Dobranoc Pani.

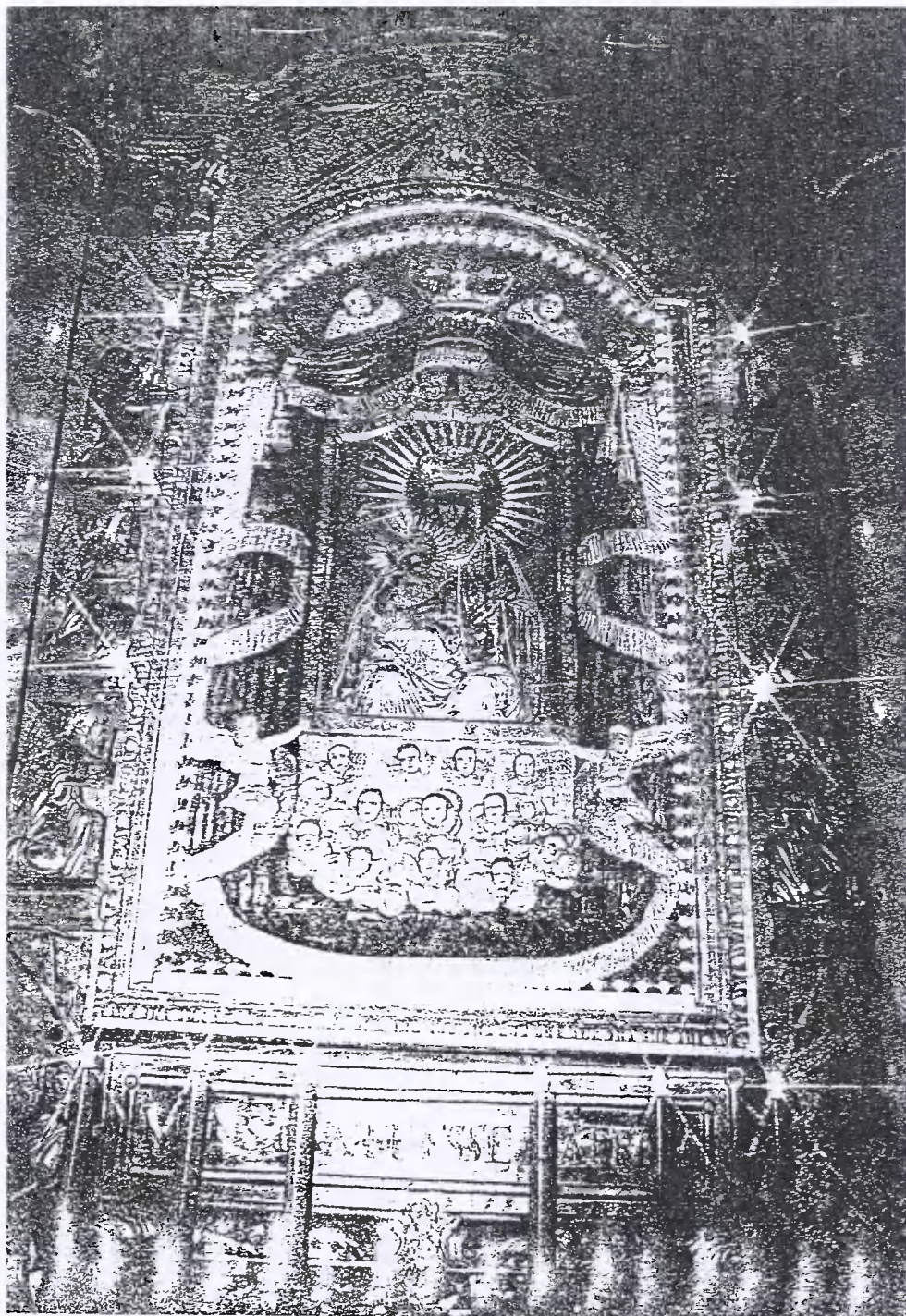
To była ciężka noc. Za dużo wrażeń jak na jedną dobę. Wypite wino możyło do snu, lecz nie był on spokojny. Co chwilę zrywała się przerażona pękaniem lodu i kwikiem trwogi tonącego konia. To znów niepokój budziły zasłyszane słowa Kazimierza. Gdzieś z daleka dochodził głos zegara wydzwaniającego wlokące się godziny. Raz pot oblewał ciało, to znów wstrząsały lodowate dreszcze. Umęczona przysnęła w końcu na krótko, bo głosy dochodzące z parteru zwiastowały, że w domu zaczynał nowy dzień. Przecież to pierwszy dzień roku 1918, uświadomiła sobie. Z trudem i obolałą głową wstała dla odbycia porannej toalety. Nie знаła zwyczajów i rozkładu dnia w nowym miejscu. Należało kogoś odszukać, zapytać. Gdzie tu jest kościół, jak doń trafić?

Po posilnym śniadaniu, wraz z gospodynią poszły pieszo do bliskiego kościoła w Agłonie. Żarliwie modliła się Adzia wpatrzona w cudami słynący obraz Matki Bożej, dziękując za uratowanie życia i Jej opiece powierzając się w nowym miejscu, na nowe czekające ją zadania. Polecała też nieoczekiwanie poznanego człowieka i prosiła o światło Boże wobec jego deklaracji.

W powrotnej drodze, pani Roseterowa wyjaśniła, że na jeziorze był przeręb, gdzie dobywano lód na potrzeby dworu. Wprawdzie już na powrót pokrył się lodem, ale widocznie nie dość jeszcze mocnym. Chłopa uratowanego też osuszono, rozgrzano, nakarmiono i rano saniami dworskimi odwieziono do domu. Był zrozpaczony utratą konia i zaprzęgu.

- Acha, był tu już ten oficer, który Panią ratował i pytał o Panią. Obiecał przyjechać jeszcze po południu. Teraz jest przy swoim oddziale, nie daleko stąd w Kamieńcu.

I rzeczywiście przyjechał znów, na pięknym wierzchowcu. Rozmawiali we dwoje nie krępowani przez kogokolwiek



**Cudami słynący obraz Matki Bożej w kościele
w Aglonie**

Okazało się, że Kazimierz pochodzi z niedalekiego majątku, o dziwnej nazwie Jawdziemy, gdzie właśnie organizuje szkołę Jadzia Januszkowska. Oczywiście nic nie

wiedział o tym, od kilku lat nie będąc w domu. Jako rosyjski poddany, został powołany do służby w carskiej armii. Ma jednak nadzieję uwolnienia. Rewolucyjny rząd zwalnia bowiem ze służby obce narodowości. Wojna przecież wreszcie się skończy i wówczas trzeba będzie jakoś organizować życie od nowa.

- Jeśli się Pani zgodzi...

Adzia opowiadała swoje dzieje - wygnanie, śmierć matki, brak wieści od brata i tęsknotę za domem rodzinnym.

- Panno Adolfino, gdy wojna się skończy, pojedziemy do Polski, odszukamy Pani brata i odwiedzimy ukochany dom...

Już planował wspólne przedsięwzięcia !...

Był taktownym, poważnym człowiekiem. Również religijnym, jak wynikało z rozmowy i sprawiał wrażenie naprawdę zakochanego.

Widywali się często, zwykle co dnia, choć na chwilę. Ten Kazimierz zyskiwał co raz bardziej przychylność Adzi. Budził szacunek i sympatię.

Dni upływały dziewczynie na opracowywaniu planu nauczania, objazdach wraz z gospodynią okolicznych majątków i osiedli, dla werbowania dzieci do przyszłej szkoły, na zbieraniu i katalogowaniu zbiorów do mającej powstać biblioteki, przeważnie z darów okolicznych mieszkańców. Wieczorami prowadziły z gospodynią długie rozmowy i spotykała się z Kazimierzem. Kiedyś zaproponował wspólny wyjazd saniami do jego rodzinnego domu. Projekt jednak nie doszedł do skutku, bowiem wojska rosyjskie wycofywały się z Łatgalii, na mocy ustalonych warunków pokojowych, zawartych w Brześciu 3. III 1918 roku. Ostatni raz przed dyslokacją wpadł Kazimierz na krótko, tylko pożegnać Adzię, która przy rozstaniu zdała sobie sprawę, jak bardzo jednak w ciągu minionych dwu miesięcy przywykła do stałej, bliskiej obecności Kazimierza. I może nie tylko to...

Modliła się gorąco, by Bóg zachował go od wszelkiego

zła i pozwolił szybko powrócić. Następujące po sobie dni były jakies puste. Jej myśli krążyły wokół bliskiego już, dobrego człowieka...

Sprawił jej autentyczną radość jego szybki powrót, już zwolnionego ze służby. Pokój w Brześciu zawarty przyspieszył zwalnianie Polaków. Kazimierz wrócił



Adolfina Godziemba-
Woyszkiewicz Wysocka

w gronie kolegów, jak on ze starych polskich rodów zamieszkujących w Inflantach.

- A więc Panno Adolfino, o rękę prosi już nie rosyjski oficer, ale szczery Polak.

Dom Kazimierza w Jawdziemach dziwnie przypominał Adzi Hurczyny. Drewniany dworek, do którego wchodziło się przez ganeczek. Przed gankiem klomb na podjeździe, stare lipy, kasztany, brzozy otaczające dworek, jakby go brały w opiekę i obronę. Sad owocowy, budynki gospodarskie... Wszystko to było takie swojskie, polskie... Cieszył się Kazimierz widząc dobry nastrój ukochanej.

Ślub 23-letniej Adolfiny Godziemba Woyszkiewicz Wysockiej, córki Eustachego i Marii z domu Bitner, z 36-letnim Kazimierzem Błażewiczem herbu Trzaska, synem Kazimierza i Heleny, odbył się 3 września 1918 roku w kościele Agłońskim. Wprawdzie parafialnym dla Jawdzim był kościół w Ruszone, ale ze względu na miejsce poznania w tak niezwykłych okolicznościach, państwo młodzi pragnęli tam właśnie zawrzeć związek małżeński.



Ślubne zdjęcie Adolfiny i Kazimierza Błażewiczów

Zarówno pan młody jak i druzbowie-koledzy z wojska, przywdziali na ten uroczysty dzień polskie mundury Pierwszego Korpusu Dowbora, zdobyte z zagarniętego przez wojska rosyjskie magazynu Dowborczyków pod Mohylewem. Polacy służący przymusowo w rosyjskiej armii, polskie mundury jak relikwię wieźli w sakwach postępując na zachód. Teraz nadarzyła się okazja ich nałożenia. Wesele było skromne, w najbliższym gronie kilkunastu osób. Aniszczona wojną majątki nie pozwalały

na huczne obchody. W kraju panowała bieda. Ostatecznie nie doszło do otwarcia szkoły w Somerset. Zbyt mało działwy z okolicy zadeklarowano, a z dalej położonych osiedli ciążyły do innych ośrodków nauczania.

Wojna jeszcze trwała. 11 listopada Niemcy kapitulowali na zachodnim froncie i rozpoczęli wycofywanie wojsk z krajów nadbałtyckich. Wprawdzie Łotewska Rada Ludowa jak wspomniano, proklamowała niepodległość kraju, lecz bolszewicy, łamiąc ustalenia pokoju brzeskiego, znów wkroczyli na teren Łotwy.

Raz wyzwoliwszy się ze służby w z bolszewizowanej rosyjskiej armii, nie chciał Kazimierz spotykać się z nią po raz drugi. Znał zachowanie tej bandy na zajmowanych terenach. Również Adzia wolała uniknąć takiego spotkania. Postanowili młodzi małżonkowie czym prędzej wyjechać do Polski. Realne możliwości istniały tylko przez strefę jeszcze opanowaną przez Niemców wycofujących się, za którymi trop w trop następowali bolszewicy. Nie zwlekając, z niewielkim bagażem, w ostatnich dniach listopada, wyjechali pociągiem z Dyneburga do Wilna i Białegostoku, za którym należało przekroczyć linię pozycji wojsk polskich. Niemcy nie stawiali przeszkód, zwłaszcza, że w rejonie Białegostoku, porządku pilnowały polskie oddziały Samoobrony. Zresztą zdemoralizowani, wycofujący się okupanci dali się rozbrajać lub sami sprzedawali broń i oprządzenie. Tak więc bezpiecznie dotarli małżonkowie do Warszawy. Śledząc dalsze wydarzenia na Łotwie z prasy i korespondencji, dziękowali Bogu, że udało im się w porę uciec do Polski. Bowiem na skutek wycofywania się wojsk niemieckich, protest podnieśli niemieccy posiadacze ziemscy w Kurlandii. Tworzyli ochotnicze formacje zbrojne, zasilane napływem ochotników i wojennego sprzętu z Niemiec i łączyli się z oddziałami Białych Rosjan. Bolszewicy znów zajęli Łatgalię i ustanowili komuni-

komunistyczny rząd, sprawujący dyktaturę polityczną i gospodarczą, ogłaszający się reprezentacją całego narodu i terytorium łotewskiego, mającego stanowić republikę radziecką. Nastąpiła nacjonalizacja ziemi, organizowanie sowchozów, w wyniku czego upadła gospodarka i nastąpił głód. Ofiarą jego padło 8,3 tysięcy ludzi.

Gdy bolszewickie hordy docierają w lutym 1919 roku do linii: Wilno-Lida-Słonim-Sarny, Kazimierz pozostawiając żonę, zaciąga się do Legionów i w randze kapitana uczestniczy w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920. Oczywiście nie mógł wiedzieć, że w tej samej wojnie walczy w Dywizji Litewsko-Białoruskiej jego nieznanemu szwagier, a ukochany brat żony.

Nie wiadomo gdzie mieszkała pozostawiona Adzia. Kazimierz zapewne ulokował ją u kogoś pewnego, może poleconego. Miecio Federowski poznany w 1914 roku w Hurczynach, również był na wojnie. Może bywała Adzia u jego rodziców, Michała i Stefani Federowskich. Na pewno wraz z innymi mieszkańcami Warszawy przeżywała trwogę zagrożenia od zbliżającej się nawały bolszewickiej. Prawdopodobnie, mając już praktykę, zaangażowała się do pracy w szpitalu. Trwała wojna i przybywało rannych. Zapewne w tej posłudze czuła się jakoś bardziej współuczestnicząca z mężem w zmaganiach antybolszewickich. Nie mogła zresztą długo wykonywać tak ciężkiej pracy, bowiem okazało się, że jest w ciąży. Rzeczywiście, 13 listopada 1919 r. urodziła córkę, której pospiesznie ochrzczonej "z wody" nadała imię Helena. Ponieważ ojciec Helenki walczył na froncie, postanowiła Adzia, że uroczysty chrzest odbędzie się po jego powrocie. Rzadkie i skąpe dochodziły od niego wiadomości. Jedna wszakże była wielce pocieszająca. Oto Kazimierz poszukujący na prośbę żony szwagra, określił drogą wowiedział się, że Bronisław Wysocki podobno służy pod rozkazami genera-

ła Szeptyckiego. Kazimierz dał żonie wskazówki, gdzie należy szukać potwierdzenia tej informacji. Oczywiście według nich, niezwłocznie zwróciła się do odpowiedniej komórki Sztabu Naczelnego Wodza, skąd po pewnym czasie uzyskała pisemną informację o bracie, nie budzącą wątpliwości, a nadto adres poczty polowej, przez którą mogła się z nim skontaktować. Jakąż pociechą dla obojga rodzeństwa była wymiana korespondencji po sześciu latach rozłąki i niepokoju wzajemnego o siebie. Broniu, jej kochany Broniu żyje, walczy gdzieś tam daleko za Polskę. Obaj z mężem wrócą przecież do niej cali i zdrowi - wierzyła, zanosząc co dnia gorące za nich modły do Bożej Matki Ostrobramskiej.

A dla Bronisława wielkim zaskoczeniem był odebrany od siostry list z wiadomościami o śmierci matki w Kałudze, zamążpójściu i macierzyństwie Adzi...

Warunki frontowe nie zostawiały wiele czasu na rozmyślanie, a jednak w okopach i w nocy bezsenne, stale powracał myślą do otrzymanego listu i wielokrotnie odczytywał go od nowa.

Nadszedł rok 1921 i zawarty w Rydze 18 marca pokój z Sowietami. Oddziały frontowe zaczynały powracać, zwalniano stopniowo ze służby oficerów, którzy chcieli powrócić do cywila. Kazimierz na razie pozostał w służbie, prosząc o przydział do Warszawy, by zamieszkać razem z żoną i córką. Natychmiast po jego powrocie, Adzia napisały długi list do Walickowszczyzny, do Kazi Wysockiej, wdowy po wujecznym bracie Adzi-Kasprze, z którą od pewnego czasu wymieniała korespondencję. Opisała radosny powrót męża i prosiła, by Kazia gdy tylko Broniu się pojawi, wraz z nim obydwójce przyjechali jako chrzestni rodzice, na uroczysty chrzest córki Helenki. Jakoż wkrótce obydwójce przybyli do stolicy.

Trudno opisać czułą scenę powitania po latach, kochającego się rodzeństwa. Adzia na pewien czas zapomniała

o mężu i dziecku, ciesząc się bratem. Szwagrowie poznali się wzajemnie, Kazia i Broniek zachwycali się półtoraroczną Helenką, która zdawała się być oczkiem w głowie ojca. Długie to były rozmowy wieczorne, tak cudownie połączonej rodziny. Bronisław relacjonował siostrze stan ojcowizny, jaki zastał po powrocie. Obaj mężczyźni opowiadali swoje wojenne dzieje, a kobiety swoje losy na wygnaniu i powrót. Kazia stratę męża, Adzia śmierć matki i poznanie z Kazimierzem. Obiecywano sobie utrzymać stały bliski kontakt. Narazie jednak, po cnułym pożegnaniu, Kazia i Bronisław musieli powracać do swych gospodarstw. Kazimierz zdecydował, choć niechętnie, pozostać jeszcze w służbie wojskowej dla zapewnienia rodzinie środków do życia, zanim zadecydują gdzie osiąść i czym się zająć. Adzia nie miała ochoty wracać do majątku męża. Zawszeć to obczyzna. Wolałaby pozostać w Warszawie, gdzie była szansa dalszej edukacji medycznej i pracy w tym zawodzie, gdzie nawiązała już znajomości i stosunki. Tu na miejscu byli Federowscy z Mietkiem i jego bratem Włodzimierzem, który również szczęśliwie powrócił z wojny. W niedalekim Mińsku Mazowieckim osiedlił się rodzony brat męża z rodziną - Paweł Błażewicz, który



Paweł Błażewicz

powrócił do Polski z Rosji Sowieckiej w 1923 roku. Po krótkim pobycie w Łodzi u krewnych żony, otrzymał posadę lekarza weterynarii w Mińsku Mazowieckim. Miał żonę pochodzącą z pod Odessy – Janinę z Zacharzewskich i dwie urocze córki: Zofię, Aldonę 18-letnią pannicę i Irenkę 16-letnią. W 1914 roku wyjechali na wakacje do rodziny żony i tam zastała ich wojna, a później rewolucja. Mieli bogaty bagaż wspomnień, a z Adzią szybko się zaprzyjaźnili. Bywało, że na niedzielę Kazimierzostwo jeździli do nich, lub odwrotnie, oni przyjeżdżali do Warszawy.

W listach nadchodzących z Jawdziem, Tekla-siostra Kazimierza donosiła, że w bardzo mroźnym styczniu 1920 roku, wojska łotewskie i polskie, wspólnie przepędziły bolszewików uwalniając całą Łatgalię.

-Mieliśmy tu pełno polskich żołnierzy i nie raz gościliśmy ich w Jawdziemach. Tutejsi Polacy mieli nadzieję, że Łatgalia zostanie włączona do Polski. Zaczęto nawet oficjalnie agitować w tej sprawie. Tymczasem, jakieś zakulisowe, niezrozumiałe dla nas rokowania, doprowadziły do wycofania w kwietniu polskich oddziałów, co wywołało duże rozgoryczenie i zawód społeczności polskiej, dominującej przecież w Łatgalii. Natomiast w rewanżu, władze łotewskie zaczęły szukać Polaków.

Również stosunki dyplomatyczne łotewsko-polskie, jak donosiła prasa, uległy pogorszeniu. Dla rozładowania napięcia, władze polskie wymieniły swoje przedstawicielstwo na Łotwie. We wrześniu 1921 r. stanowisko polskiego posła w Rydze objął Jodko-Narkiewicz. Dla obrony polskich racji, powstał w 1922r. Związek Polaków na Łotwie, z siedzibą w Dyneburgu.

Spółeczność łotewska domagała się wywłaszczenia posiadaczy ziemskich na rzecz bezrolnych i małorolnych włościan. Proponowano bez jakiegokolwiek odszkodowania, względnie za symboliczną rekompensatę rozłożoną na szereg lat. Na zachodzie kraju dominowały majątki niemieckie, na wschodzie głównie polskie. Były to dobra rodowe, dzierżone od pokoleń, z czasu kolonizacji Kurlandii i Inflant. Tu i ówdzie majątki posiadali także obywatele innych narodowości: Finowie, Duńczycy, Belgowie, Anglicy, Szwedzi i norwegowie. Rząd łotewski rozpoczął wywłaszczenie od majątków niemieckich, powyżej 50 ha. Na skutek protestów państw, których obywatele posiadali dobra, chwilowo akcję wstrzymano. Jednak, jak donosiła w korespondencji Tekla, do 1924 r. rozparcelowanych zostało 808 tysięcy hektarów. Sprawę odszkodowań odłożono na później. Ostatecznie, ziemianom obcego obywatelstwa uchwałą parlamentu odmówiono jakiegokolwiek odszkodowania. W tej sytuacji Tekla wzywała Kazimierza do powrotu i stałego osiedlenia, dla obrony ojcowizny, którą należało podzielić między rodzeństwo. Alarmujące do powrotu wezwania ponawiane były raz po raz. Adzia była temu niechętna, a Kazimierz w rozterce. W końcu wyjechał na Łotwę sam, dla zorientowania na miejscu w sytuacji i ewentualnego w razie konieczności przeprowadzenia formalnego podziału własności.

Z listów od brata, dowiadywała się Adzia o postępach w odbudowie gospodarstwa i związanych z tym trudnościach. Ze swej strony informowała Bronia o prawdopodobnym przeniesieniu na Łotwę i zapewniała, że przed wyjazdem z Polski odwiedzi dom rodzinny. Pisała o postępach chrześnicy Bronia, która chowała się zdrowo i o małym Kaziczku, młodszym braciszku Helenki, urodzonym w 1924 roku. W roku następnym, wraz z życzeniami wielkanocnymi, otrzymał Bronisław od siostry wia-

domość o następnej, trzeciej ciąży Adzi. Uśmiechnął się wyrozumiale, dochodząc do wniosku, że jego peka na temperamentu siostrzyczka nadrabia opóźnienia wojenne.

A więc zapadła nieodwołalna decyzja przesiedlenia na Lotwę. Kazimierz załatwił u tamtejszych władz formalny podział majątku między siostrę i siebie. Wrócił do Warszawy po rodzinę i rzeczy, dla zlikwidowania mieszkania i uwolnienia od służby wojskowej. Należało jeszcze pożegnać przyjaciół i rodzinę z Mińska. Chciał to wszystko załatwić szybko i przenieść się, by jeszcze latem zająć się gospodarstwem i urządzeniem rodziny w nowych warunkach. Tymczasem napotkał zdecydowany opór żony. Z całą stanowczością oświadczyła, że nie wyjedzie z Polski, dopóki nie odwiedzi Bronia i rodzinnego domu. Cóż było począć. Kazimierz z natury zgodliwy i zauroczony swoją "wodną panną", nie miał serca jej się sprzeciwić. Dni płynęły na pakowaniu dobytku i wizytach pożegnalnych.

Pewnej niedzieli po przyjeździe z Mińska, gdzie zegnali rodzinę brata Pawła, szli z Dworca Wschodniego w stronę domu. Było piękne, słoneczne popołudnie. Na ulicach niewielki ruch, jak to w niedzielę. Byli w dobrym nastroju, po mile spędzonym dniu z rodziną. Helenka z Kazikiem szczebiocząc wesoło, prowadzili się przodem za ręce. Rodzice obserwując ich wymieniali uwagi, gdy raptem Adzia urywając w pół słowa, stanęła jak wryta, wpatrzona w mijającą ich parę. Przystojny mężczyzna prowadził pod rękę elegancką niewiastę. Zaskoczony wpatrzoną w niego Adzią, uchylił kapelusza i skłonił głowę z wyraźnym zdziwieniem. Nie zwalnając kroku, para przeszła dalej, a Adzia stała jak wmurowana patrząc za nimi.

— Chodź Adziu, co ci się stało, kto to był?

Długo Kazimierz czekał na wyjaśnienie zszokowanej żony.

- To moja pierwsza, studencka miłość.
Mówiono o nim, że poległ na wojnie...
- Może ktoś tylko podobny. Nie wydaje się
by cię poznał.
- Tak, nie poznał mnie, ale ja wiem...

Mocniej Kazimierz przycisnął do siebie ramię małżonki.

W drugiej połowie lipca, Kazimierzostwo wyjechali do Hurczyn. Bronisław uprzedzony listownie, mimo, że rozpoczynał żniwa, osobiście wyjechał końmi po rodzinę na dworzec kolejowy w Wołkowysku. Poczuliśmy powitaniu z siostrą, szwagrem i dziećmi załadowano bagaż i usadowiono wygodnie dzieci na dnie wozu, między siedzeniami, wprost na słomie zasłanej kocem. W ten sposób dorośli mieli je na oku, a na wybojach nie groziło im spadnięcie z wysokich ławeczek. Teraz mężczyźni pomogli ciężarnej Adzi wdrapać się do kałamaszki. Mąż otoczył ją ramieniem, Bronisław strzelił z bata i ruszoną w drogę do Hurczyn. Adzia w skupieniu rozglądała się po okolicy, czasem pytała o coś brata. Dzieci szczebiotały zachwycone jazdą. Nad krawędzią wozu wystawały ich główki ciekawie rozglądające się dokoła. Na polach uwijali się wieśniacy w zbożnym trudzie żniwnym. Rzadko mijani na drodze przechodnie zdejmując czapki chwalili Boga.

Z zachwytem witała Adzia nurt kochanej Rosi, płynącej wzdłuż traktu krętą strugą, rozlewiska i podmokłe łąki nadrzeczne, lesiste wzgórza z obu stron. Z rzadka rozrzucone osiedla: Sidorki, Korewiecze, Kobuzie, rozpoznawała, niekiedy przekręcając nazwy, a Bronisław poprawiał. Gdy przejeżdżali przez Hornostajewicze, poczuła dziwny ucisk w krtani i cisnące się łyzy do oczu. A oto już wieś Kowale u stóp lesistego wzniesienia i Kusiniec, za którymi zjechali z traktu w prawo, nieco pod górkę.

- Broniu, zatrzymaj konie i pomóżcie mi zejść na ziemię.

Wszyscy wysiedli, konie same pobiegły do stajni. Wolnym krokiem, roniąc bezwstydną łzy, kroczyła Adzia podtrzymywana przez brata, za nimi Kazimierz z dziećmi. Oto już mostek na Hurczynce, a za nim na rozstaju wysoki krzyż, przed którym padła na kolana, a za nią poklękali wszyscy i trwali tak w nabożnym skupieniu, nie śmiając zamącić Adzi wzruszenia. Przez aleję starych lip zbliżali się do dworku skrytego w ich cieniu. Stąd przed dziesięciu laty wyszły matka z córką na wojenną tułaczkę.

Czas który nastąpił był dla Adzi pełen nastrojów, wzruszeń, bacznych obserwacji i refleksji. Wszędzie musiała być. Cały dom, stary, kochany, zniszczony wojną musiała obejrzeć od piwnicy po strych. Każde miejsce budziło wspomnienia dzieciństwa, matki, ojca. Wszystkie budynki gospodarcze i folwarczne obejrzała, z bratem linijką jeździła w pole do żniw, a wieczorami spacerowali nad Roś, na łąki. Chodzili do lasu i na Mogilnik i pod stary poczciwy dąb. Kazimierz nie chcąc mącić żonie nastroju i czułego z bratem przebywania, zabawiał dzieci. Na koniec dnia, wspólnie siadali na ganku, wsłuchując się w odgłosy wiejskiego życia, snując projekty i wymieniając uwagi.

Oczywiście musiała Adzia zobaczyć Porozów, modlić się w parafialnym kościele i odwiedzić rodzinne groby na cmentarzu. Bronisław dwoił się i troił, by w ten gorący czas żniwny służyć także rodzinie. Sąsiedzkie dwory też trzeba było odwiedzić, ale to już po żniwach. Pojechali zatem do Hornostajewicz, Bogudzięk, innym razem do Walickowszczyzny, Kropiwnicy. Kazimierz z troską próbował ograniczyć te wojaże, w obawie o daleko posuniętą ciążę żony, ale Adzia machała tylko ręką.

- Nie się nie bój mój kochany, nie mi nie będzie,
a druga okazja odwiedzin już się nie powtórzy.
Jeszcze Broniu musimy wybrać się do Kwater...

No i wybrali się. Tam Adzia poczuła bóle porodowe i zawieszona pospiesznie do Świsłoczy, powiła pod opieką lekarską 18.VIII. trzecie dziecko, córkę, której nadano imię Alina. Uroczysty chrzest miano urządzić już w nowym miejscu zamieszkania, w Jawdzie-mach. Po porodzie Adzia musiała nabrać sił, dziecko też trzeba było odchowić i tak planowane krótkie odwiedziny w Hureczynach, przeciągnęły się do października.

Adzia wyjeżdżała nie tylko z żalem, ale i z troską o brata. Widziała jak z poświęceniem ciężko pracuje na ojcowiznie. Widziała jak nie dba o siebie, jak niezorganizowane życie prowadzi. Rozumiała jak bardzo potrzebuje wsparcia psychicznego, opieki oddanej, rozumnej, dzielącej z nim trudy małżonki. Rozmowy na ten temat Broniu zbywał śmiechem, odpowiadając, że taka pewnie się jeszcze nie narodziła, lub, że nie ma czasu o tym myśleć.

W pierwszej części opowieści, tropiąc dzieje rodu Wysockich, dotarliśmy ze Stanisławem Godziemba Woyszkiewicz Wysockim do dawnych Inflant Polskich, a konkretnie, do ich prowincji zwanej Łatgalią, włączonej następnie pod panowaniem rosyjskim do Guberni Witebskiej. Tam w dobrach Hylzenów, w dagdzieńskim kluczu majątków, pracował Stanisław, syn Antoniego i Kunegundy z Grabskich.

Obecnie, kończąc opowieść, znów wracamy do tej krainy, wraz z Adolfiną z domu Wysocką-Woyszkiewicz h. Godziemba, po mężu Błażewiczową, córką Gustachego i Marii z Bittnerów. Tu spędziła 43 lata swego życia z mężem i dziećmi, z siedmioletnią przerwą wygnania na Syberię. Tu

zakończyła życie i spoczęła po trudach w tutejszej ziemi.

Przepłynęła nad mą głową
Wiotkiej przędzy srebrna szata,
I zadumą młodziankową
Opowiedziała zbiegłe lata.

Przepłynęła, rozbudziła
Dni minionych srebrna głosy
I w podarku zostawiła
Na pamiątkę srebrne włosy.

/K.Laskowski/

Po powrocie z zesłania, w jednym z listów w 1956 roku, pisała Adolfina:

"Byłam w Jawdziemach - tam tylko ruiny, to jak jedna mogiła. Wycięte aleje, moje ukochane lipy i brzozy. I meża mogiła samotna, opuszczona. Tylko jak dawniej biją o brzeg fale jeziora i szumią swą smutną melodię. Nie słychać głosów moich dzieci - pustka.

Byłam w kościele przed obrazem Matki Najświętszej, przed którym 38 lat temu brałam ślub. "

Obca Adzi kraina, o surowym, północnym krajobrazie, była w istocie piękną i przywyklszy, można było ją polubić. Kształtował jej dzisiejsze oblicze, przed tysiącami lat lądolód północny, który cofając się, pozostawił morenowe sfałdowania terenu, dziś stanowiące niewielkie wzniesienia, a między nimi liczne zbiorniki wodne i koryta rzeczne. Największa z rzek Dźwina, tocząca wody gdzieś zza Witebska, aż po Bałtyk w Zatoce Ryskiej, stanowi południową granicę prowincji łatgalskiej. Ubogą ziemię piaszczystą i kamienistą, pokrywa w jednej trzeciej części bór iglasty złożony z sosny i świerka, a na bogatszych sta-

nowiskach lasy mieszane z dębem, grabem, brzozą, osiką. Jesienią, las oglądany z dala tworzy ścianę zieleni w różnych odcieniach, przetykaną złotem brzoź, miedzią dębów i czerwienią osin.

Gdy wejdiesz do lasu o świtaniu, z podłoża wstają wilgotne, mleczne opary, a z nich ku górze pną się ciemne kolumny drzew zdające się sięgać nieba, które wysoko, wysoko między koronami zaczyna różowieć. Wstaje dzień. Lasy to skarb tej ziemi, nie tylko jako masa drzewna i ochrona gleb, ale także jako zapora dla wiatrów ciągnących od Bałtyku.

Łatgalia leży na mocno uwodnionym pasie terenu, ciągnącym się od Dźwiny na południu, po jezioro Pejpus na północy. Obniżenia pomiędzy wzniesieniami wypełniają liczne jeziora polodowcowe. Ich obrzeża podmokłe porasta trzcina i sitowie, gdzie wiosną lęgnie się wodne ptactwo. W skwarne dni lata, południową porą, tafla jeziora zastyga w bezruchu, a w sitowiu nie usłyszysz najmniejszego szelestu. Ptactwo przywarło w jego cieniu i wszelkie życie zastygło w oczekiwaniu na przedwieczorny lekki powiew, który zaszeleści trzcina i zmarszczy gładkie lustro wody. Wówczas ze swych kryjówek wypływają kaczki i czubate perkozy, a wokół rozlega się kumkanie licznych żab.

Dużo tu łąk podmokłych, wiosną pokrytych złotem kaczęńców. To żabie królestwo rechoczące i kumkające tysiącami głosów w przedwieczornej porze. Tu kroczą poważnie bociany, wypatrujące zdobyczy.

Na podtopionych torfowiskach spotkasz mszar, pokryty litym kożuchem mokrego mchu. Gdzieś tam rośnie karłowata sosna, pewnie stuletnia, z której dolnych, suchych gałązek zwisają brody porostów. Tu i ówdzie kępy pijanie o sinoniebieskich jagodach, powodujących po spożyciu zawroty głowy i tak zwanego bagna - rośliny nisko płożącej, o zdrewniałych pędach i wonnych igielkowatych liściach. Wszystko odurzająco pachnie



LATVIJAS DABAS REZERVĀTI • TEIČI • 1982

Krajobraz bagienny



LATVIJAS REZERVĀTI • SLĪTERE • 1921

aromatem zielska, jagód, butwiny i nagrzanym słońcem porostów. Mszar ma własny koloryt: zielen sosenek, jagodników rdzawą barwę i żółtawy odcień mechów. Stąpając po mszarze, nogi zapadają po kolana w wilgotnym mszystym materacu. Tuż podrywają się białe pardwy, zygzakiem zmi-ja przemknie, a na suchszych kępach spotkasz czarne - żółte jaszczurki. Tu przesiadują cietrzewie, na przedwiośniu z rozpostartą lirą ogona i charakterystycznym gulgotaniem, toczące boje o partnerki.

Inny tu klimat niż na Białorusi. Tam bardziej kontynentalny. Wiatr ze wschodu niósł latem suche, ciepłe powietrze, a zimą mrozy. Tu klimat morski, o mniejszej zmienności temperatur pomiędzy latem i zimą. Wiatry od morza niosą wilgotne powietrze, to też nawet przy niewielkim mrozie, zimno daje się we znaki. Na niebo - skłonie często pojawiają się czarne, pędzone wiatrem chmury, przejmujące grozą nieprzywykłych.

Na wzniesieniach lud uprawia pola sadząc ziemniaki, siejąc żyto, owies, jęczmień, rzadziej pszenicę i len. Wieśniacy żyją z uprawy roli, hodowli bydła, a także połowu ryb.

Chaty i dworki rozrzucone pojedynczo, drewniane, wśród ogródków i sadów. Osiedla nie tworzą skupisk, nie ma tu wsi gęsto zabudowanych, jak na Białorusi. W Łatgalii, najgęściej zaludnionej spośród prowincji, przed wojną światową przypadało 34 mieszkańców na kilometr kwadratowy.

Jadąc wśród pól uprawnych, widzisz zboża falujące na wietrze. Nad łąkami dzwonią skowronki, a przy ziemi cykają świerszcze. Na piaszczystym trakcie, koła wozu cicho miela piasek. Na nieużytkach widać kępy jałowców. Zbliżamy się do lasu. Na jego skraju różowieją na przedwiośniu drobne kwiatuszki wilczego łyka, na bezlistnych jeszcze gałązkach. Wewnątrz panuje chłód.

Drogę zaściela ściółka zeszłorocznych liści, przez nią przebija młoda trawa, po bokach drogi konwalie. Czasem koło podskoczy i stuknie na wystającym korzeniu, zresztą panuje cisza, maćona jedynie człapaniem konia i ówierkaniem ptactwa w koronach drzew. Od czasu do czasu dzieciół stukaniem ogłasza swą pracę. Czasem przemknie stadko saren lub przekica zajęc. Gdzieniegdzie widać ślady buchtowania dzików, przewracających ściółkę i ziemię w poszukiwaniu pędraków. Gdzie teren się obniża, tam bardziej mokro i grząsko. Wóz dudni i podskakuje na dyłowinach drewnianych, ułożonych dla ułatwienia przejazdu.

Nie zawsze było tu tak sielsko. Niemiecki rycerski Zakon Kawalerów Mieczowych, założony w Inflantach w 1202 roku dla walki z pogańskimi plemionami nadbałtyckimi, dał się we znaki tubylcom. Bardziej jeszcze, gdy w ówieró wieku później połączył się z Krzyżakami sprowadzonymi do Ziemi Chełmińskiej w Rzeczypospolitej, przez Konrada Mazowieckiego. Ci zagarnęli najpierw Pomorze i Prusy, a następnie rozciągnęli swe panowanie na Inflanty. Mieli dobrą organizację, gospodarke i potężną siłę militarną, ale też uciskali i wyzyskiwali miejscową ludność. Lały się tu łzy i krew. A potem wojna zakonu z Rzeczypospolitą, aż po jego upadek po klęsce grunwaldzkiej i sekularyzację w 1561 roku, w wyniku czego prowincje Liwlandia i Łatgalia wcielone zostały do Rzeczypospolitej, a Kurlandia i Semigalia związane z nią zostały jako lenno. Jak okres panowania zakonów rycerskich owocował osadnictwem niemieckim, tak od włączenia do Rzeczypospolitej Inflant, zaczęło się w nich osadnictwo polskie. I ten okres to ciągle niepokoje, przemarsze wojsk i potyczki, konfiskaty, gwałty, przemoc i zniszczenia towarzyszące zawsze wojnom. Nie było danym zażywać pokoju tej krainie. Wkrótce swe do niej pretensje ujawnili Szwedzi, Duńczycy i Moskwiści.

Znów rozpogorzały walki Rzeczypospolitej z agresorami, aż po zwycięstwo hetmana Karola Chodkiewicza w 1605 r. pod Kircholmem w Semigalii, odniesione nad Szwedami, którzy nie rezygnując z zaborczych pretensji, w 50 lat później opanowali całe Inflanty i wkroczyli do Rzeczypospolitej, co w historii polskiej nazwano "potopem szwedzkim".

Z Rosja nie zrezygnowała z dostępu do Bałtyku, wszczęła zwycięską wojnę ze Szwecją, w wyniku której w roku 1722 zajęła Liwlandię i część Łatgalii, tworząc z nich Gubernię Finlandzką. W 50 lat później Gubernię Witebską z pozostałych ziem Łatgalii, wreszcie w roku 1795 z Kurlandii Gubernię Kurlandzką. Tak więc miejscowa ludność kolejny raz przeszła pod obce panowanie.

Nastąpiła rusyfikacja ludności i "nawracanie" katolików i protestantów na prawosławie. Ze wschodu ruszyło osadnictwo rosyjskie.

Wprawdzie Łotysze stanowili większość społeczną, lecz kolejni agresorzy spychali ją do roli siły roboczej preferując kulturę i administrację własnych mniejszości narodowych.

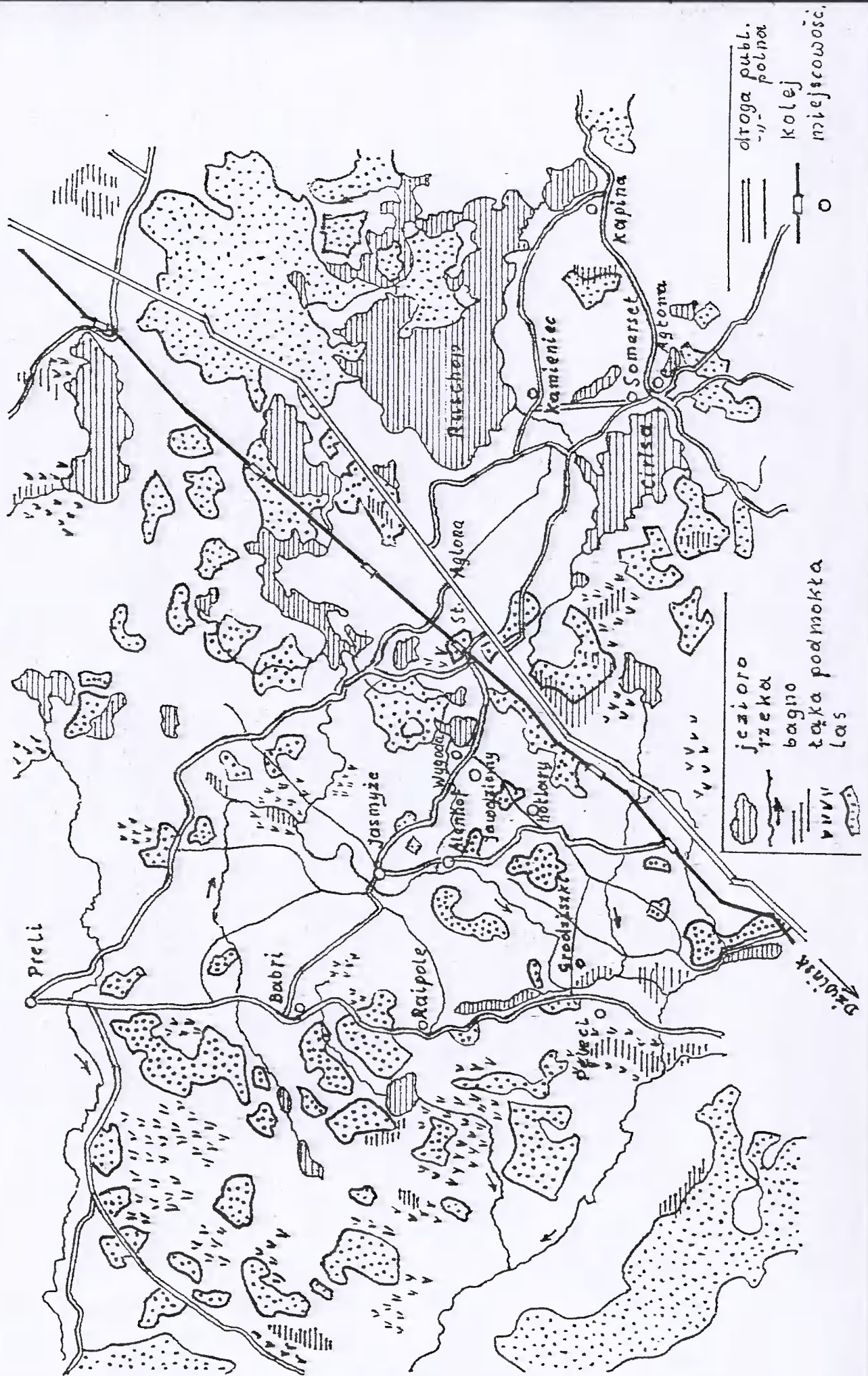
Dzięki dostępowi Rosji do Bałtyku, nastąpił rozwój gospodarczy anektowanych ziem. Rozbudowa portów, sieci komunikacyjnej, rozwój handlu i usług, tak, że przed wojną światową gubernie nadbałtyckie stanowiły najbogatą prowincję carskiego imperium. "Pribaltiki" czyli nadbałtyckie kraje z ich portami morskimi zapewniały eksport i import towarów. Dużym bogactwem były tutaj lasy zajmujące 1/3 powierzchni kraju. Ich eksploatacją w czasie wójny i po niej, żywo interesował się kapitał niemiecki i angielski.

Oczywiście i miejscowa ludność bogaciła się na handlu i usługach, rozwijał się w miastach przemysł włókienniczy, papierniczy, poligraficzny, spożywczy, chemiczny i mechaniczny, w Rydze, Mitawie, Libawie, a na terenie Łatgalii w Dyneburgu, Rzeżycy, Lucynie.

Ale już ruchy rewolucyjne 1905 roku przynoszą z sobą zamęt i straty. A potem wojna światowa. Znow zmieniają się okupanci, raz niemieccy, raz rosyjscy, potem bolszewicy. Do głosu dochodzą rodzimi komuniści i opozycja. Niemieccy osadnicy w obronie swego stanu posiadania tworzą własne siły zbrojne, sprzymierzone z biało-rosyjskimi oddziałami antybolszewickimi. Front walk przesuwają się raz w jedną, to znow w drugą stronę. Naród Łotewski walczący o niepodległość, doświadcza przez długie lata wszystkich okropności i cierpień jakie niesie z sobą wojna zewnętrzna i domowa.

Połowę ludności zamieszkującej prowincję łotewską stanowili wieśniacy łotewscy. Ale tylko połowa z nich posiadała własną ziemię i to zaledwie po kilka hektarów. Prawie cały areal gruntów uprawnych należał do obcych właścicieli – w Kurlandii i Liwlandii głównie niemieckich, a w Łatgalii polskich. Żyli tu przez wiele pokoleń potomkowie dawnych rodów rycerskich i arystokratycznych, szlachta rdzennie polska, lub niemiecka spolszczona jak: Manteuffelowie, Tyzenhauzowie, Romerowie, Weyssenhoffowie, Buchholtzowie, czy Hylzenowie wspomniani w I części, u których pracował Stanisław Godziemba Wysocki, czy wreszcie Bitnerowie, Oskierkowie, Dymiszowie, Sopoćkowie, Małachowscy, Ossendowscy i inni. W samym powiecie dźwińskim wielkoobszarowe majątki to: Broel-Platerów Krasław, Kombul, Indryca i inne, w sumie około 10 tysięcy dziesięcin według spisu z 1911 r. Zyberg-Platerów około 23 tys. dziesięć. Molhów maj. Wyszki 3,5 tys. dziesięć. Szachnów Józefowo i Goftenberg 4,5 tys. dziesięć. Reutów maj. Kamieniec i Warkowo 8 tys. dziesięć. Na obszarze Łatgalii przed I wojną światową było 130 majątków wielkoobszarowych.

Majątek Błażewiczów "Jawdziemy", po łotewsku Jaudzemi, położony był przy drodze ze stacji kolejowej Ruszon



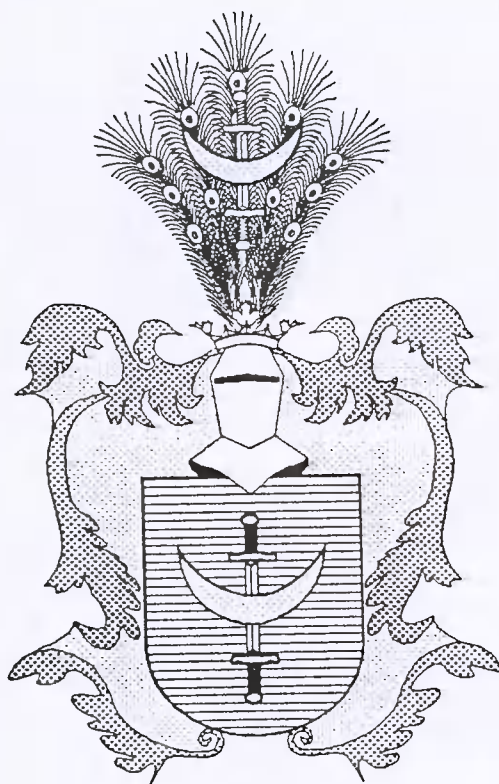
/Ruszon wg pisowni niemieckiej/ do Jasmyży/Jasmź/,
4 kilometry od stacji. Później w okresie niepodle-
głości, nazwę stacji zmieniono na Agłona/Agłona/.
Majątek był niewielki. Słownik Geograficzny Królestwa
Polskiego i Innych Krajów Słowiańskich z 1880 r.
podaje:

"Jawdzieńce - folwark w powiecie
dźwińskim Błazewiczów, 167 dziesięcin"

Wg. dawnej miary rosyjskiej 167 dziesięcin odpowiada
około 190 hektarom. Składały się na to głównie lasy,
mniej ziemi ornej, sady, łąki i pastwiska.

Zwraca uwagę stara pisownia "Jawdzieńce" - bardziej
słowiańsko brzmiąca niżeli Jawdziemy, będąca jakby
fonetycznym przekładem łotewskiej Jaudzemi.

Majątek należał do gminy Jasmyży, powiat dźwiński,
parafii Ruszon.



herb Błazewiczów
"Trzaska"

Herbarz Szlachty Polskiej - Rodzina podaje, że gdy Błażejowscy /vel Błażejewscy/ jak zwano ich w Koronie, przenieśli się na Litwę, pierwotne nazwisko zmienili na Błażewicz. Gniazdem tego rodu była wieś Błażejewice w województwie rawskim, z którego liczne, lecz mało zamożne potomstwo rozeszło się w różne strony. Wylegitymowani w 1845, 1859 i 1863 r. zapisani zostali do Ksiąg Szlachty, jedni w guberni kowieńskiej, inni w mińskiej, grodzieńskiej i wołyńskiej.

Przedstawiciele tego rodu wymieniają dokumenty z początku XV wieku i późniejsze, jako pełniących funkcje wojskowe i cywilne.

Na tarczy herbowej, w błękitnym polu znajdują się dwa miecze, których złamania kryje księżyc. Legenda głosi według Niesieckiego, że herb nadał Bolesław Chrobry swemu wojowi, odznaczonemu męstwem i siłą w wirze bitewnym w obronie króla tak, że złamał kolejno dwa miecze. Herb został nazwany przezwiskiem rycerza, a księżyc, jako opiekun herosów/wg starodawnych mitów/ ma Trzascę i jego potomstwu świecić po wsze czasy.

Mąż Adzi-Kazimierz i siostra jego Tekla, rodzeństwo władające wspólnotą gruntową po rodzicach/stanowiącą część majątku dziada Jakuba/, byli trzecim pokoleniem na tej włości. Dziad Jakub wymieniany jest w powieści ludzkiej. Według relacji jego prawnuka Olgierda, Jakub przeniósł się z okolic Lidy, nie wiadomo dlaczego, do guberni witebskiej, do Jawdziem. Przed śmiercią podzielił Jawdziemy pomiędzy dwu synów, Kazimierza i Aleksandra. Dlaczego pominął przy podziale trzeciego syna Juliana nie wiadomo. Może ten wówczas już nie żył, może pozostał w Grodzieńskim na ojcowiznie? Części Kazimierza i Aleksandra, wspólnie stanowią jeden kompleks ziemski o powierzchni 167 dziesięcin/wg spisu 1911 roku 164 dzieś./Póki nie było mowy o reformie rolnej,

majątki przechodziły z pokolenia na pokolenie w sposób naturalny, dzieci dziedziczyły po rodzicach. Gdy jednak zagroziło wywłaszczenie, zaszła konieczność urzędowego rozpisania własności ziemskiej pomiędzy rodzeństwo.

Łotewskie Zgromadzenie Ustawodawcze w 1922 roku ustaliło zasadę reformy rolnej, polegającą na wywłaszczeniu majątków ziemskich powyżej 50 ha. Do 1924 roku rozparcelowano 3/4 areału przeznaczanego do wywłaszczenia. Sytuacja była poważna, groziła utratą ojcowizny. Dlatego siostra Kazimierza słała dramatyczne wezwania do powrotu brata.

Jeden brat Paweł, wyjechał z żoną i dziećmi w 1914 r. przed wybuchem wojny, do teściów, na urlop w okolice Odessy, a po wojnie osiedlił się w Mińsku Mazowieckim. Zatem na ni~~ę~~gonie można było dokonać zapisu. Drugi, Kazimierz ożeniony z Adolfina, przebywał w Warszawie i nie spieszył z powrotem do majątku. Wreszcie przyjechał, narazie sam i przeprowadził urzędowy podział własności pomiędzy siostrę Teklę i siebie, co uchroniło majątek od wywłaszczenia.

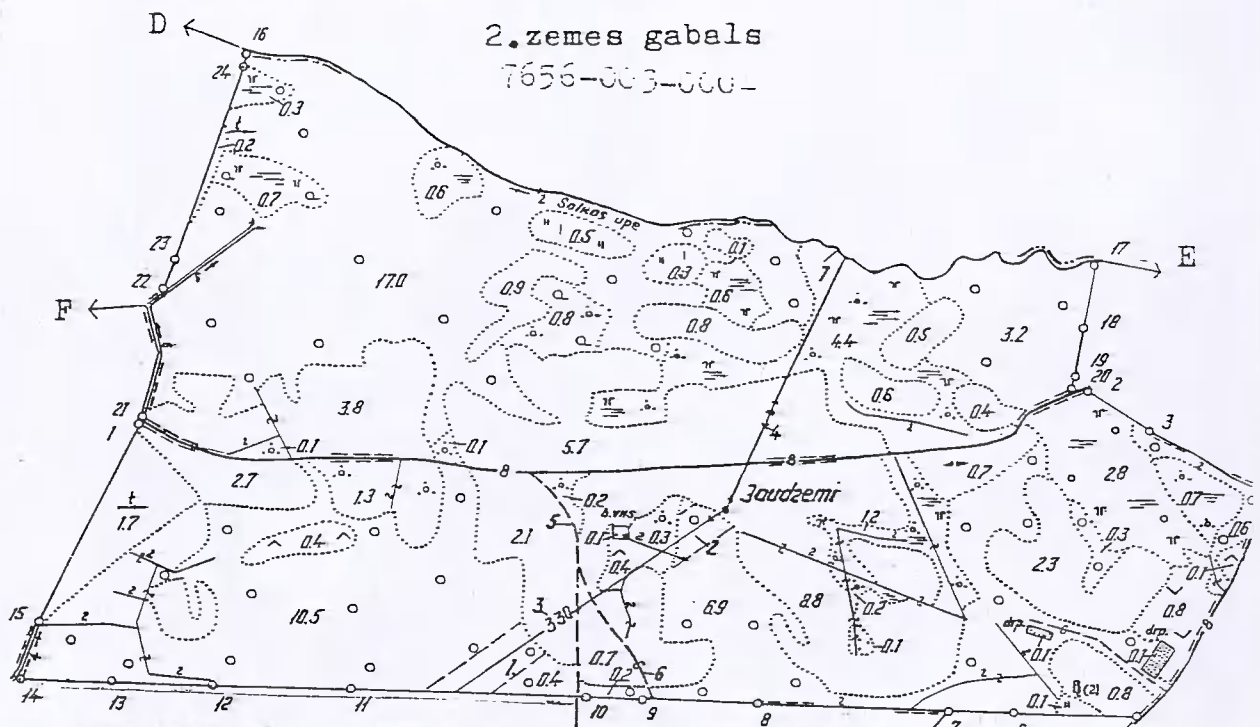


Aleksander Trzaska-Błażewicz z córką Bronisława

Częścią stryja Aleksandra po jego śmierci w 1895 roku, zarządzał Kajetan Nowacki – ojciec drugiej żony Aleksandra, Marii z Nowackich. Ta część majątku stanowiła głównie las, mniej ornej ziemi, sad, jeziora, młyn wodny i krochmalnię zwaną fabryką, gdzie przerabiano ziemniaki na mąkę kartoflaną. Po śmierci Kajetana, córka Maria przejęła zarząd majątkiem, jedyna z trojga dzieci z drugiego małżeństwa, która pozostała na Łotwie. Dwaj starsi bracia przebywali w Polsce. Dzieci z pierwszego małżeństwa Aleksandra z Aleksandrą Twardowską, już nie żyły, gdy Adzia przyjechała do Jawdzim. Z czasem młyn i krochmalnia przestały funkcjonować. Maria utrzymywała jeszcze czas pewien gospodarstwo, póki to było możliwym. W końcu nie mając na kogo rozpiścić własności, podzieliła ją na pięć części, wydzierżawiając pięciu dzierżawcom. W 1929 roku odsprzedała je użytkownikom po śmierci matki. Sama wyszła za mąż w 1935 roku i przeniosła się na stałe do Warszawy. W rękach Błażewiczów pozostała jedynie część po Kazimierzu, użytkowana przez Kazimierza syna z żoną Adolfina i siostrę Kazimierza Teklę.

Kazimierz i Adolfina zastali w Jawdzimach majątek poważnie zniszczony latami wojny. Rekwizycje okupantów poważnie naruszyły stan inwentarza żywego. Brak remontów widoczny był w zabudowaniach. Sad niepielęgowany zdziczał i wymagał odnowy, a grunty orne częściowo zapuszczone rekultywacji. Szczegółowa lustracja wskazywała na potrzebę pilnej interwencji, skoro mieli tu żyć i przeżyć, z trójką dzieci, siostrą Kazimierza i jej synem. Należało zakasać rękawy i wziąć się do intensywnej pracy. Siostra Tekla gospodarzyła na ile było ją stać, ale zadania przekraczały siły wdowy, do tego ułomnej, która pochowała męża, Rosjanina Masłowa, dziesięcioletniego syna Czesława i miała na wychowaniu drugiego kilkunastoletniego Jerzego. Było oczy-

Geodezyjny plan posiadłości "Jawdziemy" wykon. 1996 r.



Wyszczególnienie kategorii użytków:

grunty orne.....	35,4 ha
łąki.....	0,9 "
pastwiska.....	0,9 "
lasy.....	39,9 "
nieużytki.....	3,6 "
inne.....	<u>9,8 "</u>
razem	90,5 ha

Granice posiadłości:

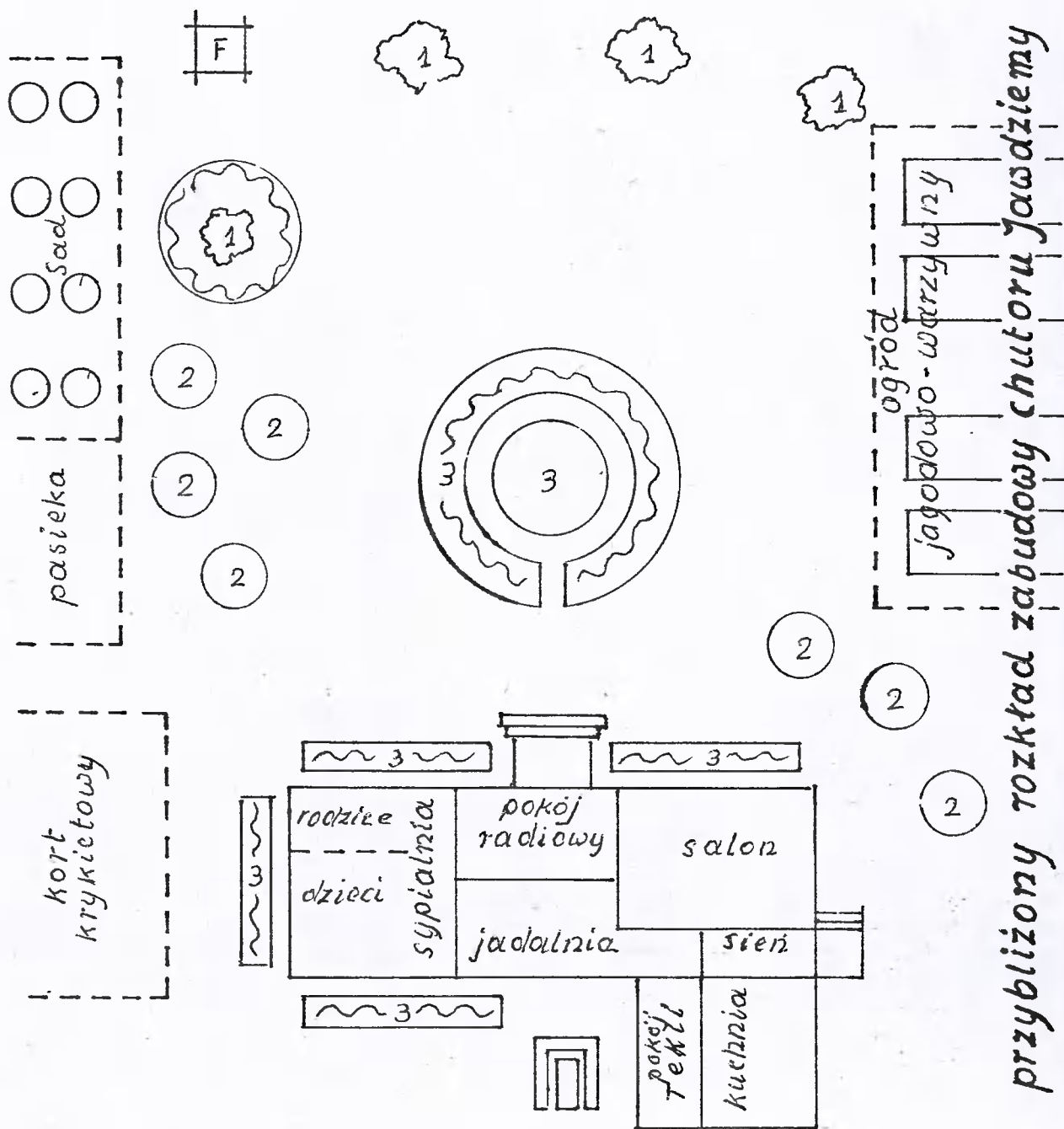
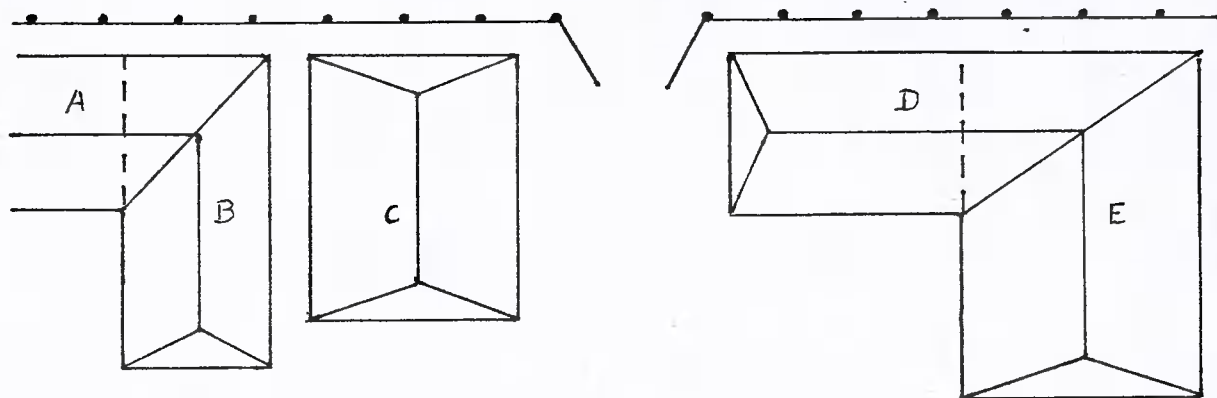
- północna - na rzece Sołka
- południowa - obce własności dawniej stanowiące
własność Aleksandra Błażewicza
- wschodnia - drogą dojazdową do majątku, od goś-
cińca: St. Agłona - Aizkalne/dawne
Jasmyże/
- zachodnia - obce własności

wistym, że ster gospodarstwa przejąć musi Kazimierz, chociaż obydwoje traktowali własność jako wspólną, mimo oficjalnego podziału. Odbudowa gospodarstwa oprócz pracy wymagała także nakładów finansowych, a zasobów gotówki nie było. Zatem jedynym rozwiązaniem, na które musiano się zdecydować, było zaciągnięcie długoterminowego kredytu bankowego, pod zastaw hipoteczny. Zdawano sobie sprawę z obciążenia jakie latami ciążyć będzie na majątku i ryzyka jego utraty w razie niewypłacalności, nie było jednak innego wyjścia. Adzia zwierzała się z tych kłopotów w listach do brata. Otrzymała od Bronisława do rozważenia propozycję sprzedania części ziemi hurczyńskiej dla wspomżenia finansowego Błażewiczów i ustrzeżenia od bankowego zadłużenia. Wiele kosztowała Bronisława ta propozycja wobec własnych wysiłków ratowania schedy. Przeważył jednak argument, że chodzi o łus ukochanej siostry obciążonej trójką dzieci, podczas gdy on był samotnym. Adzia stanowczo propozycję odrzuciła. Była szczerze wdzięczna bratu, ale sama miała wielki sentyment i cześć dla ziemi ojców. Żywiła nadto nadzieję, że w końcu brat się ożeni, też będzie miał dzieci, więc nie mogła się zgodzić na sprzedaż choćby kawałka ziemi i tak niebogatej, która żywić miała przyszłą rodzinę Bronia.

Wspólny trud zaczął powoli wydawać owoce. Rok po roku gospodarstwo się powiększało, przybywało inwentarza, zagospodarowywano ogród i sad, remontowano budynki. Pracy było mnóstwo i pracowali wszyscy zgodnie. Nawet dzieci w chwilach wolnych od nauki i w czasie wakacji pomagały w domu, ogrodzie i na polach. Ponieważ był zbyt na mleko i jego produkty, nastawiono się na hodowlę bydła. Przy stacji kolejowej był skup trzody chlewnej, więc i w tym kierunku rozwija-

no hodowlę. Okoliczne łąki i lipy w obejściu, nasunęły pomysł założenia pasieki, z której miód sprzedawano, część pozostawiając na własny użytek. Chowano owce dające mięso i wełnę, a także drób domowy. Do prac polowych i wyjazdów służyły konie. Po kilku latach odnowiony sad wydzierżawiono Żydowi, który sam już doglądał i organizował prace pielęgnacyjne i zbiór owoców. Jabłka, grusze, śliwy i wiśnie dowoził w skrzynkach do stacji kolei, a dalej pociągami do Dyneburga. Oczywiście część owoców pozostawała na użytek gospodarzy. Adzia zadbała także o przystrojenie obejścia kwiatami. Przed gankiem dworu założyła, jak było w Hurczynach, okrągły klomb kwiatowy. Na środku rósł krzew spirai, który wiosną obsypany białym kwieciem, tworzył przepiękne, zwisłe festony. Wokół na kręgu rosły dobre kwiaty, tworzące barwną kompozycję. Zakwitając kolejno, od wiosny do jesieni, grą barw i kształtów cieszyły oko. Rosły tam liliowe, pomarańczowe i granatowe irysy, piwonie czerwone, białe i różowe, dale różnobarwne i floksy fioletowe i białe, pod wieczór pięknie pachnące. Również z tyłu domu, pod oknami założyła Adzia grzędy kwiatowe z nagietkami, cyniami, konwaliami, aksamiwką, astrami, bratkami, mieczykami, goździkami, maciejką, nasturcją, pierwiosnkami i złocieniem. Po bokach domu pyszniły się kępy ostróżki białoniebieskiej i granatowej, a obok czerwone maki. Ten barwny kwietnik, starannie pielęgnowany stanowił radość i dumę Adzi. Uczyla dzieci podziwu i miłości do kwiatów. Myślała o Hurczynach, które czekały na troskliwą kobiecą rękę, potrafiącą wyczarować piękno wokół domu.

Nieco dalej od dworku rosły kępy białego i fioletowego bzu i jaśminu, pomiędzy którymi wily się alejki spacerowe. W bok od klombu, przed frontem domu, rosła potężna stuletnia lipa, a wokół niej posadzono akację która utworzyła przytulną altanę, z ławeczką pod lipą dla miłego spoczynku.



- A stajnia
- B obora-owczarnia
- C świron
- D wozownia
- E odryza
- F studnia
- 1 potężne drzewa
- 2 krzewy bzu i jaśminu
- 3 rabaty kwiatowe

Troskliwa gospodyni założyła oczywiście także warzywnik, gdzie uprawiano marchew, buraki, brukiew, ogórki, pomidory, cebulę, rzodkiew i inne warzywo. Tam rosły na obrzeżu krzaki porzeczek i malin.

Za ogrodem ustawili gospodarze duży drewniany krzyż, przy drodze do "Kazimierówki". Odbyło się uroczyste jego poświęcenie, na które przyszło sporo ludzi z okolicznych chutorów i dworków. Tam w wolnych chwilach chodzono, zwykle pod wieczór, z dziećmi, na krótki spacer. Tam latem noszono świeże kwiaty. Adzia zawsze wówczas myślami przenosiła się pod krzyż w Hurczynach.

Kazimierówka - był to drewniany budynek mieszkalny, gdzie zakwaterowano rodzinę Szyszków, bezrolnych Polaków, jako połowników. Ich zadaniem była praca na roli właściciela, który dawał mieszkanie i płacił podatki. Jesienią, po zbiorach i wykopkach, plony dzielono na pół. Jedna połowa dla właściciela gruntu, druga dla połowników, stąd ich nazwa. W ten sposób bezrolni mieli zapewnione mieszkanie i środki do życia, a właściciel stał się siłą roboczą.

Zatrudniali Kazimierzostwo jedną służebną do pomocy we dworze i pastuszkę do wypasu owiec i bydła. Prace w oborze i chlewni wykonywali połownicy. Oczywiście Błazewiczowie osobiście także uczestniczyli w pracach polowych, szczególnie w czasie zbiorów. Najmowano też dorywczych pracowników w miarę potrzeby, zwykle z niedalekiego osiedla za traktem, zwanego Biedy. Tam mieszkali małorolni, chętnie wynajmujący się do pracy w polu i we dworze, czy do wywozu nawozu na zagony, czy przebierania ziemniaków jesienią, czy wreszcie do prac porządkowych w samym dworze np. szorowania co tydzień drewnianych podłóg. Kazimierz pomagał sąsiadom wypożyczając sprzężaj do zwózki plonów, czy przy omłotach, za co rewanżowali się odrobkiem.

Cały teren folwarku otaczały szpalery drzew: Kasztany, brzozy, lipy.

Czas płynął w zbożnym trudzie, dzieci rosły. Helenka zwana w domu Ela, liczyła już dziesięć lat, a pierworodny syn Kazik, czyli "Dzidzius", pięć latek. Alinka właśnie ukończyła rok czwarty. Mama zajmująca się edukacją dzieci, jakkolwiek niesystematycznie z uwagi na liczne obowiązki żony, matki, gospodyni, wdrożyła jednak najstarszej córce umiejętność samodzielnego czytania i pisania, a synek przy starszej siostrze, chętnie ćwiczył własne zdolności.

Wkrótce zaistniała możliwość szerszej edukacji. Zakończyła bowiem działalność pierwsza szkoła w Jawdziemach, funkcjonująca od 1918 roku w Kazimierówce, prowadzona przez Marię Błażewicz - stryjeczną siostrę Kazimierza, córkę Aleksandra z drugiego małżeństwa. Jak wspomniano, w 1929 roku Maria sprzedała ostatecznie ojcowiznę, zamierzając wyjechać do Polski. W opróżnionej Kazimierówce zakwaterowano połowników Szyszłów, a dzieci okoliczne rozpoczęły naukę w dworcu Adzi i Kazimierza. Nauka odbywała się w jadalni, gdzie dzieci zasiadały wokół dużego stołu, rozkładając na nim kajety i inne przybory. Do grona dzieciaków dołączyły także Ela i Dzidzius. Zaangażowany został nauczyciel Pawłowski, który zamieszkał we dworze. Przerabiał z dziećmi materiał klas od pierwszej do czwartej, po czym dzieci posyłano zwykle do szkoły publicznej w Ruszony.

W 1922 roku powstał Związek Polaków na Łotwie. Dzięki temu, w wyborach do sejmu Polacy uzyskali jeden mandat. Dało to impuls do dalszego organizowania się społeczności polskiej. Między innymi zawiano w 1930 roku Polskie Towarzystwo Rolnicze z siedzibą w Dyneburgu. Kazimierzowi powierzono funkcję w zarządzie, w związku z czym przez kilka lat, to jest do 1936 roku, kiedy władze łotewskie w ramach szykan mniejszości polskiej zlikwidowały tę organizację, dojeżdżał pociągiem do Dyneburga odległego o czterdzieści kilka kilometrów. Czasem pozostawał tam na noc, lub nawet przez kilka

dni. Za to każdorazowy jego powrót do domu, był ciepło przyjmowany przez Adzię, a entuzjastycznie przez dzieci. Przywoził im zawsze jakiegoś skromnego "gościńca", ale nie to było najważniejsze, lecz sam przyjazd kochanego taty.

Trzeba nadmienić, że aktywność społeczna była źle widziana przez władze łotewskie, które starały się w różny sposób ograniczać Polaków. Reforma rolna spowodowała emigrację wielu ziemian, a dalsze szykany, odpływ części inteligencji i ludzi wolnych zawodów. Władze utrudniały na przykład uzyskanie pracy, przyjęcia na studia, utrzymanie polskich szkół, a nawet aresztowały i deportowały w pojedynczych przypadkach działaczy polonijnych. Pozostali na Łotwie Polacy, ryzykując wiele, tym gorliwiej starali się organizować i przeciwstawiać wynarodowieniu i zepchnięciu na margines społeczeństwa.



Zarząd Polskiego Towarzystwa Rolniczego
w Dyneburgu. Kazimierz Błazewicz - pierwszy
od prawej, w pierwszym rzędzie.

Ciepłe światło naftowej lampy wiszącej u powały, rzucało blask na zastawę po dopiero co spożytej wieczerzy i zgromadzoną wokół stołu rodzinę. Reszta pokoju ginęła w słabym mroku, z którego dobiegało miarowe tykanie zegara. Miłe ciepło promieniujące od nagrzanego pieca wypełniało wnętrze.

Za oknami, na niebie, wiatr przepędzał nisko zawieszona ciemne chmury, a dołem ścieliły się mgły wstające za drogą, nad jeziorem. To już kalendarzowa wiosna. Pojawiły się pierwsze kaczeńce na mokradłach, ale ranki i wieczory kłują jeszcze zimowym zamrozem.

- Mamo, opowiedz nam o Hurczynach i wujku Bronku !

To był częsty temat opowieści. Dzieci słuchały jak pięknej baśni o nieznannej krainie, a Adzia przenosiła się myślami do lat dzieciństwa.

- A więc słuchajcie. Za domem w Hurczynach rośnie potężny dąb, liczący trzysta lat, a może więcej... Jako dzieci, oboje z wujem Bronkiem lubiliśmy pod nim siadać, w skwarne dni kryjąc się w jego cieniu i słuchając świergotu ptaków. Później, gdy ze szkół w Grodnie i Krakowie przyjeżdżaliśmy do domu, po powitaniu z mamą, zawsze biegliśmy pod nasz dąb, przywitać się z nim jak z przyjacielem i dobrym duchem dworskiego obejścia. Kochaliśmy to nasze drzewo. Pod nim słuchając szumu w jego koronie, snuliśmy plany i marzenia na przyszłość...

Tuż za dębem, na wzniesieniu zwanym Mogilnikiem, rośnie stary, sosnowy las. Z niego, często na nasz dąb przeskakiwały wiewiórki, wiosną, z głośnym cmokaniem baraszkujące w jego gałęziach...

Tak ^{się} snuły, nasycone mocno uczuciem wspomnienia o rodzinnym domu i obejściu, o dziecięcych figlach, o mieszkańcach dworu i czworaków, o wydarzeniach miłych i bolesnych, mijających latach i wkraczaniu w życie doro-

słe.

Dzidzius siedzący jak zwykle przy ojcu, zasłuchany tulił się do niego, mała Alinka słuchała z otwartą buzią, a najstarsza Ela pytała - kiedy mama zawiezie ją do Hurczyn ?

"Każdy ma w swej pamięci pośród wspomnień mglistych,
Jakiś obraz owiany barwą nieco złudną,
Obraz taki wyłączny, własny, osobisty,
Że trudno go wyrazić, wypowiedzieć trudno "

/S.Baliński/

Kiedy świat za oknami spowijał mrok, na głos ojca, że pora na spoczynek, przerywano opowieść i rodzina udawała się do sypialni, klękała wspólnie przed obrazami Serca Jezusowego i Bożej Matki, dla odmówienia wspólnego pacierza.

Gdy dzieci już umyte leżały w swoich łóżeczkach, rodzice z miłością spoglądali na swoją gromadkę, składali pocałunek na czólkach i kreślili na nich znak krzyża.

Ciocia Tekla, siostra Kazimierza, wdowa po mężu Rosjanie Masłowie, mimo swojej ułomności i ciężkich doświadczeń, była zawsze pogodna, pracowita i czynna. Właśnie dzięki tej pogodzie ducha malującej się na jej twarzy, trudno było z wyglądu określić jej wiek. Była garbuską. Miała dwóch synów, Jerzego i Czesława. Czesław zmarł mając lat dziesięć, na skutek pęknięcia ropnego wyrostka robaczkowego. Ciocia wraz z Jerzym zajmowali pokój obok kuchni, do którego wchodziło się z sieni.

Kiedy Kazimierzostwo osiedli w Jawdziemach przejmując główny ciężar gospodarstwa, ciocie pozostawili pomoc w ogrodzie i kuchni, uwalniając ją od pracy na roli. Ciocia nadto z własnej chęci, mając duże doświadczenie, sporządzała lub nadzorowała wyrób wędlin i ich wędzenie, ze znakomitym skutkiem.

Swoją dobrocią i pogodnym usposobieniem jednała sobie serca wszystkich. W chwilach wolnych od zajęć chodziła

na grób syna na pobliskim cmentarzu. Cmentarz usytuowany był na niewielkim wzniesieniu o nazwie Sołka, przy gościńcu prowadzącym ze stacji Ruszony do Jasmyży. Na wprost cmentarza, odchodziła od gościńca zadrzewiona aleja do majątku Błażewiczów. Tuż za wzniesieniem, rozlane było jezioro o tej samej nazwie Sołka, a u jego brzegu położony był majątek Wygoda, inicjatorów założenia pierwszej szkoły polskiej w Jawdziemach, Wiścickich.



Ciocia Tekla przy grobie syna na cmentarzu na Sołce. Z lewej, za cmentarzem widoczny brzeg jeziora Sołka. Na drugim planie gościeńiec: w prawo do stacji Ruszony, w lewo do Jasmyży. Za gościńcem majątek Błażewiczów.

Nad jeziorem schodzili czasem przed wieczorem Adzia z Kazimierzem, by rozkoszować się ciszą odchodzącego na spoczynek dnia. Zachodzące słońce odbijało się w toni czerwono-miedzianym blaskiem, co raz bladejszym, znikającym, aż nastawała szarość zmierzchu, spowijająca

świat. Wówczas leciutkie podmuchy wiatru budziły tajemnicze szelesty w nadbrzeżnym sitowiu, a na wodzie pojawiały się łuski drobnych fal. Później, nad ciemną wstęgą lasu na horyzoncie, pojawia się różowawa jasność, która stopniowo zmienia się w czerwoną tarczę księżycą, znaczącego się srebrnym pasmem światła na jeziorze. W nagranych za dnia trawach cykają świerszcze.



Jezioro Sołka

Wspomniany Związek Polaków na Łotwie, powstały obok wielu innych organizacji o charakterze kulturalnym, dobroczynnym, religijnym, wychowawczym, gospodarczym czy sportowym, skupiał przedstawicieli różnych klas społecznych i zawodów. Na jego gruncie Adzia poznała panią Próchnikową z majątku Birże/Biża/ nad jeziorem o tej samej nazwie, znajdującym się przy trakcie z Dagdy do Andrupene./patrz str 23-24 St.Godziemba Wysocki w Dagdzie/. Natomiast mąż Adzi, Kazimierz, znał się z mężem

Próchnikowej, również Kazimierzem, jeszcze z przed wojny, z czasu studjów we Lwowie, w Galicji. Do majątku należały dawniej jeszcze folwarki Muchy i Paramonówka, oraz duży kompleks lasów, które przepadły po wojnie w drodze parcelacji, w ramach reformy rolnej. Kazimierz Próchnik wszedł w posiadanie Birż drogą koligacji z rodziną Szredersów, biorąc sobie z niej żonę.

Historia rodu Szredersów/spolszczona pisownia/ jest charakterystyczną dla kolonizacji i stosunków narodowościowych w dawnych Inflantach.

Kristofor Schroeders przybyły z Bawarii, był Mistrzem Zakonu Kawalerów Mieczowych i komturem twierdzy dyneburskiej. Jego potomek, Hans Schroeders, po sekularyzacji państwa zakonnego w Inflantach i przejściu w lenno polskie Kurlandii i Semigalii, otrzymał dobra lenne z prawem dziedziczenia, nad rzeką Jaszą/Jasa/. Z kolei jego syn Chrystian w 1569 /rok lubelskiej unii polsko-litewskiej/, za zasługi dla Polski, prawdopodobnie w walkach w czasie wojny o Inflanty, otrzymał dobra również nad Jaszą: Górnojaszę i Dolnojaszę /okolica Grociszek/, oraz szlachectwo polskie. Przywileje te potwierdził w 1633 roku król Władysław IV.

Z upływem czasu, majątki ulegały rozdrobnieniu i zmieniały właścicieli drogą zapisów rodzinnych, zastawów, czy sprzedaży. I tak Dolnojasza przeszła częściowo w ręce Aleksandrowiczów, natomiast Birże utracono po II wojnie światowej w drodze wywłaszczenia. Grociszki natomiast, położone przy dolnym biegu rzeki Jaszki, pozostały w rękach Schroedersów przez 13 pokoleń, przeszło 400 lat. Ostatnia z rodu Schroedersów właścicielka Grociszek - Zofia, zmarła w 1940 roku.

Jej siostra Maria, wyszła za mąż za leśnika Wacława Aleksandrowicza i wraz z mężem i dziećmi, po I wojnie światowej zamieszkali w Grociszkach, przy siostrze Zofii. Grociszki należą do tych nielicznych majątków, które, choć okrojone, ostały się po drugiej wojnie w rękę daw-

nych posiadaczy. Współcześnie aktualnym spadkobiercą jest Lech Aleksandrowicz, syn Jana, a jego pełnomocnikiem zarządzającym Antoni Kozłowski, syn Ireny Próchnik-Kozłowskiej, a wnuk przyjaciółki Adzi i jej męża Kazimierza Pruchnika z Birż.

Chutor w Grociszkach i jego mieszkańcy mają zapisaną bohaterską kartę w walce z hitlerowskim okupantem w czasie II wojny światowej. A że mimo to pozostał do dziś niezniszczony, zawdzięcza chyba swemu położeniu na odludziu.

Błażewiczowie przez Próchników zapoznali się z Aleksandrowiczami i odtąd bywali częstymi gośćmi w Grociszkach.

Od czasu do czasu bywali też w Birżach, gdzie była polska szkoła czteroklasowa i w Ksewerynce u Mikłaszewiczów poznanych przez Próchników, których córka Irena była szkolną koleżanką Michaliny Mikłaszewicz. A gdy ta wyszła za mąż za Linkiewicza, bywali i u nich w Strzemielówce. Bliżej żyli z rodziną Salcewiczów, bardzo solidną i religijną, która po sąsiedzku dzierżawiła grunt od Marii Błażewicz, a później przeniosła się na dzierżawę do Alfonsowa, położonego około 6 kilometrów od Jawdziem w kierunku południowym. Sympatyczne stosunki łączyły od dawna rodziny Błażewiczów i Nowackich z Narkiewiczami. Gdy Witold Jodko-Narkiewicz w 1921 roku przybył na Łotwę, na stanowisko polskiego posła w Rydze, zadaniem jego była poprawa stosunków łotewsko-polskich mocno zachwianych z powodu reformy rolnej i wyraźnego ciążenia ku Polsce, dominującej w łatgalii społeczności polskiej, jak też ograniczania jej uprawnień i utrudniania egzystencji. Narosło wiele kontrowersji między państwowych, zaognionych jeszcze kwestią wciąż spornych terenów na lewym brzegu Dźwiny, na południe od Dyneburga. Jodko-Narkiewicz włożył wiele wysiłku w poprawę wzajemnych stosunków, co zaowocowało głównie ustanowieniem dwu nowych konsulatów polskich na Łotwie, w Lipa-

wie i Dyneburgu, oraz uczestnictwem Łotwy w konferencji państw bałtyckich w Warszawie w 1922 roku.

W albumie rodzinnych fotografii Błażewiczów, znalazło się zdjęcie grupowe, wykonane w Jawdziemach przed domem Aleksandra Błażewicza, z okazji wizytacji przez posła tutejszej polskiej szkoły. Marynia jako nauczycielka, przyjmowała u siebie posła, działkę szkolną i liczne grono Polaków z okolicznych chutorów. Niestety fotografia wyblakła i nie nadaje się do reprodukcji.



Dom Aleksandra Błażewicza /stan w 1992 r./

Jodko-Narkiewicz pochodził z tatarskiej rodziny, osiadłej od wieków na Litwie. Jako bliski współpracownik Marszałka Piłsudskiego, działacz POW i współzałożyciel Polskiej Partii Socjalistycznej, pracujący po wojnie w dyplomacji, był świetnie zorientowanym w stosunkach Polski na arenie międzynarodowej, jak i w wewnętrznych

układach politycznych i kwestiach gospodarczych odbudowującego się młodego Państwa Polskiego.

Marynia, jej mama i ciocia Tekla niejednokrotnie gościły u siebie pośła i prowadziły z nim długie, przyjazne rozmowy. Gdy Adzia i Kazimierz osiedlili się na stałe w Jawdziemach, wielokrotnie wspominały im o tych spotkaniach.

Oczywiście kontakty dobrosąsiedzkie utrzymywane były z Wiścickimi z majątku Wygoda nad jeziorem Sołka.

Przyjazne stosunki łączyły Kazimierzostwo z księdzem Juszeko z Jasmyży, który odwiedzał Jawdziemy, a i oni bywając w tamtejszym kościółku, czy w urzędzie gminy, wstępowali na plebanię. W Łatgalii, zwłaszcza przed wojną, pracowali w parafiach księży Polacy. Później, gdy przyszli księży Litwini i Łotysze, wszyscy znali język polski, dzięki czemu nie było żadnych trudności z posługą duszpasterską.

Około 12 kilometrów od Jawdziem, w prawo od drogi do Preili, położony był majątek Bohomolców - Jauna Muiža, po polsku zwany Nowym Dworem.

W okolicy było wiele polskich rodów ziemiańskich, jak: Oskierków z Hieronimowa nad jeziorem Ruszony, Żabów z majątku Kostyr przy drodze do Prel/Preili/ na przeciw jeziora Jasu, jak Szadurskich z Jasmyż, Dymśzów z Ruszony, Łabuńskich z Alfonsowa, Małachowskich z Lipniag, Kołłupajłów z Ratuliszek, Ossendowskich z Kałwan i wielu innych.

Były też przed pierwszą wojną światową wielkie majątki, jak arystokratycznego rodu Platerów. Nad jeziorem Pelec/Pełeci/, na południowy zachód od Jasmyż, znajdował się jeden z ziemskich majątków hrabiego Henryka Zyberk-Platera liczący 1195 dziesięcin. Włości tego rodu z linii Zyberków i Broel-Platerów były w gminach luksjańskiej, wyszkowskiej, kołupskiej, łącznie prawie

trzysta tysięcy dziesięcin. W Krasławiu, który do nich należał przed I wojną światową, mieli pałac z ogromną biblioteką i parkiem. Z tego rodu pochodziło wiele zasłużonych osobistości, a przede wszystkim piękna bohaterka powstania listopadowego Emilia Plater. Wokół



Zimowy szlak
w Łatgalii

tej apoteozowanej postaci narosły legendy i dziś trudno oddzielić od nich prawdę historyczną. Faktem jest, że swym przykładem poderwała innych do powstania i walczyła dzielnie zdobywając, ponoć na czele utworzonych przez siebie oddziałów, Daugiele i Jeziorosy, a następnie stoczyła bój pod Upitą i Szawlami na Litwie. Kiedy powstańcy wycofywali się do Prus, ona z małym oddziałkiem skierowała się do Królestwa Polskiego i z wycieńczenia zmarła po drodze w chacie leśnika w Ustianowie

w wieku 25 lata. Śmierć patriotki i bohaterki uczcił Adam Mickiewicz wierszem zatytułowanym "Śmierć pułkownika". Emilia pułkownikiem nie była. Podobno stopień kawalerski nadał jej generał Chłapowski po bitwie pod Upitą. Inne źródła podają nawet, że była szeregowym żołnierzem. Jednak w pamięci i sercach Polaków pozostanie jako świetlana postać powstania, uosobienie patriotyzmu, odwagi i poświęcenia.

Z tegoż rodu Leon Plater, w powstaniu styczniowym, rozbił Moskali pod Krasławiem, a wzięty do niewoli został powieszony w twierdzy dyneburskiej.

Z innych wielkich posiadaczy wymienić należy Mohłów, którzy byli właścicielami części Dyneburga, oraz majątku Wyszki/Viski/. Pod zabudową miejską posiadali 25.500 dziesięcin, a w ziemskim majątku 3.500 dziesięcin. w/g spisu z 1911 roku.

Rodzina Szachno posiadała 4.600 dziesięcin w dwu majątkach łącznie.

Wspomnieć wypada, że dużo było w Łatgalii małżeństw mieszanych polsko-łotewskich, polsko-niemieckich, polsko-rosyjskich. Cóż, narodowości te żyły obok siebie od wieków, na ogół w dobrosąsiedzkich stosunkach, bez nacjonalistycznych zadrażnień. Jeśli głowa rodziny była narodowości polskiej, to cała rodzina uznawana była za polską. Dopiero w czasie dyktatury Karla Ulmanisa t.j. od roku 1934, sytuacja rodzin mieszanych uległa zmianie w kierunku przeciwnym. Jeśli którekolwiek z małżonków było narodowości łotewskiej, to cała rodzina uważana była za łotewską i dzieci musiały uczęszczać do szkół łotewskich. Przymusowe przenoszenie dzieci z polskich szkół do łotewskich, było prawdziwym dramatem dla malców, często nie znających języka łotewskiego.

Dla spożywania posiłków w ciepłe dni lata, pomiędzy kwietnikiem a bocznym skrzydłem domu, ustawiono na dwo-

rze stół. Tu zasiadała rodzina do wspólnych posiłków w południe i wieczorem. Szczególnie miłe były spożywane tu wieczerze, stanowiące odprężenie i wypoczynek po pracowitym dniu. Wówczas dzieci opowiadały o swoich zajęciach, pomocy domowej dorosłym, nauce i zabawach. Ojciec referował stan robót polowych, swoje plany gospodarcze i osiągnięcia w Towarzystwie Rolniczym. Adzia natomiast zwierzała się ze swych trosk domowych, a na koniec, na zwykłą prośbę dzieci o wspomnienia, opowiadała a to o Warszawie, tamtejszych teatrach, parku w Łazienkach z pływającymi na stawie łabędziami, o pomnikach, uczelniach, o życiu w stolicy i jej mieszkańcach. Innym razem o Krakowie z czasu studiów jej i wuja Bronka, lub o dramatycznych przeżyciach wygnania do Rosji. Snuły się te opowieści zawsze chciwie słuchane przez dzieci, u których w ten sposób tworzyła się więź z krajem ojczystym mamy, jej rodziną w dalekiej Polsce i świadomość własnej do niej przynależności. W te wieczorne rozmowy mieszały się głosy przyrody i wiejskiej krzątaniiny. Skrzyp studzienny, porykiwanie bydła spędzanego z pastwiska do obory, klekot bocianów zlatujących do gniazda na świronie, kumkanie żab znad jeziora i swawolne śpiewki dolatujące od Kaziemierówki:

"Żeń się żeń Wurcelu
Diabeł ciebie zwiąże,
A mnie młodą jak jagoda
Weźmie jaki książe... "

Od kwietnika snuła się odurzająca woń konwalii, goździków, a ku końcu lata maciejki i floksów. Stopniowo cichły wszystkie głosy. W zapadającym zmierzchu, kwitnace krzewy jaśminów majaczyły jeszcze jasną plamą, a okna domu rozświetlał od wewnątrz łagodny blask naftowych lamp zapalanych przez ciocię Teklę. Czas na spoczynek.

Jednak czerwcowe noce nie sprzyjały spoczynkowi.

Odczuwała to zwłaszcza Adzia, nieprzywykła do takich zjawisk. Kazimierz z nimi oswojony, zasypiał zasłużonym snem spracowanego człowieka. Dzieci, jeszcze nie wrażliwe, spały smacznie, ale Adzia kręciła się niespokojnie po mieszkaniu, zwlekała z położeniem do łóżka, a gdy już leżała, sen nie przychodził. Wprawdzie słońce dawno już zaszło, jednak na dworze nadal jest widno. Wstawała, podchodziła do okna, to znów kładła się, by wreszcie przed świtem usnąć na krótko. Kazimierz opowiadał, że na północy Rosji tak zwane "białe noce" trwają od końca maja do połowy lipca i są jeszcze bardziej widne, a w okolicach polarnych słońce w ogóle nie zachodzi, lub tylko na krótko.

Święta Bożego Narodzenia 1931 roku były szczególnie radosne u Kazimierzostwa. Powiększyła się rodzina i to od razu o dwoje nowych członków. Adzia 5 grudnia urodziła bliźnięta, córeczkę i synka. W drugi dzień świąt ochrzczono dzieci w kościele parafialnym w Ruszony. Zima była ostra, wiał lodowaty wiatr, więc rodzice opatulili swe dwudziesto-dniowe maleństwa. Na chrzcie nadano im imiona Wanda i Zbigniew.

Starsze rodzeństwo ogromnie przejęte powiększeniem rodziny, z zachwytem skupiało się przy kołysce, wpatrzona w maleństwa. Co chwilę któreś przybiegało do zajętej matki z komunikatem:

- Mamusiu Wandzia się uśmiecha !
- Zbysiu wymiotował !
- Siostrzyczka płacze !

Adzi przybyło moc pracy z karmieniem, praniem pieluszek, przewijaniem maleństw, kąpaniem, usypianiem, tuleniem płaczących i t.p. zajęciami dyktowanymi potrzebą pielęgnacji niemowląt i porywami matczynego serca. Kazimierz cieszył się dziećmi i kochał je wszystkie. Jeśli tylko był w domu, chwilowo wolny od zajęć gospodarskich i społecznej pracy, chętnie pomagał żonie, zajmował się dziećmi i okazywał Adzi wdzięczność za nie.

Z Hurczyn od Bronka i Izy nadeszły pocztą gratulacje i ciepłe życzenia dla obojga rodziców i całej rodziny, z okazji świąt i urodzin. Również Kazia Wysocka nadesłała obszerny list, który prócz życzeń zawierał relację z własnych obserwacji życia Bronisławowstwa. Pisała, że często się widują i bywają u siebie, że dom w Hurczynach jest zadbany, młoda żony bardzo się oń stara, a na wiosnę spodziewa się rozwiązania. Broniek jest prawdziwie szczęśliwy.

Oczywiście z gratulacjami i życzeniami przyszła sąsiadka Marysia, stryjeczna siostra Kazimierza, a chrzestna matka Alinki. Opowiadała o bracie Bolesławie, który od czasu do czasu pisuje. Pracuje w Białowieży, jest inspektorem tamtejszej Dyrekcji Lasów Państwowych. Powodzi mu się dobrze i jest bardzo zadowolony z pracy. Mieszka w myśliwskim pałacyku.

Natomiast drugi brat Władysław mieszka w Krakowie, ożenił się z krakowianką Janiną Szpunar.



Władysław Błażewicz
syn Aleksandra

W świąteczny czas snuły się wspomnienia rodzinne o matce Marysi zmarłej przed dwoma laty, o siostrzyczce Bronisławie, której Marysia osobiście nawet nie pamięta, bo gdy miała za ledwie pięć lat, Bronia zmarła na gruźlicę w wieku trzydziestu lat. Okazało się, że Marysia miała jeszcze dwóch braci, na kilkanaście lat przed jej urodzeniem, jako że była ostatnim, najmłodszym dzieckiem Aleksandra. Tamci bracia, podobnie jak Bronia, byli z pierwszego małżeństwa. Aleksander zmarł nie dożywając nawet roku, Mieczysław dożył dwu i pół lat.

Z kolei Adzia i Kazimierz opowiadali o Pawle i jego rodzinie. Słuchały pilnie tych wieści ciocia Tekla o bracie i Marysia o bracie stryjecznym. O ich losach wojennych, powrocie do Polski, pracy na stanowisku lekarza weterynarii, o jego miłych córeczkach i mieszkaniu w Mińsku Mazowieckim. Paweł poza pracą zawodową działał społecznie. Był członkiem Koła aktorskiego i amatorskiego chóru, a ostatnio, jak pisał, został prezesem Towarzystwa Obrony Kresów Zachodnich. Jest bardzo lubianym i szanowanym w tamtejszym środowisku.

Kiedą Alinka zwana w rodzinie Lalą miała sześć latek, połknęła metalową sprzączkę. Ela przestraszona przybiegła z wiadomością do mamy pielącej grzędę w warzywniku. Obie pobięły do domu, gdzie zastały Lalę płaczącą ze strachu. Natychmiast posłano po ojca na pole i oboje rodzice z dzieckiem pojechali najbliższym pociągiem do lekarza w Dyneburgu. Ten wysłuchawszy relacji, polecił zawieźć dziecko do Rygi, na operacyjne usunięcie połkniętej sprzączki, bowiem jak orzekł, może pokaleczyć jelita lub utkwii w wyrostu robaczkowym. Strapieni rodzice powrócili z dzieckiem do domu. Przerażała ich diagnoza lekarza i perspektywa operacji. Energična matka nie poddaje się, szukając innych sposobów ratunku. Karmi dziecko kleikami, w nadziei, że uchronią od skaleczenia jelit i śle do Hurczyn telegram do Bronka.

Tak od dzieciństwa przywykła do jego opieki i pomocy, że nadal dzieliła się z nim swoimi radościami i troskami. Po kilku dniach nadeszła ekspresowa przesyłka - zalakowana spora butelka wody cudownej z Lourdes, zawinięta grubo w watę, by się nie stłukła. W tekturowym pudełku, pod butelką, załączony był list serdeczny, współczujący, w którym kochany Broniu informował, że użycie cudownej wody polecił mu zacny proboszcz, a Kazia odstąpiła ze swego zapasu. Oboje obiecali modlitwę o pomoc dla dziecka.

Strapieni rodzice uchwycili się tej nadziei. Dziecku podawano cudowną wodę do picia, a cała rodzina odmawiała głośno różaniec. Adzia prócz kleików, dawała dziecku rozgotowaną papkę ziemniaczaną i kluskę z mąki. Czas płynął w napięciu i modlitwie. Trzeciego dnia, sprzączka wyszła drogą naturalną. Znowu popłynęły modły, tym razem dziękczynne do Bożej Matki Uzdrawicielki, a do Hurczyn i Walickowszczyzny serdeczne podziękowania za okazaną pomoc.

W salonie, w wielkich oszklonych szafach stojących pod ścianami, zgromadzone były na półkach księgozbiory. Książki duże i małe, opasłe tomy i cienkie broszury, czasopisma. Jedne pyszniły się bogatą, ozdobną oprawą z tłoczonymi napisami, inne skromne, przyodziane w szare płótno, lub nawet kartonowe cienkie okładki. Wszystkie kryły w sobie wiadomości o świecie, o dziejach ludzkości i narodów, o sławnych ludziach i wielkich wydarzeniach, a także pamiętniki, wiersze i pieśni. W oczach dzieci zbiory te stanowiły wielką tajemnicę. Były także wydawnictwa dotyczące gospodarstwa wiejskiego.

Ojciec i mama wybierali z tego bogatego zbioru takie, które były zrozumiałe dla dzieci i odbywało się głośne czytanie. W dni świąteczne, a jesienią i zimą gdy ukończono polowe prace gospodarskie, także w dni powszednie, Adzia lub Kazimierz, z książką w ręku siadali

na kanapie, a obok po obu stronach dziatwa. Najmłodsze na kolanach drugiego rodzica, lub u jego stóp z jakąś zabawką w ręku. Często Adzia oile sama nie czytała, słuchała wraz z dziećmi, równocześnie robiąc na drutach sweterki, pończoszki, czapeczki, szaliki.

I tak dzieci poznawały historię swojej nieznanej ojczyzny, uczyły się miłości ku niej i rosła w nich więź serdeczna z Polską, tą odlęglą i wysnioną. Edukacja zaczynała się od oglądania ilustracji: królów w bogatych szatach i koronach na głowach, wielkich bitew o wolność, tych zwycięskich i przegranych, po których bohaterowie jak na obrazie Grttgera szli na zesłanie. Krajobrazów polskich malowanych pędzlem Ruszczyca, Chełmońskiego, Fałata, Gersona i innych pejzażystów. Wszystkie obrazy były objaśniane przez tatę i opatrywane odpowiednim komentarzem. Później przyszła kolej na czytanie tekstów. Najpierw były to wiersze patriotyczne i religijne, jak:

Kto ty jesteś ?

Polak mały.

Jaki znak twój ?

Orzeł biały...

albo: W Imię Ojca-Boga, Syna
 I Świętego Ducha -
 Mała modli się dziecina
 A Pan Bóg jej słucha...

Lub pouczające słowami Wincentego Pola:

Z B^ogiem, z Bogiem każda praca !

Tak mawiali starzy.

Kiedy wezwiesz tej pomocy,

Wszystko ci się zdarzy.

Idziesz w pole, masz siało zboże,

Z Bogiem zacznij pracę,

Bóg powiedział: "Ręk dokładaj,

Ja cię ubogacę !"

I nie były to tylko słowa. Dzieci widziały ojca klękającego na roli i żegnającego się przed rozpoczęciem siewów. Tak nauka życia czerpana była i z literatury i z przykładu rodziców.

Aż przyszedł czas na czytanie powieści Konopnickiej, Sienkiewicza, Rodziewiczówny, o bohaterach powieściowych i historycznych. Tato wyjmował z biblioteki Trylogię, albo biografie Emilii Plater, Kościuszki, czy Romualda Traugutta, opracowane przez Bolesława Limanowskiego, który, jak później dowiedziały się dzieci w latach młodzieńczych, pochodził z Łotwy, z majątku Pogórze/Zamkołny/, nad prawym brzegiem Dźwiny, w powiecie łucyńskim. Był patriotą polskim, zesłanym przez cara do Archangielska, za manifestację w 1861 roku. W wolnej już Polsce był senatorem. Jako historyk, socjolog i publicysta, w swoich pracach zawsze powracał do tematyki narodowościowej i społecznej w dawnych Inflantach. Był rzecznikiem idei federalizmu polsko-łotewsko-białoruskiego, jako wolnych, demokratycznych narodów.

Jak dobrze było w ciepłej izbie, przy buzującym w piecu ogniu, gdy na dworze zamieć śnieżna, słuchać jak Skrzetuski przekradał się z obłożonego Zbaraża, a pan Wołodyjowski pojedynkował się z Kmicicem. O powstańcach styczniowych, którzy kryjąc się po lasach, wypadali na konwoje i załogi Moskali...

A nocami śniły się dzieciom bitwy pod Kircholmem, lub obrona Częstochowy. Bywało, że rodzice musieli wstawiać by uspokajać swoje pociechy. A w dzień, strugały dzieci drewniany oręż i odgrywały historyczne postaci i bitwy. Ela z Alinką sprzeczały się, która z nich będzie Emilią Plater, Dzidzius nie mając konkurencji, raz był Piotrem Wysockim, to znów Kościuszką. Małe bliźnięta wołały opowieści "O krasnoludkach i sierotce Marysi", które z nutą lekceważenia starsze rodzeństwo nazywało bajdami. Równie gorliwie wychowywano dzieci pod względem reli-

gijnym. Rodzice uczyli śpiewania polskich kolęd i innych pieśni nabożnych, wielkopostnych, wielkanocnych i majowych do Marii Panny. Adzia opowiadała dzieciom o życiu świętych i Świętej Rodziny, czytano Pismo święte, a codziennym obyczajem była wspólna rodziców i dzieci modlitwa poranna i wieczorna, przed i po posiłku, Anioł Pański w południe. W niedzielę zawsze jeżdżono bryczką na Mszę Świętą do parafialnego kościoła lub do Jasmyż, gdzie był mały kościółek obsługiwany przez księdza Juszeko, a 15 VIII na odpust do Agłony. Tam tłumnie zjeżdżali wierni z całego kraju do słynnego sanktuarium. Bywało, że na skutek silnych mrozów, wiatrów, czy pluchy, Adzia wzbraniała się jechać do kościoła, głównie ze względu na dzieci. Ojciec jednak bez względu na warunki atmosferyczne, zawsze, choćby sam, jechał do kościoła w niedzielę, a czasem, gdy gospodarskie prace nie nagliły, bywało, że i w dzień powszedni. Zawsze miał przy sobie różaniec w kieszeni, o czym dzieci wiedziały. Mówił, że dała mu go matka gdy szedł na wojnę i odtąd stale go nosi i odmawia. A że był usposobienia bardzo spokojnego i małomówny, Adzia czasem żartowała z niego mówiąc - Ty nadawałbyś się na mnicha !



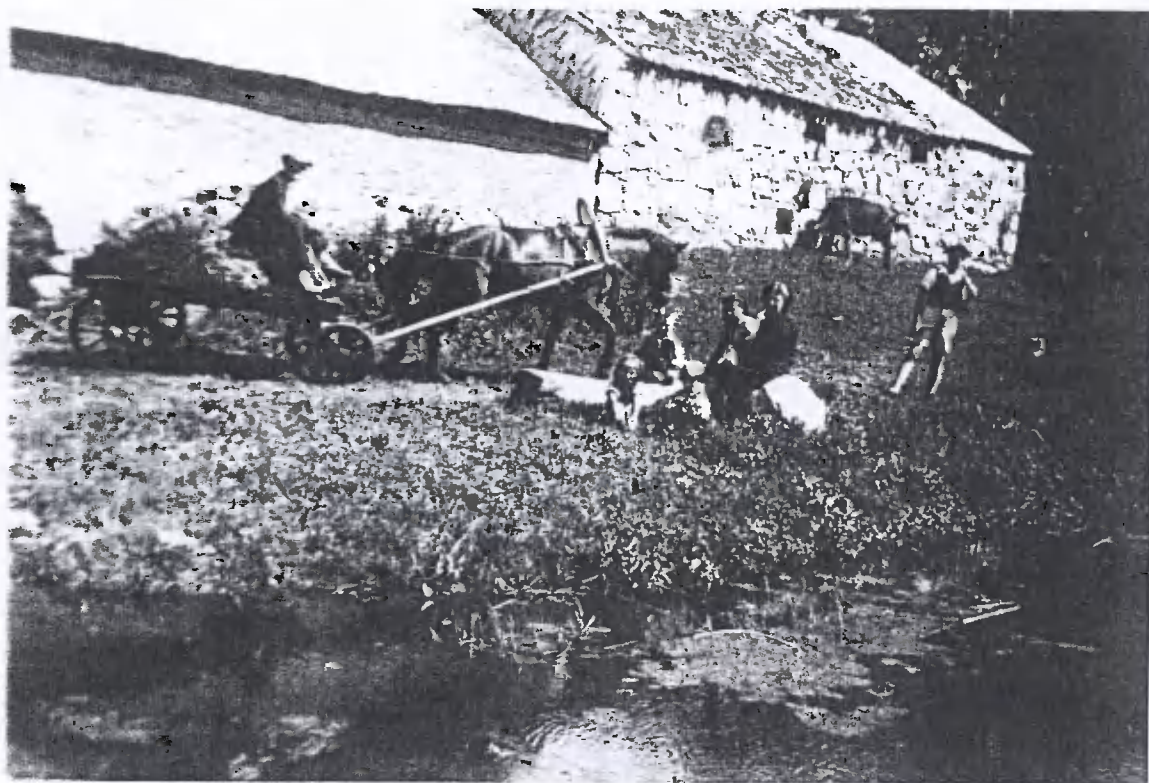
Kazimierz Trzaska-Błażewicz, syn Kazimierza

Nikt do końca nie jest panem swego losu i nie da się przewidzieć kiedy i z której strony grom uderzy. Pogodną atmosferę rodzinnego domu zmaćił tragiczny wypadek. Zginął drugi syn cioci Tekli, 21-letni Jerzy. W czasie żniw, po znojnym dniu, poszedł wieczorem wykapać się w jeziorze. Nikt w domu o tym nie wiedział, ale gdy zauważono jego brak przy wieczornym posiłku, zaczęto się niepokoić. No ale młody, może poszedł gdzieś z kolegami...

Gdy nie zjawił się do rana, zaczęto go szukać. Kazimierz wraz z Szyszłą obeszli okoliczne majątki i osiedla rozpytując mieszkańców. Nikt Jurka nie widział. Na drugi dzień przybiegł z Wygody wysłany służący z wiadomością, że na Sołce pływają jakieś zwłoki topielca. Ciocia Tekla porażona tą wiadomością padła na kolana w swoim pokoju, kryjąc twarz w dłoniach. Jej serce matczyne odgadło. Kazimierz niezwłocznie udał się do Wiścickich i z pomocą służby, z łódki pożyczonej w majątku, wyłowili topielca. Ciało było sine i wzdęte. Na brzegu jeziora znaleźnno zrzucone ubranie. Powiadomiony wójt, wezwał przedstawiciela policji i lekarza sądowego, którzy przybyli dla stwierdzenia zgonu i identyfikacji. Dopiero po spisaniu protokołu zezwolili zabrać zwłoki. Nastął przygnębiający czas żałoby. Kobiety krzątały się zapłakane, myjąc i ubierając zmarłego. Kazimierz pojechał po trumnę i omówił z księdzem sprawę pgrzebu. Ponieważ czas był letni i ciało zaczynało się rozkładać, na następny dzień odprawiono pochówek na Sołce, obok grobu młodszego brata Czesława. Dzieci przejęte tragedią były zasępione i popłakiwały, odeszła je wszelka chęć zabawy. Jak spłoszone pisklęta siedziały razem, mało się odzywając i tylko szeptem. Biedna ciocia Tekla zamknęła się ze swym bólem w pokoju, z którego do wieczora nie wyszła, a rano dnia następnego, wraz z Kazimierzem, pierwsze kroki skierowali ku świeżej mogile. Adzia musiała zastąpić oboje w pracach gospodarskich, uspokai-

jać dzieci i sama popłakując, pocieszała jak umiała szwagierkę. Ucichł, przygasł dom rodzinny w Jawdziemach. Ale czas płynął nieubłaganie. Codzienne zajęcia i troski stopniowo przytępiały nastrój żałoby. Tylko ciocia częściej teraz wymykała się z domu na cmentarz i tam wypłakiwała swój żal, w domu zachowując spokojną twarz.

Dzidzius liczył już dziesięć lat i kończył czwartą klasę, gdy rodzice doszli do wniosku, że trzeba go stopniowo wdrażać w arkana gospodarki wiejskiej, jako przyszłego po ojcu następcę. Czas wakacji temu sprzyjał i ojciec po prostu zabierał go z sobą do różnych zajęć w polu i w obejściu. Nie nastrezczało to trudności



Rodzina przy pracy, na tle budynku dawnej krochmalni.

bo byli obaj bardzo z sobą zaprzyjaźnieni, a własny udział w pracach ojca imponował synowi.

Na wprost głównego wejścia do dworu, znajdował się gabinet ojca, zwany pokojem radiowym, ze względu na baterijny odbiornik ustawiony pod oknem na specjalnym stoliku. W tym pokoju ojciec prowadził wszelkie gospodarskie rachunki i rozliczenia, a pamiętać trzeba, że majątek obciążony był pożyczką bankową. Tu gromadził wszelkie dokumenty, prowadził swoje notatki i gospodarskie kalkulacje w oparciu o aktualne ceny rynkowe. Bywało, że wykonywał też częściowo swoje społeczne obowiązki, przywożąc z Dyneburga protokoły posiedzeń, redagując pisma i korespondencję z członkami PTR.

Dzidzius niejednokrotnie uczestniczył w tych zajęciach ojca w charakterze obserwatora. Ojciec go nie odpędzał, nie kazał siedzieć cicho, ale rad objaśniał synowi swoje czynności, a na koniec, w nagrodę za jego cierpliwość, wyjmował z szafy bibliotecznej albumy filatelistyczne i wspólnie oglądali znaczki pocztowe różnych krajów, zebrane w ilości około piętnastu tysięcy. Objasniał na czym polega wartość szczególnie cennych. Chłopiec już rozumiał, że dziecinne kryteria oceny według wielkości, barwy czy rysunku znaczka nie mają tu miejsca, lecz decyduje np. przedruk, mała edycja wydań okolicznościowych, błędy drukarskie it. p. Często wspólnie z pomocą katalogów wklejali nowe nabytki. Studiowanie znaczków zawsze odbywało się z równoczesnym zaglądaniem do atlasu świata, dla odszukania danego państwa. W ten sposób poszerzało się równocześnie wiedzę geograficzną. Albo zasiadali do partii szachów. Malec był pojętnym i szybko opanował zasady gry, tak że już wkrótce obaj czuli się jak prawdziwi partnerzy. Początkowo ojciec celowo pozwalał zadać sobie mata, ale stopniowo co raz bardziej musiał się strzec syna. Ileż było radości gdy ograł ojca, ile opowiadania potem przy wieczerzy...

- Adziu, udał się nam syn ! mawiał Kazimierz.

W latach trzydziestych, wśród wielu wspomnianych organizacji polskich na Łotwie, powstawały również organizacje młodzieżowe, jak: Związek Młodzieży Polskiej, Związek Polskiej Młodzieży Katolickiej, kluby sportowe i Związek Harcerstwa Polskiego, zresztą współpracujące z sobą. Drużyny harcerskie powstawały kolejno w Dyneburgu, Rydze, Krasławiu, Iłukszcie, Rzeżycy, Lipawie. Założeniem programowym harcerstwa było wychowanie polskiej młodzieży rzetelnej, karnej, przenikniętej duchem narodowym, patriotycznym, miłującej Boga i Ojczyznę. Młodzież garnęła się chętnie do powstających co raz to nowych drużyn męskich i żeńskich.

Majątek Błażewiczów stał się tradycyjnym miejscem corocznych, wakacyjnych obozów harcerskich. Za dworem, na tak zwanej Górcie, pod lasem na polanie, już w ostatnich dniach czerwca, lub na początku lipca, pojawiały się namioty, otoczone wraz z polaną sznurem na słupkach, wyznaczającym granicę obozu. Z żerdzi budowali harcerze bramę wejściową, na której zwieńczeniu u góry umieszczona była drewniana tabliczka z wypaloną lilijką, a pod nią numer i nazwa drużyny aktualnie obozującej. Przy bramie stał wartownik z długą laską harcerską, ozdobioną proporczykiem drużyny. Rano, słychać było we dworze graną na trąbce pobudkę, a o zmroku wieczorny apel.

Błażewiczowie chętnie udostępniali harcerzom kawałek łąki na coroczne obozy. Kazimierz jako społecznik popierał wszelkie inicjatywy pro-polskie, a Adzia, pomna przynależności swego brata do harcerstwa i jego entuzjazmu dla tej organizacji, odnosiła się do niej z dużą sympatią. Obydwoje wraz z dziećmi bywali w obozie zapraszani na wieczorne ogniska, gdzie słuchali gawęd, oglądali występy artystyczne, słuchali śpiewu polskich pieśni patriotycznych i harcerskich. Szczególnie podniosły nastrój panował przy apelu, gdy w mroku wieczornym płonęło ognisko sypiąc skry, a wokół niego mło -

dzień zgromadzona w kręgu, w postawie na baczność, donośnie śpiewała modlitwę:

O Panie Boże - Ojczy nasz,
W opiece Swej nas miej.
Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,
Nam pomoc zawsze chciej.
Wszak Ciebie i Ojczyznę
Miłując chcemy żyć,
Harcerskim prawom w życia dniach
Wiernymi zawsze być.

A po modlitwie komenda: Spocznij, rozejść się !
Powoli zamierało obozowe życie. Jeszcze jakieś pojedyncze głosy, zmiana warty przy bramie, inspekcja w kuchni polowej i o zupełnym już mroku, rozbrzmiewał głos trąbki, niosąc się na pola i lasy, na jeziora i osiedla melodią do słów:

Idzie noc, słońce już
Zeszło z pól, zeszło z gór, zeszło z mórz,
W cichym śnie - spocznij już
Bóg jest tuż, Bóg jest tuż...

Trzykrotnie powtarzany hejnał, co raz ciszej, zamierał wraz z odchodzącym dniem i zalegała głęboka, rozmodlona i zadumana cisza nocy.

Oczywiście harcerze nieśli pomoc okolicznej ludności, czy to ściągając do siebie młodzież dla edukacji patriotycznej, czy pomagając osobom samotnym, starcom, niepełnym. U Błażewiczów zawsze pomagali przy żniwach, wnosząc swoją pracę i radość młodzieńczą.

Dzidzius był zachwycony życiem harcerskim i obozowym. Gdy tylko był wolnym od zajęć, wymykał się do harcerzy i albo dyskretnie obserwował obóz z za drzew, albo zde-maskowany, włączany był z życzliwym śmiechem do prac obozowych i ćwiczeń, jako pupilek. Gdy w domu nie znajdowano chłopca, wiadomo było gdzie go szukać. Nie skończyło się na zachwytach. Po kilku latach został harce-

rzem w 40 drużynie rzeżyckiej.

W roku 1934, 14 lutego, Jawdziemy zyskały nowego mieszkańca - córkę Kazimierza i Adolfiny, której dano na chrzcie imię Krystyna. Tak więc zaokrąglono liczbę potomstwa do sześciorga. Adzia była dumną ze swej gromadki, czemu dawała wyraz w korespondencji z bratem. Znow nastąpiły niedospane noce, życie domowe zostało podporządkowane najmłodszej Błażewiczówniej. Starsze dzieci niejednokrotnie trzeba było uciszać, by nie mąciły spokojnego snu malutkiej. Potrzeby reszty rodziny schodziły chwilowo z konieczności na plan dalszy. Nikt jednak nie żywił pretensji. Rodzina była zżyta i kochająca się wzajemnie.

W tym samym roku przybyła Błażewiczom jeszcze jedna córka - przybrana, trzyletnia Wala. A stało się to tak: Pewnego dnia zjawił się znajomy z okolicy, z którym utrzymywano stosunki mimo, że był Niemcem. Był jednak solidnym człowiekiem, inteligentnym, mówiącym po polsku. Posiadał niewielki majątek ziemski. Żonę jego czasowo przebywała w Ameryce i właśnie miała powrócić. Otóż przybył do Błażewiczów z dzieckiem na ręku. Jak się okazało w rozmowie jaką odbył przy zamkniętych drzwiach z Adzią i Kazimierzem, dziewczynka była jego nieślubnym dzieckiem z przygody z Białorusinką, pod nieobecność żony. Biologiczna matka przyniosła mu odchowane już dziecko, zarejestrowane w urzędzie na nazwisko matki Żur - kiewicz i pozostawiła jego opiece. Zafrasowany tym faktem, zwłaszcza wobec spodziewanego powrotu żony, błagał Błażewiczów by przyjęli córkę do siebie i chowali jak swoją. Trudno było podjąć decyzję, mając sześcioro dzieci własnych, w tym liczącą zaledwie kilka miesięcy Krystynkę, troje dzieci w szkołach i majątek obarczony długiem, co zmuszało do oszczędnego życia. Przeważała jednak dobroć obojga małżonków i wrażliwość, a przede wszystkim wzgląd na los samego dziecka,

które matka porzuciła, ojciec nie chciał, a żona jego prawdopodobnie zgotowałaby i dziecku i ojcu los nie do pozazdroszczenia. Tak więc mała Walentynka została w Jawdziemach, jako siódme dziecko, nieświadome swego pochodzenia i nie znające ojca. Otoczone troskliwą opieką i serdecznością uznało za własną nową rodzinę. Później, w czasie drugiej wojny światowej, w 1944 roku, gdy Łotwę zajmowali sowieci, ojciec zgłosił się po córkę, zabrał z sobą i wyjechali do Niemiec. Żyli we dwoje, bowiem żona go porzuciła. W końcu Wala wyszła za mąż. Dopiero z zapisu testamentowego, przyznającego jej własność ziemską na Łotwie, dowiedziała się, że ten pan, jak o nim mówiła, to jej ojciec.

Ten rok obfitował w wydarzenia. Marynia Błażewicz szła kawała się do wyjazdu na stałe do Polski. Ubędzie jeden członek rodziny, a dom po stryju Aleksandrze zajmą obcy. Marynia, 40-letnia panna wychodziła za mąż, za prawnika Artura Szczukę z Warszawy. Wyjazd planowany był zaraz z początkiem przyszłego roku. Mieszkanie już urządzone czekało w stolicy przy ulicy Grottgera. Adzia z Marynią prowadziły długie rozmowy o Warszawie i życiu w stolicy. Ślub miał być zawarty już w Polsce. Przykrą była myśl o rozstaniu. Marynia obiecywała często pisać do rodziny, ale wiadomo jak to jest, gdy się zostanie młodą mężatką, w nowym mieszkaniu, w którym trzeba zorganizować życie rodzinne i do tego w nieznanym kraju. I rzeczywiście, dopiero latem 1935 roku nadszedł od Maryni pierwszy list, z przeprosinami za długie milczenie, relacjami z jej wrastania w warszawską społeczność i o pracy męża, który przyjął zaproponowane mu przedstawicielstwo na Polskę pewnej kanadyjskiej firmy.

Prawie równocześnie nadszedł list z Krakowa od brata Maryni, Władysława, z radosną wiadomością o narodzinach syna, któremu dano na imię Olgierd.

4 marca Kazimierz obchodził imieniny. Jakkolwiek żył w przyjaźni z sąsiedztwem i był powszechnie szanowanym, sam nie przepadał za licznymi zgromadzeniami towarzyskimi. Choć udzielał się społecznie i miał szerokie kontakty, wolał ciche życie w ściśle rodzinnym gronie. Jednak chciał czy nie, na jego imieniny licznie zjeżdżali sąsiedzi i znajomi, by mu okazać swoją sympatię i szacunek. Bywało, że zanim powrócił z rodziną ze Mszy w kościele, już przybywali pierwsi goście, których tymczasem przyjmowała ciocia Tekla. Po powrocie Adzia przejmowała obowiązki gospodyni, a Kazimierz bawił gości przybyłych i przybywających. Spotkania trwały zwykle do godzin wieczornych. Adzia towarzyska i pogodna z natury, była w swoim żywiole. Ona też już wcześniej opracowywała z dziećmi ich występy deklamatorskie, śpiewacze i muzyczne. Helenka grała na gitarze, akompaniując śpiewającą Lali. Bliźnięta z Krystynką i Wala, odpowiednio ucharakteryzowane odgrywały różne scenki humorystyczne. Często włączała się do śpiewu mama swym pięknym głosem, a za nią reszta towarzystwa chórem. I płynęły piosenki i pieśni, jak wileńska "Rosła Kalina", lub ulubiona Adzi :

Za Niemen, za Niemen
I po cóż za Niemen -
Czy świat tam piękniejszy...

strofy tej rzewnej kresowej pieśni zawsze przejmowały jakąś nutą tęsknoty.

Wznoszono od czasu do czasu toasty: Za Solenizanta, za dom Błażewiczów, za Drogich Gości, za przyjaźń, za Kraj Ojczysty... Tu obowiązki pełnił pan domu pospołu z synem, również solenizantem, napełniając kielichy odstałym domowym winem. Snuły się także wspomnienia minionych lat, dyskutowano o przyszłości, o sposobach wzmacniania więzi wśród Polonii, formowano prognozy wydarzeń światowych i troskano się wokół codziennych problemów gospodarskich. Niezależnie od solenizantów, Adzia ogólnie lu-

biana i szanowana za jej gościnność, życzliwość, pogodę, serdeczność i pomoc medyczną świadczoną w okolicy, w towarzystwie była także adorowana. Razu pewnego, a może to było w dniu jej imienin, sąsiad Salcewicz publicznie przyklęknął przed nią ofiarowując ogromny bukiet czerwonych róż "Najpiękniejszej z Pań".

Oczytywano też gościom fragmenty licznie nadesłanej z Polski korespondencji, od rodziny solenizantów: Pawła i żony Janiny, ich córek Ireny i Zofii, od Bolesława z Puszczy Białowieskiej i Władysława z Krakowa, w latach późniejszych także od Maryni z Warszawy. Ze strony Adzi od Bronka i Izy z Hurczyn, od Miecia Federowskiego i jego mamy Stefanii, od Dolka i Maryni z Kwarter, Szczęska Żegockiego i z Walickowszczyzny od Kazi i jej dzieci. Wieści z Polski, nawet od nieznanymi osób zawsze były chętnie słuchane.

Nad wieczorem zaczynało się rozjeżdżać. Marcowe drogi jeszcze zaśnieżone, miejscami już rozmiękłe, nie dozwala-



Marcowa droga przez las w Łatgalii

lały szybkiej jazdy. Najpierw zbierali się dalsi sąsiedzi, Próchnikowie z Birż, Jadzia Kołkupajło z Ratuszek, krewna osiadłych na Białorusi sąsiadów Andrzejkowiczów, Aleksandrowiczowie z Grociszek, Linkiewiczowie, koledzy i współpracownicy Kazimierza z zarządu P.T.R. Władysław Pers - działacz polonijny zaprzyjaźniony z Kazimierzostwem, który często ich odwiedzał. Po nich Mikłaszewiczowie, ksiądz Juszek z Szadurskimi, Oskierko, Łabuńscy, na końcu Salcewiczowie i Wiścicy. Pozostawała panna Isia, starsza pani, niezamężna, zamieszkała w Somerset, która zimową porą przyjeżdżała do Jawdziem na pewien czas, by szyć dzieciom ubrania. Była bardzo religijna i pracowała przy kościele Matki Bożej w Agłonie. Przybywając przywoziła dzieciom nabożne książeczki, różańce, obrazki, medaliki. Opowiadała żywoty świętych i uczyła modlitw.

Podobnie miło i serdecznie obchodzono imieniny Adzi, a i w okresie świąt Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia nie brakło miłych i zacnych sąsiadów i przyjaciół w gościnnym dworku Kazimierzostwa, których oni z kolei rewizytowali.

Dzień powszedni na gospodarstwie wypełniony zajęciami od wczesnego rana do zmierzchu, podobny jeden do drugiego, zdawać się może współczesnym mieszczanom udręką i monotonią. A przecież, praca na roli i wiejski tryb życia sprzyjają tworzeniu więzi rodzinnej i przywiązania do ziemi i gospodarstwa, do rodzinnego gniazda, którego pamięć pozostaje na całe życie, za którym tęskni się pozostając od niego z dala.

Ze świtem Kazimierz udawał się do obory, gdzie przyjaznym pomrukiem witało go bydło. Zadając mu karmę i pojąc, każdą sztukę przyjaźnie gładził po grzbiecie przemawiając do niej. Za chwilę kobiety z Kazimierówki rozpoczną poranne dojenie. Teraz czas do owczarni. Becze-

niem stado wita wchodzącego gospodarza. W tym czasie Kazik z powagą wyprowadza ze stajni konie i poi w korycie przy studni. Głośno koniki ssą wodę cedząc przez zęby. Ojciec podchodzi by osobiście obejrzyć ich nogi. Kolejno każdemu ogląda kopyta, jednemu przycinając róg, drugiemu wyskrobując strzałkę. Czas na czyszczenie z pomocą szczotki i zgrzebła. Równocześnie położnicy porządkują stajnię i oborę, wyrzucając nawóz do gnojownika i rozścielając świeżą ściółkę słomianą. Z chlewni dochodzi pochrząkiwanie i kwiki, tam karmią trzodę. Ela w otoczeniu drobiu, kur, kaczek i gęsi, sypie im ziarno, poidła napełnia wodą, do korytek zadaje tłuczone ziemniaki i kluskę z osypką. Jak Zosia z "Pa na Tadeusza" przekomarza się z nimi i nawołuje to swoje stadko.

W domu także ruch. Adzia poranny udój rozdziela - część ściowo do zagotowania, a część na zakwaszenie, część do odwirowania tłuszczu na masło, a maślankę do spożycia dla tuczników. Reszta mleka odstawiana jest do zlewni. Gospodyni skrupulatnie notuje codzienne dostawy, do rozliczenia należności na koniec miesiąca. Ciocia Tekla sporządza świetne sery, zlewając zakwaszone mleko do lnianych woreczków, zawieszanych na drągu w piwnicy, by serwatka z nich odciekła dla bydła, do podstawionych wiader. Wówczas w woreczkach pozostaje biała masa, już uformowana, gotowa do spożycia. Dzieci uwielbiały świeży ser na słodko z cukrem, lub na chlebie, lekko posolony. Gdy mama pracuje przy mleku i wyrobie masła, stukając ubijakiem w drewnianej maselnicy, Lala z Wandzią przygotowują dla wszystkich śniadanie, na stole zasłanym bielutkim obrusem. Mała Kryśka pieczołowicie podlewa doniczkowe kwiaty w domu, a Zbyszek z Walą, kwiaty i jarzyny w ogrodzie. Trzeba z tym spieszyć, zanim słońce przygrzeje. Wreszcie po osobistej toalecie, cała rodzina wspólnie klęka do porannego pacierza, a po nim siada wokół sto-

łu do posiłku. Jest to czas na pokrzepienie sił ciała i umocnienia rodzinnej wspólnoty. Na folwarku ruch. Konie zaprzęgają do wozów, owce pastuszka wyprowadza na paszę, a za nimi poważnie kroczą krowy, porykując i przeżuwając jeszcze suchą karmę. W ciągu dnia paść się będą na zielonych polankach wśród lasków.

Po śniadaniu dzieci odchodzą z błogosławieństwem rodziców do szkół, a w czas wakacji dziewczęta pomagają mamie w domu i ogrodzie, mężczyźni udają się na pola doglądać upraw lub uczestniczyć w zbiorach. Jakaż to pyszna zabawa wdrapać się wysoko na wóz pełen siana lub snopów zboża i jechać na nim do odryny. Ale udział młodzieńców nie polegał tylko na zabawie. Przewracali susząc wonne siano, lub ustawiali w mendle powiązane snopy zboża. Oczywiście kilkuletni Zbysiu, narazie jeszcze udaje pomoc, ale rwie się do niej. Bola przy tym ręce i grzbiet, a pot kroplisty ścieka po twarzy.

Nadchodzi czas południowego odpoczynku. Pod studnią zmywają kurz i pot. Jak wspaniale orzeźwia zgrzane cięło chłodna woda.

Znów wszyscy społem siadają przy stole, tym razem na dziedzińcu za domem, gdzie panuje jeszcze chłodny cień. Dopiero zachodzące słońce rzuci tu swoje światło, jak ostatnią pieśczętę dnia. Teraz dziatwa jedno przez drugie z zapałem opowiadają swoje przeżycia w szkole lub w pracy gospodarskiej. Adzia i Kazimierz słuchają spoglądając z miłością po swojej gromadce. Ciocia Tekla wtrąca uwagi własne i obserwacje. Wreszcie powstają by wspólnie zmówić modlitwę i zabierają się do zasłużonego posiłku.

Ileż bogatych wrażeń, cennych momentów wychowawczych i jednoczących tracą współczesne rodziny, których życie upływa w nieustannym pośpiechu i zajęciach niezsynchronizowanych, wskutek czego każdy spożywa posiłek pospiesznie, osobno, o różnych porach. Tu stanowił

on pokrzepienie sił, odprężenie, wypoczynek, bogatą wymianę wrażeń. Każdy słuchał każdego i wszyscy cieszyli się wzajemnie swoją obecnością.

Godziny popołudniowe, poza okresem zbiorów, ojciec poświęcał często pracy społecznej lub pasiece. Nie używał ochronnej siatki na twarz, a ni rękawic, jedynie podkurzał pszczoły dymem z drzewnych węgli. Pszczoły siadały na jego rękach nie żądając, bo żyły z nim w przyjaźni. Znały swego opiekuna. Wyjęte z uli ramki z miodem w woskowych plastrach, wędrowały do wirówki, którą zwykle Krysia z zapalonym wprawiła w ruch korbą, by gęsty, bursztynowo złocisty miód wyciekał z plastrów do naczynia. Później w chłodnej piwnicy przechowywany w kanach z wypalanej gliny, służyć będzie do posiłków, do wyrobu ciast, zwłaszcza pierników, a także w razie chorób, przeziębień, wypijany będzie z mlekiem i masłem. Nadmiar odstawiany był do stałych odbiorców w Dyneburgu.

Dzieci popołudniami odrabiały lekcje, pomagały w warzywniku pielęgnować rośliny, w domu odkurzały sprzęty, w sadzie zbierały owoce i pomagały mamie i cioci w ich przetwarzaniu na zimę. Po zajęciach biegły na pole krykietowe, gdzie dzieląc się na dwie drużyny, walczyły na punkty przeciw sobie, broniąc swych bramek rakietami przed uderzeniami piłki przeciwnika. To była pyszna zabawa, ćwicząca zręczność i mięśnie. Czasem do gry włączali się także rodzice.

Po wieczornym obrządku obory, stajni, owczarni, chlewu i kurników, jak zwykle połączonym z przyjazną pieszczotą inwentarza, następuje toaleta po znoju dnia i siadają wszyscy do stołu na dziedzińcu, jeśli dopisuje pogoda. Ciocia Tekla wspólnie z Adzią przygotowały już wieczorny posiłek, po którym toczą się swobodne rozmowy lub snują opowieści.

Zapada zmierzch. Okna domu rozświetlają światłem naftowych lamp. Kazimierzowie, ojciec i syn, w radiowym pokoju rozgrywają partię szachów. Dziewczęta z mamą haftu-

ją lub zwijają w motki uprzedzoną wełnę, cerują i naprawiają odzież, nucąc przy tym piosenki lub słuchając mamy opowieści. Kiedy w salonie stary zegar wybija godzinę dziewiątą, kończą się wszelkie zajęcia, nadchodzi czas spoczynku. Wspólną modlitwą cała rodzina dziękuje Bogu za miniony dzień, powierzając się Jego opiece na nadchodzącą noc. Jeszcze Kazimierzowie we dwóch spuszczaają z łańcuchów psy, sprawdzają zamknięcia wszystkich budynków i bram. W lipcu i sierpniu o tej porze, od harcerskiego obozu niesie się głos wieczornej pieśni granej na trąbce. W takich chwilach Dzidzius zamierał zasłuchany i rozmarzony.

Gasną w domu kolejne lampy i mrok nocy spowija całe obejście. Jutro ze świtem rozpocznie się nowy, pracowity dzień.

Już z rana zauważyła Adzia, że kury tarzają się w piasku - to wróżba na deszcz.

Kazimierz ruszył organizować zwózkę reszty zboża z pól. Zwijano się z robotą, obserwując niebo. Słońce przypieka, powietrze jakież ocieżałe, drzewa w bezruchu zastygłe. Czuje się jakież przytępienie w przyrodzie. Nawet ptaki nie śpiewają, jaskółki tylko śmigają nisko koszącym lotem. Ludzie złani potem ładują na wozy ostatnie snopy zboża. Z lasu nadleciało stado wron, z wrzaskiem kołujących niespokojnie i zaraz w tę zastygłą martwość nadciągnął pierwszy powiew wiatru, wzbijając na drodze tumany kurzu. Nad polem wirują porwane ze ścierniska pojedyncze pozostałe źdźbła. Od lasu ciągną ciemne chmury. Słońce zgasło zakryte i pociemniało na dworze. Słychać już z oddali szum potężnej ulewy. Właśnie spadły pierwsze duże krople deszczu. Błysnęło zygzakiem i przetoczył się długo niemilkący grzmot. Już siecze deszcz, z chwili na chwilę potężniejący w ulewę.

Adzia spędziła pod dach swoje pisklęta baraszkujące w sadzie. Zdjęła ze ściany zawieszony krzyż i obchodziła z nim dom, od okna do okna, żegnając żywioly. Przed obrazem Bożej Matki i Serca Jezusowego ustawiła zapaloną gromnicę. Bała się burzy. Dzieci spłoszone garną się do matki, więc zaczęli wspólnie odmawiać różaniec.

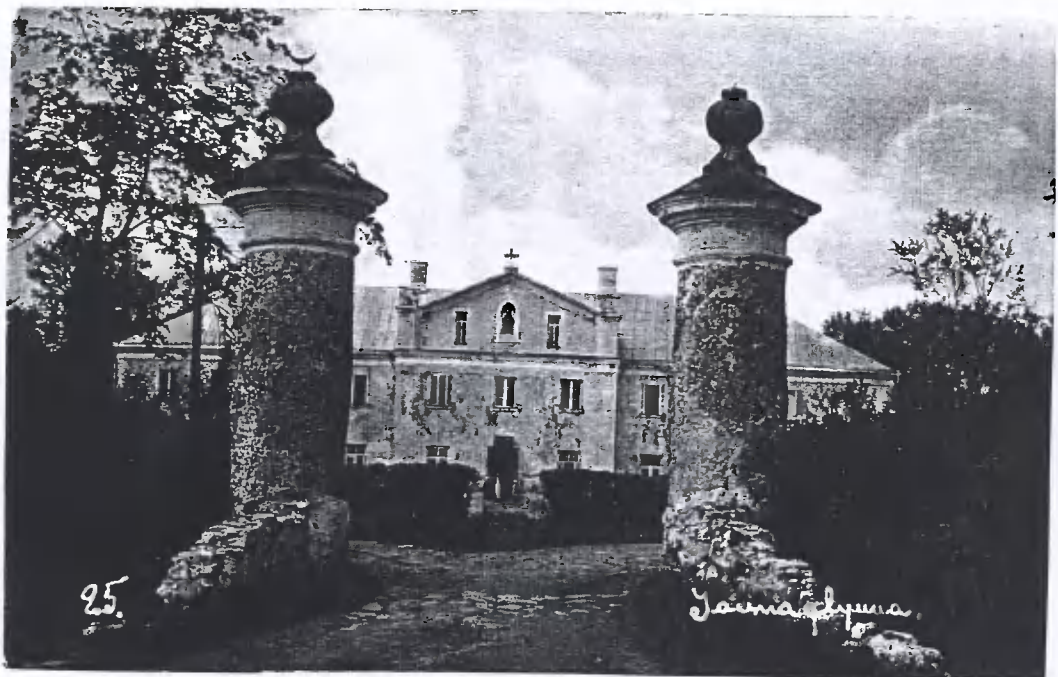
Właśnie na dziedziniec wjechały pospiesznie ostatnie wozy ze zbożem. Ludzie zmoknięci, jedni wyprzegają konie, drudzy ręcznie wtaczają do stodoły wozy. Kazimierz ociekający wodą wpadł do domu pozostawiając na podłodze mokre ślady.

A na dworze, raz za razem ciemności rozrywają błyskawice. Grzmoty bliższe i dalsze zlewają się w jeden przerażający huk. Od gościńca spływa woda najpierw strumykiem żłobiącym w ziemi bruzdę, potem potężniejącym z chwili na chwilę potokiem.

Jak gwałtownie madeszła ulewa, tak też raptownie ustała. Słychać jeszcze co raz dalej i słabiej, przetaczające

się gdzieś za horyzontem grzmoty. Jeszcze chmury odchodzące wyciskają resztki deszczu, a już na niebie od krańca do krańca rozpościera się łuk wielobarwnej tęczy. Przejaśnia się niebo. Na trawniku i grządkach, stulone kwiaty otwierają się do światła i słońca. Kury wychodzą ze swych schowków pod okapem i gankiem, otrząsają się z pyłu i deszczu i kroczą na dziedziniec by dziobać pojawiające się dżdżownice.

Pod kierunkiem domowego nauczyciela Dzidzius ukończył czwartą klasę, Lala trzecią. Dzieci uczyły się dobrze i chętnie. Problemem był język łotewski, przecież urzędowy, którego w domu nie używano. Znane były dzieciom pojedyncze wyrazy i popularne zwroty, ale do znajomości języka i posługiwania się nim, daleka była droga. Chcąc dalej się uczyć i zdobywać samodzielność, musiały władać językiem kraju w którym żyły. Bardzo korzystnym pod tym względem okazał się dla najstarszej córki roczny pobyt w szkole z internatem w Jaŋnagłonie/Jaunagluna/.



Jaŋnagłona - klasztor i szkoła

Dawniej, był to polski majątek zwany Kamieńcem. Tam właśnie stał ze swym oddziałem na kwaterze Kazimierz, kiedy poznali się z Adzią. Stamtąd przyjeżdżał konno co dnia do Somerset, do swej ukochanej "Wodnej Panny". Później zakonnice z Holandii i Belgii osiedliły się w dawnym majątku, rozbudowały go i otwały gimnazjum a także szkołę powszechną, dla okolicznej młodzieży z internatem. Tam Helenka nauczyła się dość swobodnie posługiwać językiem łotewskim, wobec czego rodzice urządzili posłać tam Dwidziusia i Lalę na jeden rok szkolny. Jak uradzono, wspólnie zresztą z zainteresowanymi dziećmi, tak wykonano. Dodatkowym atutem była bliskość klasztoru, od Jawdziem oddalonego zaledwie około 15 kilometrów. Można więc było czasem zabierać na niedzielę dzieci do domu, lub odwiedzać je w internacie. Oczywiście przy każdej takiej okazji Adzia wyciągała z domowych zapasów różne wiktuały i smakołyki, obdarzając nimi swoje pociechy.

Główny gościniec do klasztoru prowadził nad brzegiem jeziora Cirisa/Tscheresch/ i przez Somerset. Przejeżdżając tamtędy, obydwój rodzice każdorazowo przeżywali od nowa przygodę na jeziorze w noc Sylwestrową. W przed laty i wstępowali do pobliskiego sanktuarium Matki Bożej przy klasztorze OO. Dominikanów, by podziękować za uratowanie Adzi, za wspólną miłość, lata małżeństwa i za dzieci.

W klasztorze przechowywany jest akt darowizny dóbr, zwanych wówczas Wyszkowem, Justyny Szystowickiej, dla zakonu dominikanów, z roku 1700, w którym napisano:

"... o tej naszej dobrowolnej darowiźnie aktem tym zawiadamiamy współczesne i następne pokolenia w nadchodzących wiekach wszystkich którzy winni to wiedzieć że za szczodre dobrodziejstwa Boże którymi każdego żyjącego na świecie licznie obdarza Jego Przenajświętrza opieka,

najdoskonalszym piórem opisać tę ogromną miłość która jest nam darowana. Stworzyciel nieba i ziemi tylko naszej wdzięczności prosi i abyśmy chwałę Jego głosili ze wszystkich swoich sił... "

Dominikanie założyli na darowanej ziemi klasztor i zbudowali drewniany kościół, poświęcony w roku 1751. Klasztor został zamknięty przez władze carskie w 1880 r. a ponownie otwarty dopiero w 1920 roku.

W ołtarzu kościoła umieszczono ikonę Bogurodzicy z dzieciątkiem, będącą kopią obrazu z kaplicy zamkowej w Trokach na Litwie, ofiarowaną księciu litewskiemu Witautasowi przez cesarza bizantyjskiego, z okazji chrztu Litwy. Uważa się, że w Trokach pozostała kopia, a oryginał zawędrował do Agłony. Tam pozostaje do dziś słynąc cudami. Według podania, obraz namalował Św. Łukasz Ewangelista który Bogurodzicę oglądał własnymi oczyma/patrz str 497/ Drewniany kościół spalił się. Ikona ocalała i została przeniesiona do nowego już murowanego, w pobliżu jeziora na małym wzniesieniu, otoczonym borem jodłowym. Na tle ciemnej zieleni drzew, białą ścian odcina się klasztor i kościół agłoński. Jodła w języku łotewskim zwie się aglena, stąd nazwa miejsca i sanktuarium.

Podanie głosi, że Bogurodzica z Dzieciątkiem na ręku ukazała się sierocie służącej u dziedziczki Szystowickiej, gdy modliła się na wzniesieniu. W miejscu objawienia zbudowany jest kościół.

Tu każdorazowo Adzia i Kazimierz polecali Bożej Rodzicielce swoją rodzinę, swoje troski, obawy i radości.

Najstarsza córka pomagając mamie, zdradzała zainteresowania gospodarstwem domowym. Uradzono więc, że Ela, która ukończyła właśnie szkołę rzemieślniczą w Dyneburgu, zapisze się na kursy gospodarcze, organizowane dla kobiet przez Koło Gospodyń Wiejskich pod auspicjami Związku Polskiej Młodzieży Katolickiej, odradzając się po re-

presjach władz łotewskich. Mimo, że działał legalnie w oparciu o zatwierdzony statut i zachowywał pełną lojalność, konfiskowane jego dokumenty w filiach, nakładano grzywny, aresztowano prezesów lub zakazywano im działalności. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nakazało zmianę nazwy organizacji na Związek Młodzieży Polskiej na Łotwie i zabroniło zakładania nowych oddziałów. Adzia miała od córki fachową pomoc i spodziewała się od niej wyręki na starość, o ile oczywiście Ela nie założy wcześniej własnej rodziny. W czerwcu 1938 roku Ela uczestniczyła w krajowym Zjeździe Delegatek Kół Gospodyń Wiejskich.



Krasław - Krajowy Zjazd Delegatek Kół Gospodyń Wiejskich 1938 r. Ela z psem na kolanach I rząd

Problemem było dalsze kształcenie Dzidziusia i Lali. Obydwoje myśleli o wyższych studiach. Wątpliwym było by przyjęła ich któraś z krajowych uczelni ze względu na narodowość polską i pochodzenie z rodziny polonijnego działacza społecznego. Rozważać można było tyl-

ko studia w Polsce. We Lwowie, gdzie kształcił się ojciec lub w Krakowie, gdzie studiowała mama i wuj Broniek, albo w Warszawie, jak dzieci Kazi. Wyjazd do Polski łatwo było umotywić związkami rodzinnymi i właściwie najkorzystniej byłoby studiować w stolicy, bo stamtąd najbliższej do Hurczyn, a mimo konieczności zamieszkania na stacji lub w internacie, od czasu do czasu kontakt z najbliższą rodziną byłby wskazany. Nadto w Warszawie byli Federowscy.

Narazie wszakże obydwójce dzieci posłano na dalszą naukę do gimnazjum w Rzeżycy, odległej o pięćdziesiąt kilka kilometrów. Tam czekało ich kilka lat pracy.

Bliźnięta, Zbysiu i Wandzia rozpoczynały pierwszy rok nauki, za trzy lata pójdzie do szkoły najmłodsza Kryśka. Walentynka, rówieśnica bliźniąt, rozpocznie naukę dopiero w przyszłym roku, ze względu na przebytą chorobę.

Jesień. Płody ziemi i ludzkiego znoju już sprzątnięte. Świron pełen wymłóconego zboża, odryna wypełniona pod sam dach wonnym sianem. W wielkiej piwnicy pod domem, gdzie panuje wieczny chłód i półmrok, stoją rzędem kany pełne złocistego, gęstego miodu. Na drągu wiszą pęta kiełbas, połcie słoniny i boczku, szynki, wszystko dobrze uwędzone, błyszczące, wonne. W dębowych beczkach kwaszone ogórki i kapusta, a za przegrodą z desek zsypane ziemniaki i buraki w przyzmach. W skrzyniach z sucham piaskiem jarzyna, a na słomianej podścieli rumiane zimowe jabłka i grusze wysortowane. Poślednie, pokaleczone, obite i robaczywe, zużyto na karmę dla trzody. Na półkach słoje konfitur i kompotów, w butelkach soki owocowe, a w pękatyh oplatanyh gąsiorkach nalewki. W dużych kamiennyh garnkach marynowane grzyby. Suszone, w wiankach, z wiązkami kopru i podręcznymi przyprawami, przechowywała Adzia w niewielkiej spiżarce koło kuchni, urządzonej pod schodami na strych.

Odleciały bociany. Na świronie czeka na nich puste gniazdo do następnej wiosny. Ciągną ostatnie klucze dzikich gęsi. Nastaje wielka cisza. Ze szmerem spadają złote i czerwone liście z drzew, wirując w podmuchach wiatru. Rano mgła osiada na drzewach i kapie z nich kroplami wilgoci. Od jeziora ciągnie chłodem. Drogi nie pylą już kurzem, rozmiękłe lgną do kół wozów i chlapią na kałużach. W sadzie snuje się jeszcze dymek wędzarni, gdzie wędzą się na rusztach zebrane śliwy. Gniją pod drzewami pojedyncze spadłe, a na nich uwijają się osy.

W lasach szeleści pod nogami kobierzec opadłych kolorowych liści. Góra, w koronach, niesie się poszum, skrzypią kołysane wiatrem pnie drzew. Dzika zwierzyna przytajona w sobie znanych komyszach. Jeszcze wiewiórki gromadzą w dziuplach zapasy szyszek i orzechów.

Ospale snuje się życie w zabudowaniach. Wiatr wyjący w kominach zwiastuje nadchodzącą słotę. W izbach trzaskają drewniane podłogi i sprzęty. Za oknami przelotne fale deszczu szemrzą na ostatnich nieopadłych jeszcze liściach.

W powietrzu unoszą się wonie butwiny, wilgotnej ziemi, ściernisk i dziwny ni to smutek przemijania, ni tęsknota za czymś nieuchwytnym, nieokreślonym...



Jeszioro wśród lasów

W taki czas, miło jest wpatrywać się w migocący o zmierzchu płomień w piecu, którego rozpalenie, niby prosta czynność, a przecież rytuał nie znany już współcześnie, zubożałym o wiele doznań mieszkańcom miejskich kamienic. A więc, na palenisku kładziono płatki brzoźowej kory, a nad nią stożek ze szczapek suszonych za piecem. Podpalona kora zwija się w ruloniki i od niej zapalają się szczyпки. Wtedy na nie kładzie się grubsze drewnienka, a gdy te się rozpalą, nakłada się polana. Te zaś rozpalone trzaskają i migocą wesołym płomieniem, rozświetla -

jąc mrok izby. Za ścianą, w salonie, słychać bicie zegara, a od kuchni dolatuje przytłumiony głos centryfugi, odwirowującej mleko z wieczornego udoju. Ciocia Tekla zapala lampy. Oporządzanie lamp- czyszczenie, przycinanie knotów, to znów osobna sztuka wymagająca umiejętności i precyzji.

Wieśniacy odprężeni po pracach polowych wylegują się w chutorach, a kobiety turlając kołowrotkami, przędą wełnianą nić. Młódki przyspiewują przy pracy, a młodzieńcy drocą się z nimi:

Aniu moja, Aniu miła
Za co ciebie mama biła ?
Ci za cukier, ci za kawa,
Ci za honor, ci za sława ?

A rozweselone dziewczęta odpowiadają:

Ni za cukier, ni za kawa,
Ni za honor, ni za sława,
Ale za to mama biła -
Żeb ja chłopców nie lubiła !

Za trzy tygodnie, na Świętego Andrzeja, po chatach młodzież lać będzie roztopiony wosk na zimną wodę, oczekując w napięciu jego formowania w przedziwne figury, których cień rzucany na bieloną ścianę wróży przyszłość.

W tym jesiennym odprężeniu i rozleniwieniu odzywają się wszelkie dolegliwości, na które nie zwracano uwagi, gdy praca goniła od rana do wieczora. Teraz dają znać o sobie wszelkie reumatyzmy, postrzały, dawne skaleczenia i urazy, bóle brzucha i niestrawności po obfitym jadle przy braku ruchu, przeziębienia i t.p. To też o tej porze roku najczęściej Adzia wzywana była do chorych w okolicy. Nie odmawiała pomocy i w miarę swych możliwości niosła pomocne rady, leki i zabiegi cierpiącym. W swojej apteczce zawsze miała rozmaite maści, pi-

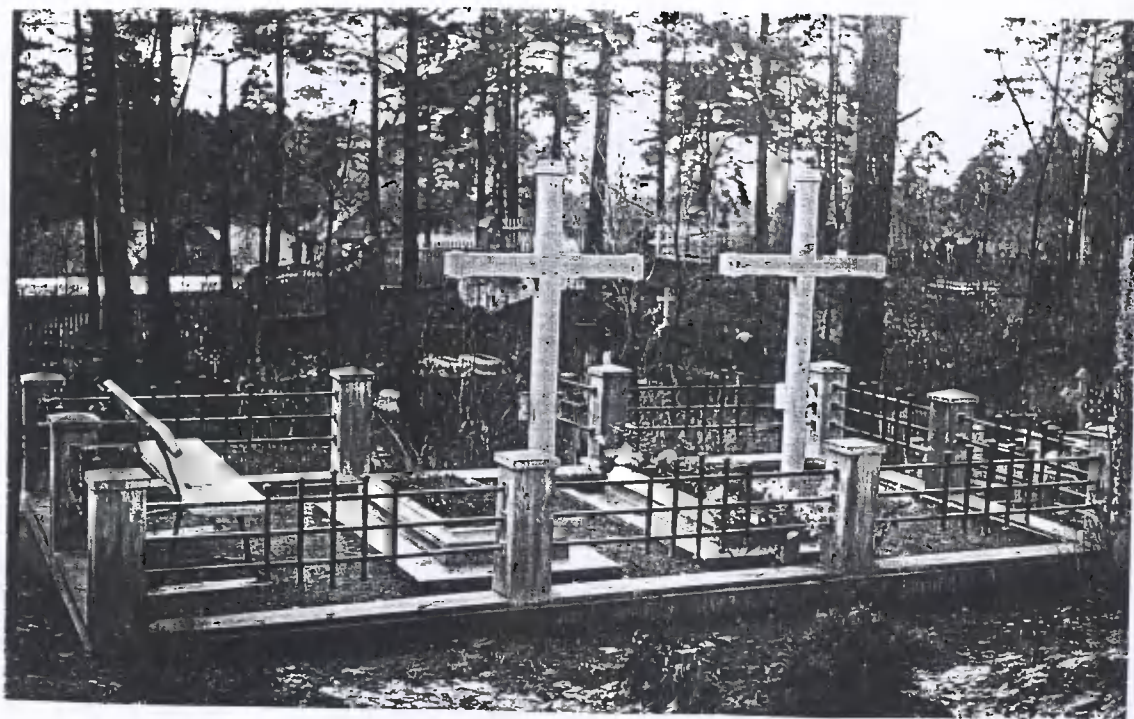
gułki, nalewki, krople, zioła, plastry i środki opatrunkowe. Gromadziła też i studiowała popularne wydawnictwa medyczne, które przysyłał jej z Warszawy Miecio Federowski, z którym utrzymywała stały, przyjazny kontakt korespondencyjny. Bywało, że wzywano ją i do chorych zwierząt domowych.

Wśród prostego ludu panowały jeszcze różne zabobony i przesady jak na przykład: Na padaczkę uważano za najskuteczniejszy lek sproszkowaną racicę łosia. Na wszelkie choroby bydła, skuteczna była sproszkowana gadzina, czyli żmija. Należało ją złowić w rozwidlenie rozszcepionego kija i tak zakleszczoną zawiesić do wyschnięcia, a następnie sproszkować i dodawać bydłu do karmy. Na pijaka, gdy się w nim wódka zapali, był tylko jeden ratunek, niezawodny, choć wielce dyshonorowy. Nad leżącym z otwartą gębą, przykucnął winna kobieta i nasikał mu do niej.

Adzia miała wiele satysfakcji z udzielanej pomocy, wszak interesowała ją medycyna i miała już sporo praktyki. Stała się przy okazji popularyzować podstawowe zasady higieny i starym przesądom przeciwstawiać właściwe metody leczenia.

W pierwszy dzień listopada - Dzień Wszystkich Świętych, Adzia i Kazimierz jeździli do Dyneburga. Tam uczestniczyli w Mszy Św. po czym szli na cmentarz, by pomodlić się i zapalić świece przy grobach drugiej żony stryja Aleksandra - Marii z Nowackich Błażewiczowej i jej ojca Kajetana Nowackiego. Towarzyszyła im zawsze Marysia, córka Marii i wnuczka Kajetana. Czasem zabierano też najstarsze dzieci, Helenkę i Kazika. Groby były zadbane, otoczone żelaznym ogrodzeniem, obok stała ławeczka na której można było spocząć modląc się za dusze pochowanych. Wstępował tu w ciągu roku niejednokrotnie Kazimierz, bywając często w Dyneburgu. Przynosił kwiaty i lubił spę-

dzać samotnie chwile przy grobach. Pamiętał przecież Marię jeszcze z przed wojny, a gdy z Adzią wrócili do domu z Warszawy, żyli z nią po sąsiedzku jeszcze trzy lata. Kajetana z nał tylko z opowiadań jego córki.

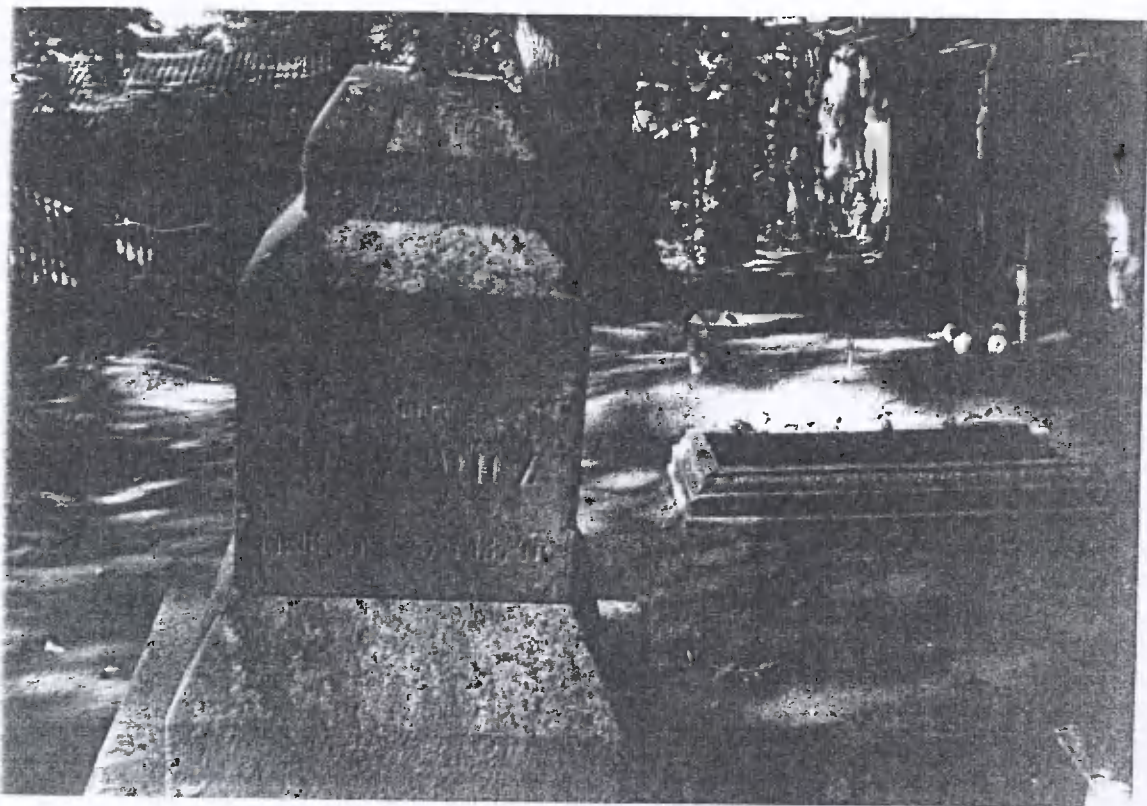


Dyneburg - groby Marii z Nowackich Błażewiczowej i Kajetana Nowackiego. Stan przed II wojną świat.

Natomiast w Dzień Zaduszny, rano cała rodzina końmi jechała do Jasmyży, gdzie po rannej Mszy Św. szli na grób stryja Aleksandra i jego pierwszej żony Aleksandry z Twardowskich, zmarłej w wieku 31 lat po porodzie trzeciego dziecka i na mogiłę ich dzieci. Kamienny postument zwieńczony krzyżem krył wspólną mogiłę. Pod nim obok rodziców spoczywały dzieci: Bronisława zmarła na gruźlicę w wieku dwudziestu kilku lat, studentka warszawskiego konserwatorium, trzyletni Mieciu i dziesięciomiesięczny Aleksander. I o ten grób Kazimierz miał staranie, częściej tu bywając niż Marysia. Po południu całą gromadką szli na Sołkę, gdzie ciocia Tekla już wcześniej uporządkowała groby obu synów.

Zapalano znicze i modlono się wspólnie za nich i innych zmarłych pochowanych na tym cmentarzu. Adzia zawsze wspominała pozostawioną w dalekiej Kałudze mogiłę Mamy i za nią słała modły do Miłosiernego Boga. Ciężkie jej życie, ufała, zostanie nagrodzone w niebie. Modliła się też za nieszczęsnego ojca i jego rodzeństwo, za wuja Adolfa zmarłego przed kilkunastu laty, za dziadków Kasptra i Ździsława, ich żony, za męża Kazi Wysockiej. Iluż bliskich, krewnych, znajomych odeszło już na tamtą stronę...

- Mamo, czy zmarli słyszą, że się za nich modlimy ?
- Oczywiście, oni wszystko o nas wiedzą i także modlą się za nami, pomagają nam jak mogą. Kiedyś spotkamy się wszyscy tam, w domu Ojca Niebieskiego.

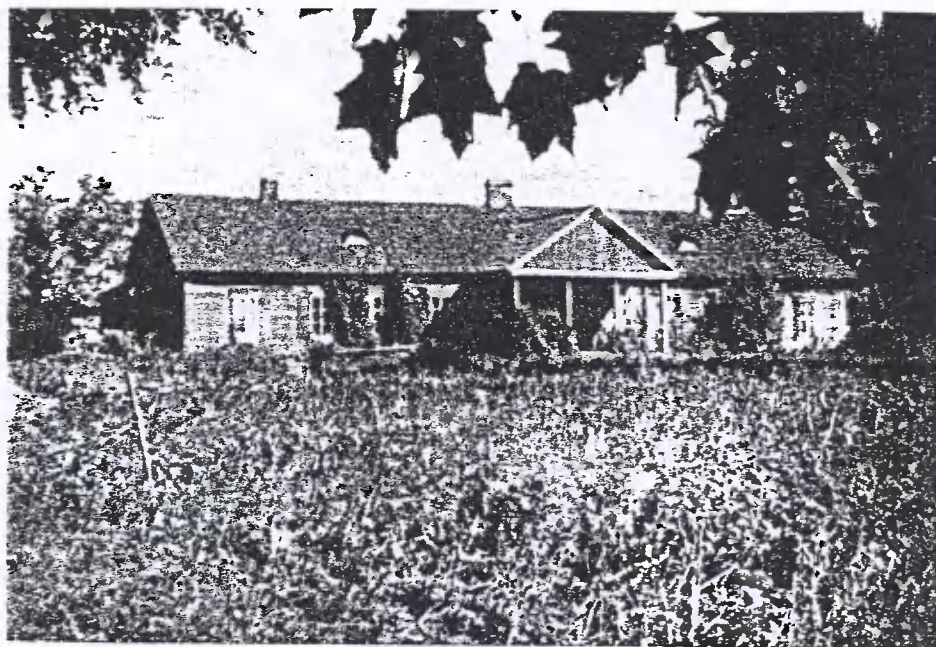


Mogiła Aleksandrowstwa Błażewiczów i ich dzieci
w Jasmyży

Do Grociszek Błażewiczowie jeździli, lub w pogodne dni świąteczne udawali się pieszo dalekim spacerem, przez folwark Alenhof, za którym przepawali się na prawy brzeg rzeki Jaszy i dalej podążali z biegiem rzeki, krętą wstęgą wijącej się na południe, do połączenia z Dubną. Polna droga przecinająca łąki, pola i lasy, prowadziła bezludną okolicą jeszcze około siedem kilometrów, ku zakolu rzeki omijającej Grociszki. Tu przy niskim stanie wody przejeżdżało się rzekę w pław, a zimą po lodzie. Natomiast wiosną albo po większych opadach, gdy wody wezbrały, trzeba było jechać przez most w Peleci, nadkładając przez to drogi. Jasza w okolicy Grociszek tworzy rozlewisko, podtapiając łąki, gdzie wśród wybujałych traw i sitowia żółcieją piękne kosańce, a nad wieczorem, stąd aż do dworu niesie się głos zabiego chóru. Za Grociszkami, Jasza wpadając do Dubnej tworzy rwący nurt. Patrząc z wysokiego brzegu na rzekę, słychać łoskot przelewających się mas wody. W pobliżu położony był dwór Grociszki. Duży, drewniany, parterowy budynek kryty gontem, z gankiem pośrodku fasady, stanowiącym frontowe wejście, którego zadaszanie wsparte było na kolumnkach. Typowy wiejski dwór, chutor jak tutaj mówiono. Wokół rosły drzewa liściaste i krzewy. Zadaniem mieszkalnym były zabudowania gospodarskie i ogród, a dalej pola, za nimi las. Okolica była pusta i głucha, nigdzie w pobliżu ludzkich osiedli. Na wschód, dopiero za linią kolei do Dyneburga. Na zachód, poza rzeką i drogą z Wiški do Preili, pojedyncze chutory.

W Grociszkach mieszkała jak już wspomniano Zofia Szreders i Aleksandrowiczowie: Maria, siostra Zofii z mężem Wacławem i ich dzieci - córka Zofia zamężna za majorem Ignacym Gicala, która właśnie odnowiawszy przyjechała z Polski, Stanisław jeszcze kawaler, Jan studiujący medycynę i Józef przebywający czasowo w Polsce na studiach.

W ciągu wieloletniej znajomości Adzia z Marią Aleksandrowiczową bardzo się zaprzyjaźniły. Cała zresztą rodzina Błażewiczów, dość często goszcząc w Grociszkach, żyła w przyjaznych stosunkach z ich mieszkańcami. Dzisiaj ze Stachem, zawsze mieli jakieś wspólne sprawy, dziewczynki z mamą i ojcem, towarzyszyły raczej babci Marysi. Najmłodsza z Błażewiczów, Krysia, wspominała, że był to duży dom, o wielu izbach, w których ona się gubiła, a otoczenie bezludne z huczącą w pobliżu rzeką, napało ją lękiem.



Chutor w Grociszkach

Rozmawiano o sprawach gospodarczych i polonijnej działalności na Łotwie, o trudnościach i szykanowaniu Polaków, na co szczególnie wyczuleni byli mieszkańcy Łatgalii, jako skupijącej większość Polonii łotewskiej, optującej przed laty za przyłączeniem tej prowincji do Polski. Bulwersujące były antypolskie artykuły gazety "Pedeja Bridi", którą w końcu zlikwidowano po in-

terwencji władz polskich.

Łotwa była obszarem, na którym krzyżowały się wpływy polskie, litewskie, niemieckie i rosyjskie. Rząd starał się zachować wobec wszystkich neutralność, co nie było łatwym. Litwa oficjalnie i poufnie wpływała na władze Łotwy antypolsko. Niemcy hitlerowskie słały co raz liczniejsze grupy "turystów" na Łotwę i zabiegały drogą dyplomatyczną o utrzymanie poprawnych stosunków, a przy okazji podsycaly nieporozumienia łotewsko polskie. Polska zabiegała o dobrosąsiedzkie stosunki ze względu na liczną polonię poddaną presji i żywiąc nadzieję, że po nawiązaniu zerwanych przez Litwę kontaktów dyplomatycznych, uda się stworzyć sojusz państw nadbałtyckich, przez słowiańską środkową część Europy po Bałkany. ZSSR z uwagi na położenie Łotwy, która przed wojną światową, wraz z Litwą i Estonią stanowiły najbardziej rozwiniętą gospodarczo prowincję carskiego imperium, nie wyzbyła się apetytów dostępu do Bałtyku. W tej sytuacji łotewskie władze lawirowały, oficjalnie zapewniając wszystkie zainteresowane strony o przyjaźni i neutralności, a praktycznie niejednokrotnie doprowadzając do zaostrzenia wzajemnych stosunków, które po pewnym czasie wyciszano na drodze dyplomatycznej. Zbliżenie narodów polskiego i łotewskiego następowało raczej na płaszczyźnie nauki i wymiany kulturalnej, a także poprzez organizacje społeczne, głównie harcerstwo. Profesor Stanisław Kolbuszewski, wykładowca literatury słowiańskiej na Uniwersytecie Łotewskim, wiele zdziałał dla zbliżenia narodów. Zresztą w Łatgalii, Łoty-
sze współżyjący z Polakami, łatwiej z nimi porozumiewali się niż z własnymi ziomkami z innych prowincji kraju, nawet w zakresie języka.

Kiedy w roku 1934 w drodze zamachu stanu Karl Ulmanis był premier Łotwy wprowadził dyktaturę, wprawdzie oficjalnie deklarował pro-polską politykę, jednak w praktyce konsekwentnie, zresztą wobec wszystkich mniejszo-

ści narodowych, realizował politykę nacjonalistyczną. W ten sposób następowała likwidacja polskich resztówek majątkowych na rzecz osadnictwa łotewskiego. Skasowano przy Ministerstwie Oświaty polski wydział szkolnictwa i wiele prowincjonalnych polskich szkół. Zamknięto redakcję polskiej gazety "Nasz Głos", a ze stanowisk w służbie państwowej usuwano Polaków.

Polskie MSZ interweniowało w tych sprawach, zresztą bez wyraźnego powodzenia, równocześnie zalecając Polonii unikanie demonstracyjnych wystąpień, drażniących lokalne władze i dostarczających argumentacji przeciw Polakom.

W marcu 1938 roku nastąpiła zmiana na stanowisku Pośła Rzeczypospolitej w Rydze, objął je Jerzy Kłopotowski. Za jego staraniem nastąpiło pewne ożywienie gospodarcze w stosunkach polsko łotewskich, bardzo ostatnio zachwianych, zbliżenie na płaszczyźnie wojskowej i ostateczne załatwienie sporu granicznego, trwającego od 1920 roku. Chodziło o sześć gmin w powiecie iłkukszańskim o powierzchni 1500 kilometrów kwadratowych, z osiemnastoma tysiącami mieszkańców, w tym połowa polskich. Wprawdzie w 1929 roku podpisano w tej kwestii układ między państwowy, jednak prace międzynarodowej komisji delimitacyjnej dla wytyczenia granicy w rejonie Turmont przeciągały się. Strona polska poszła w końcu na kompromis, zamykając kwestię.

W tej sytuacji nie brakło tematów do towarzyskich rozmów. Wiadomości docierały z prasy, ale właściwe do nich komentarze przynosiła Adzia ze spotkań w Związku Polaków i Kazimierz mający szerokie kontakty. To dopiero pozwalało ocenić właściwie wagę wydarzeń, lakonicznie wzmiankowanych w gazetach czy w radio. Obecnie, po "Anschluss"-ie Austrii przez Niemcy i podpisaniu z nimi przez państwa zachodnie układu monachijskiego, po którym wkrótce hitlerowcy zajęli czes-

skie Sudety, padł strach na Europę przed butą i bezwzględnością narodu opętanego przez szaleńca.

Z Polski, w listach od Bolesława, który obecnie pracował w Toruniu w tamtejszej Dyrekcji Lasów Państwowych i od Władysława, a także od Maryni Szczuka, nadchodziły wielce niepokojące wiadomości o prowokacjach niemieckich w Gdańsku i na Śląsku. Miecio Federowski wspominał o wydarzeniach, ale uspokajał ufając oficjalnej propagandzie antywojennej. Równocześnie zapraszał do siebie w obiecanie odwiedzin.

"Mamy potężnych sojuszników - pisał - a zresztą gdyby Niemcy ośmielili się zaatakować Polskę, damy im łupnia. Przyjeżdżajcie, Warszawa tętni normalnym życiem, bawi się, jest mnóstwo imprez ciekawych, macie u nas zakwaterowanie zapewnione, a ja wszędzie Was oprowadzę."

Czytano te sprzeczne relacje, nie wiadomo którym dać wiarę. Wszystkie te kwestie ogólnoswiatowe, polskie i rodzinne, dyskutowano w domu i przyjaznych Grociszkach, gdzie życie gospodarskie toczyło się swoim spokojnym, utartym rytmem, bez gwałtownych poruszeń, w ciszy i błogim spokoju.

Ufając zapewnieniom Mietcia Federowskiego, zdecydowali Kazimierzostwo wysłać latem dwoje najstarszych dzieci do Warszawy. Dodatkowo uspokajał zawarty 7 czerwca pakt łotewsko-niemiecki o nieagresji.

Wyjechali zatem Helenka z Kazikiem 2 lipca 1939 do Polski. Rodzice opiekujący się młodszym rodzeństwem i mający obowiązki gospodarskie, w tym czasie nie mogli pozwolić sobie na wyjazd, a z kolei Kazik mógł jedynie w okresie wakacji zobaczyć polską stolicę.

Z upływem dni, wobec nadchodzących wiadomości o niepokojach w Europie środkowej, rodzice mimo zapewnień Mietka, zaczęli się jednak obawiać. Woleliby mieć wszystkie dzieci przy sobie. Adzia pamiętała jak nieszczęśliwie wojna rozdzieliła ją z bratem.

Kazik powrócił 14 lipca sam. Helenka chciała odwiedzić Hurczyny, rodzinny dom mamy, o którym tyle słyszała i chrzestnych rodziców. Rozstali się w Białymstoku. Kazik pojechał dalej przez Wilno do Dyneburga, a Ela przesiadła do pociągu wołkowyskiego, by nim dojechać do Brzostowicy i odwiedzić po drodze i poznać Zofię Federowską, żonę Mietka, bawiącą z córką u swej mamy na letnisku, a także wuja Dolka Bitnera.

Miało się spełnić jej marzenie żywione od lat dziecińczych, poznania osób i miejsc o których tyle słyszała od mamy. Tymczasem w domu z rosnącym niepokojem oczekiwano jej powrotu.

Wreszcie dnia 30 sierpnia pojawiła się w Jawdziemach szczęśliwa i pełna wrażeń. Ileż to było opowiadania! Matka spragniona wieści o swoich bliskich, nawet nie bardzo musiała pytać, tak szczegółowo i z entuzjazmem opowiadała Helenka.

A w dwa dni po tym, radio podało w porannym komunikacie że wojska niemieckie, bez wypowiedzenia wojny, wkroczyły o godzinie 4.45 na terytorium Polski...

Rząd łotewski 2.IX.1939 proklamuje neutralność kraju, a kilkanaście dni później, na wieść o ucieczce polskie-

go rządu do Rumunii, oświadcza polskiemu posłowi Kłopotowskiemu, że nie uznaje go już za przedstawiciela Rzeczypospolitej, ponieważ Ta przestała istnieć.

Wiadomość o tym szybko dotarła do społeczności polskiej, budząc jej oburzenie i rozżalenie.

Nastaly dni pełne napięć i niepokoju. Pilnie śledzono wydarzenia międzynarodowe i postęp Niemców w opanowywaniu Polski, mimo bohaterkiej obrony, niestety w osamotnieniu. Zawiodły wszelkie deklaracje państw sojusznicznych. Okazały się także blefem wszelkie hasła propagandowe o potędze polskiej armii, której nie brakło ducha, lecz nowoczesnej broni.

Aż nadszedł dzień 17 września 1939 roku, w którym do Polski ze wschodu wkroczyli sowieci, wcielając Zachodnią Białoruś do Białoruskiej Republiki Radzieckiej, zaś Wileńszczyznę zachodnią oddając czasowo w administrację litewską.

Adzia była przerażona. Znała sowietów i przypuszczała wszystko najgorsze, odnośnie brata, Kazi, stryjecznego brata Dolka i ich rodzin. Swój niepokój skrywała przed rodziną, ukradkiem wycierając łzy i śląc gorące modły za swoich bliskich. Z rozpaczą w sercu myślała o Hurczynach, Waickowszczyźnie, Kwaterach i Osadzie, gdzie u mamy i siostry bawiła na letnisku żona Mietka z córką. Czy zdołali uciec, czy ogarnęła ich wszystkich czerwona nienawiść sowiecka? Boże - co z nimi będzie, ratuj ich!

A wkrótce nowe zaskoczenie - wojna sowiecko fińska. Liczebnie mały naród przeciwstawił się imperialnej potędze i bohaterko się bronił do 12 maja 1940 r. kiedy podpisano umowę pokojową o ustępstwach terytorialnych na rzecz ZSRR, gdzie sowieci utworzyli Karelo-Fińską Republikę Radziecką.

Boże, czyż nie skończy się to szaleństwo wojny? Tyle ofiar ludzkich, tyle cierpienia, zniszczeń...

W cowieczornym wspólnym pacierzu cała rodzina modliła się za cierpiących, poległych i mordowanych, o Miłosierdzie Boże nad światem i opiekę nad bliskimi, ogarniętymi nieszczęściem wojny. Kazimierz stał się jeszcze bardziej małomówny i zasepiony pracował na gospodarstwie. szesnastoletni Dzidzius pomagał mu w milczeniu także przygnębiony. Gdy obaj po pracy siadali w radiowym pokoju, już nie grywali w szachy, natomiast prowadzili rozmowy, wymieniali zasłyszane wiadomości i usiłowali na falach radiowych chwytać komunikaty stacji lokalnych i zagranicznych.

W któryś dzień styczniowy 1940 roku, przywiózł ojciec z Dyneburga tajne pismo "Polska Walczy", nie wiadomo gdzie i przez kogo drukowane. Z wielkim napięciem czytali, że Polacy choć pokonani na froncie, walczą dalej w konspiracji, że już w końcu września ubiegłego roku, prawie natychmiast po zakończeniu działań wojennych, oficerowie i żołnierze Wojska Polskiego, którzy przeżyli kampanię i uniknęli niewoli, założyli Związek Walki Zbrojnej, dla dalszej walki z okupantem. Tworzą się oddziały partyzanckie, gromadzona jest broń, szkoli się ochotników. Całością kieruje Rząd Polski i Dowództwo Armii Polskiej na uchodźstwie. A więc nadal mamy rząd, armię, dowództwo, jeszcze nie zginęła !...

Wkrótca aresztowania na Wileńszczyźnie około 100 konspiratorów, potwierdziło istnienie tajnych związków. Tymczasem Niemcy zajmują Danię, Belgię, Holandię, Luksemburg i Norwegię. Rozwija się ofensywa na Francję. Faszystowskie Niemcy chcą opanować całą Europę. Jedynie z Rosją sowiecką łączy je pakt o nieagresji z 23.VIII 1939 roku.

I nadszedł dzień 14 czerwca 1940, w którym i Łotwa znalazła się pod okupacją sowiecką. Oficjalnie została uznana Łotewską Socjalistyczną Republiką Radziecką 5 sierpnia "na mocy przychylnie uwzględnionego wniosku w tej sprawie nowo wybranego Parlamentu Łotewskiego".

Tak więc i ten kraj, wraz z sąsiednimi, Litwą i Estonią, ogarnęła pożoga drugiej wojny światowej.

Sowieci powołują do Czerwonej Armii mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat. Duża koncentracja na Łotwie sowieckich sił. Dawna granica łotewsko-polska, łotewsko-rosyjska i z Litwą, są pilnie strzeżone przez sowieców i policję łotewską. Linie kolejowe są gęsto patrolowane i obsadzone załogami wojskowymi. Aresztowani są znani działacze polityczni i społeczni. Ludność jest zastraszona represjami i nocnymi aresztowaniami. Polska młodzież i osoby zagrożone, często opuszczają domy i kryją się po lasach.

Jesienią zwróciła uwagę postępująca koncentracja niemieckich sił na Litwie i u jej bałtyckich wybrzeży. Wiadomości o tym przekazywane są oczywiście nieoficjalnie, ale tak zwaną "pocztą pantoflową", z ust do ust, mimo silnego obsadzenia granicy z Litwą, po obu stronach. Dopatrywano się w tym nowych, mających nastąpić wydarzeń.

I rzeczywiście - 22 czerwca 1941 roku Niemcy uderzają na swego sojusznika wschodniego, przez zaskoczenie zadając mu duże straty. Skończyła się okupacja sowiecka, zaczęła niemiecka. Nowy okupant wprowadza surowy reżim na zapleczu frontu. Wzdłuż linii kolejowych, przepraw i granic, duże skupienie wojska, policji i żandarmerii. Każdego podejrzanego w pobliżu obiektów strategicznych, rozstrzelują na miejscu. Wzdłuż Dźwiny zostają po obu stronach skonfiskowane wszystkie łodzie. Jedyne dozwolone przeprawy, to mosty pilnie strzeżone w Dyneburgu i Krasławiu. Jednak kto nie ma murowanych dokumentów i odpowiednich przepustek, nawet nie próbuje z nich korzystać. Z okupantem współpracuje w rejonach przygranicznych policja łotewska, białoruska i litewska, a także "Szaulisi" - formacja wojskowa litewska pod niemiecką komendą, złożona z elementów faszystowsko-nacjonalistycznych. Przy ich współdziałaniu okupant wyłapuje

Rosjan i Polaków, wysyłając na roboty do Rzeszy, lub do obozów koncentracyjnych. Młodzież znów ucieka do lasu, nierzadko z bronią, którą rzucali sowieci w popłochu uciekając przed "Germańcem".

Na domiar nieszczęść tegoroczna zima była wyjątkowo mroźna. Temperatura oscylowała około -40 stopni ! Drzewa w sadzie Błażewiczów wymarzły i spękały od mrozu. Nadto pojawiły się wilki ze wschodu, znajdujące na polach i w lasach żer na trupach ludzi i koni, padłych w walkach. Nie gardziły też żywiną. Pewnego dnia w owczarni Błażewiczów zagryzły wiele owiec, a były tak rozzuchwalone, że nie dały się odpędzić.

W styczniu 1942 roku, aresztowano polskich konspiratorów. Jak się okazało, już we wrześniu 1939 roku samorzutnie zawiązali organizację o nazwie "Wyzwolenie Polski" z polskiej, dyneburskiej młodzieży. Dowodził nimi "Franc". Zajmowali się przerzutem do Szwecji internowanych na Łotwie polskich oficerów. Grupa liczyła około 70 osób. Na skutek braku doświadczenia konspiracyjnego, na ich trop wpadł Łotysz Sower, przedwojenny policjant, znający wielu z tych młodych, obecnie współpracujący z gestapo. W lipcu nastąpiła kolejna "wsypa" i masowe aresztowania na Wileńszczyźnie, a następnie na Łotwie, wśród Polonii współpracującej z wywiadem Armii Krajowej. Wiadomości o tym przenikały za pośrednictwem tajnych pisemek i radia BBC z Londynu.

W liście jaki nadszedł z Warszawy od Ireny Błażewicz-Rossa, córki Pawła, donosiła ona, że ojciec źle się czuje, jest przygnębiony po zwolnieniu go z funkcji powiatowego weterynarza, przez nową administrację. Lekarze podejrzewają u niego chorobę nowotworową. Donosi też, że stryj Władysław, po kampanii 1939 r. odszukał żonę i syna Olgierda bawiących na Wileńszczyźnie od wiosny i wraz z nimi został deportowany w głąb Rosji, o czym zawiadomiła gospodyni u której mieszkali.

Natomiast stryj Bolesław, służący w czasie kampanii wrześniowej w randze kapitana artylerii, po kapitulacji w celu odszukania żony przekradł się przez granicę i skontaktował z bratem Władysławem i szwagierką. Po krótkim u nich pobycie udał się na dalsze poszukiwania i słuch o nim zaginął.

Kazik, jak wszyscy w domu zauważyli, był co raz bardziej zamysłony, szukał samotności i wyraźnie o czymś rozmyślał. Na pytania odpowiadał wymijająco, uspokajał rodziców lub zmieniał temat rozmowy. Pracował jak zwykle, a gdy czuł się obserwowanym, nawet się uśmiechał i żartował. Któregoś dnia oznajmił, że wybiera się do Grociszek, do Stacha. Adzia korzystając z okazji prosiła o doręczenie pani Marii paru drobiazgów, a ojciec posłał przez syna kilka tajnych gazetek dobrze ukrytych. Na noc Kazik nie wrócił. Mimo sytuacji wojennej, nie wzbudziło to zbyt dużego niepokoju. Wiadomo, droga daleka, wieczorami niebezpiecznie, więc zapewne zano-cował w Grociszkach. Istotnie, pojawił się rano, poważny, ale wyraźnie odprężony, jakby zrzucił z siebie gnio-tący ciężar. Zachowywał się zupełnie inaczej niż ostatnio. Przy pracy nawet pogwizdywał i był jakby w euforii. Po kilku dniach znów wybrał się do Stacha, a po tym co raz częściej gdzieś znikał, nawet nie tłumacząc dokąd. Czasem wracał nad ranem, czasem po kilku dniach. Adzia była bardzo niespokojna, siostry daremnie wypytywały brata, a ojciec zaczynał się domyślać.

Pewnej październikowej nocy w 1942 roku, ciszę rozdar-ła potężna detonacja. Wszyscy z łóżek porwali się ku oknom. W południowej stronie, ciemność nocy rozjaśnia-ła łuna. Wkrótce potem słychać było od szosy warkot wielu ciężkich pojazdów, jakieś krzyki, wystrzały, a na niebie rozbłyskiwały rakiety sygnalizacyjne. Nikt już do rana nie zmrużył oka. Adzia zapaliła świecę przed

obrazem Matki Bożej Ostrobramskiej i odmawiali wszyscy różaniec. Tej nocy Kazik nie nocował w domu... Rankiem okazało się, że w nocy wysadzony został koło Ardawy, odległej około cztery kilometry od Jawdzim, pociąg niemiecki z amunicją, która eksplodowała. Powstała olbrzymia wyrwa w torowisku. Ruch transportów kolejowych na trasie Dyneburg - Rzeżyca, wstrzymany został na trzy doby. W warunkach wojennych, wiadomo co oznacza tak długa przerwa w dostawach dla frontu. W całej okolicy zaroilo się od patroli żandarmerii wojskowej i policji, z bronią automatyczną i psami. Wyпитыwano okoliczną ludność, w niektórych chutorach prowadzono rewizje. Kazik w domu pojawił się po pięciu dniach, gdy uspokoiło się w okolicy. Ojciec w serdecznym uścisku przytulił go do siebie i spytał tylko: I ty byłeś tam w nocy? Bezślowne skinięcie głowy syna starczyło za wyjaśnienia. Matka płakała tuląc go do siebie. Chłopiec związa-



Adzia z synem
Kazimierzem

ny przysięgą nie mógł nic mówić i był wdzięczny rodzicom za to, że nie wyciągali go na zwierzenia. Rodzeństwu wyłumaczono, zresztą zgodnie z prawdą, że Dzikus przebywał u pani Marii w Grociszkach, pomagając przy wykopkach. I tak sprawa została zamknięta.

Dla osiemnastoletniego młodzieńca, poprzednia bezczynność w warunkach gdy Polacy walczyli na frontach zachodnich i w konspiracji krajowej, była nie do zniesienia. Z drugiej strony obawa o rodzinę, by nie narazić jej na tragiczne konsekwencje i brak kontaktu z konspiratorami, zatruwały mu życie. W końcu postanowił porozmawiać otwarcie o tym ze Stachem Aleksandrowiczem, starszym przyjacielem, któremu ufał. To była trafna decyzja. Stach właśnie przed dwoma miesiącami sam został



Prastary dąb
w Grociszkach

zwerbowany do współpracy z dyneburską grupą dywersyjną, jako znany z przed wojny działacz polonijny i przeszkolony w wojsku saper, a jego dom w Grociszkach ze względu na odludzie, nadawał się na bazę. Zorganizowano tu magazyn broni, której większość Stach z własnej inicjatywą już wcześniej ściągał z wszelkich miejsc potyczek i porzuceń, oraz materiałów wybuchowych dostarczanych przez organizację. Zorganizowano warsztat rusznikarski i strzelnicę. Tu odbywały się szkolenia dywersantów. Była to jedyna, na prawym, łotewskim brzegu Dźwiny baza dywersyjna. Stach po wysłuchaniu Kazika ogromnie się ucieszył, bowiem właśnie montował własny patrol dywersyjny, czyli grupę 5 - 6 osób. Kazik zachwycony, że tak dobrze trafił, już bez wahania zgłosił swą gotowość do służby. Decyzja była naturalną konsekwencją złożonego przyrzeczenia harcerskiego :

..."całym życiem służyć Bogu i Polsce"...

Służył jak umiał najlepiej, a w konsekwencji oddał za Nią swoje młode życie.

Z głębokim przejęciem składał przysięgę wierności, posłuszeństwa i dochowania tajemnicy, bez względu na okoliczności. Narodowe Godło i Krzyż były gwarancją tego podniosłego aktu. Jako pseudonim konspiracyjny przyjął używane w rodzinnym domu przezwisko "Dzidziuś". Później, w 1943 roku działając w brasławskim Kedywie /Kierownictwo Dywersji/, zmienił je na "Dyzio"

Organizacja Związku Odwetu, powołana decyzją Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej w sierpniu 1941 roku, działała pod kryptonimem "Wachlarz", na zagarniętym przez Sowietów terenie Rzeczypospolitej i na wschód od niego, aż po Dniepr i Dźwinę. Cały obszar działania podzielony był na pięć odcinków. Wileńszczyzna, pogranicze Litwy i Łotwy nad Dźwiną po Połock, stanowiły "Odcinek V". Założeniem była dywersja na tyłach fron-

tu wojny niemiecko-sowieckiej, w konspiracji tak ścisłej, że nawet wobec innych oddziałów ZWZ działających w terenie. Werbowano ludzi znających teren, brawurowych, zdecydowanych, z pośród oficerów, podoficerów, żołnierzy KOP i młodzieży harcerskiej. Do poszczególnych odcinków kierowani byli także "cichociemni", przeszkoleni na Zachodzie i przerzucani na teren okupowanej Polski.

Działania dywersyjne prowadzone być miały w małych, kilkusobowych grupach zwanych patrolami. Ta elitarna służba miała paraliżować linie komunikacji i łączności na zapleczu frontu.

"Patrol Stanisława"/Stacha Aleksandrowicza/ w składzie: d-ca + 5 /Antoni Wasilewski-Wasilonek, Witold Salcewicz z Alfonsowa, Konstanty Olechnowicz, Władysław Zaborowski i Kazimierz Błażewicz/, podporządkowany był dyneburskiej grupie dywersyjnej. Gdy Odcinek V Wachlarza został przekazany Komendzie Okręgu Armii Krajowej w grudniu 1942 roku, dywersanci dyneburscy działali nadal w brasławskim Kedywie, niszcząc transporty wroga zmierzające na front, szlaki komunikacyjne, linie łączności, magazyny materiałowe i t.p.

Dywersja dokonywana była głównie na trasach: z Królewca przez Kowno do Wilna, z Dyneburga do Wilna i Mińska, z Dyneburga do Połocka, Witebska, z Dyneburga do Leningradu.

Doświadczenie dywersyjne żołnierzy Wachlarza było wysoko cenione w Kedywie i służyło sprawie do czasu aresztowania, na przełomie października i listopada 1943 roku, na skutek denuncjacji Łotysza.

Dzień 5 listopada 1943 roku wstawał mglisty i chmurny, typowo jesienny. Wiatr wiejący od morza pędził z północno-zachodu niskie, ciemne chmury brzemienne wilgocią. Poranna mgła osiadała rosą na trawach i gałęziach, skapując z nich kroplami. Drzewa przeważnie pozbawione już listowia, nagimi, powykręcane konarami majaczyły we mgle jakimiś apokaliptycznymi kształtami.

Życie toczy się jednak zwykłym rytmem, niezależnym od pogody i nastroju jesieni. Był wczesny poranek. Kazimierz jak co rano udał się do obory, Adzia przygotowywała śniadanie, dzieci marudziły z wstawaniem, a Dzidzius jak co dzień wyprowadzał ze stajni konie do pojenia przy studni.

Na gościńcu, równocześnie od strony Jasmyży i stacji kolei, dał się słyszeć warkot samochodów, a w chwilę później, dwór i budynki gospodarcze zostały otoczone pierścieniem SS-manów i policji łotewskiej. Kilkunastu funkcjonariuszy mundurowych i cywilnych wkroczyło na dziedziniec, a widząc przy studni Kazika, z dobytą bronią i wrzaskiem dopadli go w momencie gdy wskakiwał na konia by uciec. Wykręcili mu do tyłu ręce i skuli. Hałas wywabił na podjazd całą rodzinę, ze zgrozą obserwującą scenę. Ojciec na widok odprowadzanego do samochodu ukochanego syna, impulsywnie doskoczył, chcąc go zatrzymać. Brutalne uderzenie z równoczesnym wrzaskiem - weg ! powaliło na ziemię zrozpaczonego ojca, który padając rozbił głowę. Część napastników z więźniem odjechała, pozostali rewidowali dom i zabudowania gospodarskie, na szczęście bezskutecznie. Nikt z domowników nie wiedział gdzie Kazik ukrywał broń osobistą, lecz zapewne była w domu. Ojciec zamknął się w radiowym pokoju, gdzie we dwóch z Dzidziusem spędzali wieczory przy szachach lub na

na rozmowach. Otępiały z bólu przesiedział tak do wieczora, obojętny na wszystko. Z trudem Adzia, sama spłakana i uspokajająca dzieci, zdołała go wyciągnąć na wspólny wieczorny pacierz. Słowa gorących błagań, ze łzami i pochlipywaniem najmłodszych, płynęły do Stóp Boga Miłosiernego i Pani Ostrobramskiej.

Jednak ludzkie, choćby najgorętsze modły, nie zawsze odwrócić mogą wyroki Boskie, o czym rodzina miała się jeszcze przekonać. Oczywiście nie oznacza to by Bóg pozostawał obojętnym na prośby człowieka, ale zsyłając nań krzyże - doświadcza jego wierności i stokrotnie nagradza za nią w wieczności. Jedynie niewiara lub krótkowzroczność ludzka może rodzić bunt przeciw Woli Bożej.

Po pewnym czasie za pośrednictwem rodzin innych aresztowanych żołnierzy, a więc Stacha Aleksandrowicza, Salcewicz Witolda, Olechnowicza, Autkowskiego z Dolnojaszy, Czechowicza Franciszka pseudonim "Franc", dowódcy dyneburskiej grupy i innych, dowiedziano się, że aresztowani przebywają w więzieniu w Rydze i poddawani są okrutnemu śledztwu gestapo.

Ucichł dwór w Jawdziemach. Nie słychać już rozbawionych głosów młodzieży. Ojciec z natury mało mówny, teraz prawie wcale się nie odzywał. Twarz jego poszarzała, włosy posiwiały. Adzia wprawdzie popłakiwała skrycie i modliła się stale, nawet przy pracy, okazała się jednak psychicznie silniejszą od męża. Bo też Bóg przeznaczył jej więcej doświadczeń w nadchodzącej przyszłości.

Wożono od czasu do czasu paczki do więzienia, starając się przekazać wzmacniające, odżywcze produkty. Rodzeństwo dla brata odkładało, sobie odejmując, przysmaki i różne podarki dołączane do paczek. Woziła je Helenka lub któreś z rodziców. Oczywiście nigdy nie miały gwarancji, że doręczone zostaną Kazikowi. Nikomu też

nie zezwolono zobaczyć się z nim.

Dwór i majątek zajęli Niemcy z organizacji Todt/służba paramilitarna budowlana dla potrzeb strategicznych, pozostawiając Błażewiczom jedną izbę do zamieszkania i kawałek ziemi pod uprawę. Resztę gruntu i cały inwentarz żywy i martwy skonfiskowano. To był następny cios. Tegoroczne Święta Bożego Narodzenia spędziła rodzina w ubóstwie i żałobie. Goryczą napawały odgłosy niemieckiej biesiady za ścianą, kolędy śpiewane we wrogim języku, przepitymi głosami, a w tydzień później, w noc sylwestrową strzelanina na wivat, tupot, hałas i ryki pijanych żołdaków. Błażewiczowie przewidująco już wcześniej wyprawili z domu do Grociszek dziewczęta, Helenkę, Alinkę, Wandzię i Walę, pozostawiając przy sobie Zbyszka i najmłodszą dziewięcioletnią Krysę.

W piwnicy domu przebywał w tym czasie więzień, Rosjanin, zamknięty za jakieś przewinienie. Na terenie majątku bowiem, Niemcy zbudowali baraki, w których mieszkali jeńcy sowieccy, zatrudnieni przy pracach gospodarczych. Więźnia pilnował wartownik postawiony przed okienkiem piwnicy, od strony pokoju cioci Tekli. Znudzony siedział przy stole i drzemał. Krysia i Zbyszek korzystając z jego nieuwagi, podeszli pod drugie okienko od strony kuchni i wyważyli je. Więzień umknął, a padający śnieg zakrył ślady.

Wiosna 1944 roku ożywiła nadzieje w ludzkich sercach na zakończenie wojny. Po klęsce Niemców pod Kurskiem, w sierpniu ubiegłego roku, Armia Czerwona nieprzerwanie parła na zachód, na całej długości frontu wypierając Niemców. Zimą widziano znędzniałe wojsko wycofujące się, okryte od mrozu w cywilne łachy zakładane na mundury, jakieś szale, koce, szmaty okręcane na nogach, często z odmrożeniami twarzy i rąk. To już nie było butne wojsko, dobrze odżywione. Obecnie walki trwały

na linii Leningrad - Smoleńsk - Dniepr. Zbliżanie Armii Czerwonej oznaczało koniec niemieckiej okupacji, ale równocześnie...

Kazimierz przewidywał co nastąpi. Jego znękanе serce już nie wytrzymało obciążeń. Zmarł nagle 3. maja 1944 roku w 62 roku życia. Zrozpaczona rodzina odpro-wadziła ukochanego męża i ojca na miejsce wiecznego spoczynku na Sołce.

Niemcy zaczęli nalegać, by wdowa z dziećmi usunęła się z mieszkania. Los jednak zdarzył, że latem oni pospiesz nie wynosili się wobec zbliżającego się frontu.

1 sierpnia ukazał się w Dyneburgu czerwony plakat Bekanntmachung, w języku niemieckim i łotewskim, informujący o rozstrzelaniu w Rydze 16 "bandytów" działających na szkodę Trzeciej Rzeszy. Wśród wymienio- nych z imienia i nazwiska był Kazimierz Błażewicz. Wiadomość o tym, do Jawdziem i Grociszek przekazały rodziny zamordowanych z Dyneburga.

Dwudziestoletni młodzieniec, żołnierz Odcinka V Wachlarza i Kedywu Armii Krajowej, za swój patriotyzm i bohaterstwo, znalazł spoczynek we wspólnym dole, w lesie Bikierniki /Biekern/, na wschodnim przedmie- ściu Rygi.

Adzia chodząc z dziećmi często do grobu męża na Soł- ce, modliła się o spoczynek i radość w Panu dla obu męża i syna. Postarzała biedaczka pod kolejnymi cio- sami losu. Pochyliła się i utraciła dawną pogodę du- cha. Teraz pozostały jej tylko - żal, wspomnienia i niepokój o tych co jeszcze żyją. Codzienna troska o przetrwanie, nie była zdolna zabliznić rany serca. A nie był to jeszcze koniec utrapień.

Gdy Niemcy wycofywali się z Łotwy, pojawił się ojciec

Wali i zabrał ją z sobą do Niemiec. To było także bolesne rozstanie. Adzia przywykła uważać dziewczynkę za swoją córkę. Ona, traktowała ją jak matkę. Żyły z sobą dzieci były jak rodzeństwo i nie mogły zrozumieć, dlaczego ktoś obcy je rozdziela.



Tablica przed "Domem Polskim" w Dyneburgu, poświęcona pamięci poległych żołnierzy Wachlarza Odc.V. W lewej kolumnie trzeci od góry K. Błażewicz

W roku następnym znów ubyły z Jawdziem dwie osoby. Alina, dwudziestoletnia panna, przeniosła się do Kapin/Kapini/, sześć kilometrów na wschód od Agłoa, gdzie od nowego roku szkolnego rozpocząć miała pracę nauczycielki w tamtejszej szkole. Zabrała z sobą

jedenastoletnią krysię, dla towarzystwa i pomocy w gospodarstwie domowym. Zamieszkały u Rogolewa, tamtejszego popa, brodatego starowiera. Staroobrzędowcy zwani też starowiercami, byli Rosjanami, potomkami uciekinierów z Rosji przed prześladowaniami w XVIII wieku, ze strony zreformowanego prawosławia. Osiedlili się między innymi na Wileńszczyźnie, w Prusach i Inflantach. Wiernie trzymali się staroruskich obrzędów. Znani byli jako pracownicy i dobrzy gospodarze.

W domu ~~tam~~, Alina poznała Fiodora, syna popa, za którego wyszła za mąż w tym samym roku. Krysia wówczas powróciła do mamy.

W półtora roku później zmarła i spoczęła obok synów ciocia Tekla.

Tak w ciągu trzech i pół lat, ubyło z domu pięć osób, w tym czterna na zawsze.

EPILOG

Po powtórnyim zajęciu Łotwy, jesienia 1944 roku, sowieci rozpoczęli aresztowania i zsyłki. W pierwszej kolejności wyłapywali wrogów politycznych. Następnie posiadaczy ziemskich, tak zwanych obszarników, kułaków i w ogóle "wrogów ludu". Deportacje obejmowały co raz szersze kręgi społeczeństwa.

Mroźnym porankiem 25 marca 1948 roku, zjechali do dworu w Jawdziemach funkcjonariusze NKWD. Jeszcze brzask nie przesilił mroku nocy, gdy rozległ się łomot do drzwi. Dzieci jeszcze spały. Adzia, która od czasu aresztowania syna źle sypiała, leżąc jeszcze przebudzona właśnie zaczęła odmawiać różaniec. Hałas poderwał ją z łóżka. Narzuciła na siebie szlafrok i poszła otwierać drzwi, myśląc, że może ktoś pilnie potrzebuje jej pomocy do chorego, jak nie raz bywało. Na widok czterech uzbrojonych funkcjonariuszy - zamarła. Brutalnie odsunęli ją od drzwi i weszli do środka, momentalnie rozchodząc się po całym domu lustrując jego wyposażenie.

- Odiewajties i uchoditie ! Wsie !

Piszczu wziat tolko na dień !

Bystrieje !

Rogolewowie Alina i Fiodor okazali dokumenty. Starszyzna sprawdził w spisie deportacyjnym - nie podlegali. Rozdygotana Adzia, trzęsącymi rękoma wyjmowała ciepłą odzież dla dzieci, każąc im jak najwięcej włożyć na siebie. Helenka do koszyka pakowała chleb, masło, wędlinę i sery.

- Bystieje, bystrieje !

O jakichkolwiek kosztownościach, pamiątkach, dokumentach, nie było czasu nawet pomyśleć.

W oborze ryczało bydło dopominając się karmy, pies na łańcuchu szarpał się i zanosił jazgotem, czując, że

dzieje się coś niedobrego. Alina i Fiodor na progu zegnali rodzinę.

Załosną gromadkę pagnano traktem do stacji kolei. Zbyszek i Wanda podtrzymywali pod ręce słaniającą się matkę. Helenka dźwigała kosz z prowiantem, a Krysia stale pytała - dokąd idziemy ?

Na stacji kłębił się tłum ludzi. Jedni wchodzili do towarowych wagonów popędzani kolbami, inni - rodziny i znajomi wywożonych, usiłujący się do nich docisnąć, otrzymywali razy i kopniaki od konwojentów. Panował nieopisany zgłęb, lament wywożonych, nawoływania odprowadzających, a nad wszystkim górowały rosyjskie przekleństwa, popędzanie, czasem strzały w powietrze. Gdy odliczona ilość "pasażerów" wypełniła dany wagon, zamykano go plombując. Wzdłuż składu posiaгу nieustannie chodziły patrole. Tłum na zewnątrz powoli odpływał. Małe zakratowane okienko wagonu, stanowiło jedyne połączenie ze światem zewnętrznym, dla stłoczonych nieszczęśników w ciemnym, zamkniętym pudle wagonu. Postój na stacji trwał trzy dni. Co pewien czas następowało uderzenie i wagon przesunął się po torze. Ruszamy ! Nie, to tylko doczepiają do składu następne wagony.

Drugiego dnia na stację przyszli Rogolewowie. Fiodor coś tłumaczył konwojentowi, coś wsunął mu do łapy i ten sprawdzając w spisie, wskazał w którym wagonie są Błażewiczowie. Przez zakratowane okienko pozwolił przepchnąć bochenek chleba. W nim ukryty był sygnet. To był jedyny wartościowy przedmiot zabrany z domu. Później, w czasie głodu na dalekim Wschodzie, otrzymała Adzia za niego jeden bochenek chleba.

Po trzech dniach pociąg ruszył w nieznane. Jechali siedemnaście dni w mrozie i głodzie. Raz dziennie do wagonu konwojenci wnosili kociołek płynu zwanego zupą. Ludzie wzajemnie pożyczali sobie garnuszki, puszki, wszelkie naczynia, którymi dało się zaczerpnąć tej luży.

Potrzeby fizjologiczne, mężczyźni i kobiety, musieli załatwiać przy świadkach, do dziury wyciętej w podłodze wagonu. Najbardziej cierpiały małe dzieci, płacząc z zimna i głodu, starcy i chorzy, niezdolni przetrzymać trudu podróży. Ci zostawali na trasie. Ich zwłoki wyrzucono po prostu, jak zbędny balast, z wagonu w śnieg.

Za stacji Isikul w obwodzie Omskim, na południu Niziny Zachodnio-Syberyjskiej, przewieziono wszystkich żywych samochodami ciężarowymi do sowchozu. Tam, zebrani kierownicy okolicznych gospodarstw, z pośród deportowanych wybierali siłę roboczą według swego uznania. Przypominało to czasy niewolnictwa. Matka staruszka, do tego z dziećmi, nie interesowała nikogo. Miało to tę dobrą stronę, że nie zostali rozdzieleni. Odstawiono ich do sowchozowej wioski Pacher, gdzie zamieszkali obok żywego inwentarza w jamie wykopanej w ziemi i nadbudowanej ściankami ulepionymi z gliny. Za pracę otrzymywała cała rodzina kilka litrów odciąganego mleka. Później przeniesiono ich do sowchozu "Bojewoj". Tu dostawali lichą płacę. Czasem z dobrego serca pomagała miejscowa ludność, żyjąca również w biedzie. Od czasu do czasu nadchodziły od Alinki paczki z żywnością, którą trzeba się było dzielić w rewanżu z miejscowymi. Dorabiały kobiety szyciem i przeróbkami odzieży wieśniaków. Latem młodzież pracowała na roli. Adzia nie miała sił, chorowała na serce, oczywiście pozbawiona możliwości leczenia. W porze zimowej, córki pracowały w obozrze. Za przydzielane walonki i waciaki, strącano im z lichej zapłaty. Warunki życia były rozpaczliwe. Wszyscy chodzili obdarci, brudni i głodni. To też Adzia była bardzo rada, gdy najmłodsza krysia otrzymała pracę w kancelarii sowchozu. To był awans, dający lżejszą pracę i w lepszych warunkach. Matka zdając sobie sprawę z własnej niewydolności i stanu zdrowia i widząc nieludzkie warunki życia dzieci, powtarzała im - ratujcie się

jak potraficie, byle przetrwać i wrócić do domu. Krysia w roku 1951 wyszła za mąż, za sybiraka Wasyla Batiukowa, mechanika z zawodu i oficera w stanie spoczynku, starszego od Krysi o 10 lat. Wyjechali daleko od matki. W nowym miejscu Krysia otrzymała pracę higienistki w Domu Dziecka, jej mąż zatrudnienie w charakterze buchaltera. To była zasadnicza zmiana w życiu Krysi, umożliwiająca ludzką egzystencję. W 1952 roku urodziła syna Walerego. W 1956 r. wróciła z mężem



Syberia - początek zesłania.
Adzia, Krysia, Zbyszek, jeszcze w domowej odzieży

i synkiem na łotwę, gdzie zawarli ślub kościelny. W roku 1959, nie mogąc znaleźć pracy, za namową brata Wasyla, wyjechali powtórnie na Syberię, tym razem dobrowolnie, do Stalińska/obecnie Nowokuźniecka/ na 26 lat.

Tam pracowała w przedszkolu, równocześnie uczęszczając do szkoły wieczorowej i zaczęła studia medyczne. Kryścia oderwana zupełnie od polskiego środowiska, zachowała zdolność posługiwania się językiem polskim w mowie i piśmie, jedynie wtracając niekiedy wyrazy rosyjskie. W 1985 roku powrócili na Łotwę i zamieszkali w Rydze. Na Syberii pozostał syn Walery, już żonaty.

Na skutek starań męża, w 1950 roku powróciła z zesłania na Łotwę Helenka. Przed deportacją zawarła cywilny związek z Łotyszem, Wincentym Szukst, sąsiadem Jawdziem. Ponieważ w wykazie deportacyjnym figurowała nadal pod panińskim nazwiskiem - została wywieziona. Dopiero półtoraroczne starania wyjaśniające przywróciły jej wolność. Niestety przeżyła tragedię. Już na zesłaniu urodziła córeczkę Danusię, która po ośmiu miesiącach zmarła, ochrzczona "z wody" przez babcię.



Syberia - rodzina nad trumienką Danusi
od lewej: Kryścia, adzia, Helena, Wanda, Zbyszek

Dziecko nie przetrzymało ciężkich warunków klimatycznych i niedożywienia.

Helenka po powrocie zamieszkała z mężem w Rydze i urodziła jeszcze bliźnięta, dwóch chłopczyków, Władzia i Edzia.

Wandzia przydzielona do pracy w sowchozowej oborze, miała powierzona pieczę nad odchowem cieląt. Korzystając z tego, podkradała cielakom mleko dla synka Krysi, dopóki były razem. Za namową miejscowych sybiraczek, pomna wskazań mamy, nawiązała korespondencyjny kontakt z obcym jej Rosjaninem Mikołajem Andreiczukowem, licząc na uwolnienie. Zawarła z nim związek małżeński w 1953 roku. Po ślubie wyjechała z mężem na północ, daleko od matki. Związek okazał się bardzo nieszczęśliwy. W rezultacie sama z córeczką Ludmiłą powróciła na Łotwę. Na nalegania męża, znów pojechała do niego i dopiero po przeprowadzonym rozwodzie w roku 1960, na stałe osiadła w Rzeżycy na Łotwie. Powtórnie wyszła za mąż za Łotysza. Z drugiego małżeństwa urodziła drugą córkę Irenę. Pracowała w aptece, a następnie w miejscowym szpitalu jako pielęgniarka.

Drugi syn Adzi, Zbyszek, ożenił się na zesłaniu w 1952 roku z Raisą Daroszko. Razem wyjechali daleko na północ, 500 kilometrów od matki, na zagospodarowanie "Nowych Ziemi". To dawało status wolnego człowieka i zapewniało lepsze warunki życia. Mieli dwójkę dzieci Anatola i Jerzego. Zbyszek swoje zarobki dzielił między własną rodzinę i samotną chorą matkę, której przysyłał pieniądze. Na pięć miesięcy przed urodzeniem Jerzego, Zbyszek został zamordowany.

W czasie snu w baraku, ktoś strzelił mu w skroń i zabrał pieniądze zarobione przy wywozie drewna z lasu. Śledztwo nie doprowadziło do wykrycia sprawcy. Adzia zrozpaczona i chora pojechała na jego pogrzeb.

Był miesiąc luty. Temperatura spadła do -45 stopni, a do tego wiał silny, lodowaty wiatr. Daleko, w sowchozowym baraku, wyczerpana, zmarznięta i głodna czekała jeszcze trzy tygodnie na sprowadzenie zwłok syna z dalekiej tajgi. Obraz nieboszczyka był straszny! Czaszka rozniesiona strzałem z bezpośredniej odległości, mózg wyrwany. Tak w wieku 24 lat zginął drugi syn Adolfiny.

To prawie graniczy z cudem, że zrozpaczona, na serce chora matka, przeżyła tę tragedię i trud zimowej, dalekiej, samotnej podróży.

W pustym stepie pozostała opuszczona mogiła syna.

Powróciła polska Niobe do swojej lepianki sterana i chora, zdrętwiała z bólu.

Z dziewięcioosobowej rodziny, na zawsze odeszli, mąż i obaj synowie. Każda z czterech córek własnych i piąta przybrana, były od niej daleko. Jeszcze prawie rok spędzi samotnie w obcym kraju, bez środków do życia, w warunkach opłakanych.

Jedynymi radosnymi chwilami, dającymi temat do wspomnień i rozmyślań w samotności, były odwiedziny Rogolewów Alinki i Fiodora, którzy przyjechali 4.500 kilometrów, by spotkać się z matką, a także nawiązanie korespondencyjnego kontaktu ze szwagierką Izą Wysocką.

Alina z mężem, po deportacji reszty rodziny, pozostali sami w Jawdziemach, ograbionych najpierw przez Niemców, następnie przez sowietów, którzy w ramach kolektywizacji zabrali majątek, pozostawiając Rogolewom kawałek gruntu i część pustego prawie domu.

Wkrótce małżonkowie porzucili Jawdziemy i powrócili do Kapin, na gospodarstwo teściów Aliny, a później przenieśli się do Rzeżycy. W roku 1967 zakupili dom w Rydze.

Ich córka Irena licząca 21 lat studiowała na uniwersytecie, na wydziale matematyczno-fizycznym. Syn Roman, młodszy o trzy lata, studiował w politechnice na wydziale budowlanym.

Z rodzinnego domu w Jawdziemach pozostała tylko czwarta część budynku i to w ruinie. Salon i ganek z kąpielnią radiowego pokoju.



Resztką dworu Błażewiczów w Jawdziemach
stan około 1950 r.

W październiku 1955 roku Adzia wraca z wygnania po siedmiu latach i siedmiu miesiącach. Przebywa kolejno u córek - w Rzeżycy u Aliny, w Rydze u Heleny. Wypoczywa, słucha radia, czyta i tęskni za pozostałymi na wrogiej ziemi, Zbyszkim, Wandą i Krysią. W liście z 17 marca 1956 r. pisanym do szwagierki Izy wspomina:

"Kazia /Wysocka przyp. aut./ przysłała dzieciom Sienkiewicza "W pustyni i puszcy". Z jaką radością i ciekawością dzieci słuchały gdym im czytała. A ja widziałam oczyma duszy moją liczną gromadkę słuchającą mego czytania...

Nie ma męża ni synów, ni przybranej córki, ni rodzinnego domu...

Zmęczona jestem życiem, ale nie narzekam, przyjmuję wszystko co mnie spotyka z Ręki Boga i za wszystko Mu dziękuję... "

Wróciły w końcu z Rosji obie córki: Wanda z małą córeczką Ludą i Krysia z mężem i synem Walerkiem. Zamieszkały w Rzeżycy. Adzia opiekuje się wnuczętami gdy rodzice w pracy i to poprawia jej samopoczucie. W jednym z listów do Izy wspomina:

..."Tak miło, że moje trzy córki z rodzinami są tak blisko. Chodzimy do siebie w gościnę. Mieszkam z moją ukochaną Wandą i jej malutką córeczką Ludą. Krysia mieszka obok, w drugim domu. Gdy rodzice w pracy, Walerek jest z nami, więc teraz opiekuje się maleńkimi i czuję, że jestem potrzebna... Podobno Broniek pracował na kolei na Uralu. Syn Kazik dowiedział się na śledztwie i mnie grypssem doniósł. Ja nie wierzę aby Broniek żył... "

Nie mniej Iza po otrzymaniu tej wiadomości, uczepiła się jeszcze tej jednej, złudnej nadziei. Adzia opiekuje się dziećmi, później odprowadza dale-

ko do szkoły Ludę, robi zakupy, sprząta, pierze, gotuje. Stara się być czynną i potrzebną, ale to już nie na jej siły. W listach do Izy i Mietka Federowskiego pisze, że bardzo ją to męczy, że z sercem co raz gorzej. Latem / 1959 r. / było już tak źle, że córki myślały to koniec. Jednak Bóg pozostawił jej jeszcze trochę życia...



Adolfina z córkami: obok niej Helena, stoją od lewej Wanda, Alina, Krystyna. Foto. wykon. 1972 r.

W roku 1959 w grudniu napisała do Izy list:

"Ukochani Moi Izo, Janko, Zdzisiu z Żoną, Halinko z Rodziną !

Gdy gwiazdka zabłyśnie na niebie nastąpi uroczysty wieczór Wigilijny i zbiorą się nasze rodziny przy tradycyjnej Wieczerzy, przy łamaniu oplatkiem choć nas wiele kilometrów dzieli, to serca i myśli, które nie znają przestrzeni, łącząc nas będą. Może niejedna łza zabłyśnie i spłynie - obrazy niezapomnianej przeszłości staną przed nami i będą mówić do naszych serc, do naszych dusz. Wspomnienia Polskiej Ziemi, echa polskiej mowy, szum rodzinnych pól i lasów, szmer wiślanej wody i cichy senny szept naszej Rosi z Hurczyna, poniosę z sobą w daleką, ostatnią po-

dróż. Może wtedy duch mój wolny od ziemskiej
powłoki, zobaczy to wszystko, za czym tęsknię
długie lata. Piszę i łzy mam w oczach, a malu-
tka Luda pyta: Babciu czemu płaczesz, czy tak
bardzo tęsknisz ? "

"Kraj ten oddala się, niknie. Na próżno serce rozżalam,
Wiem, że tam wiosna jest znowu, że łąka znowu zakwita,
Że to nie oni ode mnie, a ja się od nich oddalam.
I cofam ku takim brzegom, gdzie się już wiosny nie wita "

/S. Baliński/

A do Mietka Federowskiego pisze w listach z 3.II ,
i 7.X.1965 :

... "Byłam w Rydze na mogiłach zamęczonych więźniów.
Tam leży i mój Kazik. Modliłam się, a na ziemię
jego spoczynku upadły łzy matki..."

Jeszcze na grobie męża zapragnęła być przed śmiercią
i wymogła obietnicę córek, że pochowają ją przy nim.
Znów pisze o tym do Mietka:

... " Byłam na grobie męża, wzięłam w pudełko ziemi,
pożegnałam kochane strony i wróciłam do Rygi,
gdzie Lala z resztą rodziny 25 VIII obchodzi-
ła moje urodziny. Czuję, że to ostatni rok życia".

Zmarła 15 maja 1976 roku, w wieku 81 lat i pochowana
została obok męża, we wspólnej mogile na Sołce, na
wprost ruin ukochanego domu.



Mogiła Adolfiny i Kazimierza Błażewiczów
cmentarz na Solce.

memento etiam Domine, Famulorum famularumque Tuarum
qui nos praecesserunt cum signo fidei, et dormiunt
in somno pacis.

Bogu niech będą dzięki !
Niepołomice 2.VIII.2002

Ź R Ő D Ł A

ARCHIWALIA

Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego

Rękopisy:

Bitner Zdzisław-listy do córki Stefani i zięcia Michała Federowskiego sygn.429

Federowski Michał- Referat o wywożeniu dóbr kultury po powstaniu styczniowym sygn.454

Referat o stosunkach po 1863 r.ziemianstwa i chłopów białoruskich sygn. 454

Notatki dotyczące Świsłoczy i okolicy sygn.446

Kamiński J.-"Ostatnie wynurzenie samobójcy" sygn.II 346

Minasowicz-list do Emilii Horehładówny i Marianny Glin-dzicz sygn.362

Prasa:

"Tygodnik Wołkowyski" roczn.1927-30,1932 sygn.P 20498/A

Biblioteka Czartoryskich /Kraków/

Opracowania:

Borkowski J.hr.Dunin-"Spis nazwisk szlachty polskiej" sygn.8840/II

Chrapowicki J.A.-"Dyariusz wojewody witebskiego 1845" sygn.6404/II

Demkowski P.-"Bój pod Wołkowyskiem 23-24 IX 1920 studium taktyczne Sztabu Generalnego tom IV sygn. 85797/II/4

Duńczewski-"Herbarz wielu domów Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego" sygn.8792/III

Kieniewicz-"Powstanie styczniowe" sygn.77338/II

Krakowski S.-"Wykaz podatku podymnego powiatu wołkowyskiego 1690" sygn.75643/II

Paprocki B.-"Herbarz rycerstwa polskiego"Kraków 1584 sygn.87632/II

Semkowicz W.-"W sprawie początków szlachty na Litwie i jej ustroju rodowego"Lwów 1916 sygn.16232/II

Semkowicz W.-"Miesięcznik heraldyczny"roczn.1908-12, 1930-32,1938-39 sygn.2752/III

Sulimierski, Chlebowski, Walewski-"Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich" Warszawa 1880-1902 sygn. 80941/III

Uruski, Kosinski, Włodarski-"Rodzina-herbarz szlachty polskiej" Warszawa 1904-1935 sygn. 8807/II

Miesiecki K.-"Herbarz polski" Lipsk 1839-1845 sygn. 81902/II

Biblioteka PAN /Kraków/

Rękopisy:

Wysocki Jan- list do Kaspra Wysockiego w Walickowszczyźnie sygn. 2713

Wysocki Kasper-"Książka wydatków Kaspra Wysockiego za lata 1814-1820" sygn. 2707

Biblioteka Jagiellońska /Kraków/

Opracowania:

Boniecki A.-"Herbarz polski" 1899

Manteuffel G.-"Inflanty polskie" Poznań 1879 sygn. 384047/III

Ostrowski-"Księga herbów" sygn. 3746012 dz. stare druki

DOKUMENTY /zbiory prywatne/

Bitner-Glindzicz R.-"Foreign Compensation Commission Application For Compensation" Londyn 1950, 1969

Departament De Seine Et Marne 1916/ akt zgonu Mieczyśława Glindzicza/

Jawka otrekatelno-kwitancjonno dokumenta Suprugami Leonom i Tieriesoj Bachmatowiczami

Jawka pozywa po diełu T. Ejnarowicza rodnym bratam Okuliczam i Rusieckomu a rawno protiv drugim poddanogo 1826 goda maja 11 dnia

Kopija rodosłownoj roda Wysockich

Soznanije w woda wo władanije dieriewniu Rabcy Iwana i Stanisława Wysockich

3-godnyj zastawnyj dokument

PAN, Akad. Nauk ZSRR, Białoruskiej SRR, Litewskiej SRR- Centralne Archiwum Akt Dawnych -"Metryka litewska rejestr podymnego WKL woj. wileńskie 1690" repr. PWN Warszawa 1989

Polskie Tow. Heraldyczne, Tow. Herald. -Genealog. Moskwa-"Spis szlachty wylegitymowanej w guberni grodzieńskiej mińskiej, mohylewskiej, smoleńskiej i witebskiej" Arbor-Dig Warszawa 1992

**Ukaz Jego Imperatorskiego Wielicziestwa Samodierżia
Wsierosijskiego**

Upożnomocznienije Michała Antonowicza

**Wypis iz aktowej knigi Minskogo Ziemszego Suda za 1797
god.na listach 690-695, chraniaszczysjsja w Wileńskim
Centralnom Archiwie driwnich aktowych knig pod Nr12054**

**Wypis iz aktowej knigi Minskogo Ziemszego Suda za 1797
god. na listach 686-689 chraniaszczysjsja w Wileńskim
Centralnom Archiwie driwnich aktowych knig pod Nri2057**

**Wypis iz aktowej knigi Wołkowyskiego grodzkiego suda za
1728-1730 gody, chraniaszczysjsja w Wileńskim Central-
nom Archiwie driwnich aktowych knig pod Nr 10661,
1260-1261**

**Wypis iz aktowej knigi Minskogo Ziemszego Suda za
1798 god.na listach 10-13 chraniaszczysjsja w Wileńskim
Centralnom Archiwie driwnich aktowych knig pod Nr12056**

CZASOPISMA /zbiory własne/

"Białostoczysna"-pismo Białostoc.Tow.Nauk Nr2/90,4/91

"Głos z nad Niemna" Nr 13-19/1997

**"Goniec kresowy"-Tow.Przyjaciół Grodna i Wilna w Białym-
stoku Nr 1 i 4 /1994**

"Jednodniówka Koła Żołnierzy 3 PSK" Kraków XII/91,IV/92

**"Karta-kwartalnik historyczny" Warszawa Nr 5,6/1991,
Nr 9/1992,Nr 12/1994**

**"Magazyn polski"kwartalnik Zw.Polaków na Białorusi
Nr 1/1992,2/92,1-2/93**

**"Periodyk Starych Strzech PAK Jagiellonia"-biuletyn
Jagiellonów londyńskich Nr 24-30 Londyn XI.1975-IV.85**

"Przekrój"-wyd.specjalne "Rok 1920" Kraków

REKOPISY /niepublikowane,zbiory prywatne/

Błażewicz Adolfina-listy do Izabeli Wysockiej 1954-66

Błażewicz Adolfina-listy do Federowskich 1956-1973

Federowki Mieczysław-dziennik wydarzeń 1928-1939

Federowska Zofia-notatki pamiętnikarskie

Ks.Horba Albin-list do W.Karpyzy 1969 kserokopia

**Ihnatowicz Fiodor-prac.Grodzińskiego Tow.Nauk,notatki
o rodzie Glindziczów/kserokopia białoruskiego rękopisu/**

Służba dworska dawna-listy do Izabeli Wysockiej 1942-44

Tallat-Kiełsz J.-dzieje rodziny Daniłowiczów i Boreyszów

Tokarzewicz-list do Jana Karłowicza z 4 III 1903 r.
/cytowany w prywatnej korespond. z 1967/

Wysocka Kazimiera-wspomnienia rodzinne

RELACJE KORESPONDENCYJNE I OSOBISTE NOTOWANE
/zbiory własne/

A. Korespondencja:

Kazimierz Ryszard Bitner-Glindzicz-	listy do autora	56	szt
Olgierd Błażewicz.....	-"-	4	"
Alina i Krystyna z domu Błażewicz	-"-	52	"
Henryka Bołdys-Żegocka.....	-"-	6	"
Halina Buttowt-Andrzejkowicz.....	-"-	38	"
Ewa Federowska.....	-"-	8	"
Stanisław Hamanowicz.....	-"-	12	"
Witold Karpyza.....	-"-	62	"
Antoni Kobylak.....	-"-	4	"

Białostocka Dyrekcja Lasów Państw. Białowieski Park
Narodowy, Kazimierz Błażewicz, Józef Broda, Helena
Grądkowska, Maria Jarnuszkiewicz, Irena Kozłowska,
Władysław Kunicki, Leon Pawłowicz, Aleksander Połu-
biński, Romuald Sokołowski, Regina Suchocka, Irena
Szpaderska, Józef Tallat, Toruńska Dyrekcja Lasów
Państw. Jan Wasiukiewicz, Edward Więcko, Hieronim
Wysocki, Witold Wysocki, Jerzy Wysocki.....ogółem 48 "

B. Wywiady notowane:

Krystyna Batiukova, Aldona Błażewicz, Adam Czartoryski,
Aniela Drabezyk, Zofia Federowska, Ewa Federowska, Jan
Higersberger, Halina Kobrzyńska, Andrzej Kostrzewski,
Franciszek Lech, Jan Lejman, Janina Pruszyńska, Alina Ro-
goleva, Hieronim Wysocki, Izabela Wysocka, Jerzy Wysocki,
Zdzisław Wysocki.

OPRACOWANIA

Adamuszek Iwanow-"Litości" MSW Warszawa 1996
Album Legionów Polskich GKW Warszawa 1933
Aftanazy R.-"Materiały do dziejów rezydencji" Ossoline-
um Wrocław 1991-95
Bardach J.-"O dawnej i niedawnej Litwie" UAM Poznań 1988
Bisping A.-"Nasze Massalany" wyd. własne Warszawa 1992
Boniecki J.-"Kresy Wschodnie II Rzeczypospolitej w fo-
tografii-katalog" DIG Warszawa 1996
Cetwiński M, Derwich M.-"Herby, legendy dawne, mity" KAW
Wrocław 1987
Chajewski A.-"Sytuacja Polaków na Łotwie"-czasopismo
"Myśl polska o kresach" Nr 10/43/ X. 1997
Chlebowski C.-"Wachlarz" PAX Warszawa 1985

- Cygan K.-"Kresy w ogniu 1939" WOW Warszawa 1990
- Czarnyszewicz F.-"Nadberezyńcy" FIS Lublin
- Doktor G., Podhorski K., Staliś T.-"Deportacje i przemieszczenia ludności polskiej w głąb ZSRR 1939-1945" PIW Warszawa 1989
- Dyczkowski A.-"Słonim-historia i zabytki" GRYF Warszawa 1992
- Federowski Michał-"Lud białoruski" PAU/PAN 1897-1981
- Gloger Z.-"Encyklopedia staropolska ilustrowana" WP Warszawa 1972
- Gomulicki W.-"Na rozłogach białoruskich" Gebethner i Wolff
- Grabiec J.-"Rok 1963" wyd.własne 1921
- Inst.Historii PAN-"Ziemianie polscy XX wieku"tom I i III DIG Warszawa 1996,1999
- Jankowski S.-Agaton "Z fałszywym Ausweisem w prawdziwej Warszawie" PIW Warszawa 1988
- Jankowski E.-"Eliza Orzeszkowa" PIW 1964
- Janota-Bzowski Z.-"Notatnik konnego strzelca PAX Warszawa 1981
- Janota-Bzowski Z.-"Wspomnienia pamiętnikarskie" maszynopis autora 1978
- Jasienica P.-"Dwie drogi" PIW Warszawa 1960
- Jasienica P.-"Polska Jagiellonów" PIW Warszawa 1985
- Jasiewicz K.-"Lista strat ziemiaństwa polskiego 1939-1956" POMOST ALFA Warszawa 1995
- Jasiewicz K.-"Zagłada polskich kresów" VOLUMEN Warszawa 1998
- Karpyza Witold-"Bogudzienki" zbiór autora
- | | | |
|-----|---|-------------------|
| -"- | "Biegienie" | -"- |
| -"- | "Glindziczowie" | -"- |
| -"- | "Godziemba-Wysoccy" | ze zbiorów autora |
| -"- | "Koźlupajłowie h.Boża Wola | -"- |
| -"- | "Kosin" | -"- |
| -"- | "Łysków" | -"- |
| -"- | "Nowy Dwór" | -"- |
| -"- | "Pierwsza wojna światowa powiat wołkowyski" | -"- |
| -"- | "Podorosk" | -"- |
| -"- | "Porozów" | -"- |
| -"- | "Powstanie styczniowe w powiecie wołkowyskim" | -"- |

- Karpyza Witold-"Powstanie listopadowe na Litwie i Białorusi" zbiór autora
- "- "Rohoźnica" -"-
- "- "Rok 1920" -"-
- Kieniewicz A."Nad Prypecią dawno temu" OSSOLINEUM Wrocław 1989
- Kluz W.-"Dyktator Romuald Traugutt" OO.Karmelici Kraków 1982
- Korsak W.-"Pieśń puszczy" Perzyński i Niklewicz Warszawa 1924
- Kosman M.-"Historia Białorusi" OSSOLINEUM 1979
- Kossak Z.-"Rok polski" VERITAS londyn 1955
- Kostrzewski A.-"3 Pułk Strzelców Konnych" AJAKS W-wa
- Kownacka E.-"W salonie i kuchni" PIW 1989
- Krasicki A.-"Dziennik z kampanii rosyjskiej 1914-16" PAX Warszawa 1998
- Lipińska G.-"Jeśli zapomnę o nich" EDITIONS-Spotkania Warszawa 1990
- Łopalewski T.-"Między Niemnem a Dźwiną" Wyd.POLSKIE Poznań 1990
- Lossowski P.-"Lotwa nasz sąsiad" MOZAIKA 1990
- Łukomski,Stolarski-"Walka o Wilno ADIUTOR Warszawa 1994
- Łukomski G.-"Walka Rzeczypospolitej o kresy północno-wschodnie 1918-1920" WN Poznań 1994
- Meysztowicz W.-"Gawędy o czasach i ludziach" POL.FUND. KULT.Londyn 1983
- Mękawka J.-"Wędrowki po ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej" STOW.POL.KOMBAT.Londyn 1966
- Mieroszowski hr.S.-"O heraldyce polskiej" Kraków 1887
- Niesobski M.-"Herbarz rodzin i rodów polskich" KADEMM
- Obst J.-"Historia cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej" Wilno 1927
- Paluszyński T.-"Walka o niepodległość Łotwy 1914-1921" BELLONA Warszawa 1999
- Pamiętniki-"Teraz będzie Polska" PAX Warszawa 1988
- Pauszer-Klonowska G.-"Pani Eliza" LSW Warszawa 1973
- Pawłowicz L.-"relacja w sprawie polonii łotewskiej maszynopis autorski
- Pawłowicz L.-relacja o szkolnictwie polskim na Łotwie maszynopis autorski
- Pomorski J.-"Korpus Ochrony Pogranicza w obronie Rzeczypospolitej 1924-1939" AJAKS Kraków 1998

- Popiński, Kokurin, Gurianow-"Drogi śmierci" KARTA
Warszawa 1995
- Pruszyński A.-"Powrót do Rohoźnicy" Przekrój 22-29
XII 1991
- Puzynina G.-"W Wilnie i dworach litewskich 1815-1843"
KAW 1990
- Reymont W.-"Z ziemi chełmskiej" SS.Loretanki W-wa 1998
- Rodziewiczówna M.-"Niedobitowski z granicznego bastio-
nu" ALFA Warszawa 1993
- Rodziewiczówna M.-"Pożary i zgliszcza" LSW W-wa 1958
- Rodziewiczówna M.-"Gniazdo Białozora" ALFA W-wa 1991
- Rudnicki S.-"Ziemiaństwo polskie XX wieku" TRIO War-
szawa 1996
- Sikorska-Kulesza-"Deklasacja drobnej szlachty na Lit-
wie i Białorusi w XIX wieku" AJAKS Prusz-
ków 1995
- Smaczny H.-"Księga kawalerii polskiej 1914-1947"
TESCO Warszawa 1989
- Stankiewicz, Januszczak-"Marsz śmierci-ewakuacja wię-
źniów z Mińska do Czerwieni 24-27 czerw-
ca 1941" VOLUMEN Warszawa 1999
- Strzębosz T.-"Saga o Łupaszce ppłk. Jerzym Dąmbrowskim
RYTM Warszawa 1996
- Szostak H.-"Jeden z dyneburskiej placówki wywiadowczej"
czasopismo "Polak na Łotwie" Nr 5/16 1993
- Trojanowiczowa-"Sybir romantyków" W DRODZE Poznań 1993
- Wańkiewicz M.-"Anoda-Katoda" PAX Kraków 1986
- Wejtko W. gen.-"Samoobrona Litwy i Białorusi" GRYF War-
szawa 1992
- Więcko E.-"Puszcza Białowieska" PWN Warszawa 1984
- Winnicki Z.-"Szkice kresowe" WSPÓLNOTA POLSKA Wrocław
1995
- Wiśniewski W.-"Peni na Berżenikach" POL.FUND.KULTUR.
Londyn 1991
- Wysocki H.-"Przemówiły stare listy" WYDŚLITERACKIE
Kraków 1986
- Żaroń P.-"Ludność polska w Związku Radzieckim w czasie
II wojny światowej" PWN Warszawa 1990
- Zygulski Z., Wielicki H.-"Polski mundur wojskowy" KAW
Kraków 1988

I. NAWRÓCENIE LITWY.

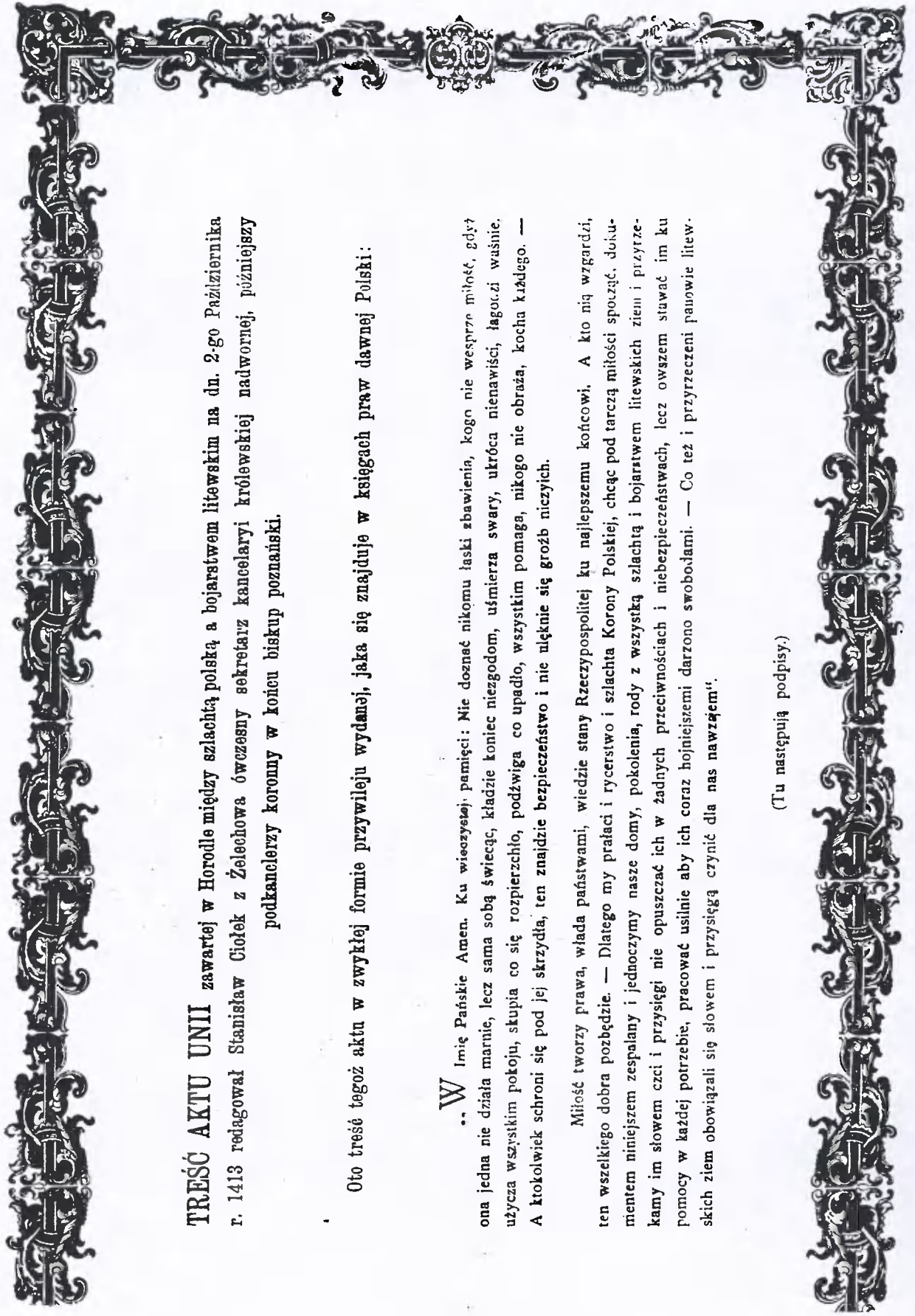
1. Akt wołkowyski, 11 stycznia 1386.

Stwierdzenie wyboru Jagiełły na króla polskiego.
(Kodeks dypl. polski III, 170)

My, Włodko, starosta lubelski, Piotr Szaraniec, podstoli krakowski, Mikołaj, kasztelan zawichojski i Krystyn, dzierżawca kazimierski, obwieszczamy wszem wobec... iż 11 stycznia r. P. 1386 przybyliśmy do niezwyciężonego księcia Jagiełły, z Bożej łaski najwyższego księcia Litwinów i dziedzica Rusi, w poselstwie od szlachty i dostojników tak wyższych jak niższych oraz całej społeczności królestwa polskiego... i na podstawie (naszych) listów wierzytelnych... ułożyliśmy ostateczne warunki z wspomnianym w. księciem Jagiełłą i taki zawarliśmy układ: iż wybraliśmy i przyjęliśmy go za pana i króla królestwa polskiego i pana naszego i daliśmy mu z warunkiem małżeństwa jako prawą małżonkę najjaśniejszą (panią) Jadwigę, dostojną i przyrodzoną królową Polski... Przymierzamy też i oświadczamy, że stosownie do (pełnomocnictw) naszego poselstwa to nasze zarządzenie, postanowienie i układ, jak wyżej powiedziano, będą uznane i zachowane wdzięcznie i niezmiennie przez wszystkich mieszkańców królestwa. Ułożyliśmy też... z wspomnianym panem i księciem najwyższym Jagiełłą z ramienia i w imieniu wspomnianych mieszkańców (królestwa), iż w dniu Oczyszczenia N. Marji Panny najbliższej przypadającym (2 lutego 1386 r.) odbędzie się zjazd generalny w Lublinie, na który tenże pan i książę Jagiełło wraz z braćmi i ziemianami swymi, jakiegokolwiekby byli stanu, przybyć winien pewnie i bezpiecznie...

Akt wołkowyski - w sprawie wyboru Księcia
Władysława Jagiełły na króla polskiego.

wg. oprac. dra. Jana Dąbrowskiego prof. U.J.



TREŚĆ AKTU UNII zawartej w Horodle między szlachtą polską a bojarstwem litewskim na dn. 2-go Października r. 1413 redagował Stanisław Ciołek z Żelechowa ówczesny sekretarz kancelaryi królewskiej nadwornej, późniejszy podkancelerzy koronny w końcu biskup poznański.

Oto treść tegoż aktu w zwykłej formie przywileju wydanej, jaka się znajduje w księgach praw dawnej Polski:

W Imię Pańskie Amen. Ku wieczystej pamięci: Nie doznać nikomu łaski zbawienia, kogo nie wesprze miłość, gdyż ona jedna nie działa marnie, lecz sama sobą świecąc, kładzie koniec niezgodom, usmierza swary, ukróca nienawiści, łagodzi waśnie, używa wszystkim pokoju, skupia co się rozpieczęchło, podźwiga co upadło, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego. — A któżkolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie uleknie się groźb nieczyich.

Miłość tworzy prawa, włada państwami, wieździe stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi. A kto nią wzgardzi, ten wszelkiego dobra pozbędzie. — Dlatego my prałaci i rycerstwo i szlachta Korony Polskiej, chcąc pod tarczą miłości spojrzeć, dokumentem niniejszym zespalany i jednoczymy nasze domy, pokolenia, rody z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem i przyrzekamy im słowem czci i przysięgi nie opuszczać ich w żadnych przeciwnościach i niebezpieczeństwach, lecz owszem stawać im ku pomocy w każdej potrzebie, pracować usilnie aby ich coraz hojniejszymi darzono swobodami. — Co też i przyrzeczeni panowie litewskich ziem obowiązali się słowem i przysięgą czynić dla nas nawzajem“.

(Tu następują podpisy.)

Akt Unii Horodelskiej 1413 roku.



Выше метрики из подлинной книги оуперше за 1907 года, Порозовского востана, записанной на странице 57, под № 35, следующего содержания:

1907 года Марта 4 дня, в Миллии Туркино скончался Егоръевичъ Евстафій-Индарій Касаровичъ Высеский, отъ кровоизлиянія въ головной мозгъ, бывъ приобщенъ Св. Таинъ. Оставившея вдова Мария Еддиславовна изъ Битицкыхъ Высеской мужъ, имевший отъ роду 58 летъ и 5 месяцевъ, приобщившея Порозовского востана оставилъ послъ сына Бронислава Евстафійа и дочь Людмилу-Кшистину, Мило ево воевода Иосифъ Канцлеръ Настоятель Порозовского востана, его Марта 6 дня, на приходе своемъ похоронилъ.

Настоящая метрическая выше сходно составлена съ подлинною книгою въ томъ надлежанцею подписью и приобщеніемъ востанной печати упротвораго Мастера Порозова. Марта 9 дня 1907 года.



Настоятель Димско-Католического Приходского Порозовского востана К. Канцлеръ

Akt zgonu Eustachego Woyszkiewicz, Godziemba-Wysockiego.

Diecezja Wileń.
Proboszcz R. Kat. Kościół.
w Porozowie
Dn. 30 października 1891 r.
N. 376.

Metryka urodzenia.

Niniejszym zawiadamiam, że według księgi metrykalnej Porozowskiego Rejonu katolick. księstwa z roku 1891 pod Nr 156 strona 470.

Bronisław - Eustachy Wysocki syn Eustachego - Jannara i Marii - Wandy z Bithenów, Głuboczko imadzioukóu urodził się roku tysiąc osiemset czterdzieści pierwszego (1891) dnia siemnastego września w majątku Wivay na obszarze parafii Porozowskiej.

Przyjrzali w chrzcie: Józef Jabłoński i Henryk Kęgocha wdowa.

Nr. J. L. Amymorusz



Metryka urodzenia Bronisława Woyszkiewicz
Godziemba-Wysockiego

ARCHIDIECEZJA WILEŃSKA

PROBOSZCZ R.-K. PARAFJI

Porozowie

28 dn. października 1938 r.

204.

Poczta

Porozow

z ksiąg metrycznych



Nr. aktu 156

SWYLADECTWA NIEKRYCZNE
URODZENIA I CHRZTU

Porozowskiego

rzymsko - katolickiego parafjalnego kościoła.

Roku 1891 dnia 28 listopada ochrzczono niemowlę imieniem
 Bronisław Godziemba urodzone roku tysiąc dziewięćset trzydziestu ósmego
 stycznia (1891) dnia dwudziestego pierwszego
 syna małżonków ślubnych Bronisława Godziembę i Marii - Amandy
 Pituerow Wysockich w majątku dworskim
 Ząpaty związek małżeński w roku 1926-27 = 4-0-20 - Porozów - Kosturowo
 Kowalewie - Kowalewko - rynek kat. par. kłobucki i W. Kowalewko - Fert.



Ks. J. Stężyca
 Proboszcz parafji Porozów

NB. - Brak adnotacji w sprawie małżeństwa nie jest dowodem wystarczającym wolnego stanu.

V

Dokument urodzenia.



Nr 135

Strzałkowo am 22 November 1910

dem unterzeichneten Standesbeamten erschien heute der Persönlichkeit nach

dem unterzeichneten Standesbeamten erschien heute der Persönlichkeit nach dem kannt, dem Herrn Dominik Johann Dominik (Jaw) Dominik von Kuczowski

wohnhaft in Strzałkowo

Katholisch Religion, und zeigte an, dass von der

Stefania Leokadia von Kuczowska geborenen Christraim im Grunde

Katholisch Religion,

wohnhaft bei ihm

zu Strzałkowo in seinem Wohnung

am 22 ten November des Jahres

tausend neunhundert 22 vor mittags

um 10 Uhr ein Wöckchen

geboren worden sei, und dass das Kind sein Vornamen

Isabelle Barbara Rosina (Isabella Barbara Rosina),

erhalten habe

Vorgelesen, genehmigt und bescheinigt von Kuczowski

Der Standesbeamte.

Kuczowski

Zgodność powyższego wyciągu z główną księgą urodzeń urzędu stanu cywilnego

Strzałkowo

potwierdza się niniejszem.



Strzałkowo dnia 20 listopada 19 10

UrządNIK Stanu Cywilnego.

M. M. M.

Wyciąg z ksiąg metrykalnych Urzędu Stanu Cywilnego w Strzałkowie, dotyczący urodzin Izabeli Kuczowskiej

ARCHIDIECEZJA WILEŃSKA

KOŚCIÓŁ FARNY ŚW. WACŁAWA
W WOŁKOWYSKU

Dnia 27. VII 1933 r.
L. dz. 1194.

ŚWIADECTWO METRYKALNE.

Jak widać z Księgi *Uroczonych* Farnego Kościoła

Świętego Wacława w Wołkowysku z roku 1933 pod Nr. 198

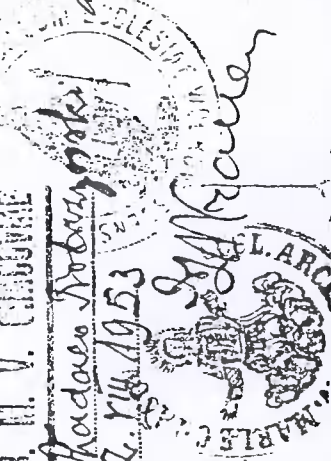
ze *Halina - c. Maria Wysocka, córka*
Bronisława i Izabeli z Kuczkowskich

Kowoniel, małżonko słubnych, urodziła się
dnia 13 października tydzień dziewięćset
czwartej tysięcznej w maj. Kuczkowskiej parafii
Perotomskiej.

PAR. D. D. V. CROONIE

Wzrost: 160 cm
Ciężar ciała: 50 kg
Data: 2. VII 1953

K. H. Gudwin
Proboszcz Farnego Kościoła
Św. Wacława w Wołkowysku.



Drak Jurek Zawadzkiego w Wilnie

Metryka urodzenia Haliny Godziemba-Wysockiej Woyszkiewicz, córki Bronisława i Izabeli z Kuczkowskich.

WYCIĄG
 Z ART. 18 I 19 ROZPORZĄDZENIA PREZYDENTA
 R. P. Z DNIA 16 MARCA 1928 R. O EWIDENCJI
 I KONTROLI RUCHU LUDNOŚCI (Dz. U. R. P.
 Nr. 32, poz. 309).

Art. 18.

Dla ułatwienia legitymowania się wydawane będą na żądanie przez gminy dowody osobiste osobom w tych gminach zamieszkałym i zameldowanym. Za dowody te pobiera się 60 gr tytułem zwrotu kosztów druku. Żądanie i formularz aniżeli dowody osobiste, jak i dowody te, wchodzi (wraz z załącznikami) o ich wydanie, nie podlegają.

Art. 19.

Osoby posiadające dowody osobiste, wymienione w artykule poprzednim, mogą prosić powiatową władzę administracji ogólnej o zaświadczenie w dowodzie osobistym, że są obywatelami polskimi.

Powiatowe władze administracji ogólnej nie odmówią zaświadczenia, jeżeli po sorawdzeniu stwierdzą, że osobie, starającej się o zaświadczenie, przysługuje rzeczywiście obywatelstwo polskie.

Drukarnia Państwowa Nr. 65215. 11.7.33. 199 000.

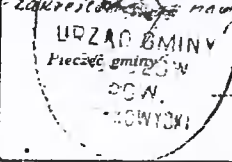
Województwo *Białostockie*
 Powiat *Wotkowyski*
 Gmina *Porozów*

**DOWÓD
 OSOBISTY**

Ser. B No 144682

wydany na podstawie art. 18 rozp. Prezydenta R. P.
 z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu
 ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309).

Nr. *9-4-1*
 Nazwisko *Wysocka - Godziemba*
 Imię *Izabela, Barbara, Kazimiera*
 Data urodzenia *6 listopada 1910 r.*
 Miejsce urodzenia *Stradkowa, pow. Wrońska*
 Imię ojca *Jan* matki *Stefania Peters*
 Zawód *prym. mezu*
 Miejsce zamieszkania *maj. Wrońska*
 Wzrost *wysoki*
 Twarz *owalna*
 Włosy *szatyn*
 Oczy *niebieskie*
 Znaki szczególne
 Wydany dnia *10 sierpnia 1935 r.*
zakreślony podpisem

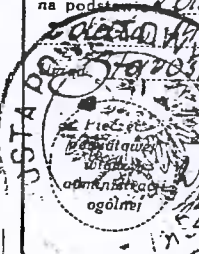


Wójt
[Signature]



Izabela Barbara Kazimiera Wysocka
 (Własnoręczny podpis osoby wyszczególnionej w dowodzie)

Stosownie do art. 19 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1928 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 32, poz. 309) zaświadcza, że wymieniony(a) w niniejszym dowodzie p. *Wysocka - Godziemba Izabela - Barbara - Kazimiera* jest obywatel(ka) polskim(a), co zostało stwierdzone na podstawie *Zawiad. Ur. Gu. Sociojal.*
z dnia 10 sierpnia 1935 r. Nr. 12.
Starosta Powiatowy Wotkowyski
Dr. J. J. J. J. J.
11.11.35 d. wy. 746.
13.11.35 d. wy. 746.
[Signature]



D.O. Izabeli Godziemba-Wysockiej, Woyszkiewicz wydany w U.G. Porozów 1935 r. przestemplowany przez okupacyjny Zarząd Miejski w Krakowie w 1940 r.

SZKOŁA GŁÓWNA GOSPODARSTWA
WIEJSKIEGO W WARSZAWIE

Nr Rol.162/30

DYPLOM

Ob. Jan Higersberger
urodzon X. dnia 5 kwietnia 1905 r.
w Piotrowie, pow. Gostynin

po odbyciu studiów wyższych
w latach 1925-1930
specjalizując się w zakresie
produkcji roślinnej

i złożeniu egzaminu dyplomowego
z wynikiem dobrym
otrzymał w dniu 26 czerwca 1930 r.
DYPLOM UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH
stopnia Pierwszego

na Wydziale Rolniczym

i uzyskał tytuł Inżyniera Rolnika

REKTOR

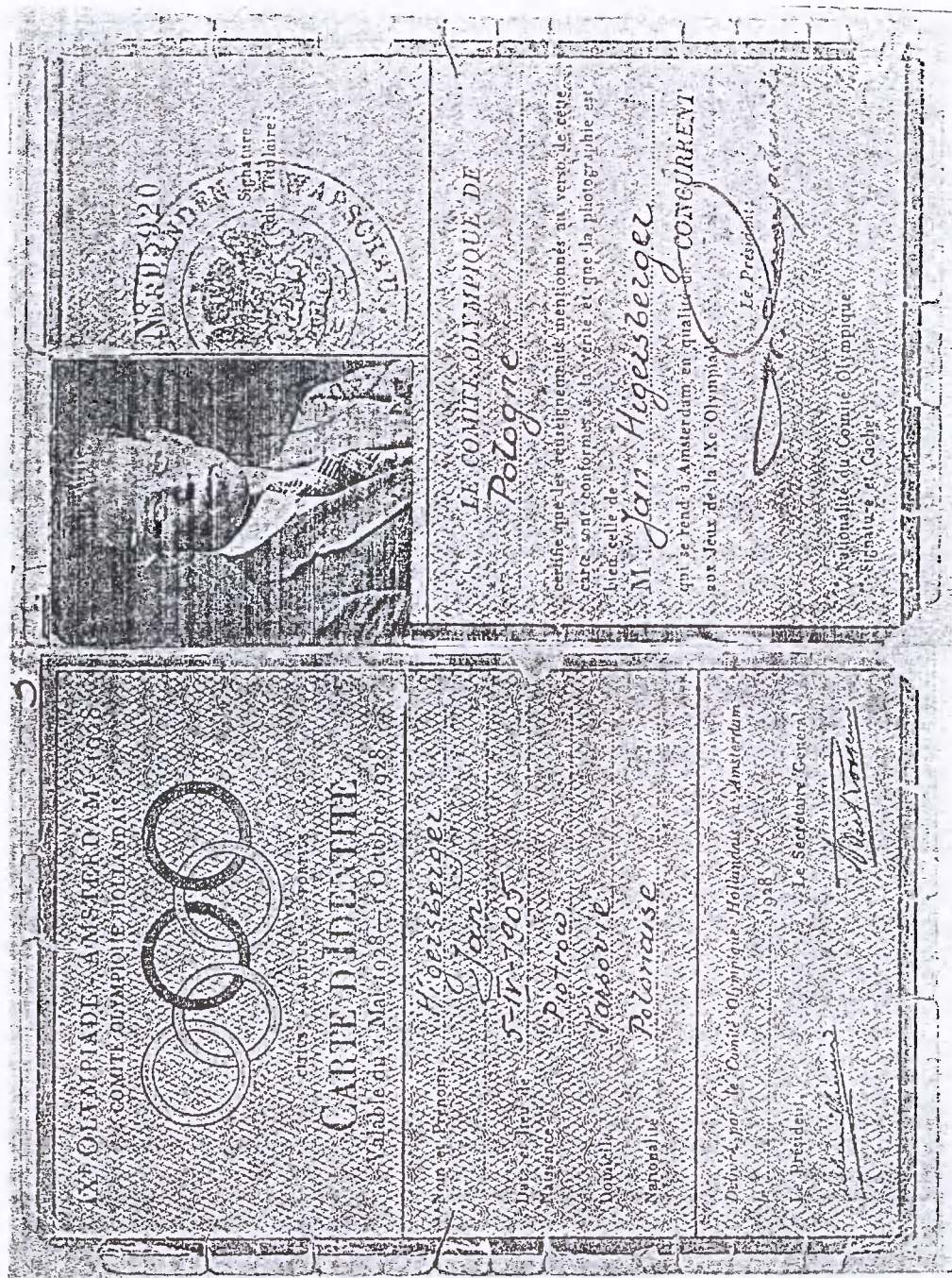
/-/Prof.dr H.Jasiorowski /-/
DZIEKAN I.Łakomiec

Warszawa, dnia 20 maja 1930 r.



Własnoręczny podpis

Kopia dyplomu ukończenia studjów wyższych na Wydziale
Rolniczym S.G.G.W. - Jana Higersbergera, zięcia Kazi-
miery Woyszkiewicz Godziemba-Wysockiej



Legitymacja zawodnicza Jana Higersbergera
uczestnika IX Olimpiady w Amsterdamie 1928 r.



S. P.

Z Wysockich Wanda HIGERSBERGER

mgr inż. ogrodnik

Opatrzona Sw. Sakramentami po długich i ciężkich cierpieniach zmarła dnia 8 lipca 1970 r.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się w kościele Sw. Boromeusza dnia 11 lipca 1970 r. o godz. 13.40

po czym nastąpi wyprowadzenie drogich nam zwłok do grobu na Powązkach.

Matka, Mąż, Synowie, Synowie,
Wnuczeta i Rodzina.

WZG Głódź ul. 36/37 tel. 10 - 16.4

Klepsydra Wandy Higersberger, z domu Godziemba-
Wysockiej Woyszkiewicz, córki Kazimierzy i Kaspra

Z zalem zawiadamiamy, że w dniu 3 września 1986 r. zmarł nagle w wieku 81 lat

S. + P.

mgr inż. rolnik

JAN HIGERSBERGER

urodzony w Piotrowie, absolwent SGGW, Jagiellon, uczestnik olimpiady 1928 roku, żołnierz AK, ps. „Grom” honorowy członek AZS. Całe życie związany zawodowo z rolnictwem, były dyrektor ZD IMUZ w Fałentach, autor licznych publikacji w rolniczych czasopiśmiech, Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się w dniu 10 września 1986 r. o godz. 12.00 w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach, skąd nastąpi wyprowadzenie ciała do grobu rodzinnego, o czym zawiadamiają

syn, synowe, wnuki, rodzina

W-703962

S. + P.

mgr inż. rolnik

JAN HIGERSBERGER

Jagiellon

Urodzony dnia 5 kwietnia 1905 r. w Piotrowie na Kujawach.

Ochotnik wojny 1920 r., oficer AK. Zmarł nagle dnia 3 września br. w Warszawie. Sportowiec — wioślarz AZS, olimpijczyk (Amsterdam 1928). Długoletni wybitny specjalista resortu rolnictwa, B. dyrektor Zakładu Instytutu Melioracji i Użytków Zielonych w Fałentach, Autor licznych publikacji rolniczych, Niezawodny Przyjaciel. Msza św. żałobna odbędzie się dnia 10 września o godz. 12.00 w kościele św. Karola Boromeusza na Powązkach, po której nastąpi wyprowadzenie do grobu rodzinnego. Jednego z ostatnich seniorów życia akademickiego w Polsce, żegnają z głębokim smutkiem

przyjaciele-Jagielloni

W-60412-1

Nekrolog prasowy Jana Higersbergera
zięcia Kazimiery Godziemba-Wysockiej

Wspomnienie ks. J. Westfala o Feliksie Kuczkowskim - "Tygodnik Katolicki" Nr 20 14.V.1967

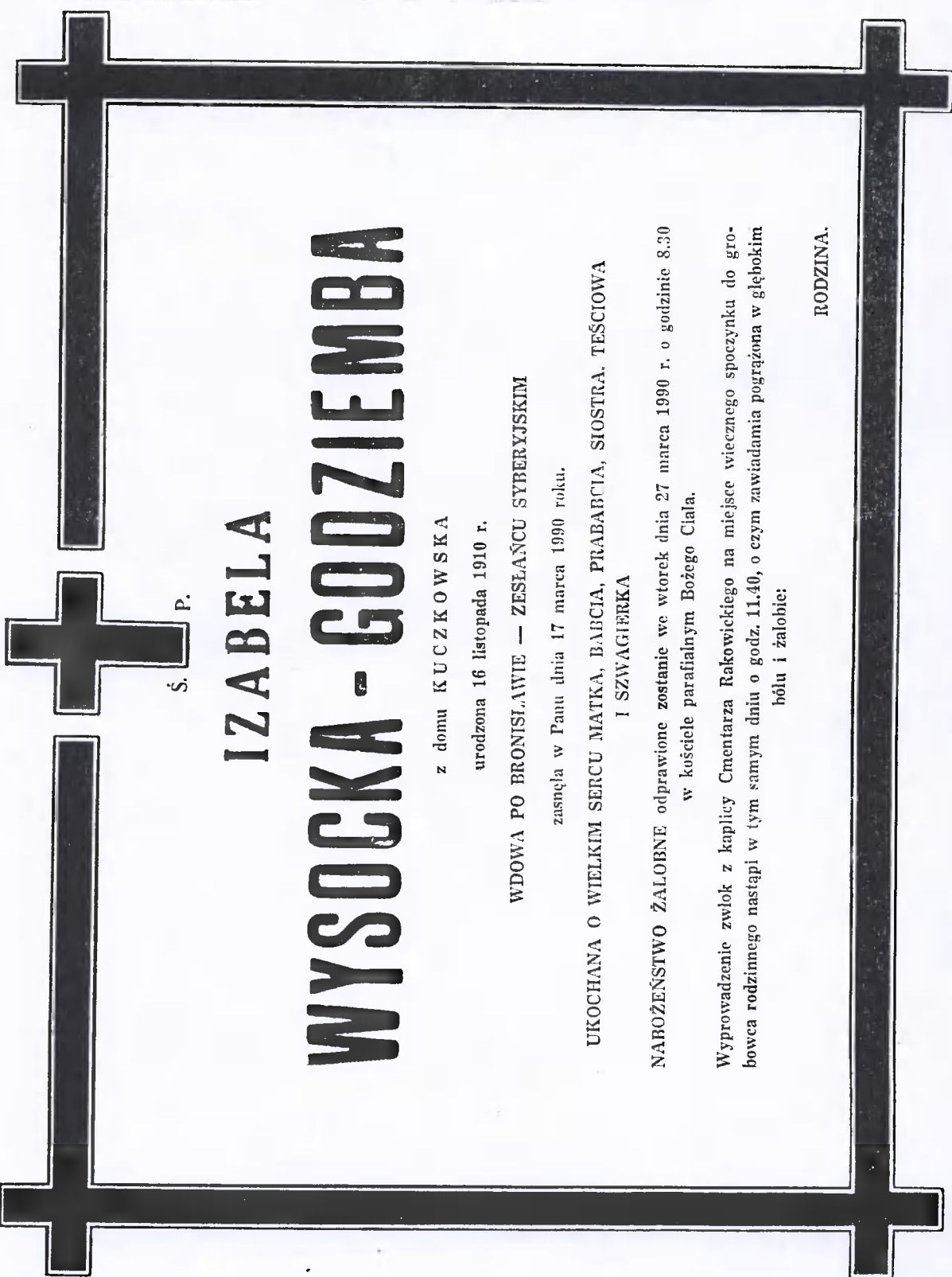
Przeżyłem ostatnio zdarzenie, którego chyba nie zapomnę do końca życia. Telefon ze szpitala. Sprawa musi być ważna, skoro dzwoni sam kapelan. Okazuje się, że chory jest Polakiem. Pochodzi z Wielkopolski, z okolic Wrześni. Rak gardła w ostatnim stadium. Tlen przedłuża chwile jego życia. Przy chorym szlochająca żona, z pochodzenia Niemka i dwudziestoletni syn. Na szczęście chory może jeszcze mówić. Zjawia się kapelan australijski i na stronie wtajemnicza mnie dyskretnie w poważny stan chorego. Zostałem sam. Chory, owszem życzy sobie księdza, ale o spowiedzi nie myśli. Wita mnie stwierdzeniem, że księża to oszuści. Nie wierzę w nich - oświadcza. Wierzę tylko w Boga, poza tym w nic więcej. Przykra sytuacja. Poczuję się słaby i bezradny. W duchu prosiłem o pomoc z nieba, za wstawieniem Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Rozpaczam swobodną rozmowę - Widzi pan - mówię, spotykamy się pierwszy raz w życiu i to w takich dziwnych okolicznościach. Wiele pan zapewne w życiu przeszedł. A ostatnia wojna dała się panu okrutnie we znaki, skoro zapędziła pana aż do Australii.

To prawda, przechodziłem wiele w życiu, a ostatnia wojna była dla mnie koszmarem. Byłem lotnikiem. Z furją strzelałem do Niemców. Nieustannie narażałem swoje życie. Nerwowo nie wytrzymałem. Rozpiłem się wtedy i to mnie pewnie dziś dobiła. Trzy razy byłem bardzo blisko śmierci, która zaglądała mi już w oczy, ale uchodziłem z życiem. Teraz jednak czuję, że nie ujdę śmierci. Po wojnie ożeniłem się z Niemką, dobrą kobietą i katoliczką. Syn wychowany i wykształcony w szkole katolickiej. Chory opowiadał koleje swego trudnego życia. Nawet się nie spostrzegł jak zaczęła się spowiedź - długa i szczerą. Miłosierdzie Boże jest bez granic. Lzy szczerego i głębokiego żalu obmyły wszystko. Następuje zaraz namaszczenie: "Przez to święte Namaszczenie, niech ci Bóg odpuści wszystkie grzechy". Nagle twarz chorego zeszytniała, stała się jakaś poważna i spokojna, jakby spełniło się coś bardzo ważnego. To koniec. Żegnaj drogi bracie! Bóg jest dobry i bardziej miłosierny, niż księża, których w życiu spotkałeś, o wiele miłosierniejszy niż wszyscy ludzie na świecie!

Pogrzeb polskiego lotnika na australijskim cmentarzu, był dla mnie wielkim przeżyciem i więcej mi dał, niż niejeden dzień skupienia.

Przedruk artykułu z "Tygodnika Katolickiego" Nr 20 z dn 14.V.1967 r. - Wspomnienie ks. J. Westfala na temat śmierci lotnika polskiego Feliksa Kuczkowskiego



Ś. P.

IZABELA

WYSOCKA - GODZIEMBA

z domu **KUCZKOWSKA**

urodzona 16 listopada 1910 r.

WDOWA PO BRONISŁAWIE — ZESŁAŃCU SYBERYJSKIM

zasnęła w Paau dnia 17 marca 1990 roku.

**UKOCHANA O WIELKIM SERCU MATKA, BABCIA, PRABABCIA, SIOSTRA, TEŚCIOWA
I SZWAGIERKA**

NARODZENSTWO ŻALOBNE odprawione zostanie we wtorek dnia 27 marca 1990 r. o godzinie 8.30
w kościele parafialnym Bożego Ciała.

Wyprowadzenie zwłok z kaplicy Cmentarza Rakowickiego na miejsce wiecznego spoczynku do gro-
bowca rodzinnego nastąpi w tym samym dniu o godz. 11.40, o czym zawiadania pogrążona w głębokim
bólu i żalobie:

RODZINA.

Klepsydra Izabeli Godziemba-Wysockiej, Woyszkiewicz

Nr. 18

Akt zgonu Glindzicza Mieczysława

Dziewiątego września 1916 roku zmarł o godzinie drugiej po południu Glindzicz Mieczysław, doktor medycyny, w wieku 79 lat, zamieszkały w Couilly (Seine et Marne), urodzony w Grodnie, rosyjska część Polski, 4 października 1836 roku, naturalizowany we Francji 13 października 1890 roku, syn nieżyjącego Józefa i nieżyjącej Ludwiki z domu Lewoniewskiej, ożeniony z Rose Gozzini, w swoim miejscu zamieszkania przy ulicy Pasteura 12; sporządzono 10 września 1916 r. o godzinie ósmej rano na podstawie zgłoszenia złożonego przez Hussona Georgesa, właściciela (domu), mającego 59 lat, i Loiseau Armanda, lekarza weterynarii, 50 lat, zamieszkałych w tejże gminie, którzy po przeczytaniu (niniejszego protokołu) podpisali razem z nami.

Louis Serouge, Mer Couilly

A. Loiseau

G. Husson

DÉPARTEMENT DE SEINE ET MARNE
MAIRIE DE
77860 COUILLY-PONT-AUX-DAMES
TÉLÉPHONE : 60.04.02.24

CLOS PAR NÉCESSITÉ
LE MAIRE



Odpis aktu zgonu Mieczysława Glindzicza, doktora
medycyny, zmarłego na emigracji we Francji

Bitner Ryszard

Wieczór Wigilijny

spędzony wśród braci nauczyci i uczniów,
harcarzy i harcerów na sygnali.

Czytają!

Teheran, 24. 12. 1944.

Zaproszenie dla Ryszarda Bitnera-Glindzicza, na harcerski Wieczór Wigilijny w Teheranie, po ewakuacji z ZSRR z armią gen. Andersa.

Świadectwo maturalne Ryszarda Bitner-Glindzicza

Translation
COMMITTEE FOR THE EDUCATION OF POLES IN GREAT BRITAIN
Board of Examiners

**Polish
Certificate of Matriculation**

Ryszard Kazimierz Bitner-Glindzicz
(Christian names and surname)

born on the 2nd January 1953
in Kirotary, district Bielski
denomination Rom. Cath.
after completing his (their) studies at N. Copernicus Secondary Grammar School for Boys Diddington, Huntingdon

passed the ordinary Polish Matriculation Examination on the 24th July 1953 according to the Math. Phys. syllabus before the Board of Examiners set up on the written authority of the Committee for the Edu. of Poles in G. Britain under date of 14th April 1953 ref. No. E. II.

The Board of Examiners consider Mr. Ryszard Kazimierz Bitner-Glindzicz as qualified for university studies and issued him/her this certificate

No. 118/53 Diddington, 24th July 1953.

Members of the Board of Examiners
Chairman of the Board of Examiners
Mr. Philip ...
Mr. ...
Mr. ...
Mr. ...

KOMITET DLA SPRAW OŚWIATY POLAKÓW W WIELKIEJ BRYTANII
Komisja Egzaminacyjna

**POLSKIE
ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI**

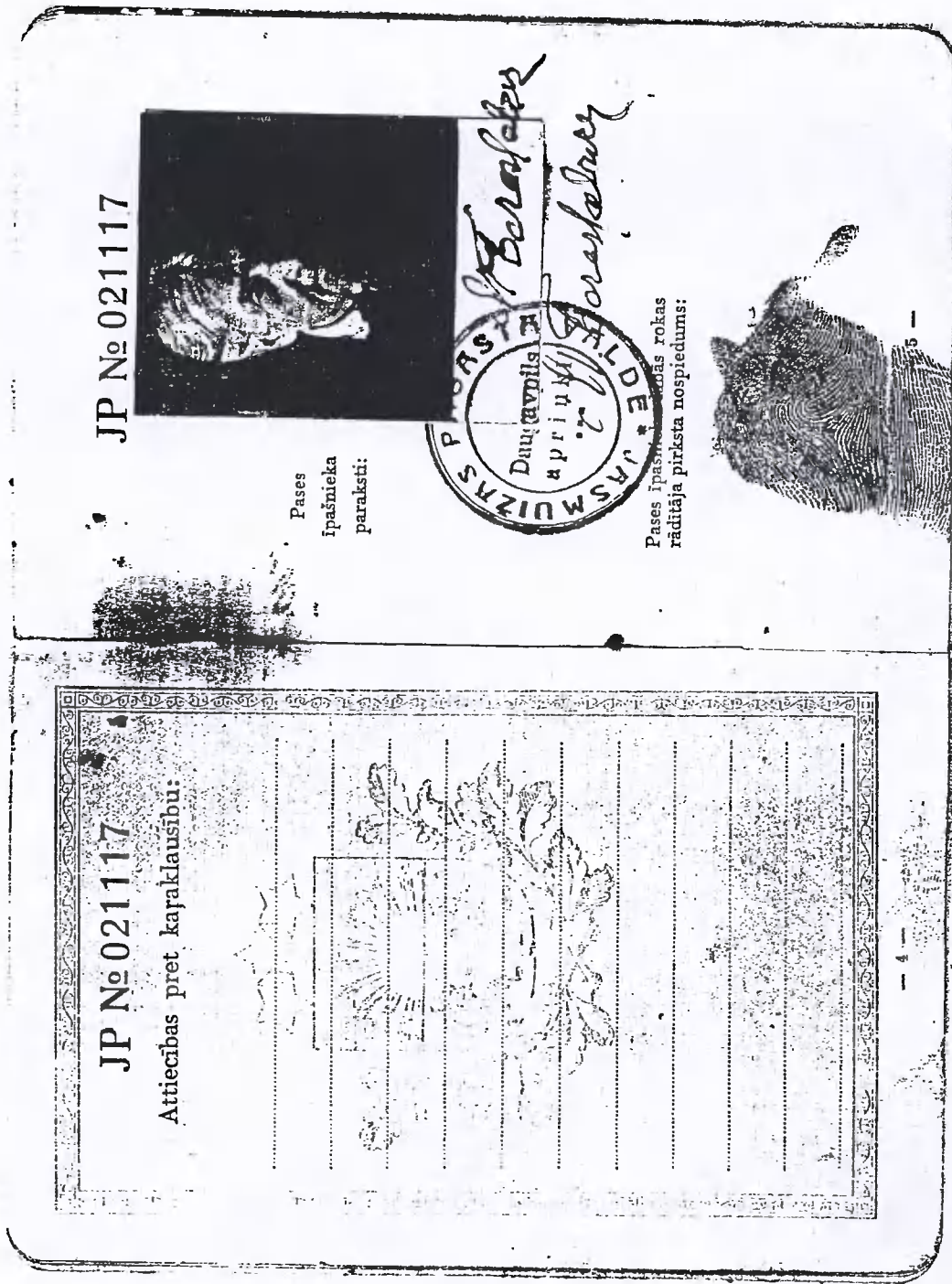
Ryszard Kazimierz Bitner-Glindzicz
(Imię i nazwisko)

urodzony 2 dnia 2 miesiąca Stycznia
roku 1953 w mi. Kirotary, pow. Bielski
Religia: wój. katolicka
religi (wyznania) 22. Kat.
po ukończeniu nauki w szkole średniej im. M. Kopernika w Diddington, Huntingdon
szkole w terminie 24. lipca 1953 roku
złożył egzamin dojrzałości według programu wydanego przez Komisję Egzaminacyjną, powołaną przez Wyk. Eduk. dla Polaków w Wielkiej Brytanii z dnia 14. kwietnia 1953 r. L. dz. E. II.

Komisja Egzaminacyjna uznała P. Ryszarda Kazimierza Bitner-Glindzicza za przygotowanego do studiów wyższych i wydała mu jej niniejsze świadectwo.

Nr. 118/53 Diddington, dnia 24 lipca 1953

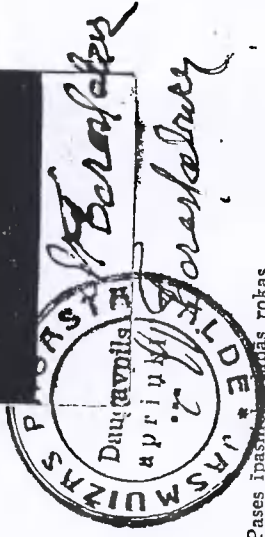
Członkowie Komisji Egzaminacyjnej Przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej
Mr. Philip ...
Mr. ...
Mr. ...
KSIĘGÓWKA
(Sw. pol. 24/53)
Prof. ...



JP No 021117



Pases
Ipašnieka
paraksti:



Pases Ipašnieka rokas
rādītāja pirksta nospiedums:



JP No 021117

Attiecibas pret karaklausibu:

Łotewski paszport Marii z Nowackich, drugiej żony Aleksandra Błażewicza



LATVIJAS PSR
TIESLIETU MINISTRIJAS
CIVILSTĀVOKĻA AKTU
REGISTRĀCIJAS PĀRVALDE
МИНИСТЕРСТВО ЮСТИЦИИ
ЛАТВИЙСКОЙ ССР
УПРАВЛЕНИЕ ЗАПИСИ АКТОВ
ГРАЖДАНСКОГО СОСТОЯНИЯ

A. Rogoļevai

Rīgā Maskavas ielā 266/6-18

226373 Rīga PDP, Lenina ielā 24.
226373 Rīga CPS, ul. Lenina, 24
Telefoni: 227077, 226222
Telefoni: 227077, 226222

23.07.90 № 12.2-4/53

Giz/Na № _____

Latvijas Dzimtsarakstu pārvaldes arhīva nodaļa paziņo,
ka BIAŽEVIČS Kazimirs Kazimira d. - 36 gadi vecs un
VISOCKA Adolfīne Jevstafija m. - 23 gadi veca noslēguši
laulību 1918.gada 3.septembrī Aglonas R.-kat. draudzē.

Nodaļas vad.



V. Lapiņa

№ «П» Е. Т. Добельский фил. Д-183 2000 89.

Odpis metryki ślubnej Adolfiny i Kazimierza
Trzaska-Błażewiczów

zgodzonymi warunkami: wstąpił
i Porowio były opralone, siości hosiol
gdzie był Wasz ślub. To moja
Allochano, długi cięś stawała
się rualere mnie, to wielka radość
dla mnie. Chociaż nigdy Was nie
robaciz i nigdy nie przytulimy
się w serdecznym uścisku, po-
mijać się jest daleko w Syberii bi-
żę kuchogice Was serce, że za Was
się modlę. Czekam listu obser-
nego o Wasze życie, usłyszę wie-
i uferuje. Jestem stara, siwa,
mężczyzna, życie kobiety
biesznie w jawdnie manie, kła-
re w gnuach, w Hucyuanie.
Boleję nad losem dzieci, którzy
nie od dziecka przymieją
z łowienic, biesznie za nie-
nie, dzieci wabym ich wszystkich
nieć blisko siebie. Także i tu-
le Was bardzo serdecznie.
Kuchogice Was Ada

Fragment listu Adolfiny Błażewicz do Izabeli Wysockiej
pisanego na Syberii 30 X 1954 r.

Witold Karpyza

☒ - Skrytka pocztowa 58,

66-400 Gorzów Wlkp.

☎ - 0-95/ 720-27-77.


Pologne

Gorzów, 18.05.2001 r.

Szanowny Panie!

Serdecznie dziękuję za nadesłanie swojej ^{pracy} przykłą /kserokopia/ p.t. "Wysoccy" wraz z licznymi załącznikami. Przejrzałem ją pobieżnie i zajęmę się dokładnym jej czytaniem, bo jak Pan wie, to 364 strony maszynopisu. Powoli będę się z Panem dzielił swoimi wrażeniami. Piękny styl, bogactwo dokumentalnych faktów, umiowanie Kresów i -Ocalenie od zapomnienia! Dokładnie przeczytałem już wstęp. Był konieczny. Dzięki jemu poznałem bliżej Pana, jego rodzinę, genezę i ~~prze~~przecienianie licznej z Panem korespondencji, wzajemnie się z konta. ktu skorzystaliśmy. Dużo mnie z Panem łączy! Mamy wspólne zainteresowanie, to Aresy!

Gratuluje Panu uzyskanego sukcesu!



List od prof. Witolda Karpyzy, etnografa powiatu wołkowskiego, dotyczący I cz. opracowania " Wysoccy "

Gorzów, 25.01.1997

Szanowny Panie, Tadeuszu.

Z zainteresowaniem przeczytałem Pana pracę pod tytułem "Bitnerowie" i zabieram się do ponownego jej studiowania. rzecz wspomniała, klarowna, bogata w treść i co też ważne, że kwatery zostały ocalone od zapomnienia. Prawdopodobnie Bitnerowie ją opublikują, ale i teraz radzę Panu opublikować jej niektóre fragmenty w prasie polskiej, na przykład: "Nowosady", "Kwatery", "Glinziczowie" itp. Jeśli artykuły nie będą zbyt długie /do 10 stron Maszynopsu, to myślę, że niektóre redakcje przyjmą.

Po gruntownym przeczytaniu, być może, jeszcze pojawią się pytania. Łączę pozdrowienia.

Witold Karpyś

*Prof. Deszkaję z c. piśknę, egzotyczny dla mnie
młodzi.*

Do. T.

List prof. Witolda Karpyzy, etnografa powiatu wólkowskiego, dotyczący II cz. oprac. "Bitnerowie"

Tekst jest ciekawy. Dla mnie dużo nowości nie tyle o was ile o zwyczajach i obyczajach koczowniczych. Zachowanie się i zabobany diałomokry ludności.

Spawinowacemsi i Kuligaję. Miejscami duch czasu i ludzi jest świetnie oddany. Opisy przyrody są wspaniałe. Jednak czytano się trochę ciężko. Czasem gubiłem wątek który potem Tapateem dużo dalej.

Rozumiem, że jest to całość o wiele większego dzieła ale rozdziały lub podrozdziały poniekąd by się przysłały np. Pasiadłość Kwaterny. Rodzina Glinokerców.

Rodzina Bitnerów .tdl. Epilog. Obraz Kwatern i rodzin jest poniekąd dobry. Kwaterny mają dużej. Nowozady o wiele mniej, bo mniej o nich wiem.

Witnam. 31 grudnia.
1998r.

Szanowny Panie Tadeuszu!

Jaka przyjemność sprawił mi list od Pana z 13 br. Historie Federowskich przeczytałem kilka razy! To są ciekawy typ ten Michał Federowski. To są ciekawa postać. Ale co za kiepski mąż. Różne rzeczy się zdarzają w rodzinach. Michał był ekscentykiem ale dla człowieka jednak dobrym jak większość koczowniców. Ładny opis bardzo ciekawy. Aż się obliąży, że kochys obywatela zaje rodzinny hipotekiel. Bedzie to duża skarbnica koczowniczych zdarzeń, wypadków i różnych ciekawostek i ciekawych ludzi.

Fragmenty listów otrzymanych od Ryszarda Bitner-Glindzicza z 15 XII 1997 i 31.XII 1998, dotyczące oprac. cz. II - "Bitnerowie" i cz. III - "Federowsky"

Gorzów Wlkp, 12.01.1999 r.

Szanowny Panie, Tadeuszu!

Z radością wczoraj otrzymałem odbitkę kserograficzną Pana drugiej pracy p.t. "Federowscy". Wypełnił Pan starannie jeszcze jedną lukę z naszych dziejów na Kresach. Przeczytałem jednym tchem a teraz zabieram się do dokładnego studio wania. Szkoda, że Pan nie dołączył "pisma przewodniego". Czy Pan ma dalej w planie jakiś temat? Czy mogę już ponumerować strony w części I i II, połączyć i oprawić?

Łączę pozdrowienia.

Witold Karpyz
Łączę z c. z "Kresami" z "dywaniki"
znaczków. *g r*

List prof. Witolda Karpyzy, etnografa powiatu wołkowyskiego, dotyczący III cz. oprac. "Federowscy"

Drogiemu Panu Tadeuszowi Kobryńskiemu,
z wielką wdzięcznością
za tak wiele szczytnej pracy

Włożonej do opracowania
historii mojej rodziny i za
cierpliwość.

Z podziękowaniemisko chyle głowę,
Ryszard Bitner-Glindzicz
Witham,
Essex, Anglia

15. VII. 2001 r.

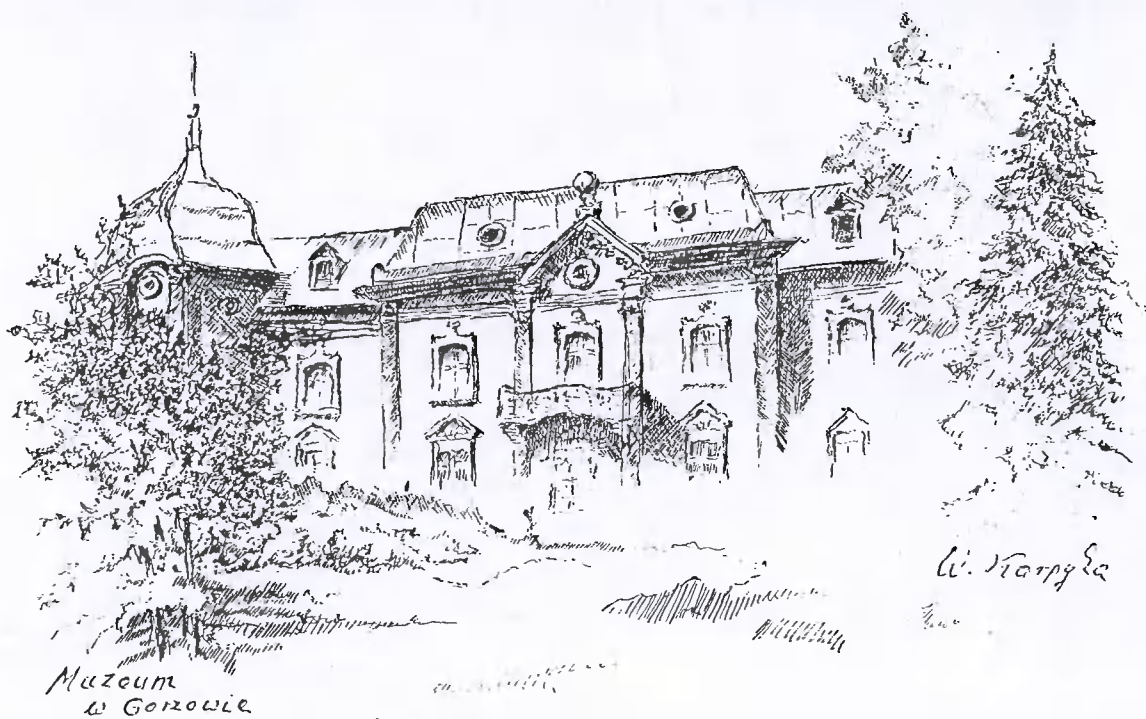
Dedykacja Ryszarda Bitner-Glindzicza do przestanego
autorowi oprawnego egzemplarza II cz. oprac. "Bitnerowie";
wykonanego drukiem komputerowym

W mojej kolumnie pierwszy egzemplarz zebrał pracownik obrotu
Polskiego Ośrodka Społecznego i Kulturalnego w Londynie.

Przepraszam, że cały list jest o nas i o naszych sprawach
Jak jest zdrowie Państwa? Jak się pracuje w ogólnie i przy
naszym? Niech Panu Bóg w tym wszystkim pomaga! Dla mnie
to najlepsze rzeczy!

Pani Helenie proszę ucałować dzieci. Damoś
przyjemnym pozostawieniem a Panu ukłony
Krzysztof Dobry

Fragment listu Ryszarda Bitner-Glindzicza z 27 VII 1999 dotyczący przeka-
zania II cz. opracowania "Bitnerowie" do Polskiego Ośrodka Społecznego
i Kulturalnego w Londynie.



Gorzów Wlkp. 14. 12. 02

Szanowny i Drogi, Panie Tadeuszu!

¶ardzo dziękuję za dwa ostatnie listy, oczywiście też z pięknymi "kobierczykami" znaczków. Smutno mi jest, że teraz nie mogę na listy szybko odpowiadać ani obszernie pisać. już nie te siły! Do tego cała korespondencja /łączenie z Pańskimi listami/ znajduje się w Muzeum. Jak Pan wie listy naukowe, to nie pisanie wierszyków, czy układanie nowelekale żmudne szukanie źródeł do każdego zdania. Mam jeszcze 72 aktualnych korespondentów, inaczej bym nic nie zdobył. W związku z Bożym Narodzeniem czeka mnie, jak co roku, napisanie 61 listów lub pocztówek. Noga mi nie pozwala wychylić się poza pokój. Kłopot mi sprawia Pańska prośba, bym uporządkował Pańskie oprawowania w kolejności logicznej. Otrzymałem wszystkie. Trzeba tylko zaufać muzealnym archiwistom. Oczywiście chętnie bym przeczytał ostatni tom, który mi Pan proponuje. Oddałbym go, aby dołączyli do zandujących się w Muzeum.

Sporo jednak jeszcze rysuję. Do tego sporo czasu zabiera mi drukowanie albumu Zabytki powiatu wołkowyskie oraz zbioru mich artykułów. Ciągle muszę im coś objaśniać lub uzupełniać.

Winiетка wyżej przedstawia gmach muzeum w Gorzowie /Tam znajduje się moje archiwum. Oddział tego Muzeum znajduje się w drugim większym gmach - w byłym spichrzu z 1800 r.

Na następne listy będę odpowiadał krótko, bo na więcej mnie nie stać. Przepraszam za błędy Maszynowe.

W związku ze zbliżającymi się Świętami życzę miłego i spokojnego ich spędzenia a także pomyślnego Nowego Roku!

W. Karpyzy

P.s. Załączona pocztówka przedstawia drugi gmach Muzeum / Górna-prawa fotografii .

List od prof. Witolda Karpyzy - potwierdzający przekazanie do Muzeum Okręgowego w Gorzowie Wielkopolskim, otrzymanego od autora egzemplarza opracowania "Jeszcze pamięć nie zginęła" / Dzieje Rodów Kresowych /